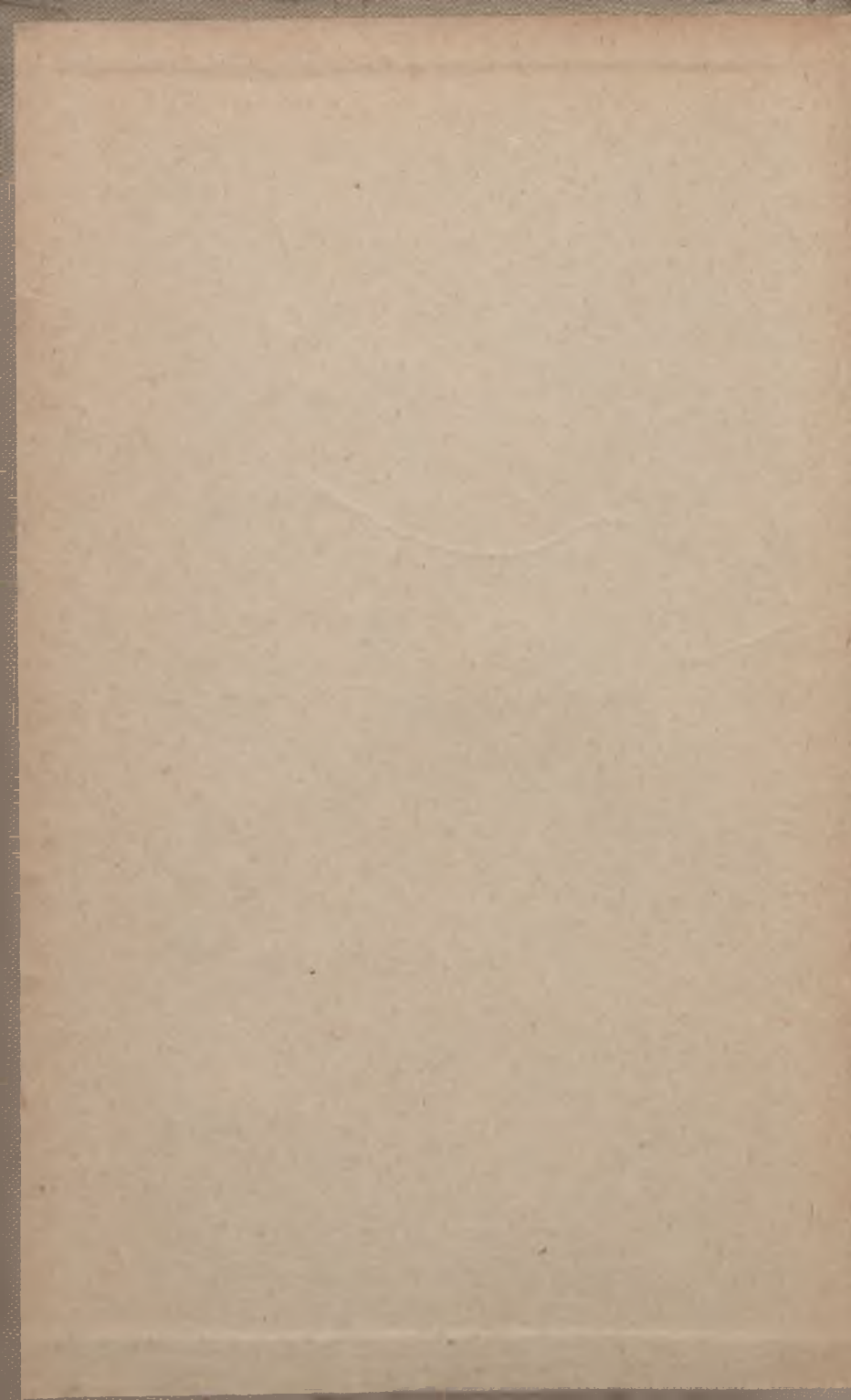


PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk - Wrzeszcz
K. Marksa 14

21738

PRUSZYŃSKI
KARABELA
Z MESCHEDU

P
W





PRUSZYŃSKI
KARABELA Z MESCHEDU

KSAWERY PRUSZYŃSKI

KARABELA
Z MESCHEDU

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

Okladkę projektował
MAREK RUDNICKI

W 813/57



21738

Printed in Poland
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1957 r.
Makład 20.000+185. Ark. wyd. 14,7. Ark. druk. 19,75.
Papier mat. kl. U, 70 g, form. 82×104/32
z Fabryki Papieru w Skolwinie
Oddano do składania 15. XI 1956
Podpisano do druku 15. II 1957
Druk ukończono 9. IV 1957
Toruńska Drukarnia Dzielowa
Nr zam. 1117. E/t-11.
Cena zł 23.—

KARABELA Z MESCHEDU

Pana Lazara poznałem osobiście dopiero po latach, w czasie których dowiedziałem się o nim, zdawałoby się, wszystkiego. Na długo przed tym deszczowym, pustym dniem, gdy zajrzał do mego pokoju w oficynie — może zjęcony odgłosem maszyny do pisania — pan Lazar był mi już znany, dobrze znany, jako postać klasyczna miejscowej, paropowiatowej Iliady, jakiś lokalny Jankiel czy ksiądz Robak, jakiś Zagłoba rodzimego eposu. „To od Lazara...” „Lazar to wtedy zabrał...” „Trzeba by Lazara się spytać...” „Tu także był Lazar...” „No i wiecie, kogo spotykam? Lazara!” — przeplatało się najniespodziewaniej w świecie w najmniej oczekiwanych tu rozmowach czy wątkach. „Trzeba, żebyś poznał Lazara...” „Doprawdy, jeszcze nie znasz Lazara? No, ale chyba wiesz, kto?...” — dziwiono się po latach mojej luce w znajomości tych stron. Kiedy pierwszy raz byłem w Suwałkach, polecono mi być u Lazara, polecono tak prawie, jakby chodziło o oficjalne ucałowanie rąk jeszcze jednej żoninej ciotce ze wsi. Ku zgrozie rodziny zapomniałem na śmierć o Lazarze; co mnie mógł obchodzić jeszcze jeden żydowski kupiec? Po roku byłem po raz drugi w Suwałkach i niemal prosto z autobusu popielgrzymowałem do Lazara. Ale sklep z napisem: „Lazar Gitman, starożytności” — był zamknięty. Przez szybę tylko widziało się nie tyle zresztą „starożytności”, co rupieciarnię nieprawdopodobną, jakieś wypaczone, litewskie pewnie, mahonie, jakieś okurzone uprzące, ikonę, pewno rumuńskiej podróbki, źle imitujące

Francję sztychy berlińskie. Legenda Lazara przyblakła. Pewno, antyki na miarę Suwałk...

Z drugiego domu wyszła Żydówka na pokręconych nogach, spytała, czy jestem „z interesem”, i oznajmiła, że pana Gitmana nie ma, że powiedział, żeby powiedzieć, że jest w rozjazdach. Widać było, że słowo to jest dla niej obce, że przyswoiła je sobie od tegoż pana Gitmana. Najchętniej powiedziałyby zapewne „on ujechał”, gdyż — bez obrazy kapitana, a dziś majora Kirkora — żydowska nacja jego ukochanych Suwałk przemawiała polszczyzną, w której było nieporównanie więcej Wołogdy niż Nałowic. Nie poznałem zatem wtedy pana Lazara Gitmana.

Poznać go miałem dopiero w jakie dobre dwa, może nawet w trzy lata później; musiało to być na jesieni jakiegoś 1937 czy 1938 roku. Byłem już wtedy po mojej hiszpańskiej podróży, hiszpańskich reportażach i książce o „Czerwonej Hiszpanii”, książce, która nie była tak bolszewicka, jak się wielu bardzo ludziom wówczas zdawało, ale niemniej zaskarbiła mi wtedy całą serię prasowych ataków, pół kopy wszelakich wyklinañ, radosne przepowiednie o wykończeniu się, no i uroczyste a zbiorowe wypowiedzenie mi posady ze strony mych dawnych prasowych chlebobawców. Wziąłem się tedy do tłumaczeń, do sporadycznych artykułów, do różnych dziwacznych zajęć, aż do hodowli pieczarek włącznie, ale to wszystko było mało, a w każdym razie, jak na żonatego i dzieciatego mężczyznę, dalekie było od dostatku. Wtedy właśnie otworzyły się przede mną gościnne podwoje tego dworu.

Dwór zaś był rzeczywiście dworem. Miał jak się patrzy wysoki, piękny podjazd, oparty na czterech jeszcze wyższych kolumnach: na jego frontonie świecił dumnie swą datą rok 1791 i spoza przerąbanego wojnami parku widać go było poprzez nisko sfalowane pola bardzo daleko. Były to okolice smutnej, opuszczonej Białostoczczyzny, mające

w sobie melancholię pól brandenburskich, a może trochę z pustkowi Estremadury, gdzie wiekami nic się nie dzieje, gdzie kolejne generacje chłopskie w małych, przygniecionych i szarych chatach z drzewa nawarstwiają się poprzez dziesięciolecia — niczym mszaki sprasowane w torf nad rozlewami Zelwy. Tak, Zelwa! Zelwa — ze swym mostem i groblą na Zelwiance — to był jedyny błysk czegoś w tych stronach, jakieś muśnięcie sławy, i ile razy w moim życiu na małej bryczce wjeżdżałem w noc ciemną do stacyjnej miejsciny Zelwy, marzył mi się naraz Żeromski i noc żołnierska na przedpolach Mantui, i on — obrońca Zelwy, poległy pod Piramidami, polski oficer i jakobin, Józef Sułkowski. Zelwa, Zelwa... Ale poza Zelwą nie było tam nic, naprawdę nic, żadnego blasku; lasy były marne, choć zwały się „zamkowymi”, i pola były też marne, wąsko pocięte, kamieniami moren przesypane; chłopci tych kamieni nie zbierali, albowiem w ich pojęciu kamienie i tak odrastały z powrotem.

Gdzieś daleko, za albertyńskimi lasami, krył się Słonim — Słonim to już było coś, to już był pomnik, kościoły, klasztory, baszty, Ogińscy, barok biały — i człowiek czuł, nie wiedzieć nawet jak, że tam przecież kiedyś coś było, że te lasy ciasne wokoło i te białe baroki w mieście złożyły pierwsze tony jednego z najpiękniejszych polonezów polskich. Tak, lecz do Słonimia było stąd jeszcze ponad sto kilometrów, i tu nie był Słonim, ale Wołkowysk, a raczej nawet nie Wołkowysk, niski, rozsypany domami i nijaki, lecz ziemie wokoło Wołkowyska, właśnie te biedne, równe i szare ziemie wypełniające próżnię pomiędzy magnackim Białymstokiem Branickich a magnackim Słonimem Ogińskich, i gdzieś ginąca wśród nich niemal bez śladu owa Zelwa, a także ów dwór z datą trzeciomajową na szczycie.

Mały, zabiedzony Wołkowysk był sobie stacją przeprężną jakby na wielkim szlaku kolejowym Europy: Ca-

lais—Paris—Stołpce—Niegoriełoje. Dwa razy dziennie tym traktem pędziły wielkie międzynarodowe pociągi, lśniące sleepingami, wagonami restauracyjnymi i nie wiedzieć jakim splendorem, ku Paryżowi i Moskwie, i tędy właśnie, tymi pociągami podróżowały różne Wellsy, Bernardy Shaw, Lady Atholl, Litwinowy i Bóg wie jakie wielkości — ku cudom Białokamiennej, a krajobraz wołkowyski może to czuł nawet i stał jakby jeszcze bardziej zażenowany, przygarbiony i onieśmielony własną małością wobec tego przejezdnego wielkiego świata. Czasem latem do pociągu na Paryż ładowano prostokątne skrzynki, a w nich, obłożone mokrymi pokrzywami, niezgrabiły się czarne, olbrzymie raki posyłane prosto z wód Zelwianki do największych restauracji paryskich. Wołkowysk pokazywał, że i on coś ma do dania temu wielkiemu, dalekiemu światu. Ale paki z rakami wpakowywano do czarnego wagonu pocztowego na przedzie, prędko, albowiem taki pociąg jak Niegoriełoje—Calais nie może przecież stać na takiej stacji jak Wołkowysk więcej niż równo minutę — i czekać na głupie raki! Raki czekały zatem już od pół godziny posłusznie w miejscu, w którym winien się zatrzymać ów wóz pocztowy, potem szybko, skrzynka po skrzynce, znikaly w jego czeluściach, żeby wynurzyć się aż w Paryżu. Ludzie w Wołkowysku powiadali z dumą, powołując się na jakąś nieznaną statystykę, że na 10 raków, które je Francja, 8 pochodzi z Polski. Mój teść dodawał w tym miejscu: „...a w tym sześć i pół z Wołkowyska” — ironizując i ten tytuł do sławy grodu, ale, mój Boże, daremnie! Przecież i tak w Paryżu na jadłospisach figurowały wprawdzie *huîtres portugaises* (nie będące, jak wiadomo, z Portugalii) oraz *escargots de Bourgogne*, niekiedy istotnie hodowane na pagórkach Burgundii, ale o rakach jadłospis opiewał niezmiennie jako o *écrevisses polonaises* i nie chciał w żaden sposób przyjąć do wiadomości, iż pochodzą z niejakiej Zelwy, Zelwianki, Wołko-

wyska. Biedny Wołkowysk nie mógł się tedy nawet rakami wkupić do wielkiego świata.

W dużym, białym dworze przyjęto mnie z ciepłą wyrozumiałością („znowu coś nabroiłeś, widzisz, a Kościałkowski już chciał cię wziąć do województwa na praktykę, byłbyś się ustatkował, usytuował, może byłbyś już teraz nawet wicestarostą”), ale w każdym razie nieźle, jako że w ogóle do rzeczy pisanych, a zwłaszcza pisanych w gazetach innych niż „Kurier Warszawski”, nie przywiązywano w tym domu nadmiernego znaczenia. Poza tym pokoi było dużo, pieniędzy może brakło, ale nie brakło jedzenia, poza tym była nuda, a w mojej osobie przybywał ktoś do rozmów w coraz to dłuższe już wieczory, a wreszcie była jak ten dwór stara, a nawet jeszcze starsza tradycja rezydentów, takich życiowych nieudaczników, niewydarzeńców — panien, co nie wyszły za mąż, kawalerów, którzy za późno zabrali się do żeniaczki, jakichś ciotek, jakichś wujów, jakichś kuzynów, jakichś kolegów dziadka ze szkół, jakichś nie wiem jakich jeszcze doczepieńców. Byłem zresztą zmęczony Hiszpanią, a może jeszcze bardziej owym absolutnym brakiem odzewu, z którym Hiszpania konając spotykała się w szerokim, sytym świecie. Nikt nie myślał w Warszawie, że los Guerniki czy Madrytu... I to męczyło. Pisałem wiele, jeszcze więcej czytałem. Ostatnia generacja dworu była rozlubowana w rzeczach technicznych, ale poprzednie siedziały głęboko we Francji, w literaturze i historii. Całe rzędy pięknie oprawnych tomików ze złoceniami, mające niebawem dokonać swego żywota w błotach pobliskiej rzeczułki, przechowywały — jak plastry pszczelne miód — rokokowy wdzięk komedij Marivaux, galicką ciętość Woltera i paryską sztyderstw Beaumarchais’go. Kończyło się to chyba na światowym dandysie Bourgeoisie — dopiero ja przywoziłem jakieś o dwie generacje odbiegłe tomiki tak nieznanym autorów jak André Malraux. I dnie zachodziły tu

w dniu, a noc w noc i jesień zbliżała do siebie późne świty i wczesne zmierzchy, a świat zmęczony, który zostawiłem daleko za sobą, zmałał, przygasł i oddalił się. Tylko nocami czasem daleki łoskot pociągów międzynarodowych szedł przez łąki i przypominał, że jest na świecie jeszcze nie tylko Wołkowysk i Białystok, i Słonim, ale jest Niegoriełoje i Paris, i Calais — i jakaś męka, i jakaś Hiszpania. Może, gdyby nie ten pociąg, który szedł z łoskotem po mokrym wrzosie zostawiając za sobą Niepokój, byłbym zapomniiał zupełnie, że w ogóle jest jakiś świat inny niż ten, który tu wokół wlecze swe niskie dni.

Zdaje się, że **nie** powiedziałem jeszcze, iż dwór był stawiany „w podkowę”, to znaczy, że po obu stronach miał dwie pod kątem prostym ustawione oficynki, w nich zaś dużą, o wiele za dużą ilość pokoi. W samym końcu jednej z tych oficynek odremontowałem sobie, a raczej oczyściłem tylko, małe, nikomu nie zawadzające mieszkanie. Miałem tam trochę swoich rzeczy, poleciłem obmyć z wapiennego tynku grube, drewniane, piękne belkowania sufitu, pościągałem kilimów i glinianych mis podolskich. Było właśnie takie popołudnie, kiedy wszyscy wyjechali gdzieś byli, ja zaś kończyłem jakąś robotę, pisząc na maszynie. Posłyszałem, jak od dziedzińca zajechało coś i zatrzymało się w podwórzu; lecz mnie to tyczyć nie mogło. Potem wydało mi się, że ktoś się o coś kogoś pyta i że jakiś głos męski informuje, iż pana dziedzica nie ma. To także tyczyć mnie nie mogło. Pisałem więc dalej. Pamiętam jeszcze, jak to pisanie wciągnęło mnie w siebie, jak mi właśnie szło (czy może tylko zdawało mi się, biednemu, że idzie) i jak postukałem tylko zawzięciej, gdy usłyszałem skrzyp drzwi do sionki. Po co mnie tym nudzą? Pewno znowu jakiś rzepak, ordynaria czy klucze do spichrza? Z ulgą stwierdziłem, że po tym skrzypnięciu drzwi nie odezwały się żadne kroki. Może mi się tylko zdawało? Pisałem dalej. Ale nie, nie zdawało mi się, niestety, bo ktoś wszedł

do pierwszego pokoiku, tego z kuchnią, zachrząkał i poszurał nogą, słowem, wykonał mnóstwo obrzędów oby-
czajem tubylczym przepisanych dla zawiadomienia o swej
obecności. — Kto tam? — Ktoś odchrząknął. — Kto tam?
— Ktoś odchrząknął raz jeszcze. Odstawiłem maszynę.
I wtedy, nim się ukazał, usłyszałem tylko jego głos: — To
ja, ale niech pan redaktor sobie nie przeszkadza, ja po-
czekam, aż pan redaktor dopisze, ja poczekam, ja mam
zawsze czas... — Nie chciało mi się wstawać od maszy-
ny. — Ale kto tam? — Głos zażenowany odpowiedział
wtedy, wciąż zza drzwi: — To ja, pan redaktor mnie nie
zna, ale ja wiem o panu redaktorze, moja familia Git-
man. Ja z Suwałk. Ten z Suwałk Gitman. Gitman. Lazar
Gitman.

— A, pan Lazar Gitman — popisałem się moją znajo-
mością towarzyską tych stron. — Ale pan wie, nikogo nie
ma — witałem wchodzącego.

Wchodzący był dość wysokim Żydem o czarnym, nikłym
zaroście wijącym się wzdłuż zakosa policzków i spadają-
cym poniżej podbródka ostrym zarysem brody. Miał twarz
bardzo żydowską, żółtą, niewielkie, czarne oczy, przy tym
nos dosyć cienki, nawet bardzo cienki, wydatny, wcale nie
mięsisty nochał, właśnie jakiś śródziemnomorski, semicki.
Był ubrany czarno czy też ciemno, wyraźnie z żydowska,
tak właśnie jak ubierali się Żydzi w nieokreślonym trój-
kacie ziem pomiędzy Małkinią, Baranowiczami a Mołod-
decznem. Mógł być pachciarzem i dzierżawić sad, i być
rzezakiem, i mieć handel drzewny, i skupywać gęsi do
Prus, i co tam jeszcze. Z wejrzenia był tedy tym, co by
określono wówczas: „taki pospolity Żyd”. Ale w twarzy
miał coś cienkiego, rabinackiego, ręce miał także jakieś
białe, długopalce i miękkie, w głosie coś dyskretnego i ci-
chego.

— Ale ja pana redaktora bardzo chciałem od dawna
już poznać, choć państwo mnie skrzywdzili, bardzo

skrzywdzili — powiedział. — O, tu właśnie widzę moją krzywdę!

W rogu pokoju stała ta właśnie „krzywda” i zaraz przypomniałem sobie, o co panu Gitmanowi chodziło. „Krzywda” była niewielkim, mahoniowym mebelkiem, biureczkiem, sekreterą, jak się mówiło. Przez niezliczony szereg lat stała w pokoju służbowym, służąc za podstawę do maszyny do szycia czy innego podobnego celu. Roztrzęsała się była do reszty i zapewne dokończyłaby żywota nawet nie w czworakach, ale po prostu w piecu. Okoliczność, że drzewa nie brakło, przedłużała jej meblowe wegetowanie. Traf chciał, że moja narzeczona chciała coś uszyć, spędziła parę godzin w służebnym pokoju i zauważyła meblek. Nie na darmo chodziła kiedyś na wykłady historii sztuki.

— Ależ to śliczne biureczko! — zachwyciła się.

— Proszę pani, a jak się otwiera, to tam jest taki „mramur”. Ale rozbity — powiadomiła szwaczka.

Istotnie, po podniesieniu wieka okazywało się, że sekretera była i rodzajem gotowalni. Miała wewnątrz miejsce na lustro (pewno wyjęte z niej przy jakiejś okazji), odpowiednie schowki oraz ów „mramur”, czyli marmurowy wewnętrzny różowawy blat. Najśliczniejsze były jednak same proporcje nóg, stołu, całego zestawienia — a wiadomo, że dobry mebel poznaje się przede wszystkim po proporcjach. Nie miał żadnych brązów, które by wskazywały na zagraniczne, paryskie czy wiedeńskie pochodzenie. Nie było też żadnych śladów, by kiedykolwiek je miał. Nie miał nawet drewnianych podróbek brązów, jakie często miewały nasze rodzime meble. Nic, tylko same proporcje i szlachetny, piękny mahoń. Oczywiście, biureczko powędrowało do pokoju Marii.

Matka żony była potem zawsze bardzo dumna.

— Widzicie, a ja obroniłam to przed Lazarem...

— Jak to, przed Lazarem?

— A nie pamiętacie? To było na Wielkanoc tamtego roku; nie, jeszcze dawniej. Kiedy byli Bispingowie. Od dwóch dni na nogach, od kuchni do piekarni, od piekarni do kuchni; rodzyneków Oskar, jak to Oskar, nie przywiózł z Wołkowyska, Michasia zacięła się w palec, baby wielkanocne pieką się w wielkim piecu, ja w strachu, żeby mi nie opadły, a tu jeszcze był ten mór na prosiaki. Sześć poszło jednego dnia. Naraz ze wsi posyłają — Wielickowej trzeba zrobić zastrzyk. Lecę do apteki w służbowym, a tam kto? — Gitman sobie gospodaruje jak we własnym sklepie! Maszynę odstawił i ten stolik ciągnie. „A Gitman tu co?” — mówię. „Proszę pani dziedziczki, a co pani dziedziczka powie, gdybym ja pani dziedzicze nowy, sosnowy stolik pod maszynę kupił?” Rozgniewał mnie tym, że tak szpera nie u siebie, więc mówię: „Maszynie nie trzeba nowego stolika.” A on: „Ja bym może dał pięćdziesiąt złotych.” To już mnie rozgniewało na dobre; więc najpierw sosnowy stolik tylko, a potem zaraz pięćdziesiąt złotych? „I za sto nie oddam!” A byłabym oddała, bo na Wielkanoc zawsze potrzeba pieniędzy, i Gitman to wie, zawsze przed świętami przyjeżdża. Lub przed samymi żniwami. — Ale mnie rozzłościł tymi targami, bo ja o Gitmanie moje zdanie mam, tylko ojciec się na nim nie poznał, a potem jeszcze przypomniałam sobie, że ja tu stoję i z tym Żydem wyklócam się o stolik, a tam baby mogą opaść i ta Wielickowa czeka. Więc tylko powiedziałam: „Panie Gitman, żadnego interesu nie będzie, bo ja nie lubię, żeby mi kto po domu chodził i stołki ostukiwał; już komornika dosyć.” Żal mi się go zrobiło, bo od razu zrozumiał, że żarty skończone, i powiedział: „No, kiedy pani dziedziczka taka ostra, to pewno, że interesu nie będzie” — i poszedł, a ja po zastrzyki. Nie, baby nie opadły, a Wielickowa, to prawda, umarła, ale dopiero na świętego Jana. I tak ocalałam sekreterę.

Teraz pan Gitman oglądał swoją „krzywdę” i kiwał

tylko głową. Odrestaurowaliśmy mebel w Warszawie u Panciewiczza; kosztowało to tyle, że w pojęciu matki mojej żony można było trzy takie kupić. Ale sekretera była przywrócona do swojej pierwotnej chwały. Przypominano sobie, że musiała być jeszcze z kompletu po Ciumdziejewickiej, a wiadomo, co to w Mińszczyźnie byli Ciumdziejewiccy. Żaden dziedziczny graf świętej Golicji i Głodomerii ani się do nich nie umywał. Ale dla nas dzieje mebla też kończyły się i zaczynały na tych Ciumdziejewickich; wszak to było w jakichś latach osiemnastych, może wcześniej, zeszłego stulecia. Powiedziałem to teraz Gitmanowi. Gitman zmrużył oczy, pokiwał głową, pogładził brzeg blatu i zapytał jak doktor przy badaniu pacjenta:

— Panie redaktorze, a czy ci państwo Ciumdziejewiccy nie mieli czasem co z Anglią? Bo to jest, proszę pana, mebel angielski. Angielska robota. Takie same dwa mebelki były w Gieranonach, po Ogińskich księżętach jeszcze, i ja bardzo myślę, że to będzie od tego samego majstra. Tak, może to angielski. No, to w takim razie nie taka jeszcze wielka ta moja krzywda...

— Angielskie niedobre?

Gitman mrużył oczy i patrzył przez okno na dziedziniec, gdzie cztery białe kolumny parły się pod datę 1791.

— Nie — mówił — dobre, bardzo dobre i ja bym go wziął, ale... To pan redaktor nie wie, że ja, Gitman, zbieram same polskie rzeczy? Jak się trafi niepolska, biorę. Co nie mam brać? Ale naprawdę dla mnie polskie to dopiero co warte. Do tego to ja mam serce.

— Ja też — wyznałem — zbieram sobie gdzieś czasem. Właściwie zbierałbym, ale nie bardzo mam za co...

— Nie trzeba mieć z a c o; można z a n i c; ja zaczynałem całkiem z a n i c. Pan redaktor może; pan redaktor wszędzie jeździ. Pan w Palestynie był; pisali u nas w żydowskiej gazecie w Grodnie. Pan był w Hiszpanii. Polaki,

to une biegali po świecie, umierali gdzie, zostawiali, rozchodziło się po ludziach. Ci obcy nie znali, nie rozumieli. O, żebym ja był w Hiszpanii abo we Włoszech, abo we Francji choćby, ho! ho! ho! co bym ja już nie miał! A wie pan za co? Za nic! Za bezdurno.

— Za... sosnowy stolik?

Gitman połapał się dopiero, gdy już otwarł usta. Złapał dziwnym ich ruchem jakieś nie wypowiedziane jeszcze słowo, połknął je, po czym odrzucił z uczniakowskim, odmladzającym uśmiechem:

— No — a choćby za sosnowy stołek? Sosnowy stołek? Jak na takim czymś może stać maszyna do szycia, na takim czymś, na takim, to lepiej niech stoi na sosnowy stołek! U Lazara Gitmana na takim czymś maszyna — maszyna — nigdy nie postoi... Na takim czymś...

I rozdygotał się cały. Już nie żartował, już się nie tłumaczył. Był butny. Patrzyłem na ten gniew, który nim całym trząsł i wypływał z jakiejś wewnętrznej pasji. Co było ową pasją? Nie, nie było nią geszefciarstwo. To było coś innego. Ale tymczasem powoli stygł. Znowu się uśmiechnął:

— Proszę pana... a niech pan — tak całkiem po prawdzie — powie... Ja już był bardzo bliski tego mebla... Ja tylko przyszedł nie w porę. Pani dziedziczka, jak to w święta, miała pewnie jaki kłopot... czy zmartwienie. Może jej mazurki te coś nie... Może ciasta jakie... Ja wim? Nie wim. Ja wim jedno: w święta to każdy pan dziedzic i każda pani dziedziczka potrzebuje pieniędzy. Czy ja nie wim, jak to dziś jest z państwem? No, to ja jestem w święta. Można zawsze kupić coś. Państwo rade, ja zadowolniony, to ja jeżdżę. Tylko w święta każdy nerwowo taki. To mnie się raz udaje, raz nie. Saldo. Trudno. Trzeba jeździć. Chodzić. No, niuchać. Trzebno na to mieć nos. Pan redaktor jeździ. Mógłby sobie, ani się opatrzy, ładne rzeczy uzbierać. Ja mówię — bez pieniędzy. Żadne wiel-



kie pieniądze. Oko. Pan wie, jak można ładne rzeczy u nas dostać? Ja panu powiem, jak.

Siedzieliśmy tak chyba z godzinę, a Lazar Gitman wprowadzał mnie w swe sposoby. Zrazu myślałem, że będzie chodziło o to, aby mi wpakować jakiś rzekomy antyk, sztych polski czy książkę. Ale okazało się, że nie. Czarne oczy Lazara Gitmana raz świdrowały mnie, to znowuż uciekały gdzieś w przestrzeń, za okno, daleko za lipy i klony, może gdzieś za Niemen i Świtez. Każdy ustęp jego opowiadania zdradzał mi tajne, latami długiego poszukiwania wypróbowane, przypadkiem jakimś odkryte, może przez jakieś generacje żydowskich antykwariuszy przekazane arkana i sposoby. Była to cała wiedza, podzielona na różne odgałęzienia i działy. Jedną część tej wiedzy stanowiło szukanie rzeczy cennych. Starych. Bo rzeczy takie, rozumował Gitman, nie sztuka znaleźć u antykwariusza, już ocenione, oczyszczone, skatalogowane, na jakiejś Marszałkowskiej, no, Świętokrzyskiej. Nie sztuka w Wilnie. Nie sztuka nawet w Grodnie. — Rzecz cenną, starą należy znaleźć jeszcze wtedy, gdy nie jest za taką uważana. To — to sztuka. Wtedy, tylko wtedy dochodzi się do posiadania na własność rzeczy cennych. Jakże do tego dojść? Gitman wygłosił prawdziwy wykład. Wyjaśniał, ile cennych rzeczy, porzuconych jako starzyzna, poniewiera się po strychach; ile z dworów przeszło do plebanij, zwłaszcza uboższych, prawosławnych, ile zapełnia pokoje jakichś podrzędnych hotelików żydowskich w Diśnie, Mostach, Niemenczynie, Oranach; ile rzeźb poszło na strychy kościelne, za szafy zakrystii, no, czasem do lochów nawet; jak to w synagodze w Mostach odnalazł dwa brzuchate, ciemnobłękitne delfty. To — i setki innych wskazówek, pouczeń, poszłak wyrzucał obecnie z siebie Gitman, jakby na jakimś egzaminie czy popisie. Wpadł w trans. Widziałem go teraz, jak idzie jakimś miasteczkiem kresowym, mnie samemu niemal nie znanym, jakimś Zdzię-

ciołem, jakąś Prużaną, Kamienicą, Żyrowicami, Skidlem, jak — niczym różdżkarz szukający wody — przystaje, rozgląda się, wyczuwa, czy za ścianami niskiego domu, który właśnie mija, nie kryje się coś, co obmyte, oczyszczone, naprawione, zajaśnieje w przywróconym sobie dawnym, polskim blasku. Gitman to wszystko wiedział. Gitman tak to wszystko wiedział, że teraz, po latach, miał już jakieś instynktowne wyczucie. Wiedział naprawdę z instynktu, gdzie coś może być, tak samo jak różdżkarz wie, skąd po chwili kopania tryśnie zbawcza woda.

Ale to była tylko jedna z dziedzin wiedzy Lazara Gitmana. Zabytek to nie grzyb w lesie, gdzie wystarcza znaleźć miejsce, w którym rosną borowiki, by wrócić z koszem brunatno-białych olbrzymów. Jak skłonić księdza proboszcza, żeby pozwolił pobuszować po zakamarkach zakrystii? — Panu redaktorowi każdy proboszcz pozwoli. Ale Gitmanowi? Gitmanowi? Pan redaktor sam przecie rozumie? A pan redaktor myśli, że z kahałem łatwiej? Gdzie tam! Co ja zdrowia stracił przez tamte dwa delfty! A dwory, dziedzice, to tak niby pozwalają na strych załazić? Aha! Aha! — Gitman bał się, bym przypadkiem nie zlekceważył ogromu dyplomacji, jaka była mu potrzebna, by przeszperać kościelne strychy w jakimś Zdzięciole. Jak to robił? Kosztowało to lata całe zabiegów, przypominał się, wkradał w łaski, zadomowiania. Tam prezent jakiś przywiózł, gościniec dziecku, tu wiadomość na czas, ostrzeżenie. (Mój teść mówił mi potem, że Gitman zawsze wie, kiedy ma przyjechać w czyjeś progi komornik, sekwestrator czy inna skarbowa władza — jak, skąd, żydowska tajemnica.) Więcej niż trzydzieści lat zjeżdżał tak kawał ziemi zamknięty Prypecią i Bałtykiem, Prusami Wschodnimi, granicą. Wozem, biedką jednokonną, na piechtę, zimą, latem, w żniwa, w czas zasiewów. Gitman wiedział, kiedy się zjawić, kiedy jest nadzieja na utargowanie, Gitman był jak ów rybak, który najpierw

pstrąga zmęczy, utrudzi, starga, nim go naraz, już dawno umotanego, z zielonego nurtu na brzeg wyśmignie.

Ludzie, co nie lubili Gitmana — bo byli i tacy — mówili mi potem o nim, że jest to kruk, co czyha na licytacje, wykrywa wyprzedzaże jak sęp padlinę, wietrzy to z daleka, wywie się o tym jakimś czuciem niemylnym, trafi w porę — i potem wraca do swych dalekich Suwałk z nowym, tanio nabytym łupem. Była i opowieść naprawdę trupami trąca. Oto powiadano mi potem, że podczas rozbudowy Baranowicz rozgrzebano tam, w 1929 bodaj, stary cmentarz. Był to zapewne cmentarz ziemiański, choć nagrobki pobutwiały dawno i krzyże się powaliły, tylko dwie jakieś postaci marmurowe zwieziono potem do Wilna. Ziemia jednak, jak często w tych stronach, konserwowała dobrze. Być może, że i murowane groby pomogły nieco. Dość, że odnaleziono kilkanaście — czy kilkadziesiąt — dość znośnie zachowanych zwłok sumiastych szlachciców sejmi-kowych, śpiących swój sen wieczny, rozpoczęty kiedyś za Panie Kochanku i króla Sasa. Z różańcami w ręku drze-mały i jejmoście w robronach. Szaty miały być dobrze zachowane. Nim konserwator dojechał, nim województwo coś zaamciło, nawet zanim ukazała się trójszpałtówka w „Czerwoniaku”, już cmentarz zaorano czy przekopano, nieboszczyków zwieziono do wspólnego bodaj grobu, a miejsce cmentarza zajął tor kolejowy czy też stadion. (Dziś już nie pamiętam, na co ten stary cmentarz był ko-mu potrzebny.) Dopiero w dobre pół roku potem poszła gadka, powtarzana odtąd uparcie, że konserwatora, wo-jewództwo i reporterów wyprzedził jednak Gitman i że wyprzedził nie na darmo. Zwłoki posiadały bowiem nie tylko sumiaste wąsy, ale jeszcze i pasy słuckie. Wszak Słuck i Baranowicze — to było niegdyś niemal o miedzę sąsiedztwo. Te pasy — tu wersja miała duże cechy praw-dopodobieństwa — były zachowane najlepiej; nic dziw-nego: jedwab i nitki złote. — Otóż pan Gitman miał ma-

nipulować tak zręcznie, że szlachcice wrócili wprawdzie na łono rodzinnej ziemi, ale już — bez pasów. Pasy, pewno lekko trącające trupem, pojechały do Suwałk. Było tam nieco huczku o to i proboszcz, który ponoć też był w tym czynny, musiał jeździć do kurii, do Wilna; konserwator też się zbudził na jakieś pięć minut; nawet województwo wysadziło się na jeden, dwa papierki, ale w końcu sprawa zagasła jakoś, zamarła. Ów ksiądz nie żył długo, konserwatora przenieśli na lepsze stanowisko, reporterzy znaleźli inną sensację. I tylko głucha legenda snuła się wokoło Lazara.

Pamiętam, mój teść niezbyt się nią przejmował:

— Miały gnić w ziemi, lepiej, że będą świadczyć o tym, co tu też kiedyś na tej ziemi było...

— No, dobrze, ale skąd do tego Lazar? Powinno Muzeum Narodowe, województwo...

— Widziałeś, jak województwo. Muzeum Narodowe? Gdy będziesz starszy, zobaczysz. Ja mówię: miałaby ziemia, lepiej niech ma Lazar. Lazar nie zmarnuje. On te rzeczy kocha.

— Sprzeda.

Zaprzeczył głową:

— Prawda, że ty wciąż jeszcze Lazara nie znasz. Gdy poznasz Lazara, zobaczysz, że on ich nie sprzedaje.

— To po co je zbiera?

— Zbiera, bo... to długa sprawa i całkiem nieprosta. Zrozumiesz, jak poznasz Lazara.

No i właśnie poznałem Lazara Gitmana, siedział przy mnie, mówił. Na dworze zrobiło się szaro, potem ciemno i siedzieliśmy po wiejsku, po ciemku — i tylko piec odcinał się z tego mroku bielszy niż widmo przycupłe w kącie, a nad nami, u pułapu, gliniane misy podolskie, które w drzewo belek wprawiłem niczym rozety kasetonów — ot tak, dla oryginalności — świeciły swą jasną polewą. Nie chciało się palić światła, żadna dziewczyna nie przy-

chodziła i siedzieliśmy tak, a on mówił, urywał, nawracał, znowu mówił. Nie było Lazara. W tej ciemnej szarości wtopił się w nią niemal zupełnie. Jakaś plama bielejsza przebłyskiwała na wysokości głowy. Czasem mrok przekreślał błysk ręki poruszanej w rozmowie. Było tylko nasze milczenie lub jego — czy mój — głos. Lazar mówił urywanymi zdaniami, zdaniami łączącymi się luźno, odbiegającymi od siebie, mówił jakąś gawędą nieskładną, której charakter właśnie polegał na owej nieskładności, na tym, że jak rzeka stron rodzinnych, skromna rzeczulka nie znana podręcznikom szkolnej geografii, wiję się, zakręca, aby po chwili zawyłych zakrętów minąć miejsce, które opłynęła chwilę temu, ścieśnia się naraz w nurt ostrzejszy albo rozlewa szeroko, jeziornie, wnikając cichcem w szuwały i trawy, tak że nie wiedzieć gdzie woda przechodzi w moczar, a gdzie moczar staje się łąką. Jakaż szkoda, że dziś, po tylu latach i po tym wszystkim, co się w owe lata naniósł, nie potrafię odtworzyć ani jednej z owych gawęd nanizanych na wieczorną godzinę przez Lazara! Nawet nie od razu zdałem sobie sprawę z tego, że to jego gadanie staje się właśnie niepostrzeżenie gawędą, nasiąka tonami z pana Paska, z *Pamiętek Soplicy*, z *Mieszanin Bejły*, z Odyńca, Syrokomli i Henryka Rzewuskiego, z tego całego *genre'u* literackiego, dziś wraz z dawną Polską zaginionego zupełnie, a będącego kiedyś istotnym, rodzimym stylem prozy polskiej. Prozy polskiej? Gdybym wtedy, owego wieczoru, znał był nowele Sommerseta Maughama albo *Księgę z San Michele*, wiedziałbym, że przy swej polskości jest to rodzaj bardzo europejski. Ale wtedy nie wiedziałem jeszcze o tym — i miało to dla mnie tylko urok sarmackiej starzyzny.

Pamiętam potem dobrze, że na tym zastała nas wiadomość, iż kolacja podana, i pamiętam, że odruchowo, sam o tym nie pomyślawszy, wziąłem Gitmana ze sobą. Zdałem sobie sprawę dopiero potem, że łamało to prawa hie-

rarchii gościnnej. Lazar należał do tej klasy gości, którzy po dworach jadali osobno, ani ze służbą, ani z tak zwanym państwem, stanowili jakby kategorię pośrednią. Jadalnią był duży pokój, prawdziwa sala, ciemna w tonie, bo boazerie biegly dookoła, kredens stanowił ciemną plamę, a okna były już pozamykane na noc na wysokie wewnętrzne okiennice, których ciemne drzewo dodawało mroku. Wysoko wisiało parę portretów, artystycznie zupełnie bezwartościowych, z których wynurzały się tylko pożółkła plamą podgolone łby jakichś wendeńskich podstolich czy upickich wojskich. Ściany były oklejone wielkimi płótnami z malowidłami z końca osiemnastego wieku, też nieszczęśliwymi, ale swym charakterem przynajmniej podkreślającymi epokę, w której panował nie tylko król Ciołek, ale i mistrz Bacciarelli. Dwa były zupełnie nierozpoznawalne, ale inne ilustrowały najwyraźniej *Eneidę* — co było zresztą zgodne z gustami tamtych czasów. Widać było, jak płonie wysokie Ilium i jak Eneasze niesie na barkach ku korabiom na wypłowiałym morzu nagą swą żonę, potem Dydo w koronie udzielała posłuchania wygnańcom trojańskim; była — ku naszej radości — i scena, która w tłumaczeniu osłobryków niestrudzonego przyjaciela młodzieży gimnazjalnej, pana Zuckerhandla ze Złoczowa — brzmiała, jeśli pamiętam:

Umilkli wszyscy, rozdziawili gęby,
a stary Eneasze tak cedził przez zęby;

a wreszcie, jako ostatnie *panneau*, widniał obraz rzeszy wygnańców trojańskich, kiedy daleko od swej dawnej ojczyzny, wygnani z ziemi ojców, opuściwszy rodzinne Ilium, budowali na wzgórzach obcego Latium swe nowe siedziby — Rzym. (Czemuż polscy budowniczo wie tego domu w owym roku 1791 zdobili ściany takim właśnie *memento*? Czyżby chcieli przypominać wnukom, że w miej-

sce upadłej Troi powstała jeszcze, na innych wprawdzie ziemiach, potężna Roma?)

Siedzieliśmy tedy obaj, każdy w końcu bardzo długiego stołu. Pokój miał za całe oświetlenie dwa kandelabry, każdy na innym końcu, i pamiętam, jak twarz Gitmana wynurzała się z mroku ozłoconą odbłaskiem świec. Przyszło mi wtedy na myśl, że Gitman zachowuje się jak mysz, którą kiedyś widziałem złapaną w jakimś ogromnym, za wielkim na nią potrzasku. Owa mysz siedziała najpierw przerażona obcością miejsca, potem poczęła rzucać czarnymi oczkami w każdy kąt, później poruszyła głowę, postrzygła uszama, a w chwilę później pobiegła już obwąchiwać najdokładniej pułapkę. Nigdyśmy nie siadywali długo przy kolacji, ale myślę, że gdybyśmy byli siedzieli dłużej, Gitman pewnie zerwałby się od stołu, zaczął ostukiwać bufet — zresztą nieciekawym — oglądałby srebra, zdejmowałby portrety...

Nie byłem w mych przypuszczeniach daleki od prawdy, bo ledwo wstaliśmy, Gitman podszedł do owych płócien. Oglądał, pomacał, pomruczał. Zwilżył palec śliną, pociągnął po płótnie, znowu mruknął i odwrócił się do mnie:

— Proszę pana redaktora — a co jest pod nimi?

— Jak to — pod nimi? Ściana.

— No, a co jest na tej ścianie?

— Na ścianie? Co może być więcej na ścianie?

Ale Gitman, wcale nie proszony, już próbował podważać szeroką listwę, jak rama opinającą wielkie, płócienne *panneau*. Nie szło. Pamiętałem, że w drugim końcu płótno zbutwiało trochę i odchodziło od ramy, że trzeba je było onegdaj zapychać i przyklejać — można było zaspokoić ciekawość Gitmana.

— O, tu, niech pan spróbuje.

Gitman nie przeszedł, ale przebiegł swymi małymi kroczkami po ciemnej posadzce, już był przy drugim brzegu, podważał, podciągał. Dało się słyszeć jakieś dar-

cie — już myślałem, że mi to będą potem wymawiać — i zaraz triumfalnie:

— No? Co ja mówił? No?

Musiałem przynieść oba świeczniki i krąg światła rozjaśnił naraz ów kąć przy murze. Gitman ręką jak skalpelem odciął szybko płótno od ramy. Rozszerzył naturalną szparę. Miał rację! Pod płótnem była ściana, ale malowana, najwyraźniej malowana w jakieś freski. Tak, to były freski, od owych płócien niezawodnie starsze, zasłonięte nimi, gdy stały się niemodne — uchronione tymi trojańskimi płótnami przed zniszczeniem i ludzką pamięcią. Freski zapełniały, jak się potem okazało, całą ścianę i reprodukowano je potem w „Arkadach”. Konserwator wojewódzki, który je sfotografował, był wymieniony jako odkrywca i bodaj za to właśnie otrzymał potem Polonia Restituta. A Gitman wrócił do Suwałk.

*

Od tego czasu przez jakieś chyba półtora roku nie widziałem pana Lazara, albowiem uzyskałem posadę w radio i nim mnie z niej wylano, upłynęło jednak parę miesięcy. Natomiast przekonałem się, że Gitman nie jest wcale wielkością lokalną tamtych stron, że, przeciwnie, istnieje w Polsce, a nawet poza Polską rozległa masoneria ludzi, którym istnienie Lazara Gitmana w dalekich Suwałkach wcale, ale to wcale nie jest obce. Konfraternia znajomych Gitmana była zresztą nader wieloraka. Jak do pierwszych łóż polskich XVIII wieku — należeli do niej ludzie najbardziej sobie dalecy.

W Berlinie, w Charlottenburgu, odwiedziłem na rok przed jego śmiercią nestora nauki polskiej, Aleksandra Brücknera. Pamiętam ulicę mieszczańsko-niemiecką, spokojną, z drzewami; duży gabinet z zadziwiająco małą ilością książek. Brückner do końca miał pamięć świetną, co przeczytał, to i zapamiętał. Gdy go coś uderzyło w książce,

wyrywał z niej kartkę dla siebie ciekawą — resztę wyrzucał. Musiał mieć już wtedy z osiemdziesiąt dwa lata, toteż był wyschły jak mumia, przysłowiowa skóra i kości. Ale jakże się ożywia! mówiąc, pytając, polemizując! A pytał się ciągle. I tak naraz, już w kawiarni, zapytał:

— Powiedz no mi pan, a Gitman, Lazar Gitman z Suwałk, żyje jeszcze? Bo dawno już mi o niczym nie doniósł.

Po czym okazało się, że Gitman — Lazar Gitman — był w korespondencji z samym Aleksandrem Brücknerem. Gdy o tym powiedziałem w Krakowie profesorowi Koto-wi, ten się wcale nie wzruszył:

— Gitman? Panie Ksawery! Jakżeby Brückner, który wszystko wie, mógł nie znać Gitmana? Któż nie zna Lazara Gitmana?

Zarzykowałem:

— No, jest jeszcze trochę takich w Polsce. — Kot — było to w „Esplanadzie” — machnął tylko ręką.

— Pewno! Są i tacy, co nigdy nie słyszeli o Estreicherze, ale wiedzą za to, że Ewa Estreicher jest mistrzynią w skokach pływackich. Gitman! Panie, czy pan wie, że to on pierwszy, najpierwszy ze wszystkich natrafił na ślad, iż istniało drugie już w Łosku, w drukarni Kiszków, tłoczone wydanie Nowego Testamentu Budnego? Pan wie, co to była za sensacja w Akademii? Chrzanowski, mówię panu...

Hrabia Emeryk Hutten-Czapski na pewno nie należał ani do arian, ani do przyjaciół Stanisława Kota. Ale wśród swych zbiorów, wśród których czasem iście muzealne tra-fiały się rzeczy, pokazywał zawsze dużą, złotą monetę o niebywale czystym rysunku.

— A słyszał pan kiedyś o czymś takim? Moneta — bita w Rydze, napis — łacińsko-niemiecki, ten władca w zbroi — król z dynastii szwedzkiej — a całość? Całość — złota dziesięciodukatówka polska Zygmunta Wazy. Widzi pan

jeszcze: Orły i Pogonie, Pogonie i Orły. Na krzyż. Herbowa czwórka. Widział pan, żeśmy bili kiedyś w Rydze takie złote dukaty?

Nie wiedziałem.

— Przyznam się panu, że i ja nie wiedziałem. Ba! Profesor Kunsterłapa ze Lwowa krzyczał, że nigdy nic podobnego nie było. Co ci profesorowie dzisiejsi wiedzą! A wie pan, kto mi ją wynalazł? Taki zwykły, mały Żyd. Nawet nie ze Świętokrzyskiej. Nawet nie z Wilna. Z Suwałk! Taki jeden tam Gitman...

— Znam!

Czapski przestał wycierać dukat irchą:

— Jak to — Gitmana, Gitmana z Suwałk — pan zna?

— Znam. A pan skąd go zna?

— Panie, oni są z Mołodowa czy z Telechan, od Skirmuntów. Ja go jeszcze sprzed tamtej wojny pamiętam. Jego ojciec handlował drzewem. Stary Gitman. Taki suwalsko-augustowski handlarz drzewem. Trzech synów potem też w drzewie robiło. Lazar też zaczynał od drzewa. I jakoś tak mu zeszło na zbieracza. I pan wie, on to robi z zamiłowania. Może pan nie uwierzy, ale z zamiłowania...

— Uwierzę.

— A pan wie, jak on się zna na tym? A pan wie, że on ma cztery najpiękniejsze pasy grodzieńskie. Pasy fiłsjeanowskie? Muzeum Narodowe takich nie ma! Potoccy — Potoccy z Krzeszowic! — takich nie mają. Ale co tam Muzeum Narodowe! Nawet mój wuj Pusłowski, i ten nie ma. Rozumie pan? A widział pan katalog zeszłorocznej wystawy starego mebla polskiego na Wawelu? Najpiękniejszy kredens kolbuszowski — Franciszków Potockich z Brackiej, ale najpiękniejsze krzesło? Profesora Groera? Owszem, widziałem, niczego sobie, ale tylko trzecią nagrodę dostało. Pierwszą — biurko L. G. z Suwałk. Pan wie, kto to L. G. z Suwałk? Lazar Gitman z Suwałk. Widział go pan kiedy? Pan z nim rozmawiał? Pan znał Żyda, któ-

ry by gorzej mówił po polsku niż Gitman, ten sam Gitman od polskich starożytności?

Miał rację: z wielu Żydów źle mówiących po polsku Lazar Gitman był na pewno jednym z mówiących po polsku najgorzej.

Wiadomości o rodzinie Gitmanów były niemniej ściśle. Łączyły się też z owym pochodzeniem Gitmana, o którym także wiadomości kresowego arystokraty były najzupełniej prawdziwe. Gitmanowie nie należeli do żadnej z żydowskich rodzin starolitevskich, z dawna zakorzenionych w ziemiach nad Niemnem, Dźwiną i Niewiażą, do polskości silnie przywartych. Ich protoplastą nie był Mickiewiczowski Jankiel, co to grał Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu jego mazurka na swych żydowskich cymbałach. Wśród przodków Lazara Gitmana nie figurował także i ów Żyd, który „na złość strażnikom cel” przemycał na Litwę małe emigranckie tomiki wydań paryskich czy lipskich; Żyd-księgarz z opowiadania Syrokomli ani Meir Ezofowicz Orzeszkowej nie widnieli wśród antenatów Gitmana. W tym pochodzeniu i w tej złej polszczyźnie tkwiły ukryte, niezgrabnie skrywane cierpienia suwalskiego antykwarza.

Gitman był to istotnie „taki prosty, zupełnie prosty Żyd”. Był to po prostu — co tu będziemy ukrywać — pospolity litwak, z pospolitej litwackiej rodziny, jakich tysiące i dziesiątki tysięcy napłynęło gdzieś z głębi Rosji w drugiej połowie tamtego stulecia, przynosząc ze sobą niepokój, niepewność, zastraszenie, brud, nędzę, jakiś żargon dla nikogo nie zrozumiały, podszyty jakimiś słowami aż chyba tatarskimi, namokły mową rosyjską, nie tą śpiewną, dźwięczną, Puszkiniowską, ale jakby scherlają, poprzekręcaną, wyinaczoną, odartą z tego wszystkiego, co w tej mowie jest tak szumne. Et, co tu wiele gadać. Gitman wyszedł z rodziny, która, od jednej generacji za ledwie siedząc w tym kraju, zgoła nim nie nasiąkla. Git-

manowie byli to zwykli sobie zjadacze chleba, którzy ledwo się byli wygramolili z ciężkiej żydowskiej nędzy, poniewierki, zagłodzenia, którzy stali z daleka od światłości rabinackich, którzy niczego nie przywlekli z sobą z tej Rosji dalekiej i dla których ten kraj tutaj, ze swoją pańską polskością i zachodnimi nalotami, był jeszcze jedną obcością na bezkresnych drogach tułaczek. Gitmanowie to byli ludzie najpospoliciej przyziemni. Wiedzieli nie tylko, jakie są, ale nawet i jakie będą (i to gdzie i kiedy) ceny drzewa. Wiedzieli, jaki wpływ na tę cenę będzie miała okoliczność, że w Mostach spłonęły tartaki braci Konopackich, że rząd powiększył budżet Lasów Państwowych, że w Hiszpanii jest wojna, że fabryki mebli w Glasgowie zastrajkowały po odejściu Balfoura. Wszystko to miało taki czy inny wpływ na rzecz najważniejszą dla dynastii Gitmanów, to znaczy na ceny drzewa, i wszystko to oni wiedzieli dobrze. Ale poza tym nie interesowało ich nic. Nigdy nic. Nie interesowała ich daleka Palestyna ani bliski Bund, nie interesował ich Żabotyński, choć miał odczyt w Grodnie — a policja i Wydział Bezpieczeństwa powiedzieliby nam, jak bardzo nie interesował ich komunizm, choć komunizm od biedy mógł przecież wpłynąć i na ceny drzewa. Natomiast mieli pełno wiadomości przyrodniczych odnoszących się do właściwości olchy, czeczotki, wiązu, wiedzieli, jaki materiał jest najlepszy w lasach albertyńskich, a jaki w świstockiej puszczy i o ile poważnym zagadnieniem jest pojawienie się kornika nad Rudzianką lub jaki gatunek olch nadaje się najlepiej do konstrukcji samolotowych z Białej Podlaskiej. W tym tkwili. Poza to wszystko nie wyścibiali nosa. Byli zresztą jeszcze tacy biedni! Ojciec Gitmanów podobno zagłodził się w harówce leśnej. Synowie, doszedłszy nawet do jakiej takiej zamożności, jeszcze dyszeli ciężko biedą poprzednich pokoleń.

Otóż z tej generacji Lazar Gitman może się wyrodzić.

ale przecież do niej należał. Jego język był tak potworny, tak zanieczyszczony wszelkimi naleciałościami, tak pokracyjny i dziwaczny, że chwilami trudno było uwierzyć, iż tym językiem można mówić o baroku i o palimpsestach, o porcelanie koreckiej Mezera i o tkaninach Selimanowskich. A przecież tym właśnie kostropatym, strasliwym językiem mówił o tym wszystkim Lazar Gitman, mówił jak profesor uniwersytetu, mówił z wiedzą, z miłością. Co tam miłością: pasją! „On potrafi się trząść, gdy o tym mówi” — zauważył ktoś i to było prawdą. Pasję, którą jego krewniacy mieli do spekulacji, on przeniósł na to. Jak do tego doszedł? Pozostało to dla mnie tajemnicą.

* Niedługo po opublikowaniu w londyńskiej „Nowej Polsce” niniejszego opowiadania. otrzymałem list, którego ważniejsze ustępy przytaczam. Rzucają one pewne nowe światło na bohatera mego wspomnienia. Oto bowiem, co pisze nie znana mi bliżej pani Maria Białopiotrowiczowa:

„...w swym wspomnieniu o błp. Lazarze Gitmanie pisze Pan, że nie udało Mu się wy badać, w jaki sposób stało się, iż syn niemal nie spolszczonej i pozbawionej zainteresowań kulturalnych rodziny żydowskiej z kresów potrafił stać się takim dziwakiem polskości?

Przypadkiem złożyło się, że mogę dorzucić tu parę objaśnień: Śp. mój ojciec był właścicielem niewielkiego majątku ziemskiego. Rohaczowszczyzna pod Skidlem. Znal on dobrze Gitmana; ja zaś sama pamiętam go z dzieciństwa, coś koło 1920 roku. Pamiętam też opowiadania mego ojca o nim. Gitman Lazar był najmłodszym (z czterech, a nie, jak pan napisał, z trzech) z synów swego ojca, Nuchema, kupca, który istotnie dorobił się nieco na handlu drzewem. Najdłużej też siedział przy ojcu. Stary Nuchem jeździł do bankrutujących majątków skupować lasy i drzewo po dogodnej cenie. Trafiał wtedy na licytacje i skupował za bezcen inwentarz ruchomy itd. Potem starał się odsprzedać to drożej. Parę rzeczy odkupił od niego śp. Roman Skirmunt z Porzecza (kuzyn późniejszego ambasadora w Londynie), niezmiernej szlachetności człowiek i wielki miłośnik krajowych zabytków naszych. Jeśli znał Pan Skirmuntów, to musiał Pan wiedzieć, że byli to panowie wielkich przystępności. Otóż z tego, co mój ojciec opowiadał mi o początkach Lazara, a co ten miał mówić memu ojcu, wynikałoby, że pierwszym człowiekiem, który w młodym Lazarze rozbudził pęd do polskich zabytków, był śp. Roman Skirmunt. Lazar zrazu dla niego zbierał i skupował zagubione na prowincji polskie rzeczy. Potem robił to dla siebie. Utrwaliło się to zwłaszcza w burzliwych latach 1916—1920. Wiele dworów było zrujnowanych, wiele się wyprzedawało, kościoły i synagogi uległy pożodze wojennej. Lazar niestrudzenie uwijał się wtedy po kraju, skupował, co się dało i — gromadził.

Czy się na tym dorobił? Trudno powiedzieć. Żył prawie jak nędzarz, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Mógł chować. Było prawdą, że posiadał u siebie rzeczy bardzo cenne. Podejrzewano, że posiada ukryte jeszcze cenniejsze. Ale sprzedawał sam mało, stosunkowo mało, i to niewątpliwie mniej dobre, mniej cenne rzeczy. W mym pojęciu musiał zrobić parokrotnie to, co antykwarze określali wtedy „dobry kusz”, to znaczy kupić coś tanio, a sprzedać z dwunastokrotnym zyskiem, i wszystko, co na tym zarobił, pakował potem w nowe, nieproduktywne zakupy. Bracia, którzy zrazu uważali go za rodzinnego „myszuga”, powoli zmieniali swe zdanie. Sami dorobili się już nieco: pieniądze nie robiły już na nich tak olśniewającego wrażenia. Do kultury jeszcze nie doszli, ale jej istnienie zwolna poczynali przeczuwać, jak istnienie jakiegoś świata, którego krąg zakłęty otwiera się przed oczyma ludzkimi, gdy te nasycą się już pieniądzem. Lazar był pierwszą w ów świat wysuniętą rodową czujką. Potrzebny był dla rodu i taki Lazar. Obiło im się o uszy, że cenią go i znają jakieś obce wielkości z jakichś obcych im światów: to było dobre. Wreszcie był nieżonaty i to wszystko, co uzbiera, przejdzie przecież kiedyś na ich dzieci; nie jest to wprawdzie drzewo ani las, ale coś to jednak jest.

Miał Pan rację pisząc dość krytycznie o wykształceniu i polszczyźnie tego Gitmana. Nie uwzględnił Pan jednak — przypuszczam, że nie znał Pan — pewnego faktu. Oto ilekroć w ręce Lazara wpadł jakiś przedmiot, tylekroć zaczynał on dokładne lektury odnoszące się do tego przedmiotu. Jeśli przedmiotem była porcelana — czytał o porcelanie, jeśli pasy — o pasach, jeśli zbroja — o zbrojach. W rezultacie nabył w ten sposób wcale pokaźny zasób wiadomości, acz dalekich od uniwersyteckiego usystematyzowania. Już to nie jeden taki kresowy handlarz antykami wiedział więcej niż dyplomowany docent krakowski.

Posyłam Panu te wyjaśnienia, gdyż sądzę, że uzupełnią one pewnymi szczegółami to, czego Pan nie wiedział. Może zechce Pan, zachęcony tym opowiadaniem, utrwalić i przekazać pamięci ludzkiej także i inne zasłużone postaci tamtych czasów, warstw i stron!

Łącząc wyrazy szacunku

Maria z Kulwieciów Białopiotrowiczowa
(37, Maresfield Gdns., Glasgow)

Że coś to jednak jest, o tym przekonałem się na własne oczy we wrześniu następnego roku. Spędziłem właśnie dwa tygodnie nad Jeziorami Augustowskimi. Było ciepło i ciemna ściana lasu przeglądała się w ucichłym jeziorze. Piasek, biały ogromnie, przeświecał przez wody zielone i białe ostrza żagli krajały jasność. Sieci rybackie suszyły się u naszych okien, a łodzie śmierdziały dziegciem i rybą. (Słusznie kochał tak te strony kapitan Kirkor.) W drodze powrotnej zawadziłem o Suwałki: Lazar był w domu. Okazało się, że to, co widziałem kiedyś przez okno jego zamkniętego sklepu, było tylko rodzajem przedpokoju, jakby urządzonego dla odstręczenia ludzi. Ale zaraz za tym pokojem był drugi, już lepszy. Z tego drugiego szły wąskie schody na pięterko i tam już było wszystko. Były książki i meble, tkaniny i porcelana, obrazy i sztychy. Były karabele, od najskromniejszych, pewno na rapciach ze sznurka noszonych, do najozdobniejszych, oprawnych w jaszczur, z głowicami obsypanymi pozieleniałym turkusem, ze złotymi napisami na stali. Jedna, pamiętam, należała ongi do Wiśniowieckiego (ale nie Jaremy, tylko do jego bratanka, hetmana litewskiego, księcia Dymitra). Na półce leżały jakieś prawosławne homilie tłoczone cyrylicą w Ostrogu, kiedy jeszcze Moskwa drukarni nie miała. Były książki i rzadkie druki z kacerskich drukarni w Słucku. Były stare szkła polskie z Tyzenhauzowskiej Horodnicy z Radziwiłłowskimi trąbami i monogramem Panie Kochanku. Był album w skórę ze złoceniami oprawny, francuski, z miniaturowymi mapami: ofiarowała go, jak napis wewnętrzny głosił, Warszawa Napoleonowi, gdy w czerwcu 1812 roku wyruszał z tego miasta szlakiem na Berezynę...

I wreszcie był zegar. Ach, prawda, zegar!

Zegar był wysoki, szafkowy, podobny do angielskich czy niemieckich. Taki do stawiania w rogu sali. Był tylko zagadkowo pomalowany na spłowiały zielony kolor:

w drzwiczkach miał malowaną scenę jakiejś wiwatującej szlachty. Była bardzo bacciarellowska.

— Niech pan zobaczy napis — powiedział Gitman.

Odczytałem:

„Karol Topolski, Wołczyn.” Wołczyn Czartoryskich, Wołczyn — miejsce urodzenia Stanisława Augusta. (Właśnie go byli tam nocą pogrzebali.)

— A niech pan zajrzy do werku — mówił Gitman.

Wszedłem po nim na schodki, zajrzałem do werku. Na stali był drugi napis: „St. Pétersbourg” i data: „1797”. Musiał mnie Gitman objaśnić, że Topolski po upadku Czartoryskich z Wołczyna pojechał nad Nową i tam dla wygnanego króla robił jeszcze ten zegar. Malowidło na drzewie przyszło z Warszawy: ta wiwatująca, polonezowa szlachta.

— A muzyka, chce pan posłuchać muzyki? — mówił Gitman i otworzył górne drzwiczki. Coś tam posunął, coś pociągnął i naraz odezwały się delikatne jak uderzenia mikroskopijnych młoteczków tony. Zrazu rozbieżne, nieśmiałe, osobne, jakby czekające jedne na drugie, potem zbiegały się naraz. Tyraliera dźwięków. Nim jeszcze się zbiegły w melodię, stary Gitman swym złym litwackim językiem począł podśpiewywać:

Witaj, majowa juczenko,
Świeć naszym polskiej kraini,
uczczymy ciebie piosenko
pszy hulankie i pszy wini.
Witaj maj, czeci maj,
U Paljaków błogi raaaaj...

— Widzi pan, co sobie król kazał malować, kiedy w Pietiersburgie życie kończał? Widzi pan, widzi: i takiego króla one nie chcą teraz jak króla pochować — jak psa — jak dziada — po nocy — one — myśli pan, że one wienycej od niego warte — myśli pan, że one lepszy, to

jego tak chco pochować za to, że kultura, że oświezczenie, że z ty ćmy, tfy! Tfy! — rzucał ze złością. I nigdy nie zapomnę tej sceny w półmroku suwalskiego antykwarriatu, wśród komód gdańskich, porcelan polskich i karabel, z owym Żydem miotającym się w pasji nad poniżeniem królewskim i z owym cichym, drżącym od starości a wyrazistym tonem polonezowego trzeciomajowego kuranta...

*

Znowu rwą się wspomnienia o Lazarze Gitmanie i odmotywują się dopiero o miesiąc chyba później. Może i o dwa. Osiedliśmy na stałe w Warszawie i przyszedłem późno na obiad. Okazało się, że jest pan Gitman. Jeść nie chciał, że nie głodny; herbaty? — tak, „czaju” napije się. Piliśmy zatem wszyscy „czaj”. Pytałem pana Gitmana o Warszawę, wrażenia, interesy. Interesy? — tak, niezłe, przywiózł właśnie do Abe Gutnajera sześć petersburskich gardnerów, nie takich najstarszych, no nie, ale jednak wczesnokatarzyńskich. („Pan wie, gardnery: stara porcelana rosyjska” — upewnił się.) Owszem, dobrze za to dostał: rozumie pan sam — gardnery. No i dla ambasadrowej francuskiej takie biureczko małe, cy cy cy, ile w nim szuflad i schowków. Robota będzie pruska. — Ale widać było, że to wszystko nie bardzo go zajmuje, i w pół zdania, przechyliwszy się do mnie, gdy żona wyszła zrobić jeszcze herbaty, powiedział naraz:

— Pan wie, gdzie ja był? Gdzie ja właśnie teraz, teraz był? Skąd ja tu wprost przyszedł? Ja panu powiem: w muzjeji. Ja był w Narodnom, Narodowom Muzjeji.

Mieszkaliśmy na Saskiej Kępie, a pan Gitman, w Suwałkach tramwajów nie zwyczajny, szedł sobie z Jerozolimskiej piechotą. W pewnym momencie zaciekał go po prawej ręce wielki, biały, dziwacznych kształtów gmach. — Myślę ja — kazna czy kazarma jaka, no i nie kazna, i nie kazarma: muzjeji. Nowy muzjeji.

— Muzeum. Muzeum Narodowe.

— O, o! Muzzeum Narodowe. Ślicznie dziękuję.

Okazało się, że wprowadzie fakt istnienia takich instytucji był znany panu Gitmanowi jak też i ich zadanie, natomiast w życiu swym nie był jeszcze w żadnym muzeum. Wszedł nie bardzo pewny, czy go wpuszczą. Wpuścili. W rezultacie Gitman, zamiast przyjść do nas rano, przyszedł późno w obiadową porę. Przyszedł niesłychanie podniecony. Kiedy opowiadał, miał teraz jeszcze wypieki. Opowiadał przewlekle, z detalami, jakby wyrzucał z siebie ciężący mu natłok wrażeń, jakby musiał się nimi koniecznie z kimś podzielić. Opowiadał swym pokracczym językiem, ale to, co mówił, nie było wcale pokraccze. Jego sądy, o malarstwie zwłaszcza, były trafne, właściwe, znamionowało je prawdziwe znanstwo, takie właśnie, jakie na przekór wyuczonym historykom sztuki mają urodzeni antykwariusze. Wreszcie wyrzucił z siebie wszystko i uspokoił się, jak gruźlik po długim ataku kaszlu. Coś w nim jeszcze zostało, bo zaraz zapytał:

— Proszę pana, a kto to był taki — doktor Jan Popławski?

Zupełnie przypadkowo wiedziałem, kto to był doktor Jan Popławski: znałem bowiem dość dobrze jego syna. Wiedziałem też, dlaczego z Muzeum Narodowego rozmowa zeszła na doktora Popławskiego. Pokrótce objaśniłem rzecz Gitmanowi. Doktor Popławski był w ostatnim ćwierćwieczu przed 1914 — może nawet nieco więcej niż w ćwierćwieczu — jednym z najbardziej wziętych lekarzy w Moskwie. Należał do tych dość licznych Polaków, co za panowania dwóch ostatnich carów poszli z własnej woli pracować w Rosji i zrobili znaczny majątek. Doktor Popławski był tam jednym z najbardziej cenionych lekarzy swego czasu. Leczył wielkich książąt, żony wielkich książąt i kochanki wielkich książąt, leczył koniakową dynastię Szustowów i króla stali Putiłowa, leczył wielkich

cukrowników i magnatów, kupców ryb i założycieli pługarni złota na Lenie, Pokrowskich, Szeremietiewów, rewolucjonistki-gruźliczki i studentów, za którymi chodziły socjalizm, nędza i policja. Mało ludzi pamięta Moskwę owych czasów, ale kto ją pamięta, ten pamięta i sylwetkę polskiego lekarza. Otóż Jan Popławski miał jedną w życiu słabość: zbierał dzieła sztuki. Głównie malarstwo, i to raczej wczesne włoskie i flamandzkie. Rokrocznie spędzał kilka tygodni za granicą, utrzymywał stały kontakt z antykwariatami i handlarzami dzieł sztuki, odbierał telegraficzne zawiadomienia o tym, gdzie jest do nabycia Poussin i kto chce się wyzbyć swego Verrocchia, i jaki Boucher pojawił się w wyprzedazy. Duży dom na Sadowej upodobił się z biegiem lat do muzeum. W 1917 roku rewolucja uszanowała starego doktora, zezwolono mu na wywóz wszystkich skarbów, po czym większość z nich znalazła się w Muzeum Narodowym, w salach „imienia doktora Jana Popławskiego”. Taka jest oto historia jednej z najpiękniejszych, najbardziej europejskich części wielkiego muzeum.

Gitman kiwał głową z zadziwieniem:

— Cy cy cy, to on takie skarby pozbiarał: jeden człowiek w jednym tylko życiu. To żaden hrabia, żaden pan książę. Słuczajny sobie ot doktor.

— Doktor.

— I tablicę mu dali: „z daru doktora Jana Popławskiego”. Familię jego dali. Że tak to i tak to. Dał. Doktor Popławski. Cy cy cy. I to już zostanie tak, prawda? Póki tego muzjeji.

— Póki tego muzeum.

— Póki tego muzeum. Cy cy cy. Że mu tablice dali. Nie hrabia żaden, nie gubernator, nie marszał. Żeby jeszcze episkop. Nie episkop. Doktor. Tablicę dali. Popławski. Co to za taka famielia, Popławski? Ja nie mówię, że nie, ale żeby tablicę w muzjeji dawać? Dali. No, pewno, dok-

tor. Wielki doktor. W Moskwie. Moskwa bolszój gorod. Powiedział, że z Moskwy, tak a tak, to dali. Może i zapłacił...

Wzruszyłem ramionami:

— Co też pan myśli, panie Gitman: zapłacił, Moskwa. Obrazy dał, to grunt. Dzieła sztuki. Sam pan widział, jakie. Obrazy dał. Prosta odpowiedź. Mógł być z Moskwy, nie z Moskwy, a choćby był i z Wołkowyska. Mógł być z Kaczego Dołu i sprzedawać śledzie. Gdyby dał takie obrazy, daliby. Mógłby być...

— Żydowi by nie dali.

— Panie Gitman, mówi pan doprawdy...! Ale pan nie wie. Muzeum Narodowym jeszcze nie rządzi Falanga. Widział pan — są rzeczy z daru Kronenberga, Wawelbergów, Bersonów, Rotwandów...

— Iii... Bersonów, Bersonów. Co to za takie Żydzi; to już takie Żydzi, że stajnie wyścigowe mają... Oni już dawno zapomnieli, kiedy śledzie jedli...

— Oj, panie Lazar! Co ja mam panu powiedzieć? Mówię panu, jak jest. Może pan pójść do muzeum się popytać. Chce pan się przekonać, niech pan swoje pasy słuckie ofiaruje do muzeum. Albo tę karabelę po Wiśniowickim... Niech się pan nie boi, wezmą, wezmą, jeszcze w gazetce napiszą, a tabliczkę z Lazarem Gitmanem umieszczą...

— Sieroznie pan to mówi?

— A niech pan spróbuje!

— Ale sali, sali to by już nie dali?

— Jakiej znowu sali?

— Sali. Całkiem osobnej sali. Jak temu doktorowi z Moskwy.

Brakło mi cierpliwości:

— Nie wierzy pan? Zaraz się dowiemy!

I podniosłem słuchawkę telefonu.

Stary przyjaciel mych krewnych, śp. Brokl, jeden z ku-

stosów zbiorów państwowych był na szczęście w domu i chętnie udzielił wszelkich informacji. Sprawa była oczywiście najzupełniej prosta. (Zadzwoiłem potem do niego po raz drugi, tłumacząc mu, dlaczego tak forsowałem moje głupie pytania.) Telefon ostatecznie przekonał Gitmana. Prowadziłem rozmowę tak, by mógł sobie dośpiewywać odpowiedzi, jakie padały z tamtej strony słuchawki. Było to jednak zbędne. Magiczny czarny aparat wydający tajemniczy brzęk, z cyframi nakręcanymi po kolei, z jakąś niewidoczną, a jednak na dnie czarnej muszli słuchawki wyczuwalną obecnością, wszystko to podziałało wstrząsająco na suwalskiego antykwariusza. Ha, Warszawa była Warszawą. Cywilizacja. Odkładając słuchawkę powiedziałem:

— No widzi pan. Szoruj pan po swoje zbiory, dostaniesz salę. Sala Lazara Gitmana jak ułał. Mur. Co panu... co panu jest?

Gitman wstał. Jego głowa, schylona, wciśnięta w bar-ki, wyprostowała się nagle tym ruchem nerwowej dumy, jaką mają czasem Żydzi i która wywodzi się może z owych całych żywotów przeżytych w zgięciu pokory. Oczy Gitmana rozjarzyły się nagle, zamigotały. Były w nich niespodziane łzy.

— Tak jest! Tak będzie! Będzie sala Gitmana! Sala Lazara Gitmana! Sala Lazara Gitmana z Suwałk! Pan jeszcze nie wie, co ja mam! Pan nie widział wszystkiego, co u mnie jest. Pan nie wie, co u mnie może być. Co u mnie będzie! Tak. Będzie sala starożytności polskich, sala Lazara Gitmana z Suwałk!

Wtedy dopiero zrozumiałem, czemu tak go trapił ów doktor Jan Popławski.

W niespełna rok później wojna otworzyła się nad światem i potem stało się to wszystko i znikąd na Zachodzie

nie było mniej wieści jak z owego matecznika wokoło sennych Augustowskich Jezior. Nigdy żaden komunikat nie wymienił nazwy „Suwałki” i nigdy żaden emisariusz nie zawadził o tamte strony. Potem byłem w Anglii, a potem buchnęła, nadzieje budząca, druga wojna, na wschodzie, i ziemia tętniła nowym pochodem niemieckim, a potem znalazłem się w Rosji i czasem były wieści o ziemiach wokoło Suwałk, ale nie było ich wiele. Potem, chory na tyfus, wyjechałem do Persji i było lato 1942, i niezmiernie blade niebieskie niebo, i jasna żółtość skał, i gwar irańskich ulic, i pełno, pełno Polaków, polskiej nędzy wyciekającej ludzkimi strupami, i było się jakby na jakimś tamtym świecie, gdzie naraz rozpoznaje się w ciżbie ludzi z dawna uważanych za zmarłych. Przyjechał profesor Kot i zamieszkał w niewielkim pałacyku, w którym mieściło się poselstwo polskie przy dworze szachów Iranu, i dom był teraz stale oblegany przez uchodźców, cisnących się pod flagę Rzeczypospolitej.

Rano powitano mnie nowym kawałem:

— Już się i o panu zwiedzieli. Tu o ósmej przyszedł taki Żyd, który — oczywiście — zaraz do „profesora”. Woźny mu mówi: „Pana ambasadora.” A on mówi: „Nu, niech będzie pana ambasadora.” Ma pan demokrację! A o pana pytał także...

— Jakże się nazywa?

— Jak się nazywa? Michale, jak się ten Żyd nazywa? Niechże Michał się dowie. Gutman? Gitman?

— Gitman!!!

Gitman to był teraz nie tylko Łazar Gitman. To był cały świat narosły wspomnieniami dookoła tej postaci cheralawej, przygarbionej, po prawdzie brudnej, to był cały świat ludzi nie żyjących czy rozproszonych, stron, których się już nie zobaczy, domów, miast, wsi, z których nie pozostało śladu, czasów, które w błoto dróg dziejowych wdeptały gąsienice czołgu historii. Gitman, Gitman!

Istotnie, pod kolumnami podjazdu wygrzewał się w słońcu irańskiego lipca Lazar Gitman, posiwiały, wyschły, mrużący oczy od słońca tego czy od rzeczy, które przyszły. Lazar Gitman.

— To pan żyje, panie Lazarze! Jak się pan tu dostał?

Pan Lazar wzruszył ramionami:

— Jak się miałem dostać! Zwyczajnie się dostałem. Jak wszystkie my, Paljaki.

Był postarzały wojną, ucieczką, czasem, głodami wygnańczymi, drogą. Krótkimi zdaniem opowiadał swe dzieje — istotnie takie jak tam wszystkich. On wiedział, że jestem w Kujbyszewie, i wiedział, że jest „profesor”, i nawet się zebrał napisać i przyjechać, ale potem był „eszełon” do Taszkientu i Ałma-Aty, i Samarkandy, to on pojechał, bo on wiedział, że tam w Samarkandzie albo Taszkientie będą dywany. Jak te w dawnej Polsce. Siedemnasty wiek...

— Co takiego?

— Siedemnasty wiek. Późny siedemnasty, ale pan wie, te późny siedemnasty to te najlepsze...

Pokiwałem głową:

— Panie Gitman! Z pana wielkie, stare dziecko. Świat się wali, a pan dywanów szuka!

— Co jest, co? — oburzył się Gitman. — Taszkient! Samarkanda! Czy pan myśli, że ja myślał, że będę miał kiedyś taką szaloną okazję? Taka szalona okazja — powtórzył, jakby delektując się polskością tego zwrotu.

Wojna bowiem nie wpłynęła bynajmniej na polepszenie polszczyzny pana Gitmana. Opowiadał mi dokładnie, jakie „kowry” gdzie zebrał i jak potem był w Jungi Julu „bolny sypnym tyfom”, i jak omal nie „kończył”. Ale „kowry” przywiózł. Aj, co to za „kowry”! I ma też polskie „starinne knigi”. Jedną taką, której „profesor” będzie rad. To mało powiedzieć: będzie rad. On ze skóry wysko-

czy, jak mu pan powie. Niech mu pan tylko to jedno powie: Czechowicz. Marcina Czechowicza z Łoska, z drukarni Kiszewskiej, tej samej, *Trzech dni rozmowa o dzieciokrzczeniu*, a z nią, na końcu, *Rozsądek tego, co o zwierchnictwie trzymamy i wierzymy*. Chy! On nie skoczy? Niech mu pan tylko powie: Czechowicz. To jedno: Czechowicz.

— Panie profesorze! Jest Gitman i ma dla pana jakiś druk Czechowicza z Łoska.

— Co pan mówi? Gdzie? Niech tu zaraz przyjdzie!

I w reprezentacyjnej jadalni poselstwa zjawił się posiołkowy obdartus. Nie, profesorscy stanowczo nie nadają się do reprezentacji. Siedzieli tak we dwójkę za stołem, przy mahoniach, porcelanie i srebrze. Profesor gładził oprawę starej, małej książeczki, książczynki, rzecz można, tłoczony w tym zapomnianym Łosku, w czasach, kiedy szła ona w świat dając świadectwo kulturze narodowej i wolności polskiej. Gitman wysunął rękę wyschlą i starą jak karty tej niewielkiej książki i wskazywał jej druk — drobniutką, gęsto bitą szwabachę, dopiski i kapitaliki, chociaż przy błędach druku, ale niebawem ścichł także i tak obaj byli nachyleni nad tą książką, wyrzuconą falami wojny z odmetów historii. Było coś w powietrzu, co skubało tych ludzi milczeniem, a pozostało niedostrzegalne i obce dla tamtych ludzi wokół, którym Rzeczpospolita zleciła swą reprezentację.

Później na przedmieściu Teheranu u ormiańskiego kupca widziałem Gitmanowe dywany. Zeszliśmy się tam, pamiętam, z profesorem księdzem Kantakiem, a także z Józefem Czapskim, malarzem, gdy swar dnia się kończył i w noc perską budził się rynek opleciony wokoło moszei. Miałem już odlatywać na drugi dzień, oni mieli odjeżdżać niebawem. Dywany Gitmanowe — owe „kowry” — były, jak jeszcze jedna baśń Szeherazady, przetykane jedwabiem i wełną. Gitman gładził je, gładził, przeklinał swój

niefortunny „tyf”. Miałby więcej takich! Zaryzykowałem zapytanie:

— A co tamte, suwalskie pana skarby?

Gitman uśmiechnął się tylko:

— Pan się bał mnie pytać? Pan niech się nic nie boi! Gitler się do nich nie dostanie. Nastanie ten dzień, gdy one zawisną w Narodowym Muzeum...

Przymrużył oczy:

— Widzi pan, jak mnie było tak źle, tak źle, to przy mnie ludzie leżeli na pryczy i gadali, jak to będzie, kiedy wojna się skończy. Gitlera psa powieszko, powiesi go jeden Żyd złodziej (bo dobrego Żyda szkoda na tu robote), i jak polskie wojsko będzie marszowało tym placem Saskim i to Warszawo i Sikorski gienierał... Wszyscy wiedzieli, że tak będzie, ale nie wiedzieli one, co będzie jeszcze... ja jeden wiedział, co będzie jeszcze w ten dzień... w ten dzień będzie tak, że pójdą do muzeum patrzeć, a tu muzeum ni ma, bo Niemcy ukradli i sprzydali do Ameryki... a tu patrz... muzeum jest i w muzeum co?... sala Lazara Gitmana... a co w sale Lazara Gitmana jest?... wszystko jest... mapy Napoleona jest... szable Wiszniowieckiego jest... zegary króla jest... porcyłany lebidinnoje ministra Brühla jest... cy cy... a kto? Lazar Gitman wsio. Wsio Lazar Gitman! I złodziei Niemcy nie znaleźli... nie wiedzieli nawet... i wszyscy się dziwio... i sam gienierał Sikorski się dziwi... a najwięcej się dziwi, gdy ja mu dam szable na tyn dzień... jako szable?... polsko szable!... persko... ja jusz wiem, gdzie ona jest... a wie pan, po kim ona, ta szabla... po Gitmanie?... hii... po samym królu Batorym...

Po czym zaczął tłumaczyć tym językiem, którego nigdy nie odtworzę, jak jeszcze w Polsce, w Wilnie, natrafił gdzieś na opis poselstwa perskiego do Krakowa. Poselstwo perskie było wysłane do Batoroego, wojennego króla, i przyniosło mu w darze kutą perską szablę. W zamian za

to Batory ofiarował poselstwu dla szacha swoją własną szablę, batorówkę, tę właśnie, którą wniósł do Polski i po której potem moda poszła. Tak się zamienili szablami, król z szachem. Fakt, pamiętam, był dosyć znany. W skarbcu wawelskim zachowała się nawet ta karabela Batorego z adnotacją, że była darem perskiego szacha. Ale dopiero Gitman się zatroszczył, co się stało z tą szablą, autentyczną Batorego, którą otrzymał szach perski.

— Czto s nieju słuciłóś — rozumował logicznie. — Ja dumał: może byt' czto Piersidi, kotoryje wiezli, ukrali. No, dumaju: oni nie ukrali. Oni stranno bojaliś szacha. Ja ich rozumiem. On ich strogo dierzał za mordu. Tak czto mogłoby słuczitsa? Ja dumał: Czto szach mog dziełať? Czto on mog dziełať? Swojo sobstwiennoje oruże on imieł. Tak czto on dziełať? On gdie to sochronił. Wied' eto był paczotnyj dar korola! Gdie on sochronił? Ja dumał: w Ispahanie. No, jejo tam niet. Ja dumał. No i ja tiepier znaju, gdie ona nachoditsia! W Mieszchiedie. Toczno w Mieszchiedie! Potomu mnie nado w Mieszchied. Poniatno.

Zniżył głos:

— Tolko wy nikomu nie goworitie. Nie mówcie nic. Mogą się dowiedzieć Amerykanie — ja wim? Może gienierał Andiers? On sam by oczeń lubieł imieť szablju Batorawo! On Sikorskiemu zawistnik. No kuda jemu do Batorowo, szto! Wy nikomu nie goworitie!

Raz jeszcze zmrużył oczy:

— ...Mieszchied... Ja znaju Mieszchied... Ja tam nie był, no ja znaju... Starinnyj piersidskij gorod... Ichnoj Krakow... Wilno... Starina... Czto Tiegieran! Niczto... Mieszchied... tam staryj zamek... moszeji... moszeji... pewno będzie w jakiej moszeji... szabla Batorego... szabla... karabela... ot, przyjedzie Sikorski na Bliski Wschód. tu do wojska, popatrzeć, co się z nim wyrabia, przyjedzie, a ja mu: „Panie generale, karabela Batorego. Niech pana

zaprowadzi. Szczęśliwie. Do Warszawy...” Meszchied, Meszchied...

Podniósł głos:

— Profesor dobry człowiek, mówił mi wczoraj: „Co pan tu ma siedzieć, panie Gitman. Ja tak zrobię, że panu dadzą wizę do Palestyny. Nie ma pan tam krewnych? Odżywią pana. Wypocznie pan. Na Karmelu są kurorty.” No, co ja miałem powiedzieć? Powiedziałem ja: „Panie profesorze, panie ambasadorze, co mi po Palestynie? Dla mnie Palestyna to Suwałki, Jordan — to Niemen. Moja Jerozolima — ona od dawna jest w Krakowie. Palestyna? Jakie tam są polskie rzeczy? Żadne. Persja? O, tu się zawsze znajdzie! Ja tu już zostanę w Iranie, poka gienierał Sikorski z panem ambasadorem nie wrócą do Warszawy.” Profesor, on śmiał się. „Jak pan chce — powiedział — ale tu niepewnie, wojsko wyjdzie, już były na prowincji rozruchy...” To co? Ja, Żyd, rozruchów nie widział?

Dwa dni potem, wcześniej rano, musiałem jechać na lotnisko, duże lotnisko teherańskie, wojskowe, zmiatane piaskiem. Siekł wiatr ostry i staroperskie postacie cherubów u wjazdu wyglądały jak wydobyte z muzeum, przed bramą wyrósł żołnierz sowiecki z długim bagnetem na karabinie, potem ktoś wołał po angielsku, potem był samolot, i widać było z samolotu, jak stoi Irenka w kłębach tego żółtego piasku, którym miotał wiatr powstały od ruchu śmigieł, a obok Irenki zasłaniał sobie oczy czarny, chudy Lazar, jakby gnący się na tym pustynnym wietrze, naciskający niezdarnie czapkę na posiwiałe włosy. Samolot ruszył, przetaczał się przez lotnisko i myślałem wtedy, że to jest odjazd, a także, że widzę po raz ostatni Lazara i Irenę i że znowu taki jeden rok życia zaciera się za mną w tym kurzu. Ale miał jeszcze nadejść epilog.

Epilog był rzeczywiście pogrzebny i taki, jaki być powinien.

Był to lipiec, w rok później, lipiec 1943 roku. Wpusz-

czano za zaproszeniami do wielkiej, wojskiem obstawionej katedry katolickiej Londynu i była ona cała w krepie, zieleni i polskich barwach, a na froncie stał wysoki katafalk, też tymi barwami polskimi cały przesłonięty. Z czapką generalską polską na wierzchu i błękitną wstęgą pośmiertnego Orła Białego, ten katafalk Sikorskiego wydzwignął się tak wysoko w świątyni, że nam klęczącym zasłaniał sobą ołtarz, resztę kościoła, witraże. W tej chwili zasłaniał sobą nawet coś więcej: świat.

Usiadłem na moim miejscu. Nabożeństwo jeszcze się nie zaczęło. Wciąż słyhać było od wejścia podjeżdżające auta, wciąż wchodzili jacyś ludzie, dygnitarze, wpuszczani osobnym wejściem, w czerni albo w krasie orderów, siwi, młodzi, panie, jakieś oczy splakane do czerwoności, jakieś postawy butne. Ludzie, co wczoraj jeszcze pisali o Sikorskim, że ten człowiek winien pójść precz, dziś są na nabożeństwie za niego, jutro już się będą nań zaklinali. Widziałem, jak wchodzili teraz. Przyjaciele, wrogowie, zawistni, obcy, konkurenci, ciekawi. Wszyscy wciekali kropkami ludzkimi w tę otchłań katedry i jeden po drugim roztopiali się w tym jeziorze głów. Miejsce po mej lewej stronie zajął jakiś pułkownik, który przeciągał się i ziewał. Potem utkwiał we mnie zdumione oczy i z odcieniem zapytania wypowiedział moje nazwisko. Po czym sam przypomniał się. Powiedział, że ma mi coś do powiedzenia. Że umarł jeden mój znajomy, Lazar Gitman. To mi kazał powiedzieć ktoś z Bliskiego Wschodu. Bo on właśnie stamtąd przyleciał —

Wiadomość ta zagubiła mi się zrazu w szumie wchodzących ludzi, w dusznocie wieńców, w *requiem* organów, w czerni, świetle i w tym mroku, który naraz nasze ciemności uczynił dnia tego jeszcze bardziej mrocznymi. Ale kiedy trumna Generała chwiała się w przechodzie z katedry, płynąc ponad głowami nie ludzkim już szlakiem,

i gdzieś w górze zajaśniała ta generalska czapka i szabla oficerska, zwłaszcza szabla, to naraz znowu wynurzył mi się z tego wszystkiego ów jeden tylko, ludziom nie znany, Żyd, dziwak, odrodek, zakochany w polskich starożytnościach jednym z tych niewytłumaczalnych, najdziwniejszych uczuć, które są zawsze miarą i znakiem polskości. Pułkownik z Bliskiego Wschodu dreptał dalej przy mnie i widać mu tamto ciążyło, bo przechodząc ulicami Londynu, ze wzruszeniem ramion i niedopowiedzeniami, zaczął mi opowiadać o tym Żydzie jednym... z Suwałk czy gdzieś tam... co był na Bliskim Wschodzie... pozostał w Iranie... zbierał starożytności... No i ubrdał sobie, niech pan pomyśli, że w Meschedzie... takim starym mieście w Iranie... pan pewno nie słyszał... w moszei, meczecie, znaczy się... jednego tam szacha... jest szabla... karabela... autentyczna króla Batorego... skąd? Wariat oczywiście! No i chciał ją kupić... przekupić... wreszcie, podobno, skraćć... że chciał Sikorskiemu dać... na wjazd do Warszawy... na szczęście... słyszał pan, takie pomysły? No i skończyło się bójką, rozruchami... dwa dni były rozruchy... że Polacy i Żydzi okradli meczet... awantura... z Anglikami... ach, cośmy mieli za kłopoty, powiadam panu... ja sam musiałem jeździć... a tego Gitmana to roznieśli w strzępy, powiadam panu, bo to wielcy antysemita, choć też tacy sami czarni, ci Persowie, Irańczycy, jak ich teraz... no i widzi pan... na co mu to zeszło, że sobie ubzdurał, że przyniesie... Sikorskiemu na szczęście... ową karabelę z tego tam Meschedu.

Tłuste, lipcowe słońce rozmazywało się plamą na lśniących pyskach dwuszeregu mijanych milczących gwardzistów. Ktoś z tłumu rzucił jakieś kwiaty, małą, nieporadną wiązaną. Pułkownik westchnął i zagapił się na mijaną bramę do Hyde Parku. Chłopiec z gazetami woływał „*A good news!*” Alianci lądowali na Sycylii! *Good news*. Tak, oni mieli *a good news*.

Skręcając ku zielonej rozchwiei Kensingtonu pochód naraz stał się ciaśniejszy. Padła ostra polska komenda: żołnierze przybili krok. Ozwało się mocne, dobrze znane skandowanie marszu. Raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa. Zgłuszyło — och, jak pożądanie! — owe radosne okrzyki sprzedawców. I wtedy, nie wiedzieć czemu, w ten rytm żołnierski poczęły mi się naraz wplatać natrętnie inne dźwięki, ustawiając się równo odciętymi zgłoskami, równając jak żołnierze w szeregu, stając się jakby taktem owego marszu. Miarowo z tym krokiem szumiało mi teraz w głowie: La — zar — Git — man, La — zar — Git — man, La — zar — Git — man. Dziwne skojarzenie, prawda?

SPRAWA SMAGACZA

Franek Smagacz nie był z naszej, jedenastej, kombles-sackiej kompanii, ale był z tej samej podchorążówki, tej pierwszej francuskiej, z Coëtquidan i Guer. Nie umiałbym powiedzieć, czy był z czwartej kompanii, czy siódmej, czy może ósmej, to pewna, że w okresie zimy z 1939 na 1940 niczym się szerzej nie wstawił poza rejonem owej kompanii. Zobaczyliśmy go po raz pierwszy owego kwietniowego popołudnia, kiedy przed baraki Coëtquidanu zajęły ciężarówki. aby podostawiać do okolicznych pułków świeży podchorążacki wypiek. Zjawili się wtedy podchorążowie z innych kompanii, znani nam lub nie znani, z wozów sierżanci wywoływali nazwiska, aż huczało na tym bretońskim wzniesieniu:

- Podchorąży Ciemior — brygada podhalańska!
- Podchorąży Trocki — brygada pancerna!
- Podchorąży Mycielski — druga dywizja!
- Podchorąży Rosenberg — brygada podhalańska!

Pamiętam jak dziś, że podchorąży Rosenberg zagapił się i sierżant musiał rozpaczliwie tubalnym głosem drzeć się raz jeszcze:

- Podchorąży Rosenberg!

A gdy niewielki, czarny Rosenberg wreszcie odhuknął swe „jestem!”, sierżant popatrzył nań z wyrzutem, niechęcią i odrazą. Nie rokował najwidoczniej większych korzyści brygadzie podhalańskiej z faktu przebywania w jej gronie podchorążego Rosenberga. Nie miał racji. Rosenberg doskonale grał w bridża.

Gdzieś po Rosenbergu przyszła kolej na Józia Ziotę; obcałowaliśmy się czule, po polsku, albowiem Józiu Ziolo szedł aż do drugiej dywizji. Ja jeszcze czekałem swej kolejki, kiedy sierżant zahuczał:

— Podchorąży Smagacz!

Z szeregu wystąpił niewysoki, młodziutki, jasnowłosy i jasnooki chłopaczek. Najwidoczniej nie bardzo wiedział, co dalej robić. Sierżant wskazał mu ręką wóz. Po chwili podchorąży Smagacz znikł w jego czeluści.

My z Chmielowcem i Ciemiorem z naszej kompanii oraz jeszcze paroma innymi znaleźliśmy się po chwili w tym samym wozie. Nie był to wóz wojskowy, ale zarekwirowana przez wojsko niewielka ciężarówka, buda, blachą naokoło obita. Chmielowiec zapytał mnie jeszcze, co znaczy napis na budzie, a gdy mu przetłumaczyłem, pokręcił głową. Ciemior zrobił jakiś dowcip. Wóz, którym udawaliśmy się do naszych pierwszych oddziałów liniowych, należał, jak o tym świadczyły wymalowane po obu stronach najwyraźniej chełpliwie napisy, do Société Anonyme des Abbatoires de Ceunis, czyli inaczej mówiąc, do rzeźni miejskiej w Ceunis.

Ale właśnie wóz rzeźni miejskiej w Ceunis ruszył z miejsca wraz ze swym ludzkim ładunkiem, zachwiał się na rozmokłej drodze, zadudnił na moście i poszybował w dół drogą ku Guer. W tyle za nami znikwały baraki Coëtquidanu, pocięte żywopłotami kuse poletka bretońskie, zieleniejące świeżą runią owej brzemiennej wiosny i parujące pod niebo w słońcu. Wpadliśmy w szare uliczki Guer, potem wjechaliśmy w jakieś nieznanne, nie zapamiętane pola i coś się za nami zamykało powoli, a nieodwołalnie. Tedy milczeliśmy i my, cośmy się znali, i ci podchorążowie z innych kompanii, znani nam tylko z twarzy albo w ogóle nie znani. I wtedy właśnie nastąpił pierwszy czyn podchorążego Smagacza. Oto jakiś kolega niebacznie oparł swą stopę o krawędź Smagaczowej, jak wi-

dać, walizki. Smagacz bowiem rzucił się jakby siadł na zmiję.

— Te... cożes to, coże?! Twoja walizka? *Où qu'tu fourres tes sales pieds?*

Powiedziane to było w pół po ludowemu, w pół po francusku, a wszystko z niezwykłym podnieceniem. Smagacz zazdrosny był o swą własność. Własnością tą była, licha zresztą, stara, zniszczona, cywilna walizka. „Każą mu ją wyrzucić w oddziale, gdy tylko się z tym zjawi” — pomysleliśmy zaraz. Ale to była tylko refleksja, bo tymczasem Smagacz kończył:

— Te... łączyś, coś zapaskudził, łączyś!

Ów bez większych sporów począł pucować skażony skraj walizki rękawem własnego munduru. Myśmy spojrzeli po sobie spojrzeniem, które mówiło: „No, w tamtej kompanii to stosunki koleżeńskie były jakieś dziwaczne.” Smagacz dostrzegł tę wymianę uśmiechów i zamilkł. Siedział nastroszony i niechętny przez całe trzy godziny jazdy pokrętnymi bretońskimi drożynami wiodącymi ku miejscu postoju brygady. Gdy wóz, zarekwirowany rzeźni miejskiej w Ceunis, zahamował wreszcie przed frontonem osiemnastowiecznego francuskiego *château*, gdzie po zwi-rze alei przechadzał się tam i sam wartownik z krótkim nowym karabinem i w długiej podhalańskiej opończy, Smagacz wyskoczył pierwszy, odszedł bez słowa pożegnania. Tak, dziwne były manieri w tej jego kompanii.

Potem czekaliśmy, potem meldowaliśmy się generałowi, potem czekaliśmy znowu, potem porozdzielano nas jeszcze. Część odsalutowawszy wsiadła do wozów przeznaczonych dla pierwszej, część dla drugiej półbrygady. Do naszego wozu wsiadł Franek Smagacz. Nadal nie mówił nic. Po półgodzinie byliśmy na miejscu. Tu przydzielano nas raz jeszcze, kogo do pierwszego, kogo do drugiego batalionu, kogo do pepanców. Mnie przydzielono do sztabu batalionu. Ale starania rozpoczęte tego

wieczoru doprowadziły nazajutrz do pełnego zwycięstwa i odszedłem do drugiej kompanii, do linii. W drugiej kompanii był Romek Ciemior, o czym wiedziałem i dlatego tam poszedłem, ale był także i Franek Smagacz. Powitał mnie mętym spojrzeniem i przeszedł obojętnie.

— Czemuż ten się jeszcze boczy? — zapytałem Romka.

— On się nie boczy, to nie to — tłumaczył Roman — jemu tu będzie ciężko.

I opowiedział, co było. A było tak. Do drugiej kompanii zostali przydzieleni, jeśli dobrze dziś pamiętam, Smagacz, Ciemior i Rosenberg. Ciemior i Rosenberg jakoś pierwsi zameldowali się kapitanowi, czarnemu, krępemu oficerowi, typowemu polskiemu liniowcowi. Smagacz gdzieś się był zapodział, co, oczywiście, uwadze kapitana nie uszło i przychylnie nastroić nie mogło. Byłby to jednak jeszcze zniósł — wiadomo, Francja i jej zgubny wpływ — gdyby nie to, co nastąpiło potem. Kapitan stał pod murkiem i odbywał odprawę dowódców drużyn, gdy naraż podszedł do niego wolnym krokiem Smagacz i wyciągnawszy przyjaźnie łapę przedstawił się w ten oto sposób:

— To wyście som kapitan Stańczyk? Smagacz jestem!

Kapitan, rzecz jasna, podskoczył, po czym wydał z siebie ryk żubrzemu podobny. To tak podchorążego Smagacza uczono meldować się? To tak jest w wojsku polskim? To ma się nazywać zameldowanie przydziału? Co sobie podchorąży Smagacz myśli?! W pobliskim merostwie drżały małe szybki — myte chyba jeszcze za Merowingów — od tego kapitańskiego ryku. Poblady, drżący, wystraszone, podchorąży Smagacz nie rozumiał. Jego niebieskie oczy bladły zastraszeniem. Nie, nie rozumiał. Myślał jak najlepiej, ale nie rozumiał. Zresztą skończyło się na tym ryku. A także na tym, że drużynę przydzielono Smagaczowi w dwa dni później. No i na tym, że miał od początku złą opinię. Kapitan, rozprawiając o zawsze mu

miłym temacie zgnilizny francuskiej, cytował teraz stale jaskrawy przykład francuskiego wychowania — Franka Smagacza. Bowiem Smagacz był synem polskiego farmera czy robotnika, czy górnika z Francji. Wychowany we Francji.

Może nie poznałbym bliżej podchorążego Smagacza, gdyby nie to, że z Rosenbergiem i Ciemiorem dano nas do jednej kabiny okrętowej na „Chenonceau”, płynącym do Norwegii. Wprawdzie my dwaj z Ciemiorem nie sypialiśmy w niej — głoszone przez nas samych w Coëtquidanie koncepcje „nowej armii” kazały nam spać czy, jak się mówiło, „śmierdzieć” przy drużynie. Stąd co wieczór po wymyciu się opuszczaliśmy białą kabinę i schodzili w głąb okrętowych czeluści, by ułożyć się przy naszym manszafcie, co zresztą na nim nie robiło zbyt wstrząsającego wrażenia. Po prostu było im ciasniej. Uważali też, że widocznie nam biedakom nie przydzielono kabin. Co wieczór przychodził za to do naszej kajuty niemrawy, nie golony i pogodny Karol. Jako goniec motocyklowy w randze starszego strzelca, nie miał pod sobą żadnego manszafu — więc gramolił się na jedno z opuszczonych łóżek. Bardzo mu się nasze pryncypia podobały i zachwalał je głośno:

— Ot, to to, podchorążowie Ciemior i Pruszyński, to rozumiem, nowa armia, z drużyną, zawsze razem. O, gdybyście, panowie Rosenberg i Smagacz, poszli za tym przykładem, byłbym sam w kajucie... Jak generał...

Smagacz i Rosenberg milczeli jednak i nie wykazywali żadnych skłonności do bliższego zespolenia się ze swymi drużynami. Ale po południu leżeliśmy często razem i wtedy Smagacz, jakby sobie coś przypominając, zaczynał opowiadać. Smagaczowe opowiadania były nieskładne, urywane, zacinały się i wlokły jak guma wyciągana z jakowychś czeluści, coraz dłuższym i dłuższym tokiem. Przez krągłe oko kabiny zaglądało niebo, coraz bledsze i coraz bardziej północne, wiatr pędził zimno coraz ostrzejsze,

jakieś wołania dochodziły z pokładu. Franek opowiadał ni stąd, ni zowąd, nieproszony, swym językiem półfrancuskim, półludowym, jakieś historie dziwne. Były to bardzo dziwne opowiadania. O domu, o rodzinie, o szkole, o innych chłopach, o Polsce. Jedno tylko pamiętam. Romek Ciemior pytał go, kiedy wyjechał z Polski i czy Polskę pamięta. Franek odpowiedział i powiedział zarazem, co z Polski pamięta. Był rodem z jakiejś małopolskiej wsi pod jakowąś Wiśniową i kiedyś zimą posłano go, żeby pobiegł do tej Wiśniowej kupić zapalek u Żyda. Było to parę kilometrów, był mróz i Franek nie miał trzewików. To wszystko stwierdzał Franek, ot, jako ciekawostkę, bez żadnego komentarzowego sosu i światopoglądowej oprawy. — A że mróz był — powiedział — więcem tak zmarzł, więcem tak zmarzł. Tozem biegł, tozem biegł. — Franek leżał na łóżku, oczy wlepione w ten krągły wykrawek bladego nieba, który zaglądał oknem do kajuty francuskiego statku, i myśmy leżeli na swoich łóżkach z oczyma wlepionymi w ten krąg blady i w jakieś światy jeszcze bledsze swym oddaleniem. To opowiadanie o biegu jakimś, w zimę i śnieg, kopnymi drożynami wiejskimi, na bosaka, do jakiejś Wiśniowej po zapalki było tym jedynym wykrawkiem wspomnienia, którym Frankowi Smagaczowi wtłoczyła się w pamięć Polska. Poczuliśmy jakieś cieplejsze uczucia dla Franka.

Dwa tygodnie podróży norweskiej przeszły na ogół spokojnie i podchorąży Smagacz nie naraził się już kapitanowi. Unikał zresztą niezwykle starannie wszelkiego z nim i innymi oficerami kontaktu: był wyraźnie zastraszony. Z nami właściwie nie szukał go także. Dużo natomiast przesiadywał ze swoją drużyną — też z Francji — ale tu nie umiał utrzymać tzw. autorytetu. Grał z nimi przydługu w karty. Gra w karty z żołnierzami nie leżała w regulaminowych pojęciach kapitana; nie była też ona w naszym pojęciu drogą do kontaktu z podkomendnymi. Fra-

nek otrzymał znowu jakąś nagane, tym razem od swego porucznika. Był to pokaźny, postawny oficer, przystojny, o pociągłej twarzy, bardzo kawaleryjski. Nosił wspaniałe polskie buty i znał na pamięć przepowiednie: „Gdy czarny orzeł znak krzyża splugawi, skrzydła rozwinie złowieszcze”, i z niej czerpał swój wojenny optymizm oraz całość swej wiedzy politycznej. Żałowaliśmy, że Franek nie jest u któregokolwiek innego dowódcy plutonu, bo do tego to już pasował najmniej. Gdybyż był u Tkacza; albo u Lewickiego, „małego rycerza”; albo z nami u Szaszkiwicza. Przystojny Wyganowski był najgorszy dla Franeka, przy najlepszej może woli.

Potem lądowaliśmy w Harstadt, na wyspach Lofotach, potem mieliśmy marsze, przierzucania barkami przez fiordy, pierwszą akcję, drugą, pierwsze trupy. Były wsie norweskie, rozwlekłe jak paciorki kolorowe nanizane wokół roztoczy ciemnego fiordu, dziewczki w tych wsiach smukłe jak brzozy, brzozy zaś jasne jak te dziewczki norweskie, tłuste mleko simmentalerów, ciepłe domy i wąskie dróżki, na których jako że był maj późny, rozmakał ostatni śnieg. I wreszcie po jeszcze jednym marszu wyrzuciliśmy nasze plutony w górę, uczepiliśmy się wąskiej krawędzi skał nad fiordem, skąd był ponoć widok, czyli „wgląd”, na szeroką dolinę w dole, którą wiła się kolej do Szwecji i nad jeziorem siedzieli Niemcy. Tylko nasz pluton został w dole, nad fiordem, przy dowództwie kompanii. Tamte polazły na grań. Żywność tyrano im pod wierchy.

Wtedy właśnie przyszła nowa i wielka awantura z Frankiem Smagaczem. Nie byłem jej świadkiem i dowiedziałem się o niej znacznie później, kiedy zaogniła się jeszcze bardziej, ostatecznie. Stało się mianowicie tak: w nocy, rozstawiona na wierchu i na przedpolu, drużyna Smagacza rozpałała sobie najspokojniej w świecie wielkie ognisko. Widne było ono z daleka; wyobraźcie sobie, że pew-

nej nocy ktoś sobie taki ogień zakurzy na Kasprowym. Meldowano do sztabu: krążowniki angielskie omal nie sprąły tego punktu artylerią. Po czym okazało się, że Smagacz, zważywszy, iż była noc, zimno, a do tego wygrzebano w jakiejś chacie ziemniaki, polecił podkomendnym rozpalic najspokojniej ogień. Podwładni nie kazali się prosić; kosówki było pełno i niebawem piękne ognisko na szczytach zaznaczyło dosyć wyraźnie miejsce polskiej placówki. Wyganowski, który sam mógł się spodziewać dobrej wciury, zrugął Smagacza od ostatnich, aż huk szedł po halach w dole. Odebrał mu dowództwo drużyny i odesłał, by zameldował się kapitanowi. Smagacz zszedł w dół. Miejscem postoju kapitana była duża zagroda, gdzieśmy poprzedniego dnia złapali dwóch jeńców. Jej żółto malowane ściany odbijały się od zagajnika: stodoła i obora wyznaczały obojętne. Nietrudno tam było trafić. Ale Smagacz do tego punktu nigdy nie doszedł. W dwie godziny po tym wydarzeniu nadleciał goniec na motocyklu z meldunkiem; kapitan zarządził zbiórkę i w pół godziny potem byliśmy już w pochodzie powrotnym drogą zdobytą uprzedniego dnia. Mijaliśmy idących na nasze miejsce strzelców alpejskich w czarnych beretach. Barki, które ich przywiozły, zawiadły teraz nas przez fiord na nowe pozycje, jeszcze bliższe Narwiku. Gdy lądowaliśmy nad ranem, kapitan zrobił przegląd kompanii. Brakowało Franka Smagacza.

— Niemcy go ukatrupili — powiadali pesymiści.

— Zadziała się gdzieś ta lebiega — komentowali przyjaciele.

— No i mamy dezertera. Oto wychowanie francuskie! — osądził kapitan, który o Francji miał to samo zdanie co większość oficerów zawodowych naszej armii na Zachodzie.

W parę godzin później przyszły jednak wydarzenia, które zupełnie przesłoniły zaginięcie Franka. Objęliśmy

odcinek i leżeliśmy z głowami zwieszonymi nad domkami Ankenesu, brzoza Nyborga, fiordem narwickim, portem i znieruchomiałym w dole miastem. Potem przeszliśmy do akcji i mieliśmy kilkunastu zabitych i rannych. Na drużynę liczącą dwunastu miałem sam pięciu rannych. Potem był generał i dekorował, kapelan i spowiadał, kantyniarka z podniosłymi słowy i paru biskoptami, a potem już dzień w dzień walka, trupy, ranni, trupy, walka. Spaliśmy każdą wolną chwilę, przeważnie nie w nocy, jedliśmy, co i jak się dało, częściej zdobywcze zapasy niemieckie niż nie dostawione nasze, potem było wielkie natarcie na Ankenes i posiekanie kompanii Zamoyskiego, i uchwycenie przez Lewickiego Nyborga, zajęcie przez Hitlera Belgii i śmierć Szeliskiego, i przerwanie linii Maginota, i uzupełnienia, i pogrzeb w Haakvik, i odmarsz na statki. Odjazdowi towarzyszyły głuchoe wybuchy: to leciały w powietrze urządzenia nadpalonego portu, granitowe tunele kolei do Szwecji i tor ku Kirunie. Potem było znów morze i znowu blade niebo zagładające do okien naszej kajuty. Leżeliśmy w niej godzinami, znowu w czterech. Znowu był ze mną Ciemior. Ale miejsce rannego podchorążego Rosenberga zajął jakiś Czech z Legii Cudzoziemskiej, a miejsce Franka Smagacza Józek Natanson. Myśmy już zapomnieli z kretešem o Smagaczu.

Stanęliśmy znowu na redzie pod Glasgow, gapiliśmy się na lotniskowiec, poglądali na zielone czerwcem stoki wzgórz szkockich i myśleli, jakby to było pięknie połądować sobie tam na chwilę. Nie wiedzieliśmy, że jeszcze będziemy ich mieli do licha i trochę, a niektórzy na zawsze zaznają gościny szarych szkockich cmentarzy. Naraz od jednego ze statków oderwała się motorówka. Pykając i kołysząc się, i rozpruwając spokojne morze ściegiem fal, podjechała aż pod nasz „Sobieski”. W towarzystwie dwóch marynarzy i dwóch angielskich żołnierzy wyszedł na pokład — Franek Smagacz! Znowu nie byłem świadkiem tej

końcowej sceny. Powiadomił mnie o tym Józek. Po chwili Ciemior znalazł już całą historię Smagacza.

Historia była miejscami niejasna, ale w zasadzie dosyć prosta. Smagacz pobłądził w górach i do miejsca postoju kompanii doszedł po jej odmarszu. Nie wiedział, dokąd poszła. Zresztą gdyby i wiedział, nie mógł wpływ przebyć fiordu. Z przystani szedł stateczek do Harstadt, miejsca naszego pierwszego lądowania. Smagacz podążył do Harstadt jak pies, który straciwszy ślad zawraca za własnym tropem. Tam już nie było Polaków, ale byli Anglicy, Francuzi. Ci przygarnęli Smagacza. Upewnili go, że wojna nie wymaga koniecznie jego bezpośredniego współudziału, czy to, że ma na to jeszcze dość czasu, czy też, że żandarmeria sama się po niego zgłosi. Smagacz tedy, jak zeznawał, czekał w porcie. Czekał parę dni, tydzień, drugi tydzień. Na ochotnika pracował w kuchni. Przywykł. Francuzi przywykli do niego. Dopiero gdy przyszedł rozkaz załadowania się na statek, z powrotem do Francji, obecność Smagacza wpadła w oczy żandarmerii francuskiej. Przybywszy do Glasgow zaraportowano statkom polskim i w rezultacie tego raportu dwóch żandarmów pod bagnetami odstawiło podchorążego Smagacza. W areszcie okrętowym siedział właśnie od paru godzin za pospolite opilstwo strzelec Kotas. Bardzo sobie chwalił owo miejsce odosobnienia i opuszczał je niechętnie, ale pułkownik polecił, aby dezerterski siedział samotnie aż do chwili sądu.

To wszystko przyniósł Ciemior. Nie było najmniejszych wątpliwości, że sprawa Smagacza — teraz była to już „sprawa Smagacza” — przedstawia się niedobrze. Jakżeż się zresztą miała przedstawiać inaczej i w jakiej armii na świecie przedstawiałaby się lepiej? Chyba w wojsku dowodzonym przez generała Antoniego Słonimskiego, feldmarszałka Wittlina czy generalissimusa Remarque'a. Nami jednak dowodził pułkownik Dec i kapitan Stańczyk, a gdy-

by dowodził ktokolwiek inny, nie byłoby inaczej. Miałem wtedy nieco wzięcia u moich dowódców, poszedłem do nich w tej sprawie. Pułkownik był w świetnym humorze — właśnie wieczorny komunikat donosił, że aliantów dalej biją jak w kaczy kuper. „A co, a co, śmieli się z nas po wrześniu, teraz mają w czerwcu lepszy wrzesień!” Kapitan wychylił właśnie trzecią stopkę koniaku dowodząc w myśl własnego aforyzmu, że dwie pierwsze smakują jak rozgryziona pluskwa. Dopiero trzecia coś warta. Spróbowałem poruszyć sprawę Smagacza. Dowódcy podjęli ją z radością:

— Smagacz będzie rozstrzelany jutro — oświadczył pułkownik. — Kiedy tylko dobijemy do brzegu. Publicznie! Dezercja! To świetne dla morale wojska. Podchorąży rozstrzelany — dobrze dla morale żołnierza. Że jak podchorąży, to tak samo. Dobrze, że z Francji. Będą mieli szkołę na przyszłość! Jak tylko wylądujemy, mały sądzik, i po wszystkim. Dla przykładu! Dla przykładu!

Obaj skoczyli, gdy podniosłem łagodne obiekcje, ale wdali się w łaskawą i rzeczową dyskusję. Byli górami w argumentacji. Jeśli Smagacz się nawet i zagubił, to cóż, u licha, robił dwa tygodnie — nie, trzy tygodnie — w Harstadt? Nie miał czasu dobrnąć do swoich? Śmieszne gadanie. A dlaczego oberwał sobie szlify podchorążego, co? (Ten szczegół, nie znany mi jeszcze, był istotnie obciążający.)

Odpowiadałem, jak mogłem. Nie znam szczegółu z szlifami: wyjaśnię. Gdyby Smagacz chciał zdezerterować, czy nie wystarczyło mu przejść po prostu do Niemców albo zostać w Harstadt; w każdym razie nie ładować się na statek. Oto były główne punkty obrony. Były słabe, wiedziałem o tym. Smagacz mógł bać się niewoli niemieckiej, jak bał się wojska. Mógł myśleć, że przemyci się jakoś do Francji i tam zginie w tłoku. Dość, że odszedł od swego oddziału po zawieszeniu w funkcjach, że było to na

froncie, że oddziału swego nie odszukiwał, że zdarł odznaki. Wszystko to podpadało prawnie pod kategorię dezercji, tak samo jak kategoria dezercji prowadziła prostą drogą przed pluton egzekucyjny. Co mogłem zrobić?

Nawet kapelan — nie ten nasz, dobry (był na innym statku) — ale generalny brygady, obiecał mi jedynie zajęcie się duszą Smagacza, a nie przedłużeniem jego ziemskiego żywota. Uzyskałem tylko możliwość porozumienia się z oskarżonym. Wartownicy wpuścili mnie do Franka. Przywitał się ze mną, wystraszony i serdeczny. Chciało mu się jeść. Jadł ze smakiem, wcinał. Zobaczyłem, że nie orientuje się w sytuacji.

Odruchowo przeszedłem na „ty”. On się nie zdziwił wcale.

— Franek — pytałem — coś ty narobił? Gdzieś był?

Niebieskie, niewinne oczy patrzyły znad grubej pajdy wżeranego chleba.

— W Harstadt. Z taborami. *Avec les Français*.

Wiedziałem to wszystko. Ale chciałem wiedzieć coś innego.

— Franek — pytałem — dlaczegoś nie poszedł do kapitana, kiedy cię Wyganowski tam wysłał? Dlaczego?

W półcieniu aresztu oczy Franka były niezwykle błękitne. Były dziecięco niebieskie.

— Poszedłem — trząśł głową — poszedłem. Ale mek zabłądził.

Oczy wytrzeszczały się niebieską, dziecięcą szczerością. Tak zawsze patrzy dziecko, kiedy wytrwale kłamie.

— Franek — powiedziałem — nieprawda. Nieprawda. (I naraz przypomniawszy sobie, że do żołnierzy z Francji najlepiej trafiało się mówiąc po francusku, zacząłem mówić w tym języku.) *Tu mens. C'est pas vrai*. Wiesz, że to nieprawda. Z góry do tej farmy, gdzie stał kapitan, była prosta droga. Po prostu w dół, potem droga. Ty nie mogłeś nie trafić. Coś robił? Nie poszedłeś do kapitana!

Teraz Smagacz nie patrzył mi w oczy. Utkwił je gdzieś w gwintach spajających żelazne belkowania okrętowe. Niepewnie odpowiedział:

— Naprawdę poszedłem... Ja naprawdę poszedłem...
Mais... je l'ai fait très lentement. Bardzo powoli...

Rozumiałem.

— Zatrzymywałeś się po drodze?

— Tak.

— Siadałeś?

Kiwnął głową, że siadał.

— Przecie nie byłeś zmęczony. Staliście całą noc. Czegoś stawał?

Nie odwracając głowy powiedział:

— Bojolem się. Straszniem się bojole.

— Kogo? Czego?

— Pono kopitono. Un taki straszny. Krzyczy.

Teraz rozumiałem. To, co było u Franka, to był rodzaj nerwowego szoku. Nerwowego szoku połączonego z pewnym przytępieniem inteligencji. Nie. Na pewno Franek nie był orłem. Kto widział tak się prezentować kapitanowi wtedy, po przydziale? Rozpalać ognisko na linii? Tak. Z inteligencją u Franka było kiepsko. Ale poza tym był zastraszony. Ten stuk obcasów i hukanie komend, te krzyki, rozkazy wydawane podniesionym głosem, ten niezrozumiały ceremoniał, postawa porucznika, kapitan, to wszystko było dla Franka nowym, przerażającym i obcym światem. Bał się go, straszliwie się go bał. Przyszła ta nowa awantura z ogniskiem i Franek schodził w dół, ku kapitańskiej farmie, widnej z dala. Schodził w głębokim przerażeniu. Bał się. Przypomniał mi się ów dzień, niedaleki, Frankowego zaginięcia: bardzo był jasny i słoneczny, nawet koszule pozdejmowaliśmy i Franek właśnie wtedy musiał schodzić w dół po stoku, może nas nawet widział na polanie. Musiał iść wolno, coraz wolniej, siadać, przystawać, medytować. Pograżał się zapewne w ta-

kich medytacjach jak wtedy w kajucie na „Chenonceau”. Dziecinnie, głupio opóźniał srogi moment stawienia się przed huczący kapitański majestat. Może zobaczył wreszcie, że odchodzą, i mimowiednie nie starał się dogonić. Tak. Franek nie zdezerterował przed walką, akcją czy Niemcami. Dziecinnie bał się swoich dowódców.

— Czemuś odpruł naszywki podchorążego?

— Jo? Jo nicego nie odpruwałek!

— Ale ich nie masz?

— Bo na moje kurto rozlały Francuzy zupe, to mi dały drugom...

To było wyjaśnienie, ale obawiałem się, że nie trafi do przekonania żadnego wojskowego sądu.

— I wsiadłeś na statek?

— Jak inne wsiadały, tożem wsiod.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Na dworze nastawać musiał wieczór, bo w areszcie stawało się całkiem ciemno. Zajrzałem przez otwór w drzwiach. Domy w Greenock rozpały się słabymi światelkami.

— Franek — powiedziałem — a wiesz, że to ciężkie przestępstwo?

Ruszył bezradnie ramionami. Zapatrzył się w ścianę tuż przed nim. Po czym:

— Jo wim. No to co, że bende siedziol? Siedziol nie jest tak źle. I dwa tygodnie mogem posiedzieć!

— Franek, ale to nie dwa tygodnie!

— To i trzy, i styry posiedze! Coże to. Cicho, jeść przynoszum, tyło że samemu trocha — urwał i popatrzył na mnie — ale bedziesz do mnie zaglundal. Choć raz w dzień. Raz i dwa? Bedziesz?

Teraz ja zapatrzyłem się w ścianę.

— Franek — rzekłem znowu — to nie siedzenie. Czy rozumiesz, co zrobiłeś? Dezercja! *Désertion! Tu es un déserteur. Selon la loi militaire tu es un déserteur!*

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

— *Uoyons, voyons, sans blague!*

— *Mais c'est pas une blague!* — krzyczałem i stwierdziłem naraz z ulgą, że łatwiej mi jest mówić mu to wszystko po francusku. Jego poprawna francuszczyzna nie krępowała mnie tak jak owa bezradna, chłopskoemigrancka polskość. — To zupełnie poważne. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak poważne! Opuściłeś oddział na froncie...

Zerwał się w oburzeniu:

— Nie jo! Nie jo! Une poszli!

Wzruszyłem ramionami. Siekałem teraz:

— ...nie dołączyłeś! Gdzieś się pętał trzy tygodnie? Dostawili cię żandarmi! Franek, Franek, to wszystko jest gruba rzecz! *C'est pas une blague, une désertion...*

— *C'est pas une désertion qu'j'te dis! C'est pas une désertion! C'est pas!*

— Franek, zrozum, nikt z nas nie chce tobie nic złego zrobić. Ale, pamiętaj, kapitan. Pułkownik! *Les règles sont les règles!*

— *J'connais les règles! Suis pas un déserteur! F... moi l'camp! Ah, ça voyons donc, f... moi l'camp!*

Wyszedłem i w czterech, jeszcze z Józkiem Natanso-nem i Rostworowskim, odbyliśmy długą naradę. Przez okienko w drzwiach mogliśmy widzieć, co robi Franek. Zjadł z apetytem kolację, leżał na pryczy, nucił coś sobie. Nie bardzo było wiadome, czy moje słowa dotarły do jego świadomości i jak głęboko. Umyśliliśmy, że nie będę do niego chodził. Zdaliśmy to na kapelana. Był to fatalny pomysł, właściwie mogliśmy się tego spodziewać. Wylał go szybciej niż mnie. Siedział teraz nadęty, nieufny. Nawet Ciemior nie miał doń dostępu.

Wieczorny komunikat radiowy mówił o rozpaczliwych a nieudanych próbach załatania wyrwy pod Abbéville i jeszcze gdzieś w Wogezach, i jeszcze. Ale w niemieckim komunikacie było, że czołgi niemieckie ominęły Rennes,

a inne spływają doliną Rodanu. I wiedzieliśmy, nauczeni doświadczeniem ostatnich tygodni, że jutrzejszy francuski komunikat już będzie mówił o próbach obrony Rennes i o zaciętych walkach w dolinie górnego Rodanu. I wiedzieliśmy jeszcze, że tej obrony nie będzie wcale, a te zaciekle walki będą istnieć tylko w słowach wieczornego komunikatu.

W wydarzeniach dwóch następnych dni zapomniano zupełnie o Smagaczu. Pułkownik słuchał radia i mówił: „Nie, a nie mówiłem, ot mi Francja”; kapitan słuchał radia i opowiadał, jak to było we wrześniu. Oniemieli, bezradni żołnierze snuli się po pokładzie. Była piękna pogoda i statek niósł nas z wolna ku brzegom naszych przeznaczeń. Wojna wtaczała się w głąb Francji z każdą godziną i dniem — my zbliżaliśmy się ku jej brzegom równie nieuchronnym pochodem. Nareszcie, 14 czerwca, byliśmy w Brest, żegnany przez nas w kwietniu. To samo molo, to samo miasto pnące się kamienicami ku górze. W dokach rozbierano na szmelc rdzawy kadłub pancernika „Waldeck-Rousseau” i imię jednego z najklasycyjszych premierów Republiki Francuskiej oddzielali właśnie robotnicy wielkimi obcęgami. Nie wiem, czemu robiło się smutno, bo nigdy nie miałem sympatii do Waldeck-Rousseau. Statek przybił do mola, przycumowano go, zaczęliśmy wysiadać. Oficerowie byli jacyś nerwowi. Wysiadłem jeden z pierwszych. Zaszedłem do portowej kafejki „Pod Diabłem Morskim”. Była prawie pusta. Plakat przekreślony trójbarwną wstęgą nawoływał Francję pod broń, przypominał na raz, w jednym zdaniu, Joannę d’Arc, Vercingetorixa, Komitet Ocalenia Publicznego i rok 1914. — *Trop pompeux pour les Français* — zauważył ktoś smutno. Pytałem o ostatnie nowiny. — Nie było tego w radio w południe — mówiła bufetowa — ale dziś rano t a m c i weszli do Paryża. *Oui, monsieur, c’est ainsi. On est joliment fichu, hein?*

Przezorny pułkownik Chłusewicz jeden jedyny w całej brygadzie połapał się w sytuacji. Tak na swym statku marudził, zwlekał, nie rozumiał Francuzów, tak długo zarządzał zbiórki, sprawdzał obecność, polecał szukać jakiegoś zagubionego chlebaka, jakiejś zostawionej (pewno w Narwiku) maski gazowej, aż dopiął swego strategicznego celu. Nie wysiadł ze swym wojskiem, zanocował na statku, zmarudził i następny dzień, a po tym następnym dniu już było po wszystkim, bo kapitanat portu przestał dawać rozkazy, a na statek wwalili się Kanadyjczycy, hurmem, wobec *armistice* u wyrrywający do Anglii. Oddziały Chłusewicza były zatem jedyną częścią brygady, która dopłynęła w spokoju do angielskich brzegów. Chłusewicz na Francuzów nie klął, ale też ich nie posłuchał; inni dowódcy Francuzów klęli, ale słuchali ich jak psy trąby. Niewiele brakowało, a w rozgardiaszu wysiadania zapomniano by o Smagaczu. Myśmy nawet myśleli, czy to nie lepiej. Ale każdej chwili mogli nadlecieć Niemcy i zrębać port z powietrza, a w nim „Sobieskiego”, a w areszcie „Sobieskiego” — Smagacza. Uprzedził nas w tym zresztą szef kompanii: przypomniał kapitanowi. Ten się zachnął; tylko jeszcze tego Smagacza było trzeba w ten sądny dzień upadku Paryża! — Oddać go żandarmom! — zadekretował. Szef przypomniał posłusznie, że żandarmi są na innym statku. — Wypuścić go, do cholery, niech dołączy do drużyny, ale bez karabinu. Drużynowy odpowiada za niego głową! I żeby mi się nie pętał przed oczyma! — To zresztą było też życzeniem podchorążego Smagacza.

Wozy zabrały nas za Brest, na jakieś pola porośłe gęstą, czerwcową trawą, jakże miłą i swoją po dniach okrętowego pokładu i tamtych, na śniegach, granitach i mchach Norwegii. Na drugi dzień zaczął się jakiś marsz, nie wiadomo kędy i po co. Potem pociąg; potem znowu marsz. Szliśmy rzędem, jeden za drugim, przy rowach, słońce

prażyło coraz silniej, wiadomości były rzadkie, niejasne i bardzo złe. Nastroje jeszcze gorsze. Samoloty niemieckie przelatywały nad nami nisko, nisko, ale nie ruszały nas. Kapitan szedł ponury, ochryply. A jeszcze na domiar złego zawadzał mu ten Smagacz. Szedł, prawda, przy drużynie; nawet nie próbował uciekać. Szli inni, szedł on. Mógł skoczyć do byle rowu, za byle żywopłot — Bóg widzi, ile ich było! Nie skoczył. Szedł. Za to jego drużyna dygotała ze złości. Oto Smagacz szedł bez karabinu. W czerwcu, w marszu, to było wiele. W dodatku karabin Smagacza niósł po kolei jeden z jego byłych podwładnych. Ten, co niósł, nie był tym zgoła zachwycony i kłął w głos, a przy każdej zmianie tragarza wybuchały głośne klótnie. W kłęsce dyscyplina się rozluźnia. Okazywało się to dobitnie z racji tego Smagaczowego karabinu. Cóż zaś było robić? Taki był rozkaz samego kapitana.

Po południu wylegiwaliśmy się przed marszem nocnym. Przy odmarszu kapitan powziął decyzję:

— Oddać Smagaczowi karabin! Ale bez ładunków!

Odtąd Smagacz szedł z karabinem, tyle tylko że na końcu, nie na początku drużyny. Szedł milczący, wytrzymały, spokojny. Inni klęli, pomstowali, złościли się. Franek Smagacz szedł po chłopsku cierpliwy i zamilkły. Szliśmy całą noc, aż do rana, gdzieś do jedenastej. Dano nam postój w jakiejś farmie. Inne baony były w pobliżu. Kwatera generalska była w zamku Combourg, gdzie młodość swą spędził Chateaubriand. Dobra nasza — myślałem; tłumaczyłem tuż przed wojną Maurois o Chateaubriandzie; było tam wiele o Combourg; zobaczę to miejsce. Farmer miał rower i zdawało się, że marzenie o Combourg się spełni. Spełniło się jednak co innego. W pół godziny po przyjsciu na postój poderwano nas znowu do marszu. Kapitan otrzymał rozkazy ze sztabu i był jakiś nerwowy. Przeszliśmy parę kilometrów w spokoju, znowu poczęło prażyć słońce. Chłopi we wsi chowali się do domów na

nasz widok. — Myśla, że to już Niemcy — odgadł ktoś w szeregu. Potem skręciliśmy na inną drogę. Musieli tędy przechodzić bardzo niedawno Francuzi, bo w rowach leżały porzucone karabiny, plecaki, chlebaki, hełmy; plecaki były jeszcze opchane zawartością, nikt nie zdążył ich wypatroszyć. Doszliśmy tak do skrzyżowania, gdy nadjechał goniec motocyklowy. — Z tamtego kierunku też idą już Niemcy — powiedział.

Miasteczko Saint-Dominique de Bretagne, do któregośmy doszli, było wyludnione i nieme. Ale gdy nasza kolumna weszła na rynek, zaroilo się od mundurów, bo każdy z oddziałów rozchodził się w miejscu. Nim do nas doszły rozkazy, widzieliśmy już, co jest. Jesteśmy osaczeni; mamy przedzierać się niewielkimi grupkami czy w pojedynkę; z obu stron wzięły nas w swe kleszcze kolumny zmotoryzowane, prące co sił ze wschodu na zachód, by jak najszybciej uchwycić atlantyckie porty Bretanii. Myśmy byli wzięci w nożyce takich dwóch kolumn. Ale one nie kwapiły się do likwidacji jakichś luźnych oddziałów piechoty i dopiero po paru godzinach mogły się tym zająć. Ze sztabu dobiegł nas tedy rozkaz demobilizacyjny — kto chce, idzie do domu, kto chce, walczy dalej. Potem ktoś na rynku Saint-Dominique zdobył jakąś ciężarówkę i pakowano się do niej bezładnie, potem nadjechała niebacznie inna ciężarówka i niemniej bezładnie pakowali się do niej inni. Potem wyszli z kafejki jacyś opici winem maruderzy francuscy, zwąchali się z naszymi żołnierzami i razem poszli pić. Potem nasi z Francji zaczęli pytać, czy można już iść do domów, na własną rękę. I z rynku z powrotem ku drogom wyciekały bure strumienie żołnierskie, ale już nie w ordynku, jak przedtem, tylko pojedynczymi kroplami, soplami, zaciekami. W pojedynkę i grupami. Był rozkaz, by kierować się na południe, ale oni szli wszędzie. Dowódcy patrzyli na to bezradni.

Po jakiejś chwili przy kapitanie zostało nas może z pięć-

nastu. Mój porucznik, my z Ciemiorem, kucharz, sierżant-szef, jeden z kancelarii, chłopcy z mojej drużyny — niewiele ponadto. Rynek wysącał się już z Polusów. Stawał się tak samo grobowo milczący i czekający w słoneczne południe czerwcowe jak przed naszym wejściem. W nas samych stawała się jakaś pustka. Nie było Francji, nie było już wojny, nie było już i naszej podhalańskiej, narwickiej brygady, był tylko ten nieubłagany, iście wrześnieowy czerwiec i te puste drogi Francji, i te wymarłe oczekiwaniem mieściny bretońskie.

Kapitan postanowił iść na południe, w kierunku Nantes. Poszliśmy jakąś drogą polną na przełaj. Była krótsza i szczęśliwsza, bo spotkaliśmy cywilną ciężarówkę i ta podwiozła nas przez las jakieś trzy czy cztery kilometry do szosy. Poszliśmy nią teraz i szliśmy może ze dwie godziny. Ale byliśmy zmęczeni poprzednim marszem, ci z kancelarii byli starszawi i nie do chodu, toteż koło trzeciej kapitan zarządził postój. Odeszliśmy nieco w bok od drogi i usiedliśmy. Koło nas co kilka minut przepływała masa żołnierska. Byli wśród niej Francuzi, nasi, mundury khaki i błękitne, nasi z drugiej półbrygady i z pierwszej, jacyś gońcy sztabowi, jacyś, których trudno było rozeznaczyć, bo nie mieli ni odznak, ni czapek nawet. Jedni wlekli nogami, zmęczeni, drudzy mieli rozchełstane mundury u szyi, spocone, czerwone twarze, może od słońca, może od wina. Milczeli, wołali, śpiewali, klęli — był to jakiś tragiczny festyn. Mignęły się nam naraz znajome jakby twarze. „Oo, patrzajcie, to nasz kapitan! Panie kapitanie, a kiedy zbiórka? Ho, ho, nie ma już zbiórek! *Fini!*” Kapitan ruszył się ku nim, ale już owe twarze zlały się z innymi, już szli inni, nieznanymi, może z pierwszej, a może z trzeciej kompanii, a może nawet wcale nie nasi. Siedliśmy znowu w milczeniu. Porucznik zauważył coś tylko o Francji, kapitan dołożył swoje, myśmy milczeli. Stawało się mniej gorąco i myśleliśmy, że pod wieczór dobrze będzie nam

ruszyć i że przez noc — był księżyc — zajdzie się daleko. Może za Plélan. Może aż za Rouvers. Tymczasem fala ludzka płynęła dalej szosą, dalej szły krzyki. — Porzucili wszystko, ani jeden nie ma karabinu, ech, ta Francja! — zauważył porucznik. Odruchowo poszliśmy oczyma po drodze. Tak, porucznik miał rację. Karabiny tych ludzi dawno już utkwiły gdzieś w rowie. Nie! — zatrzymał się nagle wzrok — nie wszyscy! Razem z Ciemiorem zauważyliśmy naraz idącego skrajem drogi żołnierza. Musiał być z brygady i miał na pasie karabin. Szedł samotnie. Poznaliśmy naraz podchorążego Smagacza.

— O, to ten Smagacz — powiedział bez respektu jeden z kancelarii.

— Smagacz, Smagacz! — poczęto wołać.

Franek Smagacz odwrócił się od drogi, dostrzegł nas i oczy zadrgały mu niepokojem. Czego jeszcze od niego chca? Stał niezdecydowany. Kapitan nie mówił nic, patrzył się tylko. Milczenie przerwał nagle Ciemior wołając szybko, jakby sobie coś naraz przypomniał:

— Panie kapitanie! Najlepszy moment! Ostatnia chwila! Rozstrzelać Smagacza! Dla przykładu! Dla przykładu! Świetne dla morale żołnierza! Dla przykładu!

Kapitan nie powiedział nic, jakby nie słyszał ani słowa Ciemiora, ani nagłego rechotu podkomendnych. Siedział chmurny i zły. Ale Smagacza zdjął naraz nowy skurcz strachu. Skręcił w miejscu, przeszedł na drugą, dalszą od nas stronę drogi, wmieszał się jakby z ulgą w tłum maruderów francuskich. Posłyszeliśmy głosy wzywające go, by rzucił karabin, żeby robił *comme les autres*. A potem widzieliśmy jeszcze jasne, bardzo jasne, takie niefrancuskie, włosy Franka, jego głowę — i lufę karabinu sterczącą mu dalej zza pleców. I tak nam znikł po chwili w tłumie, w krzykach i kurzu na tej drodze czerwcowej, bretońskiej.

PALIKI

Sierżant Józef Pilecki był pierwszym żołnierzem polskim, który dostał się we Francji do paki — i pierwszym żołnierzem polskim odznaczonym z rozkazu *Résistance*. A jak się to stało, opowiem.

Sierżant Józef Pilecki był starym zawodowym podoficerem Wojska Polskiego, ani gorszym, ani lepszym od kilkunastu tysięcy takich samych właśnie jak on. Z roku na rok i z jesieni na jesień szkolił zawsze w ten sam sposób tak zwany „manszaft” rekrucki, grubociosanych, powolnych chłopaków wiejskich o śpiewnej mowie zza Buga; krępych i szybkich warszawiaków, do objazdki skorych; smętnych Żydków z Mławy i Góry Kalwarii oraz wszelki element dziewiętnastolatkowy, jakim obradzała w owe czasy polska ziemia. Zarządzał alarm i pobudki, uczył sztuki składania munduru „w kostkę”, sadzał do paki i ćwiczył „żabki” — słowem czynił to wszystko, co mu kazano czynić, i od czego, jak zapewniały władze, zależy, jak dwa a dwa cztery, wygranie przyszłej wojny.

Okazało się jednak, że wygranie przyszłej wojny nie zależało ani od umiejętności wyliczania wszystkich cudacznych nazw, jakimi regulamin opatrzył poszczególne części karabinu typu Mauser, ani od szybkości składania munduru „w kostkę”, ani od ilości wyćwiczonych przysiadów. Sierżant Józef Pilecki sam nie wiedząc kiedy i jak, nie widząc Niemca na lekarstwo, pchany z postoju na postój niewidzialnymi, niezrozumiałymi rozkazami, znalazł się po parunastu dniach gdzieś w małowniczych jarach Po-

dola, a potem w ten sam sposób wypchnięty został, nadal nie wiedząc jak, poprzez szlabany graniczne. Falanga generałów, pułkowników i majorów sfrunęła gdzieś dalej, a on osiadł naraz za drutami — co prawda niezbyt srogimi — obozu o szeleszczącej i cudacznej rumuńskiej nazwie.

Teraz dopiero miał nieco więcej czasu na zadawanie sobie pytania: jak to być mogło? jak to się stało? Uczono go przecież — i on potem uczył innych — że wojny wygrywa ta armia, której żołnierz może najwięcej ująć dziennie piechotnym marszem, i że dobry żołnierz to ten, co najpoprawniej salutuje oficera, że czołgi niemieckie są z dykty i nie przejdą po polskich drogach; no — a w drugim dniu wojny angielsko-francuski desant zajmie Królewiec. Po czym po trzech tygodniach lądowano w Rumunii.

Mechanizm sierżanckiej mózgownicy był jednak przez kilkanaście lat służby podoficerskiej nastawiony na wszystko: na kombinacje, na markierowanie, na puc — tylko nie na samodzielne myślenie. I zapewne nie ruszyłyby z miejsca i w tej rumuńskiej Targowiszcie, gdyby nie to, że naraz, całkiem niespodzianie, otworzyła mu się droga do Francji. Wypad do Bukaresztu był jedyną trudnością. Stamtąd ekspresem symplońskim, poprzez rudziejące październikiem winnice Lombardii i śnieg wysoki Szwajcarii zadumany sierżant Pilecki przepłynął bezboleśnie do Francji i wylądował w sercu Paryża, o sto metrów od Sekwany, a mniej niż dziesięć kroków od Luwru. W pięknym hotelu urzędowali już po dawnemu dobrze mu znani półbogowie armii. Wiernego sierżanta powitali łaskawie:

— No i widzicie, sierżancie, wojnęśmy przegrali, ale z siodła nas nie wytrącono i już nas nikt nie wytrąci. Pójdziemy w górę i wy z nami, bo nam ludzi pewnych potrzeba!

Sierżant Pilecki nie pytał, co znaczą te słowa o „siodle”

i co znaczą owe o „ludziach pewnych”, gdyż kilkanaście lat służby nauczyło go sztuki niezadawania pytań przełożonym. Poczekał jeszcze kilka dni w dalekich koszarach Bessières. Do Paryża mało zaglądał — bo po co? I wtedy właśnie zarysował się jego niechętny stosunek do Francji. Palcem nie ruszyli we wrześniu; nie ruszają się i teraz i wszystko im — widać — w głowie, tylko nie wojaczka. A bogate to, bogate — wysnuwały się zdumione refleksje z podróży. — Wino tylko piją — dodawał niechętnie. Warszawy pół spalonej, a u nich na ulicach dziwki w jedwabiach, pachnące perfumami na sto kroków. Jedna w drugą nie gada, ale śpiewa po francusku... Człowiek się czuje jak mucha w mazi — myślał. Na jakiejś wystawie, w lustrze, zobaczył naraz sam siebie. Nie miał jeszcze munduru, tylko to cywilne, „pobierane” ubranie, w jakie zaopatrzone go w Bukareszcie. Cudaczny krawat wypinał się niesforne na ogorzałym, krótkim karku. Z radością lub przynajmniej z ulgą dowiedział się z wieczora w kancelarii Bessières, że jest przydzielony do obozu rekrutacyjnego w Bretanii.

— Phi... Toż kurne chaty u nich, tyle że kamienne! A brud, a gnojówka od progu, prosięta z dziećmi. I to Francja?

Takie były jego odkrycia w pierwsze dni po przyjeździe. Był już w mundurze, dali go do formującej się kompanii, czuł się lepiej. Kompania stała o parę kilometrów od centralnego wojskowego obozu, we wsi, której urządzenia mieszkalne uznał za tak wątpliwej nowoczesności. Do obozu trzeba było stale jeździć, a to po umundurowanie, po dozbrojenie, żywność, dla ewidencji. Obóz położony „na wydmuchu” także nie zaimponował mu.

— W Rembertowie niby też piachy, ale sosny przynajmniej jakie... czy w Dorohusku... albo na Pohulance. Żeby to budynki jak w Ławicy!... Gdzie im do Dęblina!

To, co wzbierało, musiało więc wybuchnąć, i stało się

to nawet bardzo szybko. Oto niedoformowana kompania przemaszerowała do obozu na swe pierwsze strzelanie. Sierżant z kapralem Płońskim i z jednym „na ochotnika” przymaszerowali do baraku H-217, gdzie, w myśl informacji ogłoszonych we wczorajszym rozkazie dziennym, intendentura francuska miała dostarczyć tak zwanych przyborów strzeleckich — tarcz, celów i podobnego sprzętu.

Stawienie się w obozie było wyznaczone na ósmą rano — trzy na ósmą kompania hukając na senne opłotki bretońskie swe sakramenckie: „A czyżeż to imię rozbrzmiewa dziś sławą?” — wkraczała bramą wejściową. Francuzi byli uwiadomieni, niemniej barak H-217 był zamknięty na amen.

Wybiła ósma, przeszło pięć minut, dziesięć, piętnaście. Tam i sam snuli się jacyś Polacy, Francuzi. Sierżant stał u zamkniętych bram baraku niemy od służbowego oburzenia, stałby tak i pół godziny, i więcej, byle hańba spóźnienia urosła jeszcze bardziej. Ale trzeci jego towarzysz — ów „na ochotnika” (zdaje się, był to górnik z północnej Francji, padł potem pod Roulers) — zagadnął któregoś z przechodzących Francuzów: — *L'adjutant?* — Tamten powiedział: — O tej godzinie na pewno jest w messie podoficerskiej. — I dodał tonem usprawiedliwiającym i nader ludzkim: — *Il y boit son vin!*

— Pije swoje wino — przetłumaczył Baćmaga — a tu cała kompania czeka! — I kropnął się na własną rękę do owej messy, skąd po chwili, co prawda niezbyt długiej, wyszedł z krępyim, czarnym, bujnie owłosionym podoficerem, rangi znanej w armii francuskiej jako *adjutant*.

— Karakon — określił go sobie sierżant.

Wino podawane w kantynach podoficerskich armii francuskiej owej jesieni 1939 r. nie musiało posiadać waleńców wzmacniających energię, bo i teraz Karakon nie okazał nadmiaru pośpiechu. Mruknął coś do Polaków, po czym znikł za sąsiednim barakiem i dopiero po dobrych

pięciu minutach przydrałował z jakimś ospowatym pomocnikiem. Mocowanie się z kłódkami i ryglami składu potrwało też swoje, aż wreszcie otworzyły się magazynowe czeluście wiejąc powitalną stęchlizną. Baćmaga służył za tłumacza. Francuz miał zresztą rozkaz, a w tym rozkazie była wyraźnie „godzina ósma”, czym jednakowoż i nadal nie zdawał się przejmować. Pogmerał w jednym kącie, w drugim — wreszcie wyniósł z trzeciego kilka wysokich na metr siedemdziesiąt palików.

— Raz, dwa, trzy, cztery — policzył uroczyście i podsunął gruby zeszyt — podpiszcie się tu.

— To jest sprzęt strzelecki? — zdumiał się sierżant.

Baćmaga posłużył za tłumacza. Karakon oświadczył, że tak.

— Tarcze z papieru samiście sobie powinni porobić i na tym umieścić, my dajemy tylko te kołki. Dla was i to dobre, kwitujcie i wynoście się — podsunął zeszyt sierżantowi.

Baćmaga, dyplomatycznie, nie przetłumaczył ani „dla was dobre i to”, ani „wynoście się”, zwłaszcza że to ostatnie było powiedziane znacznie, ale to znacznie dosadniej. Ale sierżant wyczuł ten nastrój i dopowiedział sobie te pominięcia. Przez chwilę stał bezradny.

— Że jak? — zapytał.

Karakon, któremu spieszno było do kantyny, rozzłościł się.

— Tu niech podpisze, tu — wskazywał z pasją jakąś rubrykę. — Że wzię! A co wy myślicie? Darmo wam to dajemy? Niczego darmo tu nie dostaniecie. Za to wszystko wasz rząd będzie płacił naszemu po wojnie! Płacił! Płacił!

Sierżant zakręcił się w miejscu.

— Wracamy do kompanii! Nic nie kwituję, sami sobie lepsze zrobimy — zadecydował. — W tył zwrot!

— Panie sierżancie, co mam mu ano powiedzieć? —

pośredniczył dyplomatyczny Baćmaga. Karakon bowiem ujrzawszy polski odwrót okazał niepokój. Ostatecznie miał rozkaz wydania owych palików; ci odchodzą bez nich; może pójdą na skargę?

Ale interwencja przyniosła niestety najbardziej opłakane wyniki.

— Powiedz mu — huknął sierżant Pilecki — niech mnie pocałuje w d..., a rząd polski za to g.... płacić im nie będzie!

Gdyby Karakon nie rozumiał ani słowa po polsku, to z samego tonu i głosu zrozumiałby, że odpowiedź polska nie miała w sobie nic szczególnie ponętnego. Ale traf chciał, że Karakon był rodem z Korsyki i jak wielu z rodaków Napoleona służył ongi w francuskiej policji. Ta ostatnia miała dużo do czynienia z cudzoziemską imigracją robotniczą — Włochami, Czechami, Polakami, Hiszpanami, Serbami, często niespokojnym elementem. Stąd, mówiąc językiem oficjalnym, dla policji francuskiej zaistniała potrzeba zaznajomienia się z zasobem wyzwisk i obelg, jakimi owi cudzoziemscy robotnicy mogliby w razie zatargu dopuścić się przestępstwa tzw. obrazy władzy. Rzecz prosta, że jędrna mowa polska uzyskała w owym policyjnym słowniku jedno z poważniejszych miejsc, a Karakon miał już może z nią do czynienia, bo wybuchnął:

— Ty mnie d..., ty mnie g.... — ryczał po francusku, wykrzykując triumfalnie (no i zdumiewająco poprawnie) rzeczowe polskie słowa. — Ty mnie d..., ty mnie g.... — powtarzał, żeby przeciwnik nie miał żadnych złudzeń, że w tym wypadku on, Karakon, nie ma najmniejszej potrzeby uciekania się do przekładu Baćmagi.

Wszystko to działo się już nie w stęchłych czterech ścianach baraku H-217, ale na zewnątrz, a kamienne schody wyjścia tworzyły dla skeczu „Przyjaźń polsko-francuska” znakomitą, wzniesioną wysoko scenę. Głos rozchodził się tu szeroko — godzina była blisko dziewiąta rano — toteż

w obszernym obozie audytorium było zapewnione. Było ono nawet nadspodziewanie świetne, o czym zresztą nie wiedzieli ani sierżant Pilecki, ani Karakon. Oto ubiegłego dnia pociągiem pośpiesznym Paryż—Brest zjechała cała mieszana ekipa wojskowa polsko-francuska właśnie dla spraw związanych z tworzeniem nowej armii. W Rennes odczepiono ich wagon, w Guer zjedli śniadanie — i właśnie dowiezieni autami do obozu postanowili przejść się po nim, jakby w trafnym przeczuciu, iż taki spacer da im odpowiedni wgląd w warunki polsko-francuskiego współżycia.

Francuscy członkowie misji nie wydali się zbyt przejęci zajściem. Polscy za to zawrzeli w gorliwości.

— Mąciciel odwiecznej przyjaźni polsko-francuskiej zostanie przykładnie ukarany! — zdecydował generał Wszędo-Właziewicz chcąc wyrokiem nadrobić własne zalety. Jeszcze pół roku temu mawiał przecież, że najlepszym żołnierzem w Europie jest żołnierz niemiecki, a Francja to zgniłe łajno.

I tak sierżant Pilecki otrzymał cztery tygodnie ścisłego aresztu, zredukowanego potem za wstawieniem się Francuzów i „przez wzgląd na dotychczasowy nienaganny stan służby” do dwóch. Mógł w ciągu nich rozmyślać gruntownie nad tym, do jak smutnych wyników prowadzi nadmierna a niepowołana dbałość o wojenne zadłużenie Skarbu Państwa.

*

W jakiś czas potem sierżant Pilecki wraz z kilkunastu tysiącami jemu podobnych miał poznać z kolei innego alianta Rzplitej, aczkolwiek już nie od strony jego więzień. Być może, że nie okazywał wtedy owej przesadnej dbałości o przyszłe długi wojenne swego rządu, być może także, że sprzęt dostarczany przez władze Jego Królewskiej Mości był lepszej jakości od tego, jaki ongi wydawał Karakon. Z tym sprzętem zapoznawał się długo, bardzo dłu-

go, i smutne wspomnienia francuskie zdołały wywietrzeć mu już ze łba, kiedy o świcie pewnego lipcowego poranka. latem 1944, lądował wraz z całą polską dywizją pancerną na zrytych, wydeptanych, zawalonych ludźmi i żelazem plażach normandzkich Avromanches.

Rozpoczęły się walki pod Caen, a potem pod Falaise. Dwóch polskich pułkowników padło na czele swych pułków; ussarsko i szwoleżersko pojęta szarża czołgów gołym polem za Caen skończyła się rzezią i wśród pól pszenicznych płonęły jak słupy ogniste — poszlachtowane polskie czołgi. Rozeszła się wieść, że noszenie monokla przynosi nieszczęście, toteż pewien kawaleryjski pułkownik, który takowy dotąd nosił, schował go teraz do kieszeni, a pewien wachmistrz, ongi z Legii Cudzoziemskiej, który nie nosił go nigdy, teraz go nałożył. Nasz sierżant znalazł się w zgrupowaniu, które, wysłane pod Chambois, trafiło dzięki swemu dowódcy pod Champeaux — i w samo serce Niemców. Ale koniec końców to Polacy zamknęli worek, w który wspólnymi alianckimi siłami wtłoczono niemieckie dywizje drałujące z zachodu do Vaterlandu, i na ich karkach ruszono naprzód.

Bywa tak, że o jednych głupich paręset metrów frontu tłuką się tygodniami dywizje, a bywa potem i tak, że cały front pruje się naraz i drze sam, od końca do końca. Tak się właśnie owej jesieni 1944 pruć zaczął we Francji. Z łoskotem czołgów, zgrzytem gąsienic, dudnieniem ciężkich dział, walono drogami i drózkami Normandii, byle do Belgii, byle nad Ren. Opór był stawiany, ale pryskał. Zaraz po każdym takim pryśnięciu zza chałup, zza domów, z ogrodów, z sadów i rowów wylaziły sinozielone szkopy, jak raki szerokim zaczerpnięte sakiem. Szło to teraz niepewnie, jakby chwiejąc się na nogach, ugięte w kolanach, z gołymi głowami, rozglądając się lękliwie. Grube, czarne czołgi czekały na nich dysząc motorami. Prędzej! prędzej!

Było jasne sierpniowe popołudnie, na szosie za Rochesur-Yon. Trzy czołgi sierżanta Pileckiego właśnie otworzyły ogień na sad. Posypały się czerwone jabłka — a spod jabłoni popowstawało z pół kopy blondasów. Stali rozglądając się. Zza domów wsi, za plecami czołgów, poczęli wyzierać Francuzi. Wyrastki.

Sierżant Pilecki wychylił się z czołgu i dał znak ręką. Niemcy zrozumieli. Z podniesionymi rękami poczęli iść gęstą trawą sadu do szosy. Za czołgami z domów powychodzili Francuzi.

— Prędej! — zahuczał sierżant. — *Schnell, schnell!* — wołał. — *Komm, komm!*

Niemcy poruszali się raźniej. Pewniej już doszli do szosy. Dochodząc przeskakiwali rów i stawali w szeregu. Czołgi odruchowo pozniżały wyloty biz.

— Panie sierżancie? — zagadnął radiotelegrafista.

— A co takiego?

— Tu jest Francuz jeden, z *Résistance*. On chce do dowódcy... do pana sierżanta.

— To spytaj go, czego on chce — zbył go sierżant Pilecki. I naraz — może, że to było pierwsze teraz spotkanie z Francuzami? — przypomniał mu się Karakon.

— On mówi, żeby uważać, bo tu wszędzie są jeszcze Niemcy, po lasach, ogrodach... w zbożu, gdzie nie zebrane, siedzą. On mówi, żeby uważać, bo wy, mówi, walicie naprzód, a na waszych tyłach...

Jakby na potwierdzenie bzyknęły skądś strzały.

— A czemuż oni, owa ich *Résistance* nie wali nic? Który to z nich — no? Czemu siedzą tylko za chałupą? No?

— Broni nie mamy — rzekł Francuz po angielsku. — *No arms* — powtórzył. — *No guns*.

— *No guns?* — spytał sierżant Pilecki. — *No arms?* Chcecie *guns*, chcecie *arms?*

I poderwało go.

— Ratajski! — zawołał do radiotelegrafisty. — Rataj-

ski! Co jest, do cholery? Gdzie te szkopy podziały swoją broń? Czemu przyszły bez broni? Niech idą z powrotem, takie syny, i żeby mi się bez broni nie pokazywały!

— *Waffen* — przypomniał sobie nagle. — *Mauseren? Wo sind Mauseren? Bringen! Sofort! Zurück! Weg!*

Ostra, poznańska niemczyzna Ratajskiego nadawała tej komendzie cechy zgoła naturalne. Niemcy, speszeni, jeden przez drugiego, jakby dla zabawy jakiejś, poczęli przesadzać rzadki żywopłot, który odgradzał drogę od sadu. Po czym rozchodzili się brodząc w gęstej trawie, wśród białych pni jabłoni. Goniło za nimi niemieckie ujadanie Ratajskiego, nie wiedzieć czemu, dla fantazji widocznie, przeplatane i polskim przekładem:

— Każdy jeden aby mi ze swoim giwerem *sofort* cumaszerował! Porzundek, że zaś aby, *Ordnung*. No, *schnell, schnell!*

Z drogi Polacy i Francuzi gapili się na dziwne widowisko. Niemcy, przeprowadzani hukaniem Ratajskiego, brnęli w trawach sadu nachyleni, jakby w grzybobraniu jakim. Co chwila poniekiedy schylał się, podnosił coś i zawracał ku drodze. Szedł wtedy śpiesznie, aż przesadziwszy żywopłot i rów stawał niepewny na skraju asfaltu.

— *Hier* — wołał wtedy Ratajski — *hier!* — i wskazywał miejsce na szosie tuż przed czołgiem sierżanta Pileckiego.

— *Hier* — powtarzał tamten. Wówczas Niemiec zniżał się, kładł coś i odchodził. Francuzi postawali na palcach. Poszedł po tłumie szmer:

— *Des armes!*

Coraz więcej Niemców wracało z sadu. Coraz więcej broni gromadziło się przed czołgiem, tworząc niemały stos. Oczy Francuzów patrzyły pożądliwie. Wreszcie ostatni Niemiec złożył ostatni pistolet automatyczny i ustawił się składnie w szeregu.

— Licz — rzekł Pilecki.

Ale Ratajski już był zliczył i nie było z tym żadnych kłopotów. Tedy sierżant Pilecki obrócił się do tłumu. A już wyległa była cała wieś.

— Kto tu jest z ramienia *Résistance*? Ratajski, tłumacz!

— *C'est moi* — wysunął się jakiś młodzik.

Sierżant Pilecki popatrzył z góry wieży czołgowej (ach, z jakże wysoka patrzy się wtedy na świat!) na szczupłego, dość wysokiego Francuza, dziwnie po słowiańsku płowowłosego, jasnego. Ten zrobił na nim dobre wrażenie. Niemniej sierżant zapytał jeszcze.

— A mera tu nie ma?

— *Maire! Monsieur le maire! On vous cherche, Monsieur le maire!* — zapiszczała ludność.

— *C'est moi!* — zadeklarował na poły dostojnie, a na poły niepewnie gruby, ciemno ubrany jegomość, który już już rozwarł tłuste, karpie wargi celem dłuższego przemówienia.

— A proboszcz? — przerwał mu sierżant.

Okazało się, że proboszcza nie było, ale parę ofiarnych dewotek pognało w stronę kościoła. Tymczasem zachrobotło radio na pułkowej sieci. Sierżant podał szyfrem miejsce, gdzie stanął pluton, ilość jeńców, szczegóły terenowe. Po chwili radio odchrobotowało podobnym szyfrem.

— Halo! halo! „Paweł cztery”, czy mnie słyszycie? w lewo od was „Jany” zatrzymane. Stać w miejscu, czekać dalszych rozkazów. Nie wysuwać się poza „Kobyłę”.

— Dobra — zdecydował sierżant. Wiedział, że nie ruszą przed pół godziną.

Na drodze, w spiece sierpniowej, pot oliwił się na czernionych, opalonych i odsłoniętych czołach Niemców. Czarny tłum francuski rechotał z zadowolenia. Coraz to który pomykał do domu, by wrócić z koszami owoców, butelkami wina, osełkami masła, jajkami owiniętymi w barwne chusty. Normandia była bogatym krajem.

— Ech! żeby my to tak w Polsce — ktoś westchnął w drugim czołgu.

Tymczasem przydrałował proboszcz, szczupły, siwy, zaschły, w wytartej na glanc sutannie. Już z drogi podniósł rękę do błogosławieństwa. Ale sierżant zatrzymał ją tak, jak przedtem otwierające się już do oracji karpie wargi mera.

— Niech ci trzej przyjdą tutaj — dał znak ręką.

Za sprawą łamanej francuszczyzny Ratajskiego mer, ksiądz i członek *Résistance* podeszli do czołgu dowódcy. Stopami dotykali stosu broni.

— Teraz, Ratajski, tłumacz im, ale wolno, aby skapowali, co aby powiem, a nie opuść nic, bo wszystko ważne jak w rozkazie.

W słońcu sierpnia, opodał normandzkich jabłoni i grusz, tłum francuski i jeńcy niemieccy nasłuchiwali.

— Ta broń — sierżant wyciągnął rękę w dół przed siebie — została zdobyta na Niemcach.

Urwał — i zatrzymał się na chwilę. W ciszy wyczekiwania, jaka nastąpiła, rozszalały się świerszcze po rowach.

— *Ces armes* — dukał Ratajski — *ont été prises aux Allemands...*

Sierżant odczekał nową chwilę, widocznie niepewny, czy Ratajski zdołał przełożyć wszystko. Pot na ogorzałych czołach Niemców zalsnił jeszcze tłuszciej; erkaemy świerszczów podjęły w trawie swe długie serie.

— Została zdobyta — głos sierżanta zawahał się i podniósł się — przez nas, polskich żołnierzy.

Milczenie nie zdążyło zapaść, a świerszcze się rozćwierkać, kiedy już grzmiał pewniejszy siebie dyszkant Ratajskiego:

— *Elles ont été conquises* (tak, owo *conquises* wyglądało znacznie eleganciej) *par nous, soldats polonais.*

Usłyszawszy *polonais*, sierżant dorozumiał się, że Ra-

tajski dotarł już do końca tłumaczenia, wpadł więc wprost w jego słowa:

— Broń ta stanowi zatem, jako zdobycz wojenna, własność polską, własność Państwa Polskiego, własność polskiego skarbu.

Francuzi zakręcili się niespokojnie.

— Jednakowoż — ciągnął powoli sierżant wyprostowany w wieży czołgu jak na trybunie — jesteśmy gotowi przekazać ją kierownikom Ruchu Oporu w tutejszej miejscowości, a to pod dwoma warunkami...

Szyje wyprężyły się zainteresowaniem:

— Oba te warunki — muszą być przyjęte, potwierdzone na piśmie i poręczone przez przedstawiciela Ruchu Oporu, dalej przez miejscowego mera, wreszcie przez proboszcza...

Proboszcz pokiwał tu głową, jakby z góry odpuszczając jakieś pomniejsze grzechy. Mer jednakowoż skrzywił się w wątpliwościach. Nigdy przecież nie miano się dowiedzieć, jakiego były rodzaju, bo w tej chwili sierżant wtrącił szybko i ostro, że w razie odmowy nie zobaczą ani giberu, i odpowiedź ta w jędrnym tłumaczeniu Ratajskiego tak poruszyła tłum, że mer nader pośpiesznie wyraził swą niezwykłą, acz nagłą gotowość do zaręczenia wszystkiego, co by od niego żądano.

— *Les conditions?* — niecierpliwił się młodzik z Ruchu Oporu.

— *...sont les suivantes* — tłumaczył za sierżanta Ratajski. — *Ces armes ne serviront que contre l'envahisseur étranger...*

Młodzik z Ruchu Oporu dość poniewolnie przytwierdził zgodę, natomiast mer przyjął warunek z widocznym entuzjazmem.

— ...drugim warunkiem jest, iż broń ta zaliczona będzie na poczet długu wojennego Francji wobec Państwa Polskiego...

Tu mer i proboszcz zdali się chwilę rozmyślać, ale szybka zgoda młodzika pociągnęła i ich.

— Akt żeby mi był spisany, i to prędko, zaraz — zagrział na zakończenie sierżant Pilecki.

— *On y va!* — zakrzyknął mer, rad, że zacznie urzędować.

I w trójkę z proboszczem i człowiekiem z *Résistance* podrałowali ku urzędowi gminnemu.

W tempie przynoszącym niewątpliwie chlubę biurokracji francuskiej przynieśli żądany akt. Ratajski odczytał go, sierżant wysłuchał z uznaniem, a gdy tamci podpisywali kolejno, opierając się o blachy czołgu jak o pulpit, upomniał się jeszcze:

— Sporządźcie mi kilka takich aktów... z pięć... z dziesięć... kopie. Ale bez wymienienia miejscowości ani nazwisk... Okienko na wyliczenie uzbrojenia... Formularze... Rozumiecie?

Mer okazał raz jeszcze jeden wysokie uzdolnienia biurokracji francuskiej. Tymczasem jeden po drugim pistolety automatyczne, karabiny, rewolwery oficerskie przechodziły, wyliczane kolejno, z żołnierskich rąk polskich w ludowe francuskie. Słońce już się zniżało za grusze na skraju, gdzieś z lewa jakaś seria cekaemów rozśpiewała się ujadaniem, świerszcze witały tryumfalną kapelą dozbrajanie Francji. Stali jeszcze chwilę, aż zadzwieczało radio i czołgi zgrzytając potoczyły się naprzód.

*

Była o to, ale już w Belgii czy Holandii, wielka kwestia wniesiona przez wysokie i najwyższe sztaby brytyjskie, że Polacy broń zabraną Niemcom, a więc wojenną i prawną zdobycz a własność Jego Królewskiej i Brytyjskiej Mości, rozdawali francuskiemu motłochowi, czym niewątpliwie wyrządzili uszczerbek brytyjskiemu (i tak już nadszarpiętemu mocno) skarbowi...

— Jak to — zakrzyknęli jednak Polacy — a kto zdobył tę broń, wy — Anglicy, czy my — Polacy?!

Sprawa tak postawiona wlokła się po biurach i urzędach przez długie miesiące, z szukaniem winnych, co nie byli winni. Ale sam przedmiot sporu, zdobyta broń, już rozplynęła się była we Francji i w tym czasie przeważnie gdzieś nad Renem lub Mozą garbowała skórę niemiecką. Przecież koniec końców przyszło wreszcie jedynie życzenie i upomnienie wystosowane pod adresem polskiego sierżanta Pileckiego, aby jednak pamiętał, iż prawo międzynarodowe zakazuje rozdawania zdobyczej broni ludności tubylczej, aby zatem w przyszłości itd. Polski sierżant Pilecki przyjął ów akt do wiadomości, a nawet obiecał sołennie dostosować się do zawartych w nim żądań. Było to może dlań o tyle łatwe, że w chwili gdy mu ów akt doręczono, znajdował się już ze swym oddziałem od pięciu dni na terytorium... niemieckim.

Dzieje samodzielnej akcji polskiego sierżanta dotarły jednak i do francuskiego sztabu, budząc tam zresztą odmienne od brytyjskich refleksje. Pisanina trwała tam też dosyć długo, tak że dopiero na wiosnę, pod koniec kwietnia 1945 roku, coś właśnie koło Wielkiej Nocy, sierżant Pilecki został wezwany służbowo do zniechęconego dotąd Paryża.

Ów Paryż był całkiem inny niż wtedy, w roku 1939. Może dlatego, że wtedy była jesień, a teraz wiosna, a może dlatego, że wtedy był przedmrok klęski, a obecnie przedświt zwycięstwa. Ludzie byli gorzej, znacznie gorzej odziani, jeść nie było co, twarze jakieś wychudłe i blask niezdrowy w oczach, ale teraz ten Paryż wydał się polskiemu sierżantowi jakiś znacznie bardziej sympatyczny. Widział go zresztą wyjątkowo dobrze. Stał bowiem wysoko pod samym Łukiem Tryumfalnym, u stóp rzeźby z wiarusami napoleońskimi, w jednym szeregu z kilkunastoma Polakami z dywizji pancerniej, udekorowanymi

teraz francuskimi odznaczeniami za kampanię normandzką. Pierwszy w rzędzie stał jego generał, zaraz dalej stał major Michał Gutowski, nieco dalej daremnie usiłował wciągnąć k'sobie brzuch najgrubszy adiutant Armii Polskiej, porucznik Jan Tarnowski. Słowa ostrej, rwącej komendy, łoskot przyciąganych karabinów — poleciały olbrzymim placem tak składnie, że nawet sierżant Pilecki nie mógł tu Francuzom niczego zarzucić. Dźwięki obu hymnów buchnęły ze srebra orkiestr w to kwietniowe, rześkie powietrze, niczym dwie łopoczące skrzydłami, nadziejne eskadry gołębi.

Były tak gołębne, że sierżant Pilecki, całkiem nieprzepisowo, podniósł nawet głowę. A gdy ją podniósł, zagapił się na Paryż. Było na co. Ulice, szumiące zielenią bardzo świeżych pąków, podbiegały pod wzgórze Gwiazdy i Łuku, Luwr daleko ginał w najczudniejszej błękitnej mgłę, wiatr bił świeżą młodością, zimną, jak kąpiel mocną. Niebieskie, mazowieckie oczy sierżanta pobiegły po wysokim, tuż nad nim żlebie Łuku Tryumfalnego. Pięły się po nim i nad nim jakieś litery, nazwy, nazwiska. Czekał, aż barwna wstążeczka spocznie mu na battle-dressie, sierżant chwycił wzrokiem i czytał owe litery... Jedne brzmiały mu obco... Valmy... Jemappes... Duroc... Davout... Masséna... Ale inne wydały się jakby znajome jakież: ...Ney... Saragosse... Austerlitz... Potem naraz stały się bardziej znajome... Aż zabiło mu serce. Czytał teraz, wyraźnie całkiem, na murze francuskiego Łuku... Pułtusk... Zaionczek... Dombrowski... Poniatowski... Somosierra... Potem ktoś przed nim stanął i zagadał w owej niezrozumiałej a pięknej mowie, ktoś go całował w oba policzki wygolone na rumianą gładkość, błyskały jakieś magnezje kinowców i warczały jakieś filmowe aparaty. I wszystko to naraz pomieszało mu się w głowie w jeden francuski cocktail. Był więc ten Łuk i sierpień normandzki, zła bretońska jesień i dwa Paryże; i naraz czarne wąsy Karakona i zatęchły barak H-217,

i cztery, nie wiedzieć skąd wypadłe paliki, paliki, paliki. Pełno palików! — Paliki — powtórzył sam do siebie. — Paliki! — olśniło go — bez nich nie byłbym tutaj!

I kiedy zadzwieczał raz jeden jeszcze polski hymn narodowy, sierżantowi wydało się naraz, że wcale nie zagrała go postawiona tam niżej orkiestra. Oderwał się on chyba od owych ścian wysokich nad nim, od owego muru sławy, na którym obok nazw i nazwisk francuskich, hiszpańskich, włoskich, arabskich, niemieckich winkrustowały się krwią dawną swojskie i polskie. Albo takie, które od polskiej tam krwi kiedyś przelanej polskimi się potem stały. — Hymn wznosił się nad miasto, popłynął zwycięsko i wolno środkiem Pól Elizejskich, wkroczył korną modlitwą w ciemń Notre-Dame, owiał Wyspę Św. Ludwika i ciemny Hotel Lambert, aż zagubił się w małych uliczkach za Sekwaną, na Taranne, na rue de la Seine, du Dragon, gdzie wlokły się kiedyś skłócone lata emigranckiej biedy.

I po raz pierwszy sierżant Pilecki pomyślał wtedy sobie, że ten cały Paryż jest jednak bardzo piękny — i polski.

OPOWIEŚCI SZKOCKIE

TROSKI SZKOCKIEGO FRONTU

Ten podchorąży zamelduje się u nas jutro — informował adiutant.

— Ach — powiedział pułkownik — po co go nam z Edynburga posłano? Co to za nowe pomysły?

Adiutant milczał przez chwilę dostatecznie długą, aby podkreślić pewną powściągliwość w stosunku do opinii wyrażonej przed chwilą przez jego szefa.

— Przecież potrzebowaliśmy tłumacza...

— No tak, no tak. Ale w takim razie najlepiej oficera, a jak nie mają jakiego pod ręką, to zwykłego szeregowca. Jako telefonistę. Przez majora porozumiemy się jakoś po francusku.

Adiutant pomyślał, że francuszczyzna majora była mniej więcej taka jak polszczyzna brytyjskiego oficera łącznikowego przy sztabie polskim, to znaczy pełna najlepszych chęci i nader nikłych wiadomości. I przypomniał o tym pułkownikowi.

— Dobrze już, dobrze — powiedział pułkownik. — Ale co to za jeden? Pewno z rezerwy...

— Z rezerwy...

— Otóż to właśnie — jęknął pułkownik głosem wyrażającym: „A co, nie mówiłem?”

Adiutant uśmiechał się dyskretnie. Major, który wszedł właśnie w tej chwili, słuchał w grobowym milczeniu.

— I co jeszcze? — pytał zgnębiony pułkownik.

— I doktor.

— Do sanitarki go dać — bronił się major.

Adiutant sprostował ściśle:

— Doktor praw. Praw i filozofii.

— Praw i filozofii — powtórzył pułkownik.

— Praw i filozofii — zawtórował major.

I spojrzeli po sobie.

— Ano cóż, trudno. Podczas wojny trzeba się spodziewać wszystkiego.

Jedynie generał wróciwszy z inspekcji ucieszył się bardzo.

— Tego właśnie było potrzeba — orzekł. — Zna angielski, studiował w Oksfordzie, prawnik, filozof, zapozna nas w wolnych chwilach z całokształtem spraw angielskich. Tak, moi panowie. Grywacie w bridża, jeździecie na polowania, robicie wypadki do miasta, czas trwonicie. Poznacie naszego sprzymierzeńca.

Kiedy nazajutrz zameldował się nowoprzydzielony, generał rzekł mu:

— Mówiono mi dużo o panu. Mamy wolne wieczory, podczas których moi oficerowie czas trwonią i bardzo żałują, że brak im ukochanej przez nich możliwości studiów, nauk... Trudno już w ich wieku uczyć się języka, a w każdym razie nie opanują go tak dobrze, aby mogli czytać rzeczy mniej pasjonujące niż Conan Doyle... Otóż mam nadzieję, że pan...

— Rozkaz, panie generale...

— Bez rozkazu, bez rozkazu... Ja, panie, na codzień człowiek prosty. Ale może wieczorami będzie nam pan coś niecoś mówił, opowiadał... Jak to tu w ogóle... No, rozumie pan przecież, o co chodzi... Więc może od dziś wieczór... Tak o dziewiątej...

Rozpakowując swe nieliczne graty w ciasnym mansardowym pokoiku pod strychem, podchorąży rozmyślał nad tematyką zainteresowań sztabowych. Czy chodziło o literaturę, czy o muzykę? O zawile sprawy polityki brytyj-

skiej czy o widoki na przyszłość? O blokadę czy o „nowy ład”?

Ale dopiero wieczór miał przynieść odpowiedź na te wszystkie wątpliwości.

Generał nie omieszkiał wykorzystać tak pięknej okazji dla niewielkiego, bo niespełna półgodzinnego speechu.

— Panowie — oświadczył między innymi — cieszę się, że znalazłem nareszcie sposób na oderwanie was od rozrywek w rodzaju bridża i pokera i na zaspokojenie waszej żądzy wiedzy o Anglii. Podchorąży, który w życiu swoim przestudiował więcej doktryn, niż myśmy widzieli awansów, jest do waszej dyspozycji, jeśli chodzi o wiedzę o Wielkiej Brytanii. Wiem, jak was te sprawy obchodzą; wiem, jak trudno wam było do nich dobrać. Teraz jest najlepsza okazja do otrzymania odpowiedzi na dręczące nas wszystkich pytania.

Tak odbyło się owo skromne zagajenie. Podchorąży, niewinna ofiara, siedział na brzegu krzeselka. Grono wyższych oficerów, ugrzęzłych w głębinach foteli klubowych, słuchało oracji w grobowym milczeniu, rozmyślając nad rajem utraconym zielonego stolika.

— A teraz do pytań, panowie, do pytań! do pytań! — zachęcał generał, jakby chodziło o start do biegu na przelaj.

Nikt jednak nie wystartował. Panowało jakby umowne milczenie. Tyle razy w ciągu owych miesięcy zastanawiano się nad przeróżnymi rzeczami w tym kraju; teraz wobec rozwartego Sezamu jego tajemnic nikt się jakoś nie kwapił, żeby wejść do środka.

— Naprzód, moi panowie, odważnie! — zachęcał generał, jakby chodziło co najmniej o skok z samolotu. — Nie należy się wstydzić żadnych pytań, pytać wprost o to, co was w życiu najbardziej uderzyło, zastanowiło. No, no, zaczynajmy. Pułkownik jest jakiś zamyślony?

— Ja — powiedział pułkownik, który wiedział, że prawo starszeństwa rangi da się teraz dotkliwie odczuć — ja, ja bym się chętnie dowiedział czegoś o tych, no, tych różnych napojach brytyjskich. Te dziwne ich wina jakież. Albo ta ich tam whisky. Pije się to, pije i nic się o tym nie wie. Bardzo nieprzyjemne.

— Oto piękna odwaga — pochwalił generał. — Mówić śmiało, otwarcie, co kogo najbardziej interesuje. I tak nikt nie uwierzy, aby głównym zainteresowaniem panów było malarstwo Burne Jonesa albo poglądy fabianów. To zresztą są i tak pięknoduchostwa nieprzystojne oficerom. Zasady angielskiej *chasse à courre*, wysokie zalety golfa, właściwości brytyjskich trunków i obyczaj klubowy — oto co prawdziwy polski oficer winien przynieść ze sobą do kraju z pobytu w wielkim świecie anglosaskiego Zachodu. Niech ci w kraju nie mówią potem, żeśmy na próżno tu sterczeli.

I zwrócił się do podchorążego:

— No, panie drogi, jakżeż to jest z tymi napojami brytyjskimi? To sherry, to porto, to whisky.

— I co oni pili w przeszłości — dodał kapitan, który miał szacowną skłonność do historycznych dociekań.

— Cóż mogli pić w przeszłości — zareplikował major, który uważał zainteresowania tym, co było, za zupełnie zbędne. — Tak jak my. Oni pili whisky, myśmy pili wódkę. Tak było zawsze i tak zawsze będzie.

— To nie jest zupełnie tak — powiedział podchorąży — raczej to było zupełnie inaczej. Jeśli panowie pozwolą, to opowiem o historycznym rozwoju picia w kraju czerwonego Lwa i białego Orła...

— Oto sposób naukowego ujmowania zagadnień — pochwalił generał — w ten sposób dowiemy się nareszcie, który król wprowadził w swym królestwie whisky, a który nauczył się rozpajać swój naród wódką.

— We wczesnej historii Szkocji i Anglii jak też we

wczesnej historii Polski — zaczął wyklądać podchorąży — nie pito żadnych win, nie znano wódki, nie było whisky...

— To jakżeż oni żyli? — zmartwił się major.

— Może jednak coś tam było — pocieszał pułkownik — tylko że teraz o tym zapomniano?...

— Przeciwnie — mówił podchorąży. — Opisy biesiad sprawiały kronikarzom owych czasów tyle samo radości, co opisywanie bitew, i mamy dokładne menu z przyjęć wydawanych przez Bolesława Chrobrego, gdy go odwiedził cesarz Otto, a tak samo i z uczt niejednego ze średniowiecznych władców Szkocji. Mnich-kronikarz zapisał wszystko.

— Dobrze, że sobie przypomniałem — przerwał generał. — Właśnie miałem poprosić księdza kapelana, aby pisał dzieje naszej formacji od dnia jej przybycia... Jak to dobrze robi uczyć się historii...

— Napoje pite wówczas w Szkocji i w Anglii to były jakieś gatunki niedofermentowanych piw i jabłeczników. W Polsce także występowało piwo, co stwierdzili nawet niechętni nam kronikarze niemieccy z XI wieku. Ale głównym trunkiem Polaków średniowiecza, tu bodaj nie znanym, był miód. Sycony miód sfermentowany, jako napój; po kilku latach nabierał ogromnej siły. Odznaczał się tym, że nie uderzał do głowy, lecz szedł w nogi. Po kilku szklanicach bohater nie mógł się ruszyć z miejsca.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy pojawiło się whisky. Jego pierwotna celtycka nazwa dowodziłaby, że sięga niepamiętnych czasów. Ale to nie jest jasne. Co do win, to dopiero w średniowieczu rozwój handlu zamorskiego nasycił królestwo angielskie winami z Południa. Były to zwłaszcza wina francuskie. Wprowadziła je polityka...

— A to jak? — zdziwił się generał.

— Tak, że królowie angielscy trzynastego i czternastego wieku byli jednocześnie książętami wielkich księstw len-

nych we Francji, jak Normandii, Langwedocji, Gaskonii — i ulegli, podobnie jak Anglia ówczesna, wpływowi bogatej Francji. Język francuski rozbrzmiewał na dworze Plantagenetów, a wina francuskie przepływały się przez Kanał. Gdyby nie Joanna d'Arc, zapewne nigdy by tu nie słyszano o żadnym porto ani sherry, a tylko o armaniakach, burgundach...

— Joanna d'Arc? — ożywił się kapelan.

— Na nieszczęście win francuskich, kultury francuskiej, a może i polityki europejskiej Anglicy zostali wygnani z Francji przez tę świętobliwą, ale niezbyt przewidującą kobietę...

— Panie podchorąży...

— Ma rację — powstrzymał kapelana generał — bo w rezultacie mamy w Paryżu Hitlera.

— W sto lat później zanosilo się bardzo na to, że wino hiszpańskie zdobędzie sobie Anglię. Król hiszpański Filip II był mężem angielskiej królowej Marii, a gdyby „wielkiej armadzie” udało się dokonać inwazji, może by południowy xeres, to jest sherry, wcześniej zawładnęło tymi ziemiami. Ale wojny z Francją i wojny z Hiszpanią utrudniły pokojową ekspansję win znad Loary i znad Gwadalkiwiru do żołądków brytyjskich. Dokonała tego Portugalia. Jak panom zapewne nie wiadomo, ten niewielki kraj był przez parę stuleci stałym aliantem Wielkiej Brytanii, w odróżnieniu od Hiszpanii i Francji. I oto w traktacie pokojowym z 1704 roku zniesiono w Lizbonie cła na tkaniny brytyjskie, a w Londynie — na wina portugalskie. Cena ich spadła wielokrotnie. Był to olbrzymi przewrót, jak się okazało, na korzyść wyłącznie win z okolic Porto, win o smaku słodkim, jakie lubiano w średniowieczu, wzmacnianych przez dodawanie podczas procesu fermentacji spirytusu winnego. Codziennie po obiedzie wychylano odtąd w Wielkiej Brytanii kieliszek albo więcej tego alianckiego trunku i po jednym stuleciu tej chwa-

lebną wytrzymałości podagra zasłynęła już jako narodowa choroba... Jak i w Polsce owego czasu...

— W Polsce?

— Tak, i w Polsce. Albowiem kiedy i u nas wzrosła zamożność w końcu wieków średnich, stosunki z Czechami i Węgrami przyniosły użycie wina. Były to zrazu cienkie wina czeskie — oraz polskie z prób zakładania winnic przez klasztory...

— Kościół zawsze, gdy chodzi o kulturę... — podniósł kapelan.

— W tym wypadku chodziło raczej o wino... — zauważył major.

— Wkrótce jednak wino węgierskie z okolic Tokaju wyparło to wszystko. Sprawiała to i bliskość Węgiei, i pokojowość lub zażyłość stosunków z nimi. W XVI wieku masa polskiej szlachty doszedłszy do głosu w sprawach państwowych zawarowała sobie sprowadzanie dla siebie wina bez cła. Uprzedziła w tym więc o parę stuleci obywateli brytyjskich. Toteż skutki nie dały na siebie długo czekać: już współczesnik Karola I, polski Władysław IV, chory był na podagrę, tak samo jak i jego ojciec i brat oraz wielu znakomitych Polaków epoki. Podagra Władysława IV udaremniła może niejedną z jego wielkich planów zamorskich...

— A co się stało z miodem? — zapytał z troską pułkownik.

— Miód, starodawny napój Polaków i w ogóle Słowian, z pojawieniem się wina węgierskiego zeszedł na drugi plan. Był jednak jeszcze do końca XVIII wieku bardzo powszechny. Rugowało go powoli trzebienie dawnych puszczy i lasów, w których pasieki pszczelne miały prawdziwe Eldorado. Winem i miodem rozpajano się w Polsce siedemnastego wieku. Dopiero w osiemnastym wpływ kultury francuskiej wprowadził powoli francuskie wina jako trunki pierwszej klasy. Szampan wtedy właśnie wszedł

w modę. Konserwatywna opinia polska uważała jednak do końca, że prawdziwy Polak spija wina węgierskie, tak samo jak nosi tylko strój narodowy i podgala czuprynę, zamiast wdziwać francuską perukę z harcapem... Piwo w owym czasie zeszło skromnie na bok. Spożywane jest najczęściej jako staropolska zupa z piwa grzanego z serem...

— To jednak piwo było u nas takie stare?

— Jak sami Słowianie. Piwo, uchodzące dziś za napój niemiecki, jest w istocie pochodzenia słowiańskiego. Niemcy odziedziczyli je po Słowianach zachodnich. Podobnie jak połowa dzisiejszych ziem niemieckich.

— To Polacy znali je przed Niemcami?

— A jakże. I byli do niego głęboko przywiązani, czego dowody przekazała historia. Nie pomnę już, który papież, ale rzecz jest autentyczna i dokumentami stwierdzona, zwolnił Polaków od gromadnego udziału w jednej z wypraw krzyżowych. „Jakże możemy tam jechać — powiadali bowiem Polacy — skoro doniesiono nam z najbardziej wiarygodnego źródła, że piwo dowieszone do Cypru psuje się i dalej wieźć go niesposób.” Papież uznał rację Polaków i udzielił im dyspensy od udziału w krucjacie.

— A mówią, że Stolica Apostolska nie ma zrozumienia dla potrzeb narodowych — westchnął kapelan.

— ... i Polacy nie pojechali do Ziemi Świętej, poza gorliwszymi jednostkami, które może ceniły wino bardziej niż piwo. Piwo zaś pozostało jeszcze długo ulubionym napojem Polaków. W XV wieku jeden z piastowskich książąt Śląska, Konrad, książę gniewkowski, otrzymał od papieża inwestyturę na arcybiskupstwo salzburskie. Była to wspaniała kariera, albowiem Gniewków był niczym, a Salzburg prawdziwym księstwem. Konrad udał się już do Wiednia, ale tu dowiedział się, że w Salzburgu wywar piwa jest zupełnie nieznany, a dla braku jęczmienia utrud-

niony. Odesłał więc papieżowi paliusz i wrócił na swoje ubogie ksiąstewko, gdzie niebawem umarł.

— Pewno z przepicia — ocenił rzeczowo major.

— Dosięgła go kara Boża — zawyrokował kapelan.

— Wszystko to pięknie, panie podchorąży, ale kiedyż w Polsce pojawia się wódka?

— Wódka jako „okowita”, „gorzałka” i pod szeregiem innych nazw weszła w użycie już z początkiem ery nowożytnej. Pędzono ją ze zboża. Była źle oczyszczona i mocna. Stała się też raczej pospolitym ludowym trunkiem. Dopiero w wieku XIX zaczęto ją pędzić z ziemniaków, destylowano ją coraz doskonalej z jęczmienia, gdy zaś po rozbiorach cła na wina węgierskie, a następnie i na francuskie wyrugowały niemal z Polski wino, zgodzono się u nas na wódkę, która stała się niebawem bardzo sławna ze swej dobroci, zwłaszcza dzięki renomie, jaką zrobili jej Rosjanie... Oto dzieje trunków w dwóch krajach dziś alianckich, panowie.

— Dziękujemy panu — rzekł generał. — Z opowiadania pana wynika w sposób niezbity, jak sojusze pomiędzy różnymi krajami bywają płodne, gdy chodzi o napoje. Bez sojuszu z Portugalią nie pocieszalibyśmy się portwinem, a bez tradycyjnej przyjaźni z Węgrami nie byłoby w dawnej Polsce węgryzna. Tak, moi panowie. Oto wpływ historii na życie i żołądki ludzkie. Oby przyjaźń szkocko-polska oddała nasz miły kraj pod zbawienne wpływy whisky.

I wychylił do dna swoją szklanę.

NIEDZIELNE ROZWAŻANIA GENERAŁA

Powiedzcie mi, panowie — rzekł pewnej niedzieli generał, gdy tradycyjny popołudniowy bridż jakoś się nie składał — powiedzcie mi, panowie, czemu przypisujecie owo powodzenie, jakim Polacy cieszą się u płci nadobnej

tego miłego kraju? Może ojciec duchowny rozpocznie tę ważną dyskusję?

Na kwaterze sztabowej było tego dnia dwóch kapelanów. Po wzajemnym certowaniu się, który z nich pierwszy ma zabrać głos, co zajęło im tylko kwadrans i skończyło się dopiero po osobistej interwencji generalskiej, głos zabrał starszy wiekiem, ale młodszy rangą wojskową dostojnik Kościoła.

— Myślę, panie generale, że przypisać to należy duchowi katolickiemu, który tryska z owych polskich żołnierzy i w tym kraju, niestety protestanckim, budzi pewne tęsknoty...

— Wydaje mi się, że przeciwnie — przerwał jego młodszy kolega z kawaleryjskiego pułku — że to właśnie smutny i pożałowania godny zanik cnót u żołnierzy, zjawisko niestety nierzadkie, sprawia, iż kobiety, mające, jak wiadomo, godną nagany skłonność do grzechu...

Ale żadna z owych teorii nie zadowoliła nikogo.

— Oto jak Kościół powszechny potrafi rozejść się w poglądach na sprawę nie tak znowu podstawową — orzekł generał. — Jeden z naszych ojców duchownych przypisuje omawiane zjawisko powabom, jakie posiada cnota, drugi pokusom, jakie niesie ze sobą występki. To pęd ku rajowi utraconemu cnót katolickich wywołuje, zdaniem jednego, tyle niewieścich sympatii do zacnych Polaków; to przeciwnie — ich zgubne dążenie ku złu jest powodem, dla którego dziewczyny tutejsze tak chętnie chodzą z naszymi żołnierzami do kina i na *fish and chips*. Obawiam się, że trzeba wyłączyć czynnik duchowny z tej dyskusji, albowiem moglibyśmy dojść do nowej schizmy. — I zwrócił się do oficerów:

— A panowie co o tym sądzą?

— Pieniądze, panie generale, pieniądze — rzekł pułkownik, który nie gustował w dyskusjach w ogóle, a w dyskusjach na tematy związane z psychiką ludzką w szcze-

gólności. — Nasz żołnierz ma teraz wysoki żołd. Bierze swoją dziewczynę do kina, do kawiarni, kupuje jej cukierki. Ma za co, bo ma pieniądze, a to grunt.

Ale i ten pogląd nie zadowolił generała.

— Jest pan wyznawcą materialistycznego ujmowania świata — osądził. — Ale pański gruby materializm jest tutaj równie w błędzie jak wzniosłe, ideologiczne przyczyny wysuwane przed chwilą przez naszych wielebnych duszpasterzy. Zaraz pana o tym przekonam: wszak tutejsza młodzież szkocka posiada tyle samo albo i więcej pieniędzy, bo to przecież kraj rządny i zamożny mimo swoich gór i deszczów. To nie jest tak, jakby polski żołnierz był tu nababem, a miejscowi ludzie lapserdakami. Raczej...

I zwrócił się z kolei do majora.

— Ja sądzę — rzekł major, który już patrzył, kiedy kolejka generalskich pytań wyrwie go z półdrzemki nad *a large whisky* — ja sądzę, że przyczyna tego jest prosta. Powab, moi panowie, munduru. Tutejsza młodzież, która nie poszła do wojska, to pospolici cywile. A mundur działa na kobiety kusząco pod każdą szerokością geograficzną...

— Tak — przyznał pułkownik. — Ale dlaczego w takim razie żołnierze angielskiego pułku, który stoi w C., skarżą się, że im się tu gorzej wiedzie? Mówił mi o tym niedalej jak wczoraj ich pułkownik...

— Może dlatego, że jako Brytyjczycy nie są tak egzotyczni jak cudzoziemskie wojsko — bronił się major.

Generał nalał sobie whisky i przytaknął głową:

— Dobra, panowie, powoli, powoli, a poglądy nasze na tę sprawę zbliżą się do sedna zagadnienia. Doszliśmy już do wniosku, że to nie cnoty katolickie ani przeciwnie — powaby piekielne, nęcą tutejszą pleć piękną i czynią dla niej przestawanie z Polakami szczególnie pożądanym. Ustaliliśmy także, że racje natury materialistycznej, tak przekonująco podnoszone przez majora...

— Przepraszam, przez pułkownika — poprawił major.

— ...Tak jest, przez pułkownika... nie odgrywają tu również głównej roli. Bo przecież tyle samo pieniędzy, a nawet więcej może wydać na swoją dziewczynę jej szkocki sąsiad z drugiego domu i stary towarzysz zabaw... Wreszcie stwierdziliśmy, że żołnierze polscy cieszą się szczególnie dużym powodzeniem. Panowie czytali pewnie w prasie angielskiej te zabawne opisy, jak to żołnierze z pułków angielskich, aby wkraść się w serce dziewczyny szkockiej, udają, że są Polakami. Ja tego nie rozumiem: ci żołnierze angielscy, których tu widzimy, to rosłe, dorodne chłopcy, chłopcy na schwał. Ale tajniki serc kobiecych są, jak wiadomo, nieodgadnione...

— Racja! — powiedział major, który z urlopu w Edynburgu wrócił nie wiedzieć dlaczego zgryziony i zły.

— Wszystko to prawda — ciągnął generał — i powtórzę raz jeszcze, że zbliżamy się powoli do sedna zagadnienia. Ale oto pod K. mają swoje stanowiska Norwedzy — i powiadam panom, aż naszym jest czasem przykro, bo ci zacni sojusznicy mimo swych niewątpliwych zalet... Gorzej, bo w T. są Czesi. Tym idzie lepiej, lepiej, ale znowu nie tak jak naszym. Niezawodnie w tym biegu na przełaj Polacy mają miejsce pierwsze, Czesi słabo drugie, a potem jest długo, długo nic. O, gdyby od tego zależało wygranie wojny... Otóż to jest pewien fenomen. Jak? Dlaczego?

— Nie znają nas jeszcze — wtrącił złowieszczo ten z kapelanów, który właśnie przed chwilą swoim owieczkom polskim przypisywał piekielne właściwości.

— Nie znali, kapelanie, nie znali. W lipcu, sierpniu. Ale obawiam się, że do grudnia zdołali nas z niejednej nawet strony dosyć dobrze poznać. Sądzę nawet, że od wielu z tutejszych ludzi, a już zwłaszcza od tutejszych kobiet, mógłby się nawet ksiądz kapelan wielu emocjonujących szczegółów o tych owieczkach dowiedzieć.

Rozmowa ugrzęzłaby na pewno na owych docinkach nie szczędzonych przez generała obu przedstawicielom Kościola, gdyby nie nagłe wejście podchorążego z gospodarzem domu, który często o tej porze korzystając z zaproszeń generalskich zasiadał z oficerami do whisky.

— Oto wybawienie — rzekł generał. — Ten człowiek, jako tubylec, wytłumaczy nam najlepiej, czemu nasi spokojni Polacy znalazłszy się nad Loch Lomond uzyskali sławę donżuanów.

I po codziennych gestach obopólnej życzliwości, zapytaniach, jak się kto czuje i jak się komu podoba Szkocja, towarzystwo zasiadło z powrotem do whisky, którego spokojne spijanie przerywały jedynie niepokoje psychologiczne generała.

— Niech go pan zapyta — polecał podchorążemu. — Niech mu pan wytłumaczy wszystko — i że ja chcę wiedzieć, albowiem generał musi wszystko o swoich żołnierzach wiedzieć. Dlaczego ci Polacy mają tak niezасłużone powodzenie u kobiet tego kraju? Czemu to przypisać? Czym wytłumaczyć?

Podchorąży długo i cierpliwie powtarzał te pytania gospodarzowi. Szkot, którego pierwszy łyk whisky wprawił w stan błęgiego zadumania, słuchał nie przerywając całej wykładni generalskich wątpliwości. Po czym zapytał jeszcze, po co to generałowi potrzebne, pokiwał głową, gdy się dowiedział, że pytania te są jedynie związane z psychologicznymi zainteresowaniami generała, zamyślił się, napił się whisky, dolał jeszcze, a potem powiedział dwa bardzo krótkie słowa. Podchorąży się zmieszał. Błoga półdrzemka, jaka panowała w wielkim pokoju jadalnym, zaciążyła milczeniem.

— Co powiedział ten Szkot? — zapytał pułkownik, który dostrzegł zmieszanie tłumacza.

— No, co takiego? — nalegał generał, który dostrzegł coś podejrzanego.

— On powiedział — powtarzał zakłopotany, ale przy-
party do muru podchorąży — że dlatego, bo... kłamią.
I że nikt tak jak oni nie umie tu kłamać...

— Co?!... — ryknął pułkownik.

— Jak to?... — obudził się major.

— Kłamią — rozjęczał się kapelan, ten sam właśnie,
który przed chwilą jeszcze przypisywał tym samym lu-
dziom najczarniejsze właściwości szatańskie. — Kłamią?
Nasi katolicycy żołnierze, nasi Polacy kłamią?

— Spokojnie, panowie — uciszył wszystko generał. —
Ostatecznie, czemu to nie ma być prawdą? Panie pod-
chorąży, niech pan go dokładniej wypyta, o co jemu z tym
kłamstwem chodzi. Niech wyjaśni to obszerniej. Zoba-
czymy. Tylko spokojnie, panowie, spokojnie. To bardzo
ciekawe.

Podchorąży powtórzył najwidoczniej, szeroko je moty-
wując, pytania generalskie. Szkot zapadłszy się w fotel
pykał z fajki jak wiktoriańska lokomotywa. Po czym po
małej chwili, odchrząknawszy, przechylił się do podcho-
rążego i coś mu mówił, opowiadał ogromnie długo, przy-
stawał niekiedy i znowu tłumaczył dalej.

— Nigdy nie był tak wymowny — zauważył pułkow-
nik.

— On w niedzielę zawsze jest taki: to zdrowy zwy-
czaj czytania Pisma świętego w dniu świąt działa tak
ożywczo na system myślenia — skomentował jeden z ka-
pelanów.

— Po prostu w dzień powszedni zasiada do whisky
wieczorem, a w niedzielę zaraz po południu — wytłuma-
czył to nieco inaczej zgryźliwy eks-kapelan kawaleryj-
skiego pułku.

— Obaj macie rację. Lektura Pisma działa zbawiennie
na ducha, a whisky krzepi siły cielesne człowieka — po-
godził obu głęboką sentencją generał wychylając na do-
wód wiary w swe słowa szklanekę do dna. — Czekajmy

na to, co nam przetłumaczy doktorant dwojga uniwersytetów.

Doktorant dwojga uniwersytetów wysłuchał tymczasem uważnie długiej dysertacji potomka walecznych Piktów, po czym rzekł:

— Panie generale, panowie. Nasz miły gospodarz zgoła nie chciał nikogo z nas obrazić w jego godności narodowej. To, co powiedział, było swego rodzaju paradoksem, jeśli chodzi o formę. Nie zapominajmy, że jest to ojczyzna paradoksu. Natomiast mam wrażenie, że w formie, która nas mogłaby zdziwić — albo nawet urazić — podał on istotne wytłumaczenie, czemu należy przypisać to niespodziewane powodzenie, jakim cieszyli się i cieszą Polacy wśród płci pięknej tego narodu. Powodzeniem, jakiego nie mieliśmy ani w Rumunii, ani w Norwegii, ani we Francji...

— We Francji — oponował major — było wcale, wcale...

— W Rumunii też nienajgorzej — zauważył pułkownik.

— W Norwegii — rzekł kapelan — opowiadali mi inni, że...

— Nie macie racji — powiada generał — i nie powinniście się przechwalać swoimi sukcesami. To nie wypada. Mnie chodzi o rzecz daleko głębszą, o ten piękny sentyment, którego tam brakło, a tu jest.

— Więc czy mam panom przedłożyć to wyjaśnienie naszego gospodarza? — zapytał podchorąży. — Niestety, to nie da się tak opowiedzieć w trzech słowach...

— Proszę — powiedział generał — dziś niedziela i jest bardzo wskazane, aby ci panowie pomyśleli o czymś nieco poważniejszym.

Podchorąży otworzył nową butelkę „Black and White” i ponalewał wszystkim do szklanek. Gospodarz domu przechylił się jeszcze bardziej w fotelu i oczy jego przybrały

wyraz prawdziwie niedzielnej błogości, a młody Polak w sposób, zdaje się, znacznie obszerniejszy przekładał jego opowiadanie.

DYSERTACJA

*o kłamstwie w miłości, czyli o przyczynach,
dla których żołnierze polscy w Szkocji cieszą się takim powodzeniem.*

— Otóż, moi panowie, Polacy kłamią.

Brytyjczyk uważa kłamstwo za rzecz hańbiącą i obrzydliwą, za coś pokrewnego ze złodziejstwem, z włamaniem i zgwałceniem. W tym narodzie zdarzają się wypadki kłamstwa, ale dokonywane tylko przez jednostki stojące etycznie nisko, z pobudek moralnie złych, jak na przykład, aby ująć zasłużonej karze, uniknąć więzienia itd.

Nad tymi północnymi, chłodnymi krajami unosi się surowość skandynawskich sag, a zarazem srogość Starego Testamentu piętnującego kłamstwo Ewy i kłamstwo Kaina, kłamstwo braci Józefa i kłamstwo rozpustnej żony Putyfara. Należy zważyć, że we wszystkich wypadkach, gdy saga skandynawska mówi o kłamstwie albo gdy o kłamstwie mówi Stary Testament, na dnie kłamstwa kryje się tchórzostwo, morderstwo, zbrodnia, zdrada. Czyn nieczny. I oto narody północne, które we krwi dalekiej miały surową poezję sagi, a co niedziela od licznych wieków upajały się obrazami srogiego Pisma, miały tylko takie pojęcie o kłamstwie, nauczyły się wystrzegać go i unikać jak samej zbrodni. We wszystkim. Zawsze. Innego kłamstwa nie znały.

Tymczasem z Polakami było zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Sagi skandynawskie dotarły nad Wisłę tylko w postaci śmiesznej, zniekształconej legendy o królu, którego zjadły myszy. Katolicyzm w miejsce ponurych obrazów z żywotów proroków Izraela wniósł barwne i ludzkie powieści o życiu licznych świętych. Słowiańska miękkość łagodziła wszystko. Wreszcie wpływy latyńskie, śródziem-

nomorskie i galickie, prowansalskie i włoskie wniosły dość wcześniej echa Owidiusza, który w miłości zalecał kosmetyk kłamstwa, Petrarki, który ukochanej składał kwieciste nieprawdy, Ronsarda, który nucił słodkie sonety pochlebstwa. Polacy nauczyli się mówić o miłości. Nauczyli się, co ważniejsze, mówiąc o miłości kłamać.

— Jak to? — przerwał major — to Anglicy nie mówią o miłości?

— Nie, majorze, nie mówią. Uważają to za niewłaściwe, wstydlive, niemoralne, a nawet niemęskie. Albo jeśli nawet mówią, to bardzo rzadko i bardzo mało. Obywają się bez słów, bez zakłęb, bez zapewnień. Albo ograniczają to wszystko do jakiegoś niesłychanego minimum.

— No, dobrze — zaniepokoił się pułkownik — ale jak oni nawiązują porozumienie z kobietą?

— We wszelki inny sposób. Patrzą na nią, starają się ją spotykać, odwiedzają ją, przychodzą u niej posiedzieć, przy czym mogą czytać gazetę albo przeglądać jakieś czasopisma. Jeśli ona odnosi się do tego przychylnie, to sprawa posuwa się naprzód przy pomocy omówień. Młody człowiek zapowie, że chce się ożenić, że za rok będzie zarabiał tyle i tyle, że odkłada tyle i tyle, że będą mieli dwoje dzieci i że w dniu ślubu da narzeczonej pierścionek z rubinem kupiony na Bond Street. Stąd powinna wywnioskować, że on ją kocha. Zagadnienie miłości przeskoczy jednak tak, jak omawia się sprawy nieprzyzwoite lub jak łosoś przeskakuje wodospad górskiej rzeczki.

— Jako naród północny nie są namiętni — zawyrokował pułkownik.

— Przeciwnie. W samej miłości są może bardziej namiętni, bardziej gwałtowni i silni niż ktokolwiek inny. Ale się tego wstydzą. Miłość jest tu rzeczą, wokół której nie zakwitały pąsowe róże Południa albo głogi polskich pól. Wszędzie gnało za nią srogie echo purytańskich kazań

jak gniew Sądu Ostatecznego i ściszało serdeczność słów... Serdeczność anglosaska wyrażała się bardziej półtonami, niedomówieniami, dyskretnie, delikatnie. To były pastele, a nie malarstwo olejne...

— Piękna rzecz, pastele...

— Piękna, i pewna delikatność uczuć jest także piękna. Ale są i zwolennicy, a raczej zwolenniczki, i silniejszych tonów albo też ludzie, których znudziła coś niecoś pewna mdławość pastelu, którzy tęsknią za większą wymową barw.

— Albo słów.

— Albo słów. Zwłaszcza że jednak czasami poprzez ten starożytny mur obronny, którego nie przekroczyli nawet Rzymianie, wkradała się w te zimne, mokre i gościnne strony wieść o jakichś innych jeszcze formach miłości. Słyszało się albo czytało o uwodzicielstwie Francuzów, o *amore grande* Włochów, o miłosnych pasjach Hiszpanów. Nawet na najzimniejszej i najsurowszej Północy zakwitła i taka inna miłość wspomnieniem o Tristanie i Izoldzie...

— A to co za jedni? — zapytał major, który po raz pierwszy słyszał te dziwaczne imiona.

— Za przerywanie opowiadania będzie się płaciło pół korony* — zawyrokował generał.

— Grają w Edynburgu w kinie — szeptem wtrącił pułkownik — film amerykański. Nie pamiętam tylko, kto w roli Izoldy. Wszystkiego się pan tam dowie...

— Tedy od czasu do czasu słyszało się tu o miłości, o królewiczu z bajki, o romantycznym rycerzu dziewczęcych snów — i tym podobne historie. Przez całe wieki narzeczeni, ukochani i mężowie dziewczyn i kobiet brytyjskich wiedli żywoty pełne najbardziej autentycznego romantyzmu. Pływali po oceanach, odkrywali lądy dalekie,

* 1/2 korony = 2 1/2 szylinga.

poskramiali egzotyczne powstania w Indiach albo wzniecali sami bunty Arabów. Uprawiali handel tak romantycznymi towarami jak kość słoniowa i heban, tak cennymi jak perły Zatoki Perskiej, tak wonnymi jak imbiry, kadzidła, wanilie. Ale w domu rodzinnym opowiadali niechętnie i mało o tych swoich wielkich przygodach.

— Jak przysłało na prawdziwych dżentelmenów — przerwał major.

— Pół korony — zawyrokował generał.

— W ten sposób życie ich towarzyskie było pracowite, domatorskie, cnotliwe i nudne. Świadomość, że istnieje inny świat, inni mężczyźni i inne miłości, nie wygasła jednak w kraju, który ongi obszedł się tak surowo z włoskim pieśniarzem Marii Stuart. Potem przyszedł film. Film jeszcze bardziej podniecił tamte tęsknoty. Pokazał i unacznił życie bujne i awanturnicze kobiet, które wywoływały gwałtowne, niepastelowe uczucia, mężczyzn, o których ze zgrozą mówił pastor w nauce, ale o których z podziwem pamiętała bajka, których apoteozę dał ekran w postaciach takich jak Gary Cooper, Charles Boyer, Ramon Novarro, Tyrone Power, Clark Gable..

— Więc film prostował tu ścieżki Polaków — wtrącił znowu major.

— Drugie pół korony — przypomniał generał.

— Wystarczyły dwa dziesiątki lat i połowa produkcji Hollywoodu, aby nafabrykować więcej uwodzicieli i kochanków, niż całe Pismo święte posiada proroków, nawet jeśli pamiętamy o mężach tak sprawiedliwych jak Habakuk i wodzach tak znakomitych jak Jozue.

— Jozue nie był prorokiem — upomniał kapelan.

— Ksiądz zapłaci pół korony — osądził generał. — Kto się teraz jeszcze odezwie, zapłaci całą koronę.

— Każdy film był pokazem miłosnej sztuki świetniejszych niż wszystkie ody Owidiusza lub sonety Petrarki. Uczył pokazowo, ponętnie, jaskrawo. Pokazał kobiecie, że

mężczyzna, który ją kocha, powinien jej to powtarzać. Powinien patrzeć jej w oczy, ile się tylko da. Powinien być zazdrosny. Powinien być waleczny. Powinien być nieszczęśliwy. Powinien jej dawać kwiaty, drobne dary. Powinien z jej powodu albo i bez powodu wydawać przy niej pieniądze. Powinien się uśmiechać, chwycić ją za rękę, być czułym, obejmować. I mówić o miłości... ciągle... stale...

— Zawsze mówiłem, że film... — zaczął kapelan.

— Proszę koronę — uciał generał.

— Aż naraz przyszli niespodziewanie — kto by ich oczekiwał akurat w Szkocji? — żołnierze polscy. Zalaływało od nich egzotykiem daleko większym niż egzotykiem Indii czy Kanady, dla Szkocji krajów ostatecznie nie tak bardzo nie znanych. Szła za nimi legenda walk polskich i norweskich, i francuskich. Byli w aureoli nieszczęść swej ojczyzny. Byli żołnierzami. Byli sprzymierzeńcami. Byli gośćmi.

Ale przede wszystkim mieli zupełnie inne formy miłostnego postępowania.

Słowa: „kocham”, „miłość” albo inne jeszcze, nie były dla nich zaklęciem uroczystym jak ślub, który bierze się raz jeden w życiu. Ani jak wstydliva czynność, o której nie wypada rozprawiać. Nie były to ani słowa wielkie, ani nieprzyzwoite. Były to słowa potoczne, powtarzane po wielekroć, po tysiącokroć, przy każdej okazji. Tam gdzie Anglik, Szkot i w ogóle Anglosas był powściągliwy, tam — ten obcy przybysz był szczodry. Tam gdzie oni byli niemi, on był wygadany. Na domiar złego czy dobrego nie miał tutaj złej, uwodzicielskiej opinii zepsutego Francuza, nie należał do narodu Don Juanów ani do narodu Casanovów. Polacy mieszkali zbyt daleko od tych stron i zbyt mało wyróżnili się na tym polu, aby posiadać złą sławę. Może Francuz, Hiszpan czy Włoch, zapewniający o swej dozgonnej miłości, wzbudziłby jakie takie podej-

rzenie. Polak nie. O Polakach mówiono przecie i pisano w gazecie, że są to wierni w złej i dobrej doli sprzymierzeńcy...

— O Polakach jako o narodzie — wtrącił generał.

— To prawda, ale czyż nie należy wnioskować, że jeśli naród jest wierny jako całość, to dlatego, że składa się przecie z wiernych jako jednostki ludzi? Przeto wierzone w tym pięknym królestwie Polakowi, gdy mówił, że kocha; i gdy mówił, że kocha, jak nikt nie kochał; i gdy powtarzał, że nigdy tak jeszcze nie kochał; i że zawsze tak kochać będzie. Wierzone, bo chciano wierzyć, wierzone, bo odczuwano potrzebę przeżycia choć trochę tego, o czym opowiadały filmy i co podsyczał instykt. Wierzone, albowiem potrzeba czułości męskiej jest wielką potrzebą psychologiczną organizmu, a owe słowa, pozornie wydarte i wyświechtane, powtarzane jeszcze w epoce kamienia łupanego, posiadają podniecające właściwości narkotyku. — Zżyjemy go, nawet gdy wiemy o jego szkodliwych właściwościach — mizerne, biedne i nienowe były metody stosowane przez Polaków. Może nawet zwodnicze. Cóż, kiedy i zwodniczość ma swoje uroki, jak ma je tania biżuteria i tanie imitacje futer...

— Smutnie to świadczy o Polakach — stwierdził z żalem kapelan.

— Korona — uciął generał.

— Smutnie albo nie smutnie. Co kraj to obyczaj. Wyrośli w pojęciach, że jedynie silne uczucie może uzasadnić, hm... usprawiedliwić pewną natarczywość w stosunku do kobiety. Wyrośli w wyobrazeniach, że jedynie małżeństwo jest moralną formą dla pewnego zjawiska natury płciowo-społecznej. Właśnie Kościół wpajał im to w mózgi systematycznie. Dlatego teraz mówią o miłości, gdy powoduje nimi uczucie może niekoniecznie tak sentymentalne i uduchowione. Dlatego mówią o małżeństwie, gdy tylko zdarzy się okazja do zwykłego flirtu...

— To zwodzą — rzekł ksiądz, a generał nie mógł mu przerwać, albowiem właśnie wlał w gardło łyk whisky.

— Nie wiem, czy zwodzą. Być może, że właśnie w momencie gdy mówią, że kochają, to kochają, gdy obiecują małżeństwo, to chcą tego dotrzymać — iluż go zresztą i dotrzymało istotnie — a zaręczając, że uczucia ich będą miały długotrwałość wieczności, także w to wierzą. W tym właśnie momencie.

Ale są to słowiańskie natury, miękkie, łatwo zajmujące się wielkim ogniem, łatwo zapominające. Uczucia przychodzą i przechodzą z gwałtownością wiosennej burzy. Ze zmiennością szkockiej pogody. Zmieniają przedmiot, jak wojsko zmienia postoje, ale zawsze są zapalne, wylewne, serdeczne, czułe, gorące. I te cechy, rzadkie w tym kraju, właśnie robią swoje. Oto co Szkot myślał, gdy powiedział, że umiejętne stosowanie tego, co potocznie w krajach surowych nazywa się „kłamstwem”, odegrało tak wielką rolę. Te czułe słowa, te kwiaty, te serdeczności, cały ten niezmiernie wylewny aparat Polaków — to była właśnie kosmetyka ich miłości. Kłamstwo? Medycyna zna takie środki, które stosowane w dużych dawkach są śmiertelną trucizną, a stosowane w małych dawkach posiadają wybitnie zdrowotne właściwości. Arsenik choćby...

— To, co pan teraz mówi, jest bardzo niemoralne...

— Nie, księżę, to tylko pewne naukowe, zupełnie ścisłe porównanie. Kłamstwo, które miało osłonić bratobójstwo, jak u Kaina, kradzież albo inną zbrodnię, stawało się samo ohydną zbrodnią, tym ohydniejszą, że ją spowodował lęk przed karą, a więc tchórzostwo. Ale kłamstwo miłosne było tylko upiększeniem pewnych uczuć, ich sublimacją, ich uskrzydleniem i upoetyzowaniem. To tak jakby z wielkiej trucizny uczynić nieszkodliwy, a owszem przyjemny środek... Mój Boże! Niewiele ci ludzie mają radości, niechże mają choć tę.

— Pan skończył? — zapytał pułkownik, który w lęku o swe szylingi nie odezwał się od pół godziny.

— Skończyłem.

— Tak. Ja sądzę jednak, że to nie wszystko. Myślę, że Polacy oceniają dziś jak nikt inny w Wielkiej Brytanii powaby ciepła domowego, urok kobiecych starań, miękkość ich sposobu bycia, jakże różną od szorstkiej doli żołnierskiej. To właśnie czyni ich także miększymi, to podnieca w nich, podczas wojny właśnie, dążenie do małżeństwa, łagodzi pewną nadmierną męską kanciastość.

Wszyscy przychyliłi się do tego zdania i pojednawczo przepili do Szkota.

— Dzięki panu mieliśmy miłe i spędzone na pouczających dociekaniach psychologicznych popołudnie — podziękował mu generał. — Major, zdaje się, uzupełni je jeszcze w kinie edynburskim, na *Tristanie i Izoldzie*. Panowie pozostali, proszę wpłacać grzywnę za przerywanie opowiadania! Książd płaci najwięcej: trzy i pół korony.

— Płacę, ale pan generał także, bo przerwał, gdy była mowa o Polakach jako wiernych sprzymierzeńcach.

— Przerwałem z obowiązku — rzekł generał — ale dla przykładu i ja zapłacę. Oto pół korony.

— Korona, panie generale. Wtedy za przerywanie mówcy obowiązywała już zwiększona stawka.

GDYBY OCZYMA SZKOTÓW...

Tak, tak moi panowie — mówił znowu pewnej niedzieli generał, który kart nie znosił, ale za to uwielbiał długie opowiadania przy kominku — a czy który z was pomyślał bodaj kiedyś o tym, jak to nas widzą i jak na nas patrzą nasi mili gospodarze w tym kraju?

Sztab zgromadzony wokoło zamilkł. Każdy, jak zwykle, na swój sposób dawał sobie w milczeniu odpowiedź.

— Ja sędzę, że jak najlepiej — zawyrokował pułkownik. — Widzą w nas sprzymierzeńców nieszczęśliwych a wiernych, wiedzą, że Polacy walczyli na Północy dalekiej i walczą w Libii, słyszeli o naszym lotnictwie i jego roli we wrześniowej Bitwie o Anglię...

— Obawiam się, że jak najgorzej — skontrował major, który miał uczucie pokory. — Wypełniamy ich miasteczka nieznośnym gwarem i hałasem, niemożliwym do uniknięcia, gdy chodzi o wojsko, które żyje w koszarach. Jesteśmy w porównaniu z nimi hałaśliwi, a jednocześnie znacznie bardziej ponurzy, jesteśmy...

— Oto poglądy Entuzjasty i Sceptyka — rzekł generał. — Pewno, że są ludzie obu formatów... Ale przeciętny człowiek, ani zgryźliwiec, ani przesadny optymista — jakże on nas widzi? Co pan o tym, panie podchorąży?

— To tak trudno powiedzieć, panie generale...

— Co trudno? Ja bym w pańskim wieku... Jeszcze znając angielski. Był pan przecież przed przybyciem do nas i tam, i ówdzie, widział pan wiele miejscowości i różne sposoby przyjmowania Polaków...?

— Ale tak w jednym słowie...

— Dlaczego w jednym słowie? — zaniepokoił się generał. — Przeciwnie! Czasu jest pod dostatkiem, na dworze tak leje, że nie ma po co wychodzić, niedziela po południu, nic stosowniejszego nad porządne, pouczające przy tym opowiadanie... Niech pan zostanie, majorze — dodał widząc, że tamten wymyka się niepostrzeżenie. — Byłoby nam smutno bez pana. Specjalnie o panu myślałem prosząc o to opowiadanie. Tym razem nie będzie grzywny za przerywanie mówcy.

Major westchnął i opadł w fotel.

— Nie umiałbym na pytanie panów odpowiedzieć wprost — zaczął podchorąży. — To pewne, że widzą nas jako innych, zupełnie innych, a czasem niezrozumiałych ludzi. Próbką tego niech będzie moje dzisiejsze opowia-

danie, niestety przydługie, więc proszę uzbroić się w cierpliwość...

— Widzę, że znowu spędzimy w sposób właściwy dzień świąteczny — zakonkludował generał. — No, do dzieła, panowie, do dzieła! Kto whisky, a komu sherry? Zaczynajmy.

I przy odgłosie bulgoczących ponętnie alkoholi rozpoczęło się owo opowiadanie.

O P O W I A D A N I E

*podchorążego Nowaka o tym, jak burmistrz miasteczka U.
zamienił swój gród w warownię.*

W owym czasie burmistrz miasteczka V., którego nazwy ze względu na tajemnicę wojskową wymienić tu nie można, miał pewną wielką, bardzo mu ciężącą troskę.

Oto V., mimo swej chwalebnej roli w przeszłości Szkocji, mimo swoich zabytków w postaci ruin zamku, ruin opactwa i ruin gospody, w której popasał ongi Pretendent, mimo swego znaczenia w turystyce hrabstwa, nie otrzymało jeszcze po sześciu miesiącach najmniejszej nawet załogi polskiej.

Polacy byli w Dundee i w Forfar, byli w St. Andrew i w Blaignowie; byli w Alyth i byli w Perth; byli i w Cupar Angus, i w Cupar Fife; byli wszędzie, nie było ich tylko w V.

— Znam ten ból — wtrącił major. Kiedy staliśmy w Bretanii zimą r. 1939, merowie okolicznych miasteczek także walczyli o to, abyśmy u nich kwaterowali; przecież żołnierz cały swój żołd pozostawiał w kafejkach tej miejsciny.

— To było niezupełnie tak — ciągnął opowiadanie podchorąży — a raczej, za pozwoleniem pana majora, to było zupełnie inaczej. To nie jest Francja, w której mieszczkańska cnota ciułania grosza zajęła miejsce dawnych cnót

rycerskich; to jest Szkocja, gdzie piękno przeszłości znaczy najwięcej, czy to chodzi o kraj, o miasto, czy o człowieka...

— Opowiadaj pan dalej — rozstrzygnął generał.

— Burmistrz miasteczka V. poczynił już żywioł obawy, że wojna się skończy, a jego miasteczko, w dziejach królestwa tak wspaniale i niejednokrotnie upamiętnione, nie wyzyska tej jedynej na tysiąclecia sposobności posiadania egzotycznej załogi polskiej. Z żalem kalkulował, że druga taka okazja nieprędko się może nadarzy. Myślał ze strapieniem, że różne nędzne dziury, mieściny liczące sobie zaledwie głupich sto czy dwieście lat istnienia, będą mogły szczycić się w przyszłości tą wojenną wizytą, podczas gdy gród zbudowany jeszcze za Malcolma IV, który swe prawa miejskie otrzymał od Marii Stuart, zwolnienia od kosztów związanych z goszczeniem monarchy — od Jakuba VI i gościł przez cztery dni Karola Edwarda Stuarta, za co w nim potem postawiono garnizonom cały pułk Hanowerczyków, nie wpisze tej karty polskiej do swych barwnych i bogatych annałów.

Burmistrz miasteczka V. był zbyt dumny, aby starać się o to. Jego poprzednicy na tym zaszczytnym urzędzie nigdy nie splamiliby się czymś takim. Uważał, że co się komu słusznie należy z prawa i starszeństwa, to się należy. Patrzył tylko czarno na owo postępowanie sprawiedliwego obyczaju i niedocenywanie wstawionego grodu.

Wreszcie któregoś popołudnia rozeszła się wiadomość, że miasteczko V. otrzymuje istotnie polski oddział do zakwaterowania, co więcej — na garnizon bojowy.

— O, i my będziemy mówili po polsku — cieszyła się nieletnia ludność miasteczka V.

— Pamiętajcie, abyście tym katolikom z kontynentu dali piękny przykład zachowania się dziewczyny purytańskiej — pouczał zacny pastor.

— Będzie z kim chodzić do kina, na herbatę i ciastka

u Włocha, na spacer, gdy zrobi się ładnie — myślały pu-rytańskie dziewczęta.

— Mieliśmy już Normanów i Anglików, i Hanowerczyków, i Irlandczyków, nie zabraknie w naszej chwalebnej historii i owych Polaków — odetchnął ojciec miasta.

Najpierw przybyli motocykliści, potem kwaterunkowi, potem nowi kwaterunkowi, wreszcie wojsko. Razem z oddziałem w sile kompanii, ale wspartym jakimiś kadrowymi formacjami posiłkowymi, z działkiem przeciwpancernym, służbą łączności, moździerzami i ciężką bronią maszynową pojawił się sztab owej małej armii. Dowodził wszystkim dyplomowany polski pułkownik z piękną tęczą odznaczeń na lewej piersi. Był to starszy, surowy mężczyzna o twarzy opalanej od wiatru, kościstej i groźnej, o namarszczonych ogromnych brwiach. Stąpał, jakby sam był czołgiem największego kalibru. („Jego portret w wielkiej sali obrad dobrze by wyglądał...” — zamyślił się burmistrz.)

Po czym powitał pułkownika piękną mową angielską, w której nie opuścił ani jednego ze świetnych wydarzeń, jakimi historia raczyła ozdobić dzieje tak wspaniałego grodu. Nawet okoliczność, że polował tu na jelenie Robert Bruce, nie została pominięta, a przeciwnie, wykorzystana celowo, jako że Polacy, żyjący, wedle mniemania burmistrza, w głębokich borach rosyjskich, winni ją szczególnie ocenić.

Mowa burmistrza podobała się ogromnie pułkownikowi, który wysłuchał jej z taką skupioną uwagą, jakby rozumiał przynajmniej choć jedno słowo. Następnie odpowiedział niemniej piękną przemową na temat dziejów pewnego historycznego pułku polskiego, którego nowym założnikiem miał być właśnie ów oddział. Pułk ów rozgromił w dalekiej przeszłości potężnego Dżyngischana, który inaczej doszedłby zapewne od Morza Azowskiego aż do

Szkocji. W parę wieków później nasiekl Niemców pod niejakim Grunwaldem, po czym, znowu po paru stuleciach, uczynił to samo z Turkami pod Wiedniem, Hiszpanami pod Somosierrą, obecnie zaś odbudowuje się na nowo na gościnnej ziemi szkockiej.

Burmistrz wysłuchał z niemniej, wielkim skupieniem długiej przemowy pułkownika, pełnej szeleszczących spółgłosek i groźnych „r”, i nabrał przekonania, że pułkownik polski wyłożył mu zapewne swoje horoskopy dalszych losów tej wojny lub też wyraził swe uznanie dla ludności szkockiej. Tłumacz, który był w sztabie, podczas późniejszego przyjęcia dopełnił po obu stronach korzystnego wrażenia. Burmistrz odczuł historyczne upodobania pułkownika, pułkownik ocenił takie same historyczne upodobania ojca miasta. Następnego dnia mieli razem wyruszyć na zwiedzanie najbliższych okolic miasteczka, jego przedmieść za rzeką, jego lasu i łąk.

— Ten człowiek jest zapewne miłośnikiem przyrody, lubownikiem krajobrazu — ostatecznie uradował się rozkochany w swym rodzinnym V. burmistrz.

I Polacy wydali mu się nad wyraz sympatycznym narodem.

Nazajutrz, skoro dziesiąta, burmistrz, pułkownik, dwóch oficerów, tłumacz — ruszyli ulicami miasta, pozdrawiani ukłonami mieszkańców. Auto wojskowe o barwach ochronnych zawiozło ich za miasteczko, na drogę wiodącą do Perth. Po kilkuset metrach pułkownik kazał stanąć. Kiedy wysiedli, rozwinął wielką mapę wojskową.

— Pułkownik musi się zorientować w terenie — objaśnił tłumacz.

Burmistrz próbował wytłumaczyć, że znając od dzieciństwa tę okolicę, w której zaroślach bawił się niegdyś w Indian i w Robinsona Crusoe, potrafi znakomicie zastąpić mapę o nie znanych pułkownikowi nazwach.

Ten jednak, gdy mu przetłumaczono propozycję bur-

mistrza, odmówił grzecznym, ale stanowczym ruchem głowy.

— Pułkownik mówi, że regulamin wojskowy polski nakazuje orientowanie się przy pomocy mapy, możliwie bez uciekania się do pomocy mieszkańców, zwłaszcza w obcym kraju — wyjaśnił tłumacz.

„Przecież my jesteśmy sojusznikami — chciał powiedzieć burmistrz — i jesteśmy we własnym kraju.” — Ale nie odezwał się.

Tymczasem pułkownik przyjrzał się mapie, potem okolicy, potem znowu mapie i jeszcze raz okolicy i powiedział do tłumacza kilka zdań, które ten przełożył głowie miasta.

— Pułkownikowi bardzo spodobała się ta okolica...

„*All right* — pomyślał burmistrz — ci wojskowi polscy znają się na pięknie krajobrazu. A nie mówiłem, że to mili, kulturalni i czuli ludzie. Tylko że trochę dziwni...”

Umiłowanie krajobrazu szkockiego zaprowadziło pułkownika na szczyt niewielkiego, ale o tej porze roku okropnie zabłoconego garbu. Potem zwiódło go znowu w dolinę, w której wiła się wśród mokradeł rzeczka romantycznie ginąca w kępach łożyn i olch. Burmistrz poczuł nieprzyjemnie chlupanie wody w trzewikach, albowiem w tym miejscu nawet latem bywało zawsze mokro. Wspaniałe buty pułkownika, oficerów i tłumacza, robione jeszcze w Warszawie, zniosły doskonale brodzenie w wodzie. Ale miejskie obuwie głowy miasta odmówiło posłuszeństwa. Obłocony, przemokły, szedł nieszczęsny gospodarz miasta nie wiedząc, czy mają go rozpierać uczucia radości, że okolice czynią na tych Polakach tak niespodziewanie głębokie wrażenie, czy też winien się raczej przyznać, że w tej porze roku nie tak bardzo przepada za wycieczkami krajoznawczymi. W dodatku na owym błotku przy rzece pułkownik bawił ogromnie długo. Chodził po sto metrów w jedną i po sto metrów w drugą stronę.

„Co ci Polacy widzą tak pięknego w tym błocie” — denerwował się z wolna najcierpliwszy ze szkockich burmistrzów.

— Pułkownik powiada — rzekł znowu tłumacz — że ta łączka jest bardzo piękna...

— Zapewne — odrzekł uprzejmie burmistrz, który czuł już niechybny katar — tylko że to błoto...

Uwaga burmistrza została z całą dokładnością zakomunikowana pułkownikowi, który niezupełnie podzielił ów pogląd.

— Pułkownik powiada, że to błoto jest świetne. Pułkownikowi bardzo podoba się to błoto. Pułkownik zapytuje, przez ile miesięcy w roku jest w tym miejscu aż tyle błota.

„To nie żadni Polacy — pomyślał burmistrz — ale bociany; istne bociany. Im chodzi o błoto i jak długo tu jest takie błoto. Może jeszcze zapyta, czy żaby z tego błota są smaczne?” — Ale wszystko to ukrył w głębi duszy i wyjaśnił ostatekiem uprzejmości:

— Jeżeli chodzi o błoto, to tu utrzymuje się ono cały rok z wyjątkiem jakich dwóch tygodni sierpnia. Ale i to nie zawsze. Dawno chciano zmeliorować tę łączkę. Niestety robocizna od czasu, jak rządili labourzyści, była droga, pasza zaś się nie bardzo opłacała, jak w ogóle gospodarstwo rolne...

Tu pomyślał, że może jednak ów dość zaniedbany moczar pod samym miastem wyrwie na Polakach, narodzie rolniczym, niekorzystne wrażenie:

— Ale teraz wszystko się zmieniło. Odcięcie naszych wysp od ferm duńskich i od dowozu zza morza ogromnie ożywiło w całej Wielkiej Brytanii rolnictwo, podniosło niezwykle hodowlę. Jest więcej krów i owiec, potrzeba więcej paszy, toteż i ceny są lepsze. Na pewno na wiosnę przystąpimy do suszenia tego bagienka i będzie tu wspaśniała, sucha łąka...

— Broń Panie Boże! — zakrzyknął pułkownik i powiedział moc rzeczy w niezrozumiałym słowiańskim języku.

— Pułkownik mówi, że aż do końca wojny nie można osuszać tej dolinki. Przeciwnie, najlepiej by było, gdyby można było zalać jeszcze wodami tamto pólko, o...

— Ależ tam są ogrody warzywne — jęknął nieszczęsny burmistrz — wspaniałe ogrody warzywne...

Pułkownik zaśmiał się złym i krótkim śmiechem.

„Polacy kochają błoto, a nie znoszą jarzyn — zakonkludował ostatecznie burmistrz jednego z najbardziej historycznych miasteczek pięknej Szkocji — ale to nasi sojusznicy i goście; trudno. Dziwni, swoją drogą, ludzie...”

Niemniej odczuł ulgę, gdy gość i sojusznik zeszedł wreszcie z owego mokradła na szosę.

Potem doszli do starego, murowanego młyna z czasów królowej Anny i pułkownik kazał sobie pokazać młyn. Podziwiał grubość kamiennych, staroświeckich murów. Po drabinie wydrapał się na strych. Własnoręcznie wybił otwór w gontowym nadpróchniałym dachu, wysunął głowę i gapił się czas dłuższy na okolicę.

„Może on przed wojną był malarzem? A może fotografem krajobrazów, że tak wyszukuje, skąd tu najpiękniejszy widok” — myśleli razem burmistrz i stary młynarz, który na widok dziury w dachu, wyłamanej najspokojniej przez wysokiego oficera, zbaraniał na amen.

Potem poszli na wzgórze pod lasem, potem zeszli na pastwisko baranie, potem podeszli do ruin katolickiego opactwa zburzonego przez purytańskich żołnierzy Olivera Cromwella. Burmistrz pocił się, bo wojskowi szli szybko i byli tak zagadani, że mało na niego zwracali uwagi. To jedno tylko rozumiał, że nigdy, przenigdy nikt nie interesował się tak żywo krajobrazem Szkocji jak ci właśnie Polacy. Ta ostatnia myśl lała się kojącą oliwą na wyczerpane nerwy.

Aż wreszcie, z grzbietu najwyższego wzgórza, nad samym miasteczkiem, roztoczył się najszerszy, najdokładniejszy widok. Burmistrz, nie zważając już na niebezpieczeństwo reumatyzmu, przysiadł sobie na polnym kamieniu i zgnębionym wzrokiem patrzył na swych polskich wojskowych towarzyszy. Stali nieco wyżej od niego. Pułkownik z twarzą jeszcze bardziej skupioną niż zawsze, energiczną, zamkniętą, natężoną, tłumaczył coś pozostałym oficerom. Niekiedy szukał czegoś palcem na podsuwanej przez nich mapie albo odchodził na kilkanaście kroków, by zaraz powrócić. Czasem wyciągał przed siebie rękę, wskazując czy rozkazodawczo. Podlegli mu oficerowie odważali się niekiedy na wtrącenie jakiejś ostrożnej uwagi. Najczęściej wzrok ich czytał w nieruchomej twarzy wodza lub biegł za wskazaniem jego ręki.

„Wygląda jak Wellington pod Waterloo — pomyślał naraz burmistrz — albo jak Kitchener pod Chartumem. O, Wielka Brytania ma wspaniałą flotę, ale Polska ma wielkich żołnierzy. Nawet na zwykłej przechadzce w polu wygląda taki, jakby dowodził ze wzgórza wielotysięcznym armiom.”

Wreszcie dyskusja oficerów nad krajobrazem szkockim dobiegła najwidoczniej końca i w tej samej chwili wspinały pułkownik przypomniał sobie jakoś istnienie swego cywilnego brytyjskiego towarzysza. Uśmiechnął się do niego po raz pierwszy w czasie całej wycieczki uśmiechem pełnym głębokiej, serdecznej szczerości. Burmistrz wyczuł w tym uśmiechu niezrozumiałość, ale bardzo męską przyjaźń.

— *Please* — powiedział pułkownik i zagadał coś dłużej do tłumacza.

Ten po chwili kablował dalej.

— Pułkownik powiada, że jest zupełnie zadowolony z tej okolicy.

„Zadowolony — pomyślał burmistrz — pewno chciał

powiedzieć, że mu się podoba.” — I uśmiechem podziękował za komplement.

— Pułkownik jest nawet zdania, że bardzo niewiele potrzeba, aby ten krajobraz stał na wysokości zadania — ciągnął tłumacz.

— Na wysokości zadania? Chyba się przesłyszałem; jakże krajobraz ma „stać” na wysokości zadania? Jakiego znowu zadania?

— Pewne niewielkie uzupełnienia są jednak do tego nieodzowne.

Burmistrz wystraszonym wzrokiem obrzucił dobrze sobie znaną okolicę. Przemowa pułkownika przypomniła mu naraz, nie bardzo wiadomo czemu, opinię wydaną onegdaj w Edynburgu przez najznakomitszego tamtejszego dentystę o jego uzębieniu: „Nic panu nie brakuje — powiedział po oględzinach dentysta. — Należy tylko usunąć te dwa siekacze u góry, tamten trzonowy, ząb mądrości po lewej, nałożyć dwie złote korony na tamte w głębi i spiłować zupełnie tamten przedni. To wszystko.”

Pułkownik gestami wspomagał teraz tłumacza.

— Przede wszystkim trzeba będzie podnieść stan wody na rzece przez podniesienie grobli...

— Woda zaleje owe ogrody warzywne na lewym brzegu! — wyrwało się okrzykiem bólu ojcu miasta.

— O to właśnie chodzi — podkreślił spokojnie, z uczuciem sadystycznej radości tłumacz. — Te ogrody, a także tamte dalsze pola... Jak najdalej. To grunt.

Burmistrz oniemiał zupełnie.

— Dalej — ciągnął tłumacz w ślad za palcem pułkownika — trzeba będzie wyciąć te wszystkie drzewa nad rzeką...

— Olchy — zawył w burmistrzu miłośnik rodzimej przyrody. — Te stare nasze olchy? Które tak pięknie siedzą w krajobrazie...

— One właśnie zasłaniają krajobraz — podkreślił tłumacz.

— Jaki tam krajobraz; tam dalej jest równe, odkryte pole...

— Ano właśnie. Potrzeba nam wszędzie takich równych, odkrytych pól.

Burmistrz oniemiał po raz wtóry. Ręka pułkownika jak niebezpieczny sęp zwróciła się ku pastwisku, na którym pasły się czarnogłowe owce.

— Tędy przejdzie wielki, głęboki rów...

— Przecież tam już jest rów — jęknął burmistrz. — Tam owca się schowa w tym rowie.

Sataniczny śmiech targnął oficerami, gdy im przetłumaczono opinię burmistrza. Nieszczęśnik słuchał jak wyroku dalszych słów tłumacza:

— Tu przyjdzie prawdziwy rów, głęboki na cztery metry, szeroki na trzy i pół. W tamtym jarku stanie zapora wysokości trzech metrów. Tamte gruzy oplecione bluszczem...

— To ruiny katolickiego opactwa — jęknął burmistrz.

— Tamte gruzy oplecione bluszczem wysadzi się dynamitem. Tamten skraj lasu się zetnie. Tam zrobi się wyrąb. Tamta ferma...

Tu pułkownik coś wtrącił.

— Nie, tamta ferma może zostać. Ona się tam nawet przyda. No i widzi pan, pułkownik miał rację, gdy zapewniał pana, że szkocki krajobraz ma niezwykle, nie docenione walory. Bez większego trudu da się z tego krajobrazu tak wiele zrobić.

Naraz, dopiero teraz, wszystko stało się burmistrzowi jasne i proste. Zrozumiał dziwaczne formy, jakie zamiłowanie do krajobrazu przybierało u tych polskich oficerów. Zrozumiał owo chodzenie tam i na przelaj, owo przystawanie i dysertacje, podczas których nabawił się kataru, a może grypy. Zrozumiał, dlaczego początek tej

niezrozumiałej jeszcze przemowy skojarzył mu się z wizytą u dentysty.

— To panom chodzi o to, żeby tę okolicę przekształcić na teren wojenny?

Niezwykła pojętność Szkota wywołała wielkie zadowolenie u pułkownika.

— Pułkownik kazał panu powiedzieć — doniósł tłumacz — że bardzo się cieszy, iż pan, choć cywil, tak w lot zrozumiał, o co chodzi. Pułkownik jest gotów wyjaśnić nawet cały plan umocnienia, jak my mówimy, terenu, przygotowania go do jego wielkich zadań. Ubagnienie owej dolinki uczyni ją nie do przejścia dla niemieckich czołgów, nawet lekkich.

Burmistrz poczuł dreszcz niepokoju na myśl, że niemieckie czołgi nie tylko mogą wylądować w Szkocji, ale jeszcze znaleźć się tam, gdzie teraz pasły się owce. Zarazem jednak uczył i przyływ dumy, że owa niepozorna łączka u bram miasteczka V. może się stać grobem pancernych potworów. Zamienił się cały w słuch.

— Cekaemy z młyna, wsparte ogniem erkaemów, będą miały tam ogromnie szerokie pole do obstrzału, zwłaszcza gdy już zetniemy te zawadzające drzewa...

„Biedne moje olchy — jęknęło w duszy burmistrza współczucie. — Ale też po coście w tym miejscu wyrosły?” — obudziła się naraz jakaś nie znana dotąd pretensja.

— Rów przeciwczołgowy na tym pastwisku przed nami — wywodził tłumacz — stanowić będzie dostateczną zaporę z tej strony. Działka przeciwpancerne będą stąd miały cacy zadańko...

„Jak oni się pieszczą taką myślą” — pomyślał burmistrz i wyobraził sobie naraz czołgi pogruchotane w olbrzymim rowie, ludzi zawalonych żelastwem i armaty walące z niewielkiej odległości w owo kłębowisko ciał i maszyn.

— Tędy — ciągnął tłumacz — położona będzie główna zapora ogniowa broni maszynowej.

„...Zapora ogniowa? — starał się wyobrazić sobie w swej cywilnej wyobraźni burmistrz. — Zapora ogniowa?”

— Tu zastosowany zostanie ogień boczny...

— Ogień boczny — szeptał przerażony i oszołomiony burmistrz — ogień boczny?...

— Nasze cekaemy zza drogi będą trzymały ogniowo tamte pola...

— Ależ od drogi tamtych pól nie widać — stęknął burmistrz.

Oficerowie zaśmiali się życzliwie.

— Tamte pola będą trzymane ogniem pośrednim cekaemów, który wali poprzez te wzgórza. To cała matematyka, ogień pośredni. Wspaniała rzecz. Mam nadzieję, że pan się o tym niebawem sam przekona...

(Znowu widmo Niemców zamigotało na oszronionych polach miasteczka V.)

— Tu zamkniemy przejście ryglami ognia stąd i stąd. Tędy wystarczy ogień boczny jednego erkaemu. Na ten jarek — bardzo niebezpieczny jarek — pójdą móżdzerze i granatniki. Bo tam jest pole martwe...

— Tam nie ma żadnego pola — opierał się burmistrz — to tylko głogi i krzaki. Jakież to pola?...

— Martwe. Pan nic nie wie. Być może, że założymy tam jeszcze miny naciskowe. Jeśli chodzi o obronę przeciwlotniczą, to do tego celu wieża kościoła jest jak stworzona. A także dach. No i stryżek młyna. Bardzo dobrze, dostatecznie zamaskowane miejsce...

Wzrok wszystkich spoczął na romantycznych, oplecionych pnączami ruinach dawnego opactwa.

— Co to za niepotrzebne rumowiska? One znowu stwarzają sztucznie martwe pole...

— To było opactwo katolickie zburzone ostatecznie przez tego niegodziwego Cromwella w 1653 r. — tłuma-

czył burmistrz w nadziei, że ułagodzi katolickie serca Polaków.

— Cromwell dobrze zrobił — osądził pułkownik — szkoda tylko, że nie doprowadził dzieła do końca. Na wojnie wszystko musi być dopięte do ostatniego guzika i zburzone do ostatniej cegły. Ale jest na to rada. Sprowadzi się saperów i dokończymy dzieła Cromwella.

I ze słowami pocieszenia zwrócił się do zgnębionego burmistrza:

— Widzi pan, jak przy pomocy kilku zupełnie drobnych zmian można zrobić coś porządnego z tej pięknej okolicy... No, wracajmy do domu. I tak spóźnieni jesteśmy grubo na *lunch*...

Grypa burmistrza, która objawiła się zaraz po powrocie z jego przechadzki z polskimi oficerami, przemieniła się w nocy w niepokojące majaczenia. Domownicy słuchali z przerażeniem, jak poprzez niespokojny sen mówił o niemieckich czołgach tonących w błocie, o jakichś zaporach na dachu młyna, o polach martwych i o Cromwellu. Wezwany nad ranem doktor przybył tam jednak już wtedy, gdy chory zapadł wreszcie w głęboki, tylko trochę nierówny sen.

— Ja nie wiem, panie doktorze, co to może znaczyć, ale on ciągle majaczył coś o ogniu. I jakoś tak dziwnie, niezrozumiale... Raz mówił o jakimś ogniu bocznym, raz o jakimś pośrednim, to znowu o zaporze ogniowej. Ciągłe ogień i ogień.

— Obawiam się, pułkowniku, że będziemy mieli kłopot z tym burmistrzem — przedkładał w tym czasie tłumacz.

— On się w żaden sposób nie zgodzi na wycięcie tych olch, na rozszerzenie moczaru, na usunięcie ruin...

— Musi się zgodzić, bo przecież nam powierzono tu prace nad zorganizowaniem bojowym terenu — odpowiedział niewzruszenie pułkownik — ale zresztą ja może nie

umiem po angielsku, lecz znam się na ludziach. Ten człowiek się zgodzi. A wie pan dlaczego? Bo ma poczucie historii.

— Właśnie dlatego nie pozwoli na zburzenie ruin, których nie zniszczył do końca nawet Oliver Cromwell...

— Właśnie dlatego się zgodzi...

Burmistrz był chory jeszcze przez środę. Nie mówił niemal do nikogo, tylko długo i milcząco coś w sobie rozważał. W czwartek przyszli go odwiedzić co znaczniejsi ojcowie miasta. Kiedy się zeszli, przemówił do nich w sposób następujący:

— *Gentlemen*, mam wam pewne bardzo ważne rzeczy do zakomunikowania. Jak w przeszłości, tak i teraz, panowie, nasze drogie miasto zostało postawione wobec pewnych konieczności wojennych. Powiem — historycznych.

Najbliższe okolice V. zostały włączone do jednej z wewnętrznych linii obronnych.

Dowódca polski, który tu przybył, *a perfect gentleman*, obszedł razem ze mną te właśnie okolice. Jego zdaniem, nadają się one doskonale do walki obronnej i powstrzymania największych nawet pancernych raidów. Jednakże zdaniem tego wybitnego oficera potrzebne są pewne... hm... przekształcenia.

W tym miejscu ojciec miasta nabrał tchu jak przed daniem nura w bardzo głęboką wodę.

— Trzeba będzie, niestety, wyciąć nasze olchy nad wodą, albowiem one przesłaniają to — jak to się mówi? — pole obstrzału.

Trzeba będzie podnieść śluzy przy grobli, tak aby woda zalała nie tylko tamtą bagienną łąkę, co to ją chciano zdrenować, ale nawet ogrody warzywne, wiecie? tam dalej...

— Wiemy, wiemy — spokojnie jakoś powiedzieli radni.

— Przez pastwisko pójdzie wielki, głęboki rów. Będzie on tak wielki i tak głęboki, że właściwie pół pastwiska diabli wezmą...

Dalej trzeba będzie zrąbać cały skraj lasu.

A wreszcie, moi drodzy, muszę was niestety powiadomić i o tym, że to, co pozostało z ruin opactwa, trzeba będzie wysadzić dynamitem, albowiem zasłania to zupełnie pole, skąd może nadejść nieprzyjaciół.

Teraz nieszczęsny człowiek odetchnął, jakby zrzucił z serca najcięższe wyznanie. A że w pokoju dalej panowała cisza, więc dodał jeszcze:

— Tak samo młyn starego Cliffa i nasz kościół, zwłaszcza wieża i dach, będą wykorzystane do celów obrony przeciwlotniczej. To, zdaje się, byłoby wszystko.

W tej chwili po raz pierwszy burmistrz zląkł się tej ciszy, jaka od pierwszych jego słów zaległa wśród zebranych. Nie przerywali mu ani na chwilę, nie drgnęli nawet, nie niepokoili się, jak on sam wtedy, na owej wycieczce w pole.

„Co to milczenie oznacza? — zapytał sam siebie z niepokojem. — Pewno ganią mnie za moją ustępliwość wobec tych cudzoziemców?”

— No i co wy na to? — zaryzykował wreszcie pytanie, albowiem to długie milczenie było dla niego najgorsze ze wszystkiego.

Siedzący najbliżej rzeźnik Mc Kullen, człowiek zazwyczaj ponury i krytyczny, mruknął pierwszy:

— Ano cóż? Ci Polacy przynajmniej nie biorą pieniędzy od króla za darmo...

Uwaga była niejasna. Burmistrz wyczuwał podstęp.

— Co pan ma na myśli? — zapytał wobec milczenia zebranych.

— Myślę — powiedział rzeźnik — myślę, że nie zbijają bąków i robotę traktują na serio. Ledwo przybyli, żeby nas bronić, zaraz zabrali się, gdzie rowy kopać, gdzie za-

pory budować, gdzie armaty ustawiać. Oni tam od szosy to już wczoraj zaczęli... Nie próżnują... Robotny naród.

— No tak — powiedział burmistrz ośmielony już jakoś — ale oni nam tu chcą błota namnożyć, drzewa powycinać, pamiątki stare poniszczyć...

Rzeźnik wzruszył ramionami.

— Jak wam dawno mówiłem — rzekł do głowy miasta — że wy to się za dużo cackać ze wszystkim lubicie. Tam żeby sucho, a tam żeby drzewka, a tam żeby ruiny jak na obrazku. Po jakie лихо to wszystko? Co wam z tych jarzyn będzie, jak po nich czołgi przejdą? Co wam z tych głupich drzew nad rzeką? Tyle że latem dziewczęta tam z chłopcami...

— To prawda — ożywił się drugi radny, którego dwie podrastające córki nawiedzały najgorliwiej ów romantyczny zakątek.

— Albo tak samo z tymi gruzami opactwa — ciągnął burzycielski rzeźnik. — Co komu z nich przychodzi? Ani to ładne, ani ciekawe, ani stylu w tym nie ma... Gruzy, i tyle...

— Słusznie — przytaknął właściciel korzennego sklepu, którego syn był na historii sztuki.

— Jasne jest dla każdego rozsądnego człowieka, że co tam było, to wszystko stary Cromwell poburzył. Reszta przez trzysta lat stała na deszczu i tyle z niej zostało, co z waszych, nie chcę obrażać, zębów...

— Cóż wy mi znowu przygadujecie! — obruszył się chory burmistrz.

— Nie przygaduję, tylko tak mi samo na język wlało. Ja powiadam, że trzeba im w tej robocie jak najprędzej dopomóc. Wszystko musi być zburzone, wycięte, rozkopane i zalane wodą w najszybszym możliwie czasie. Pewność nas tu po to zapraszali, aby uradzić, jak to zrobić najspieszniej?

— A... no, oczywiście...

— Więc co tu dużo mówić? Radźmy nad tym.

— Panowie — raz jeszcze odezwał się w burmistrzu miłośnik krajobrazu i zabytków. — Poczekajcie chwilę. Czyż nie czujecie, bądź co bądź, że to krajobraz oglądany od dziecka... że to pamiątki starej sławy naszego grodu... że to wszystko nam najbliższe... cała historia V.?

Na to czwarty radca, który dotąd nie mówił, zabrał głos.

— Drogi stary przyjacielu — powiedział. — Rozumiem twoją żalność, nie podzielaną tu przez wszystkich. Ale pomyśl, przyjacielu. Piękne są owe stare olchy, nie ma co, i niejeden z nas za lat młodości tam ze swoją dziewczyną chadzał. Dobrze się rodzą warzywa na tamtym polu i doskonale tam siano. Trudno o lepsze pastwiska owcze jak tamte, gdzie chcą robić jakieś olbrzymie rowy. I te ruiny, choć bezstylowe już może, jednak pięknie wyglądają w jesieni, kiedy bluszcz rudzieje i kraśnieje. Ale oto pomyśl. Co się stanie, jeśli zachowamy to wszystko, a potem będzie się mówiło i pisało: „Niemiecki desant przerwał się przez nasze linie obronne w okolicy starego miasteczka V., którego umocnienia były za słabe na skutek oporu ówczesnego burmistrza tego miasteczka...”

— O właśnie — syknął złowrogo rzeźnik.

— Mojego? — jęknął zraniony w serce burmistrz.

— A czyjegoż, kochasiu, czyjegoż? A teraz pomyśl inaczej. Co będzie, jeśli przypadkiem historyk późniejszy napisze: „Desant niemiecki, który sforsował wybrzeże, załamał się całkowicie na linii obronnej pod V., gdzie ludność miasteczka zalała wodą swoje bagniste tereny, przekopała swoje najlepsze pola, powycinała stare drzewa, zburzyła ruiny swego starodawnego opactwa, ale dzięki temu wszystkiemu uczyniła z okolicy niezdojany wał fortyfikacyj, u stóp których usłały pobojowisko setki niemieckich czołgów i tysiące niemieckich trupów...”

Wyobraźnia historyczna burmistrza, która dotąd zawsze

cofała się w przeszłość, teraz, po raz pierwszy w jego życiu, wybiegła naprzód.

— To dopiero będą się do nas na serio zjeżdżać turyści i podziwiać. I jacy turyści! Amerykanie! Jak na pobojowiska francuskie! Będzie ruch w interesie — ucieszył się szwagier burmistrza, bardzo obrotny handlowiec.

Ale wszyscy zganili płaskość jego myśli. W ciszy rozpamiętywali bowiem ową wizję sławy, która naraz spadnie na ich stare miasteczko.

— Niech się wtedy schowa St. Andrews i Edynburg, i najświetniejsze zamki i miasta szkockie przed tą naszą sławą — powiedział nawet rzeźnik.

— Pewno — machnął lekceważąco ręką burmistrz — te mydłki wtedy do pięt nam nie dorosną!

I z nagłym postanowieniem dźwignął się z łoża.

— Ja panów bardzo przepraszam — rzekł. — Ale wydaje mi się, że honor miasta każe, abym jak najrychlej zakomunikował naszym sprzymierzeńcom, że miasto V. jest gotowe na wszystko, czego od niego będą żądać.

Po czym, wbrew protestom żony, podrałował do kwatery pułkownika.

— Widzi pan, widzi pan — dworował sobie pewnego wieczoru pułkownik z nieszczęsnego tłumacza. — Kto miał rację? ja czy pan? Kto zna psychologię Szkotów? ja czy pan? I jak pan teraz wygląda?

— Rzeczywiście, panie pułkowniku, nic nie rozumiem. Ten burmistrz wtedy był jak z krzyża zdjęty...

— A teraz, wie pan co? Spokoju nie dają. Zalaliśmy wodą tę łączkę i owe ogrody. Oni: mało! Wycięliśmy olchy. Trzy tam zostawiłem, niech mają gdzie chłopcy prowadzić w niedzielę dziewczęta. Wojsko rozumie ludzkie potrzeby. To oni proszą się: wyciąć i te. Zostawiłem tam zrab tej ruiny, który nie zawadzał. Przeciwnie, Niemcy gotowi pomyśleć, że tam jest coś ważnego, i będą w to kroić. A wszyscy chórem: panie pułkowniku, koniecznie

trzeba i to wysadzić! Rów ogromny przerżnięto, balami wsparto, a oni wszyscy: eee, taki płytki, taki wąski! Dopiero jakbym pół miasta zburzył, a drugie pół zatopił, byliby szczęśliwi. Pamięta pan we Francji? Już szły niemieckie czołgi, a oni drzew na szosę zrębać nie pozwalali...

— Toteż właśnie.

— Toteż właśnie. A tu całkiem inny duch. Niby spokojni, cisi ludzie, wojny nie znający, rozkochani w swym krajobrazie, pracowici, oszczędni, nie lubiący wydatków. Aż tu narazili się własnowolnie i ochoczo na koszty, na straty, na ruinę, na zniszczenie. Bo przecież jeśli tu dojdą Niemcy, to miasteczko pójdzie z dymem. Ani chybi...

— A przyjdą?

— Przewidywania — to nie do nas należy. Do nas należy przygotowanie. Ale wie pan, że oni się tym trapią? Nie tym, że Niemcy przyjdą, ale tym, że może nie przyjdą, że flota ich stłucze na morzu, że zatrzymają ich na wybrzeżu, że rozbiją ich wcześniej, nim tu dojdą...

— Cóż to za strapienia?

— A widzi pan. Strapienia. Szkoci nie lubią wykosztowywać się na darmo. Nie lubią roboty na próżno. I uważa pan, oni mają zrozumienie dla historii. Oni wyczuli, co by to było, jakby właśnie pierwszą wielką klęskę Niemcom zadano tu, na polach miasteczka V., którego krajobraz tak znakomicie dostosowaliśmy do wielkich wojennych zadań. Zwycięstwo polsko-szkockie nad Germanami.

— Zwycięstwo polskie.

— Nie, proszę pana. Polsko-szkockie. A może raczej szkocko-polskie. Ich rola w nim byłaby olbrzymia. Ja to panu mówię. Ten kraj, choć bojów nie widział od wieków całych, wcale nie skapcaniał ani nie oklapł. Oni nie na darmo mają u siebie lwa w herbie. Wspaniałego, krwawego lwa.

*

— Wie pan — powiedział generał wysłuchawszy do końca opowiadania — ale te ruiny opactwa to oni niepotrzebnie zburzyli. Zawsze pouczam, że oddział dostatecznie wyposażony w moździerze siedemdziesiątki piątki nie powinien obawiać się pół martwych. Oto skutki zdawania się wyłącznie na cekaemy, broń dobrą, nie przeczę, ale która nie wszędzie się nada. Zawsze tłumaczyłem w Giszku. Ja bym tych ruin nie burzył. Mam cześć dla zabytków.

— A jakby przyszli Niemcy?

— To bym dopiero obłożył ich pięknym artyleryjskim ogniem!

KRYSTA

Owej jesieni także mówiono o wojnie, ale miałem znowu pojechać do Paryża. Wszystko było gotowe, nawet niebieskie, cienkie, dziwnie szeleszczące tysiącfrankówki, na których oglądanie zbiegło się pół Skomoroch, nabożnie nadziwiając się temu wcieleniu obcej potęgi. Jak ongi w szkole do wakacji, tak teraz liczyłem dni do odjazdu i może dlatego ów koniec lata wydał mi się tak piękny.

Rankiem wykańczałem tłumaczenie francuskie, nad którym biedziłem się od czerwca: była to żmudna praca, ale dopływałem już z nią do brzegu, a ostatnie strony rękopisu są jak ostatnie metry przepływanej toni: poprzez zmęczenie odczuwa się miły chłód ulgi. Około południa wołali na mnie Pociorkowie, żeby iść do rzeki, i szedłem razem z nimi na sypki, biały piach, taki właśnie, jaki wyrzucają na brzeg strumyki Podhala. Łężna w tym miejscu robi zakos; jest tu wpółzwalona grobla i młyn, ten właśnie, w którym Koster ulokował był swoją „malarnię”. Zazwyczaj był już tam Lutek Vogel, obłożony książkami i pismami, doktorowa Kamińska i asystujący jej krakowianin Siedlaczek. Siedlaczek był jedynym krakowianinem regularnie, jak my wszyscy, spędzającym lato na tym skomoroskim odludziu. Zanurzaliśmy się w wodę, która była jednako chłodna i jednako zielona cały chyba rok, zielona zielenią ciemną, biorącą swą ciemność i zapach od porosłego dębami i bukami garbu lasów łąskich.

Pociorkowie byli wtedy młodym małżeństwem. Poznali się właśnie rok temu w tychże Skomorochach. Oboje byli

uczniami Pruszkowskiego i zapalali się zawsze mówiąc o „Pruszu”. Chodzili jednako odziani w len, ona w bluzce lnianej, do spódnicy jakiejś samodziałowej, on w lnianej koszuli i spodniach z lnu, lnu tkanego cienko, ale prawie nie bielonego, ciemnego jak zgrzebne, workowe płótno. Kielczarowa, u której mieszkali, nalegała zawsze, że im to „zabieli”, żeby dali, że nie będzie trwało dłużej jak jedno pranie. Wzruszała ramionami, kiedy odzegnawali się ze zgrozą.

— Z temi panami malarzami to nigdy nie wiedzieć — zwierzała mi się potem. — Nawet kobieta, a rozsądku nie ma — dodała kiedyś.

Ja nie przeczyłem Kielczarowej, ale rozumiałem Pociorków i w dniu upalne patrzyłem zawistnie na szorstki, chłodny len ich ubrania, a dzisiaj, kiedy ich wszystkich nie ma, jeśli poczuję gdzie, w sklepie nawet, surowy zapach lnu, przypominają mi się zaraz Pociorkowie, on jasny, ona taka ciemna, tacy młodo smukli i spokojnie szczęśliwi jak czasy, które nie wrócą. Przypomina się droga kamienista, którą z naszych chałup schodziło się do wody, i ta woda ciemna przy młynie mistrza Kostera, i chudy Vogel na piasku, i sam Koster, i cała „malarnia”, i lasy łęskie, i niebo, i dwór skomoroski, i Krysta. — Śmieszne, wystarczy poczuć zapach lnianego płótna! O nich wszystkich nawet nie myślę poza tym i nie byłem w Skomorochach od wojny. Po co? Tylko wspomnienie Krysty wyłania mi się z pamięci przy bardzo różnych okazjach, najróżniejszych nawet, nie tylko gdy poczuję zapach lnu.

— Dobrze, że jedziesz do Paryża — powiedziała właśnie wtedy Hanka. — Musisz pogadać z Krystą.

— Kto to jest Krysta? — pamiętam jeszcze, jak spytałem. — Jaka Krysta?

I zostałem zaraz zbesztany i zawstydzony. W stosunku Hanka do Skomoroch kojarzyły się bowiem dwa dziwne nurty. Hanka czuła się w jakiś osobliwy, wstydlivy jakby,

ale pełen odpowiedzialności sposób skomoroską dziedziczką. Była nią od lat dziewięciu, jej dwóch chłopców ganiało po wsi, polami, jeździło wierzchem i klęczało w wąskim kościółku skomoroskim; ale można byłoby sądzić, że jest nią od wieka. Wrosła w cały skomoroski świat. Znała — nie wiedzieć jak i skąd — wszystkie sprawy i powikłania rozległej, rozsiadłej wsi. Co kto, z kim, kiedy i jak. Obchodziły ją w sposób niczym nie uzasadniony kłopoty małżeńskie jakichś Wawryczków i finansowe Derkaczy, i złe stosunki, jakie ze swoją świekłą ma Kasia, i pomór świń u Alojzego Napierały, i sprawa gruntów po Kuniowej, to wszystko, co nam, corocznym letnikom Skomoroch, było serdecznie obojętne. Jeden Lutek Vogel demonstrował swe skomorochoznawstwo w socjalnym, rzecz jasna, ujęciu, ale było z tego tylko wiele śmiechu, bo nigdy nie umiał odróżnić Wawryczków, którzy byli istotnymi bogaczami, od drugiej, głównej ponoć linii Wawryczków, którzy byli biedotą z biedoty.

Myśmy na to zziemiańszczenie Hanki patrzyli niechętnie: widzieliśmy w tym jej odejście od nas, od zagadnień takich jak sprawa światła i barwy, spory „lukaszowców” i „kapistów” i to wszystko, co było istotne dla świata malarzy. Nazywało się to, że „Hanka chłopieje”. Niemniej w skomoroskim patriotyzmie Hanki dotrwał jeszcze i inny nurt. Hanka czuła się nie tylko obywatelką owej stałej, wrosłej w glebę społeczności, jaką była ta wieś podgórska, ale jeszcze i tej przelotnej, letniskowej, intelektualnej, nieróbskiej społeczności, którą stanowiliśmy my. Społeczność to nie była czysto letniskowa. Wprawdzie nie wchodziła w nią wieś jako całość, ale wchodzili — systemem wolnego doboru — poszczególni ludzie tej wsi, ci, z którymiśmy mieli w taki czy inny sposób coś do czynienia. Tacy byli ci gospodarze, u których nie tylko podnajęto izbę, ale z którymi się zżyło, ugadało, zsiadywało wieczorami: takowe postaci, jak sołtys, proboszcz, ogrodnik

Hanki, sklepikarka Fajglowa. Imperializm skomoroski Hanki zmierzał ku temu, aby obie jej społeczności wreszcie utworzyły jedną, aby w drodze powolnej kooptacji społeczność letnia wchłonęła wreszcie całe Skomorochy. Nawet zmarłą Kuniową. I dlatego tak ją uraziło, że nie wiedziałem od razu, kto jest Krysta.

— No, jak to, nie pamiętasz Krysty? Ta, co wyjechała do Paryża?

— Ooo, odkąd to Skomorochy jeżdżą do Paryża?

— Naprawdę nie pamiętasz? Krysta Bojkówna, Bojkówna! — wołała na wpół zrozpaczona — prezeska koła młodzieży wiejskiej, dziewczyn, no ta, co wtedy... no, którą malował Koster...

— Ach, ach — budziłem się z niepamięci. — Ta rosła dziewczyna, która szła pierwsza w Boże Ciało. Ona jest we Francji?

— Nie wiedziałeś? Przecież mówiłam ci jeszcze rok temu. Już trzeci rok jest we Francji. Teraz w samym Paryżu — poprawiała się z dumą. — Krysta. Nie pamiętasz, jak sam Koster rozwodził się nad jej inteligencją? Wy wtedy wszyscy. Ale u was to tak zawsze wszystko mija. Potem pytasz: „jaka Krysta?” Najmądrzejsza, najbardziej udana dziewczyna ze Skomoroch. Nie ma już teraz takiej...

Hanka zamyśliła się na chwilę.

— Wiesz, ja tak od pół roku chyba myślę, że niedobrze, że ona jest we Francji. Powinna wracać. W ogóle nienajlepiej się stało, że tam pojechała, ale zacięła się wtedy, chciała. To prawda, że dobrze pracuje, pieniądze rodzinie posyła. Żeby kupowali grunt. Ale od czasu jak stary Bojko umarł...

— Stary Bojko umarł! — wykrzyknąłem, jakbym był jego synem.

— To pamiętasz starego Bojkę? — z uznaniem zauważyła Hanka.

Zaśmiałem się, bo nie znałem, nie pamiętałem zgoła staro-Bojki i tylko udałem, bo chciałem nabrać Hankę. Nie była rada. Na wsi nie lubi się dworowań ze wsi. Wyjaśniała dalej, niezadowolona, jak nauczyciel w klasie, gdy uczeń przerwie mu wykład jakimś głupstwem.

— Ten jej brat, Walery — wiesz, który — to wielki nicpoń. Pije. Niby to mówi, że Krysta pieniędzy nie posyła, a wszyscy wiedzą, że tak, bo listonosz mówi; albo znowu, że prosiła, żeby chować do banku, a wszyscy wiedzą, że jej nie w głowie bank — jaki bank? — tylko ziemia. Na pewno przepija. Już pisać chciałam, ale ty lepiej odnajdź mi Krystę, pomów po prostu. Tak będzie zrzędniej. Odnajdziesz? Pomówisz?

Ponawiała te pytania, bo nie odpowiadałem. Dopiero teraz wyłaniał mi się powoli pełny obraz dziewczyny zwaną Krystyną Bojkówną, Bojkówną, dużą Bojkówną czy — najczęściej — Krystą.

*

Musiałem ją pamiętać, bo tkwi w jednym z tych kilku obrazów, które na zawsze w mej pamięci ilustrują Polskę. Każdy z nas ma takich kilka czy kilkanaście obrazów, zwłaszcza ci, co całe lata przebywali poza Polską. Dla tych „Polska” kojarzy się wreszcie z jakimś zapachem, widokiem, melodią, zarysem czegoś. Otóż jednym z obrazów, które dla mnie są Polską, jest wiejska procesja. Może być wielkanocna, może być z pielgrzymki jakiejś do Kalwarii czy Częstochowy albo Góry Świętej Anny, wijąca się drogą polną. Ale najczęściej jest to taka na Boże Ciało. Jest wielkie słońce i skwar, i są spocone czoła lśniące tym potem jak monstrancja sama, i ksiądz zgarbiony a obtulony w biało-złote hafty, i twarze wkoło niego zasumowane ważnością. Wywała się to wszystko z wąskich, ciemnych wrót kościołka — faluje węzłem barwnym popod tym niebem bladym — jakieś cieniste gałęzie nad tym się chylą

— lip, najlepiej lip. Od organów, które zostały w kościele, nie poszły za tym, goni spiesznie jakaś melodia i nie może dogonić, bo wpada właśnie w zawodzenie kobiet, w dyszkanciki, w głosiki dzieci i w grube basy głosów do hukania po polach nawykłych. Tak, to to. Egzotyczny baldachim to wypina się naraz jak żagiel, to wydyma, to zwija, dzwonią jakieś dzwonki, pęta w za długiej komży macha ile sił kadzielnicą, głupio uroczyste mikrusy sypią kolorowe płatki kwiatów. Wszystko jest niesłychanie jasne i białe, a zaraz czuć silną, pomieszana woń polskiego lata i pół, tego kadzidła, które dymi jak na alarm, i ludzkiego spracowanego potu. Jest gorąco, to wszystko się odziało, opięło odświętnie — broń Boże, aby przewiewnie — nastąpiło i nakłęczało w kościele, nie domyło przedtem, młode to, zdrowe, więc poci się teraz zdrowo, kurzy tym potem mocnym jak woda, jak zapach stajni. Wolno, w takt pochodu, płynie pieśń z rodzaju:

U drzwi Twoich stoję, Panie,

po czym jest jakby przerwa i kobiety jedna przed drugą podchwytyją spiesznie, jakby bez tego pieśń miała się urwać —

...czekam na Twe zmiłowanie,

i powtarzają, jakby siebie samych nie dosłyszały, ale już wolniej:

czeee-kam na Tweee zmiłowaaanie...

Jakieś chorągwie kościelne, kolorowe, z malowanymi świętymi, kołyszą się wolno nad tym wszystkim; w środku — niesiony ostrożnie — chwieje się na swych drążkach złocisty feretron. No i właśnie tam, wtedy, obok tego feretronu, pomiędzy tymi chorągwiami, tuż prawie przed księdzem, na samym tle baldachimu — Krysta. Duża, biała

Krysta. Idzie bardzo wolno i spokojnie, bardzo godnie, nie widząc nikogo. Inne dziewczyny, grube, niskie, chude, jednako wybielone i obzielenione na skroniach, pucate, jasne czy ciemne, rozplývają się farbami w tym obrazie. To jak na słynnym płótnie mistrza Jana: nie wiedzieć, „która noga gdzie należy”. Któraś tam się zagapiła, którejś się coś przypomniało, któraś wybałuszyła gały i rozwarła jak ryba usta. Ciżba. Wieś. Jedna Krysta odstaje wyraźnie w tym obrazie, jest inna, jest czymś tak osobnym jak ten ugięty ksiądz, jak obie chorągwie, jak baldachim i jak feretron. Bardziej odrębna niż tych kilka twarzy, najczęściej starych mężczyzn, też się odcinających. U nich to tylko twarze. Krysta jest tu cała. Widać wyraźnie, że jest duża, raczej mocna, że ma spokojną, skupioną twarz, ma długie nogi, pewny chód. Jest nieodzowną częścią tej procesji. Taka jest jedna z moich ilustracji do wspomnienia: „Polska”.

To Boże Ciało to pierwszy „akt w sprawie Krysty”, jaki widnieje w mej skomoroskiej kartotece. Ale tuż potem idzie tamto popołudnie lipcowe, już chyba u Kostery. W młynie. Mało kto wie, nawet wśród malarzy, że mistrz, którego płótna jeszcze za naszej pamięci weszły w skarbiec klasycznego polskiego malarstwa, po społu z Wyczółem, Mehofferem, Ruszczycem, miał na własność młyn. Zwyczajny, wiejski młyn. To było tak, że wody Łężny wysychały zwolna, a na Dunajcu, poniżej Rożnowa, zbudowano wielkie nowoczesne młyny i skomoroski nie miał co robić. Mało kto teraz do niego zajeżdżał, koła się rozeschły, mąka usypywała, gont mchem zardzewiał. A Koster był wtedy w Skomorochach i upodobał sobie młyn. Najpierw malował go, potem mu młyn oddano w komorę, a potem, w dwa lata jakiegoś, nabył go. Myśmy się dusili w chatach, a on sobie przestronnie. Malował. Pamiętam, wszedłem od grobli. Dawny skład na mąkę był teraz pracownią; Koster pół dachu wywalił dla górnego światła. To pracow-

niane dzienne światło w młynie nadal mąką pachnącym robiło dziwne wrażenie. Koster z dwoma malarczykami stali każdy przy swojej sztaludze. Byli milczący, prawie nieruchomi, jakby mnie nie widzieli. Czasem któryś cofnął się, odchylając się do tyłu, czasem postąpił o krok naprzód. Niekiedy zatrzymał pędzel w ręku, nieruchomo, jakby mu tak naraz w ręce i ruchu zmartwiało, zastygł czy jakby czekał, aż na ten pędzel, lśniący farbą moką, spłynie moc niewidzialna z błękitnego powietrza. Było coś nabożnego w owym milczeniu. Wszedłszy nie widziałem zrazu, co malują. Ale zobaczyłem. Drzwi, bramiasto szerokie, były rozwarte, jakby czekały na wniesienie worów. Rozwarte na dwór. Na świat. Widziało się przez nie długie pasy pólek skomoroskich, kilimem wybiegające pod górę, pod to niebo błękit rozpylające, jak to jest na Podhalu w dniu letnie. W obramieniu drewnianych, grubo ciosanych ścian młyna zawisał naraz jakiś krajobraz tak jasny jak te tła włoskiego renesansu rzucone za profilami madonn, kondotierów lub księżnych. Taki właśnie. Próg drewniany oddzielał młyn od świata. Nie tylko próg. W progu stała o odrzwia oparta dziewczyna, zupełnie znieruchomiła. Miała włosy upięte w warkocz wokoło głowy i szarą, konopną koszulę na sobie. Miała ów spokój w rysach, po którym zawsze poznałbym Krystę.

Wieczorem był preferans we dworze i dręczyłem księdza Pronobisa:

— Ha, księżę kanoniku dobrodzieju, zgnilizna się szczy na świecie, jak ksiądz kanonik mówił, przez malarzy. Przodowniczki z Bractwa Różańcowego za modelki pozują.

Błękitne, stare oczy proboszcza, któremu przez przekomarzanie się mówiono u nas „kanoniku”, podniosły się zaniepokojone znad asa trefl. Ale to było tylko na chwilę. Coś sobie tam przypomniał i uspokoił się:

— Tylko jedna Krysta Bojkówna i u profesora Kostery.

Ta może — stwierdził tonem przesądającym prosto i ufnie skomoroską wątpliwość teologiczną. — Kryście Bojkównie wolno, o nią się nie boję. No i pan dziedzic leży bez trzech, z kontrą, po partii. 1600. Szkoda, że nie trzymałem boczka! Kto teraz rozdaje? Pan Pozniakowski robił karty? No, oczywiście...

Ale podczas rozdawania do następnej rozgrywki postanowił uzasadnić jakoś swe orzeczenie:

— Krysta może, panie mój. Kryście wolno. Ja pierwszy jej powiedziałem: „Idź, dziecko. Swojej duszy, dziecko, nie jestem pewien, a twojej, dziewczyno, jestem. Przez ogień przejdiesz, a ciebie nie osmali. Woda zgorszenia, a i ona ciebie nie zamoczy. Rzeczy ziemskie się ciebie nie imają. Niech lepiej ta malarnia raz jeden w oczach niewieścich dostrzeże czystość, a nie te gołe, bez...”

— Bez atu — podchwycił Pozniakowski.

— Bezwstydne ladacznice — dokończył ksiądz Pronobis. I tylko zerknąwszy do kart i zwinąwszy je z powrotem, odparował patrząc z pogardą na kontrpartnera:

— Bez atu? A ja na to pańskie bez atu powiem — dwa bez atu. He?

I zrobił trzy, bo Pozniakowski miał jak zwykle trzy gołe asy i ani jednej żeby choć dyski.

Koster malował więc Krystę, nieruchomą jeszcze bardziej hieratycznie niż na procesji. Zrobił z niej Madonnę dla dominikanów w Podkamieniu, malował ją przy kole młyńskim i na tle pól, i na tle wody, tak właśnie jak Koster, który przetrwał do przesytu czasem raz uchwycony wątek. Malowali i jego ludzie z nim razem. Przychodziłem w te popołudnia. Ubywało światła z każdą godziną i zarazem przybywało rozmów. Im bardziej światło słabło, czerwieniało, stawało się ostrzejsze, tym więcej Koster gadał — a jakże Koster gadał! Tak jak tylko malarz może gadać. Naprawdę malował słowami. Był to gawędziarz

staropolski, *causeur*, opowiadacz. Klekotał jak ten młyn, co był jedyną nieruchomością na tej ziemi, którą tak pięknie rozumiał barwą. Zwolna poniekiedy coraz ospalej posuwał swym pędzlem, coraz mniej patrzył na obraz, coraz więcej przystawał, oczy i uszy wlepiając w starego. Koster, który milczał przez dzień, milczał, gdy malował, teraz rozgadywał się jak o wieczorze żaby w oczerecie. Myśmy słuchali. Dolina Łężny napływała zmrokiem i chłodem, cień schodził skomoroskim garbem, jakieś krowy szły ciężko do udoju i dymy wlokły się na znak wieczerzy, i słabł do reszty dzień. O czym mówił Koster? To nie ważne, o czym mówił, choć może i ważne. Mówił o swoich latach krakowskich, a jego lata krakowskie to był „Zielony Balonik” i krewki kardynał Puzyna, i wielki w Krakowie Hoesick, i zaszczuty w Krakowie Wyspiański, i Boy jeszcze jako pętaczyna sowizdrzalski, i hofraty wiedeńskie jako potencje. A potem zaraz był Paryż, gdzie właśnie święcono młody triumf Maeterlincka i wzrost Degasa, i odkrycie Gauguina, i pierwsze przebrzaski młodego, dziwnego malarza o hiszpańskim imieniu i nazwisku: Pablo Picasso. I gdzieś jeszcze znowu austriackie ekscelencje, i Jerzy Mycielski, i Stanisław Tarnowski, a także „ten straszny Daszyński”, i jakaś Ukraina egzotyczna („jechało się saniami, czwórka rysaków zaprzężona w lejc, nie wiecie, co to: w lejc? jak to, nie wiecie, co to: w lejc?”), i jakaś zupełnie inna proporcja mierzenia spraw i rzeczy. Wojny i wydarzenia polityczne mały naraz w tym sposobie pojmowania historii, a za to suknia „w strazy” pani Fałatowej („co to była za kobita, pani Fałatowa, co za wspaniała kobita”), niepowodzenie miłosne „tego biednego Lucka” (Rydła) naraz wypływały na wierzch fali narracji z odmętów ludzkiej niepamięci. Woda rwącej Łężny dudniła białymi potokami o drewniane łopaty koła, chłód parował z lasu i ognie poczynały przeświecać wsią. Czasem księżyc wschodził niespodzianie i naraz odcinał

część desek podłogi, przy samych drzwiach, ostrym, sinym światłem. Właśnie w tym świetle, pamiętam, zobaczyłem naraz jakąś twarz kobiecą zapłakaną. Łzy ciekły powoli i srebrnie po nieruchomym obliczu. Żadnego skurczu, tylko te łzy. To dziwne powiedzieć, można w to nawet nie wierzyć, ale nie poznałem zrazu twarzy. Siedziało nas tego wieczoru z jedenaście chyba osób, parę w tym dziewczyn. Był to wyjątkowo szczęśliwy dzień Kostera. W tym świetle, a raczej mroku, twarze także ulegały deformacji, zmieniały proporcję, jak sprawy z opowiadań Kostera. Łzy zmieniają twarz także. Zwłaszcza u kobiet. Poza tym nie rozumiałem, dlaczego i skąd ten płacz. W opowiadaniu Kostera nie było nic, zgoła nic smutnego. Niczego, co by usprawiedliwiało płacz. Był świetniejszy tylko niż zwyczajnie tok jego barwnych, pienistych opowiadań, rozchukanych życiem. Tymczasem ktoś płakał. Wyteżyłem wzrok, żeby zobaczyć, kto. Kiedy to piszę, wszyscy wiedzą już i znudzeni dodają: była to Krysta. No tak. Ale wtedy nienajłatwiej to przyszło odgadnąć.

Nienajłatwiej to przyszło odgadnąć i kto jak kto, ale malarze pojmą od razu, dlaczego. Oto Krystę się wprawdzie malowało, ale Krysty się nie widziało. Krysta odgrywała wielką, niezastąpioną rolę w tych parogodzinnych posiedzeniach, które kończyły się długim wieczornym gadaniem, ale była to rola niezauważona i doskonale milcząca. Składał się na to częsty stosunek malarzy do modelu, gdzie model staje się przedmiotem i poza tym, że jest modelem, nie ma innego istnienia. Pogłębiał to jakiś niepewny, niewyraźny, zażenowany stosunek inteligenta do dziewczyny wiejskiej. No i dopełniała miary obco-wyniosła postawa samej Krysty. W każdej szkole określono by Krystę mianem „skryta”. Krysta milczała. Zresztą, po prawdzie, gadał głównie sam Koster. Ale milczenie Krysty było czymś głębszym jeszcze od naszego milczenia. Pamiętam, że nie znałem brzmienia jej głosu.

Nie znałem go długo jeszcze. Krysta milczała, póki pozowała, milczała, gdy światło gasło, a rozmowy nabrzmiwały ciemnym basem opowiadań Kostera. Potem siadała cicho na progu, jakby już poza nami. Nie odchodziła. Gdy odchodziła, to tak niepostrzeżenie, że nikt nie zauważał nawet, jak ani kiedy. Ale najczęściej zapadała — jak cień ludzki — w tem zmrok, który narastał, i jeśli przedtem niewiele pamiętano o jej obecności, to teraz zapominał o niej każdy. Była niewidzialnym świadkiem, który chłonał wraz z nami te Kosterowe opowiadania. Ile z nich rozumiała? Jakich potrzebowałyby komentarzy? Skąd mogła wiedzieć co o pani Fałatowej, gdy nic jej nie mówiło nazwisko: Julian Fałat; czym były dla niej anegdoty berlińskie o Kossaku, gdy nie wiedział, kto to ten Kossak, a cóż dopiero paryskie historie i zielonobalonikowe, i jakie tam? Słuchała. Są dzieci, które czytają książki nie rozumiejąc ich jeszcze, rozumiejąc przez pół, przez ćwierć. Po co czytają? Bo ciągnie je nie tylko to, co rozumieją, ale — może nawet bardziej jeszcze — to, czego nie są w stanie pojąć. Ciągnie. Krystę widać ciągnęło.

Tego wieczoru Koster opowiedział jeszcze parę, najpewniej wspaniałych, historii. Lały mu się one jak wino. Ale ja — jeden jedyny — nie słyszałem ich. Widziałem tylko jedną rzecz, to jest krągłą, dobrze sklepioną, po rzeźbiarsku bardziej niż po malarsku, twarz Krysty. Płakała milczącymi, spokojnymi łzami, a ponieważ miała twarz w księżycu, więc te łzy połyskały tocząc się w dół policzków naprawdę z żywością rtęci. W pewnym momencie księżyc wysunął się bardziej jeszcze, oświecił ją więcej, pełniej, może zajrzał jej za śmiało w oczy, dość że cofnęła głowę wstecz i w cień. Teraz mrok wysuszył jej łzy, nie widziałem ich i starałem się tylko odgadnąć zarysy twarzy. Ale i to było trudne i odgadywało się raczej postać, otuloną w ciemność jak w habit.

Nie, nie słyszałem, co jeszcze opowiadał Koster. Wsta-

łem, gdy wstawali wszyscy. Zdążyłem jednak zauważyć, że cień w progu wysunął się z mroku i zaraz śpiesznym kobiecym krokiem znikł za wyjściem. Wysunąłem się za nim. Rozmowy za nami i bełkot wody w jazie tłumili kroki. Biała postać weszła na wąską wydeptaną ścieżkę, gleba tu była mokra, tłumiała kroki. Tamci wracaliby inną drogą, na wodopój. Ona wracała sama. Dochodziliśmy do kartofli, kiedy po chodzie zgadłem, że poczuła za sobą czyjąś obecność. Jakby przyspieszyła, a potem jakby szła wolniej, niby że nic sobie z tego nie robi. Szliśmy tak chwilę, aż rzekłem:

— Krysta?

I zaraz zrobiło mi się głupio: czemu bo do niej naraz po imieniu? Niby co? Stary Koster mówił raz, pamiętam: panna Krysta. Tymczasem dziewczyna stanęła, odwróciła się. Zatrzymałem się także. Staliśmy od siebie o jakieś pięć kroków i milczeliśmy. Nie mówiłem z nią nigdy przedtem i nie bywałem zbyt często u Kostera, ale odczułem, że mnie poznała.

— Dlaczego pani płakała?

— Ja? — Głos jej jakby zgrubiał. — Ja? — dziwił się zdziwieniem kłamstwa. — A niby kiedy?

— Teraz — tłumaczyłem — przed chwilą, w młynie. Kiedy profesor mówił.

Teraz głos zawrzał:

— Co się panu zdaje? Czemu ja płakać miałam? To mi się... to mi się... bardzo... podobało.

Dobierała słów. Była niepewna w swym słownictwie.

— Ja nie wiem, dlaczego pani płakała — mówiłem miękko. Miękko, jak tylko mogłem. — Pani płakała. Łzy pani ciekły o tak, po całej twarzy, i pewnie — zbliżyłem się — jeszcze jest na twarzy pani ich ślad. I ja — głos mi się stawał głębszy — chciałem, ot, wiedzieć, dlaczego pani płakała?

Wargi jej zesznurowała złość.

— Ja? A co to pana... Co to pana właściwie obchodzi, czy ja płaczę, czy nie płaczę! Pana sprawa? Widzieliście, opiekun. Do domu odprowadza. Ooo...

Nigdy nie myślałem przedtem ani potem, że tak spokojna twarz będzie mogła tak nalać się złością ani że ta złość będzie tak wspaniała. Jakie w ogóle durne jest powiedzenie, że „złość piękności szkodzi”, kiedy właśnie złość, gniew, oburzenie wydobywa charakter, odbanalnia. Czasem właśnie gniew robi pięknym. Tak właśnie było wtedy.

Zbliżyłem się powoli, jakby skradając się, przebyłem tych parę kroków i stałem teraz tuż przy niej. Miałem oczy w jej oczach: nasze piersi dzielił od siebie wąski przesmyk chłodnego mroku. Musiała dostrzec, że w spojrzeniu moim nie było nic, co by wyglądało na chęć odprowadzania do domu i takich tam rzeczy. Właściwie nie było i nic innego, tylko ta naraz ocknięta, niespodziana ludzka ciekawość. Jak jeden człowiek bywa czasem ciekaw innego, obcego mu człowieka. Jej szyderstwo znikło. Byłem wyższy od niej i tak stojąc tuż przy mnie musiała mimo woli patrzeć się na mnie do góry, podnosić wzrok, i z tym podniesionym wzrokiem była niespodzianie inna. Nowa. Może ta właśnie myśl zabrała mi chwilę czasu, przedłużyła milczenie, zmiękczyła jej opór. Ja zaś zapytałem prosto, tak jak było:

— Dlaczego pani płakała? Ja chciałem wiedzieć, dlaczego pani płakała. Tylko, tylko to!

Bojkówna podniosła oczy jakby jeszcze wyżej, a przynajmniej mnie tak się zdało. I naraz coś zadrgało na ustach, jakby wargi rozjeżdżały się każda w inną stronę, aż ściągnięte zostały z powrotem jakimś nagłym sprzęgłem woli. I tylko oczy stały się naraz niespodzianie bolesne:

— Bo... bom se myślała, że ten wasz świat jest taki piękny... a ja... ja... go nigdy oglądała nie bedem...

Odpowiedź była za wielka. Teraz ja pętałem się przez chwilę, niezdarnie usiłując wybrnąć.

— Dlaczego, Krysta? Jest pani dziecko prawie... Pojedzie pani... zobaczy.

— Pojadę. Aha, pojadę. Do Nowego Targu na odpust!

— Do Krakowa będą jechali w sierpniu...

— A ino, do Krakowa. Byłam ja w tym Krakowie. Zwożą ludzi do tego Krakowa, żeby im w pochodzie szli i żeby się na kiecki a portki góralskie gapić. Cie...

— Będzie pani, będzie. W Warszawie z wycieczką, w Gdyni na Święto Morza.

— Patrzcie, patrzcie. Na odpust, na pogrzeb krakowski, na Święto Morza. Pojedź, popatrz, jak inne ludzie mieszkają i se żyją. Potem wracaj, napatrzyłaś się, do ty swoi chałpy, świnioków, gnoju, gnoju — powtarzała za cięciem — gnoju. Dychać tym smrodem, tyrać w tym smrodzie, macosze brzdyle taskać...

— Wyjdzie pani za męż...

— O, wyńdę, wyńdę. Za chłopca ze Starzawy czy giewałdziaka! Aści. Zeb se w tych butach z gnoju, z gębusią w wódzie, na mnie laźl, bachory sprawiał. Bił jeszcze. Na co wy się ta patrzyta lato całe, co ta tu widzita, te chmury, obłoki wasze, wode w rzece, kiecki na... Jednej ludzkiej doli niedoli nie widzita. Ze wam ona wisi kole tego, nie dziw, co wam ta po tem, pomalujeta, pojedzieta, lato się skuńczy, co tam macie się uzalać, nie ma uzalania na świecie, chyba dziadom. Ale ze ani nie widzita! Krysta, mówią. Panna Krysta! A juści. A jak sie na adwent za mąż wydam i w cztery roczki me ujrzyta, to tylko: „Co się z nią to stało, baba stara!” Wasze kobity w czterdzieści, a nie to co nasze w dwadzieścia pięć. Oo! To nie mam ja płakać, jak o tem innem życiu choć się nasłucham, jak ten chłopak w kredensie dziedzicowskim, nie? Ino siedzieć, słuchać jako w szkole i tak: wy sie rozjedzicie, ja tutki ostaną. To w porzundku?

Nie była teraz zła ani ordynarna, ani zaczepna. Tłumaczyła po prostu. Miała mądre, dojrzałe oczy i czułem

się jak głupi, głupi sztabak. Pewno bym nic nie powiedział. Ale za nami rozległy się jakieś kroki. Dziewczyna chlusnęła spódnicą i tyle jej było. Zawróciłem i parę kroków dalej spotkałem milczącego Lutka Vogla. Musiał też być w młynie.

Następnego popołudnia pod wieczór coś mnie pociągnęło do młyna, ale nie było nic, bo nie było Krysty. Koster kłął po francusku i niemiecku, z paryska i z monachijska, jak mawiał, co to za bieda z dziewczynami ze wsi. Nie przyszła. Pewno dzieciak się objadł albo krowę sparło. Na drugi dzień byłem także. Na trzeci kończył mi się pobyt. Jechałem rano wczesnie na kolej. Patrzyłem z waszaka na chatę Bojków. Okna były jak zabite, a na podwórzu nikogo. Nawet malwy nie zakołysały się po kossakowsku. I powoli obraz Krysty się zatarł. Aż do samego imienia nawet.

*

Jest dużo hoteli w Paryżu i mają bardzo piękne i cudaczne nazwy, ale stawałem wtedy zazwyczaj w hotelu, który z wielką taniością i spokojem jednoczył jeszcze cudownie miłą nazwę. Stoi on wciąż — cóż w Paryżu się zmienia! — na rue des Saints Peres. Jest po prawej ręce, jak idziecie od Faubourg Saint-Germain minawszy placzyk z grubą iglicą Opactwa Saint-Germain, gdzie w mroku kościoła, na swym tymczasowym nagrobku, modli się kamienny Jan Kazimierz, jeden z paru królów naszych, którzy nie mogli wytrzymać w Polsce. Naprzeciw opactwa jest, dla orientacji waszej, znana „Café des Deux Magots” oraz, o czym się nie wie, skromny hotel „De Taranne”, bo tu gdzieś szła zburzona potem rue de Taranne, miejsce burzliwych zebrań naszej emigracji po 1831 roku. Niedaleko jest księgarnia polska dra Lama, a o jakie trzysta metrów w dół wąską rue de la Seine, ściekającą do Sekwany, stoi dom, w którym Mickiewicz pisał *Pana Tadeusza*. Jak tamtędy chodzę, to wydaje mi się, że słowa o pa-

ryskim bruku nie tyczą się żadnej innej okolicy Paryża tak jak tych kilkunastu uliczek, schodzących dopiero niżej, na Wyspie Świętego Ludwika, ku dostojnie prostej reducie polskiej dumy zwanej Hotel Lambert. Kiedy jest wiatr i dmie tymi uliczkami zapędzony w nie gdzieś z góry, wydaje się, że podnosi w powietrze wraz z pyłem paryskim ostatnie smugi tęsknoty wleczonej tymi uliczkami przez ludzi, którym na tym bruku marzyła się daleka Oszmiana i dalszy jeszcze Owrucz, pola malowane zbożem rozmaitym, bursztynowy świerzop i rzenie mocne, o zmroku przy wodopoju bużańskim, spoconych ułańskich koni.

Ale mój hotel nie zalatuje polskością, nie zalatuje nawet międzynarodową cyganerią. Jest francuski i mieszkają w nim przeważnie księża z prowincji i profesorowie. *Tout ce qu'il y a de plus respectable* — zapewniała mnie kiedyś właścicielka. Same dobre goście. Nazywa się zaś hotelem „Du Bon La Fontaine”. To znaczy „dobrego La Fontaine’a”. Podoba mi się ten „dobry”. Czy u nas byłby hotel „dobrego pana Fredry”? Lub „zaczego Wincentego Pola”? Lub „hotel dobrego Krasickiego”? Nie. To się tylko może zdarzyć we Francji. I to jest jeszcze jedna racja, żeby tu zamieszkać.

Przyjechałem owej jesieni, w okresie, kiedy Paryż powoli się zaludniał falą ludzi wracającą z wywczasów, to jest z piasków plaż normandzkich, z Berth i Deauville, i z ciepłego Hendaye, i z Saint-Jean, i z Plateau Central, i skąd tam jeszcze. Miałem, rzecz prosta, pełno poleceń. Okazało się, że nic nie wypadło mi na popołudnie. Wśród listów i spisów leżał na dużej niebieskiej karcie wyraźnie wypisany dużym pismem pani Hanki adres paryski Krysstyny Bojkówny. Było to jakieś *café* — pewno w polskiej dzielnicy — pomyślałem — na zupełnie nie znanej mi ulicy, w zupełnie nie znanej stronie Paryża. W hallu, a raczej przy schodach Hotelu Dobrego La Fontaine’a wisiała

duża mapa Paryża. Zacząłem na niej szukać owego adresu. Wyręczyła mnie Mlle Juliette.

— Ohhh — rzekła nieosobowo. — To chyba będzie gdzieś tu o, gdzieś tu o...

— Była tam pani kiedy?

— Ja? Skądże! — jakby ją zapytano, czy zna Ziemię Ognistą. — To zresztą drugi koniec Paryża, a ja tu dzień w dzień ślęcę przyjmując *les clients*. Pan tam idzie? — zapytała niepewnie.

— Tak. Mam tam kogoś znajomego.

— Ah — zdziwiła się Mlle Juliette.

Zawahała się chwilę.

— *Bonne chance alors* — pogoniło jeszcze za mną. — Szczęśliwej drogi!

Za chwilę byłem w metrze, gdzie czekały mnie jeszcze bodaj dwie przesiadki, po czym wreszcie wypłynąłem w zupełnie innym świecie. Zaczął zapadać zmierzch i stało się szarawo, ciemniej niż wtedy, gdy schodziłem przy Saint-Germain do podziemnych czeluści, i ulice poczynały nabierać wieczornych, jesiennych cieni, a latarnie zapalać się leniwie. Ale nie tylko światło było tu inne. Ulice były tu bardziej tłoczne, bardziej ożywione: sklepów było mniej i były mniejsze, szyldy prostsze, krzykliwsze. Był i tu bulwar szeroki jak Saint-Germain, ale Saint-Germain to bulwar spokojnych banków, monotonnych *immeubles* z firankami w oknach zamkniętych jakby od wieków, z jakimś gmachami jakichś bardzo godnych i nieruchawych urzędów. Uliczki, które odciągają zeń w bok, to stare, wąskie uliczki, ale trochę tak jak dziedzińce hiszpańskich domów: puste, pełne słońca, czasem jakiś kot rozsiądzie się na środku jezdni. Tymczasem uliczki zbiegające tu na bok od głównej arterii były to ciemne, kręte, bystre strumienie, wezbrane ludzkim ruchem, krzykiem, życiem i smrodem, wlewające się w bulwar jak w szeroki, ocembrowany zlew. Dojrzałem gdzieś w załomie jakieś jatki

„koszer” z gwiazdą Dawida; w konie pierwszego piętra ktoś klócił się po hiszpańsku; jacyś przekupnie wyglądający na Syryjczyków zachwalali kolorowe krawaty i brązowe *cacahuètes*. Z daleka, gdy skręcałem z bulwaru, mignęły mi kolorowe światła reklam dachowych place Pigalle. Tam gdzie idę, sądzielnice robotnicze — starałem się sobie przypomnieć. Nie myślałem o tym więcej. Szukałem ulicy.

Senny *agent de police* wytaszczył spod pelerynki czarną, grubą księgę, jak brewiarz. Stwierdził, że taka ulica istnieje, a także takie *café*. Wszystko było w tej księdze wiedzy policyjnej. Pomyślał nad czymś chwilę, potem szerokimi ruchami objaśniał:

— *Vous prenez la première à gauche, puis la deuxième à gauche, toujours à gauche. Ce serait dans le fond.* — Pierwsza na lewo, znowu na lewo, jeszcze raz na lewo.

Powlókł po mnie znudzonym spojrzeniem:

— *Vous pensez y rester longtemps?*

Zdziwiłem się:

— Czemu mnie pan pyta, jak długo tam zabawię?

Spojrzenie było jeszcze bardziej znudzone.

— *Beug, enfin. C'est votre affaire.* To pańska sprawa. *Tout de même, si vous vous y attardez, prenez, en rentrant, le boulevard. Ça prend plus de temps, mais c'est plus sûr. Pour un étranger!*

— Znam Paryż.

— To lepiej, ale w każdym razie. *Bon. Bonne chance!*

I powlókł się, czarny, w swoją stronę. Objasnienia były dobre. Po jakichś pięciu minutach stałem przed „Café de la Marquise”. Po schodkach wszedłem do środka.

Dosyć duża, jak się zdawało, salka była prawie ciemna. Ktoś porał się przy dużym blaszanym kontuarze, rodzaju baru, przy którym pewno podawano napoje, w ciemności majaczyły krągłe, typowo kawiarniane stoliki, dalej w kątach jakieś wygniecione pluszowe kanapki. Ściany miały

malowidła czarne na tle złotym czy odwrotnie, ale przy braku światel nie można tego było dostrzec. Ktoś sprzątał w kącie. „Café de la Marquise” robiła wrażenie dziwnie niezamieszkałe o tej porze, kiedy inne paryskie *café* są pełne światła i ruchu. Pomyślałem, że nie musi się im, widać, powodzić dobrze, i stałem w środku, czekając, aż ktoś pojdzie. Po chwili zza kotary w przejściu ozwał się gniewny głos kobiety:

— *Là bien alors. Qu'est ce qu'il y a?*

Wysunęła się zza kotary i zaraz głos jej się zmienił.

— *Oh, excusez. Un instant, on y vient.*

Instant potrwał chwilkę, po czym pojawiła się korpulentna, wysoka pani o postawie i chodzie dystyngowanym, za dystyngowanym na właścicielkę *café* (choćby „markizy”) w tej czy jakiegokolwiek innej dzielnicy. Tylko oczy miała ciekawe, szybkie, świdrujące i dalekie od dystynkcji. Oglądnęła mnie sobie dokładnie.

— Pan nie był u nas nigdy — stwierdziła raczej niż zapytała.

Wpadłem w ten sam, dosyć dziwny, półtowarzystki ton.

— Nigdy, *Madame*.

— *C'est que vous venez un peu de bonne heure* — uśmiechnęła się czarująco.

(Trochę tak jakbym, zaproszony na obiad o pierwszej, przyszedł o dwunastej.)

— *Ne vous en faites pas*, zrobi się coś dla pana — mówiła. (Zupełnie w tym tonie, jakby oświadczała: obiad będzie wprawdzie dopiero za godzinę, ale zaraz zrobię mały omiecik.)

Wtedy właśnie w prawej kieszeni marynarki domacałem się sztywnej karty z pismem Hłanki.

— *C'est que...* — zacząłem. — Bo ja mam tu list do kogoś u pani...

— Do kogoś u mnie? — zdziwiła się.

— Tak. Christine Bojko. Bożko — wymawiałem po francusku.

— *Oh, la brune Polonaise* — uświadomiła sobie patrząc na kartkę Hanki. — *Mais oui, mais comment*. Ona powinna tu być niezadługo. Oczywiście. Christa. Crista — wycharczała dziwne imię. — *Pas mal*. Pan ją zna?

— Trochę. Jeszcze z Polski.

— Pan z Polski? Zaraz się domyśliłam. Pan taki dystygowany! O, bo ja miałam dużo do czynienia z Polakami i Rosjanami. Jeszcze dawniej — westchnęła. — Wie pan, miałam swoją *maison* koło Montparnasse. *Tout ce qu'il y a de mieux!* Nie to co tu. Ale pan sam zobaczy, to tylko tak wygląda. Tu schodzą się wszyscy. Malarze, ale *des respectables, quoi*. Amerykanie. Tylko dzielnica taka. Niektórzy to lubią. *Ça leur donne plus de saveur*. O, ale ja bym wolała coś lepszego. Pan siądzie? *Un café? Arrosé? Non?* Pan wybaczy. Oto wieczorny „Intran”.

„Intran” zawierał przykrą korespondencję z Genewy. Właśnie dyplomacja polska zażądała w Lidze Narodów skreślenia z listy jej członków Abisynii, jako że podbój tejże został ostatecznie przez zwycięskie wojska Grazianiego dokonany. Było pełno uwag o Polsce, i zagłębiłem się w lekturze. Po kolei rozpalaly się światła lokalu, przybywało ludzi, krzątano się. Czytałem. Odsunąłem gazetę myśląc o tym wszystkim. Nie było to bardzo przyjemne.

Naraz u wejścia wykwitło z ulicy kilka wysokich dziewczyn. Stały w progu przed wysokim na całego człowieka lustrem, poprawiając suknie i makijaż. Poznałem profil Krysty. Był ten sam, spokojny i nieruchomy.

Wsunąłem „Intrana” do lewej kieszeni i wolno podszedłem do wejścia. Tamte dziewczyny minęły mnie szybko, idąc w głąb lokalu, i gdy podszedłem, Krysta została sama jedna. Stała tuż przed wielkim lustrem, ciemnym w tle,

bo światel było jeszcze mało, poprawiając sobie włosy. Nie wiem czemu zamiast zawołać ją czy wziąć za rękę stanąłem za nią, tuż za nią, patrząc w to samo lustro.

Jak rzekłem, lustro było ciemne, tak że nasze obie postacie wynurzały się jakby z czarnej toni, jak twarze z zaciemnionych obrazów starych holenderskich mistrzów. Moje oczy w lustrze natrafiły od razu na oczy Krysty, oczy Krysty takie same, skupione, uważne. Wiecie, jakie uważne ma oczy kobieta, gdy sprawdza w lustrze szczegóły swego wyglądu? Więc miała takie właśnie. Próbowaliście kiedy spojrzeć wtedy zza jej pleców przez lustro w te jej oczy? Spróbujcie. Zawsze się ockną z przerażeniem, zmieszane, jakby zaskoczyły ją nagle nagą czy zmieniającą bieliznę. Ale nie. Właściwie oczy Krysty nie zmieszaly się. Podniosły nieco brwi, źrenice stały się większe, twarz znieruchomiła zupełnie. W ustach trzymała jakąś szpilkę do włosów, miała ją wyjąć zapewne, i pozostała tak znieruchomiła z tą sterczącą szpilką w wargach. Wargi były duże, mięsiste, jakby opuchłe. W tym lustrze mimo ciemności rysowały się dobrze tą czerwieńią. Owa szpilka, bezradnie w nich zapomniana, przyciągała mimowiednie wzrok. Pierwsze, co mnie uderzyło odmianą, to były właśnie te wargi Krysty. Wargi Krysty. Nawet nie to, że były naróżowane. To dostrzegłem potem dopiero. Tu mrok stonowywał ten róż. Wyglądały tak, jakby urosły, rozpęczniały naraz, jak kwiat, który rozkwitł z wąskiego, ścieśnionego pączuszka i rozwala się bezwstydnie i przechwalnie całą swoją zmysłową krasą. Nie wiedzieć czemu przypomniała mi się w okamgnieniu Krysta z rozkołysanej biało procesji i ta Krysta w półmroku Kosterowego młyna, i jeszcze ta z krótkiej, starć pełnej rozmowy w tamten wieczór późny na skomoroskim kartoflisku.

Po czym stała się rzecz najdziwniejsza: Krysta wolno wyjęła szpilkę z tych warg i ruchem jeszcze wolniejszym

poczęła wpinać ją we włosy. Robiła to długo i czyniąc to podniosła w górę ramiona, mocne, pewne jak ona sama. Zdawała się cała zajęta tą robotą. Oczy jej w lustrze były utkwione uparcie w te włosy. Po chwili wyjęła ołówek w lśniącej oprawie i uważnie, umiejętnie rozprowadzała czerwień po mięszu ust. Widziała znowu tylko swoje usta. Czyniła to wszystko tak spokojnie i wolno, jak gdyby nic innego nie istniało na świecie. Potem poprawiła włosy. Ale teraz, po tym nowym ich poprawieniu, poczułem, że inicjatywa wraca mi znowu do rąk. Jak to było? Przeżywałem w myśli i skrócie wszystkie fazy tego spotkania. Najpierw stanąłem za nią niespodzianie i naraz, nieoczekiwanie, jej oczy natrafiły na moje w tym lustrze, jak noga w toni rzecznej natrafi naraz na węgorza czy raka. To było moje zaskoczenie. Gdybym był wtedy zagadał, odezwał się! Wykorzystałbym moment. Nie zrobiłem tego i ona zrobiła następny krok. Tym następnym krokiem to było owo niedostrzeżenie, owa obojętność. Ze jakby nic. Powietrze. Gdyby wtedy, upiawszy już te włosy, odwróciła się wprost i odeszła, zostawiając mnie, byłaby mi się naprawdę wyśliznęła z rąk. Wszelkie gadanie potem byłoby już próżne. Ale tym razem ona, ona sama nie wykorzystała swojej inicjatywy, swego, a raczej mojego, zaskoczenia. Z kolei ja przeszedłem do przeciwnatarcia. Stanąłem tak, abyśmy, gdy się odwróci, stanęli piersią w pierś, oczyma w oczy, nie w lustrze już, jak mary, ale naprawdę w żywe oczy. Po prostu zagrodziłem drogę. Czekałem spokojnie, pewnie, jak na coś, co przyjąć musi, i to bardzo prędko. Ale naraz zaszumiało coś za nami i zawiąło perfumami i głos słodko naglący ozwał się tuż za mną:

— *Eh, Christine, t'assez faite, ton Monsieur qu'y a là!*

Krysta odwróciła się do „Madamy”, która stanęła z uśmiechem dobrej ciotki mówiącej do dwojga kuzynków: „Cóż, Stasiu i Józiu, dawnoście się nie widzieli?”

Teraz ja nie dostrzegłem jej oczu, ale widać musiało być w nich dość wiele wyrazu, bo ton dobrej cioci zmienił się od razu:

— *Eh, bien, non, seulement pas d'histoires, tu sais bien!*

Są na świecie ciotki, które umieją się uśmiechać najśłodszym z uśmiechów, wysmażać najśłodsze konfitury i cedzić najśłodsze komplimenta, ale gdy do czego przychodzi, potrafią najeżyć swój uśmiech szpilkami, a słodycz zaprawić octem. Tak samo z mową francuską: potrafi być najśłodsza i najmieksza, ale jeśli zechce, tnie ostrzej i cienie niż najcieńszy stalowy pręt. Tak było teraz. Krysta, jakby uderzona, wyrwała się i uciekła ku tamtej kotarze czy wejściu, w głąb.

„Madama” oniemiała. Na chwilę stała się czerwona.

— *Ah, mais non. On ne verra pas ça!*

Ale to było tak, w powietrzu. Zaraz zwróciła się do mnie z czarującym, światowym uśmiechem:

— *Oh, mais vous m'excusez, Monsieur, n'est-ce pas? Prenez place pour un instant et tout sera réglé.*

Było to powiedziane tonem pośrednim pomiędzy tłumaczeniami w pralni, że bieliznę opóźniono o dzień, a prośninami najwytworniejszej pani domu, że obiad się spóźni o całych dziesięć minut. Usiadłem. „Madama” pomknęła ku kotarze. Ludzie wchodzili, jakieś światła zapalono, odezwała się jakaś muzyka. Zbierałem rozlatane myśli. Było mi głupio, zwłaszcza gdy wróciła „Madama”, uśmiechnięta i promienna. Podeszła do mego boksu i najczarowniejszym z uśmiechów wyjaśniała:

— *Un petit malentendu... Un tout, tout, tout petit malentendu, Monsieur. Vous n'êtes pas fâché, n'est-ce pas? Ça arrive avec des débutantes, vous devez bien savoir. Elle est là tout de suite... Zaraz, zaraz...*

I gdy po chwili wysunęła się Krysta, dognała ją jeszcze rozpromienionym:

— *Eh, bien, Dodotte, ça va?*

Krysta odwróciła się ku niej. Nie widziałem jej twarzy. Słyszałem tylko odpowiedź:

— *Mais oui, Madame! — et comment!*

I siadła przy mnie. Nie patrzyliśmy na siebie. Zresztą przed nami zafalował zaraz obkoronkowany biust „Madamy”. Patrzyła życzliwie jak na pogodzone po krótkiej kłótni dzieci: miała pewność siebie cyrkowego poskramiaacza lwów po udałym, tylko co zakończonym przedstawieniu. Poradziła, że teraz najlepiej będzie coś wypić. Ma aperitify... Choć... Może... — dla uczczenia szczęśliwego powrotu — powiedziała: *heureux retour* — może najlepiej byłoby *un bon champagne?* Ma takie *des demies bouteilles* — pośpieszyła. Właśnie, żeby pić *en deux*. Jako dobry początek. *Et pas cher*. O, u mnie. Tak więc, taką *demi bouteille*, prawda? Będzie „Veuve Clicquot”. To już jest klasa, pan wie. No, właśnie...

Widocznie wzięła mnie w opiekę, bo czuwała nawet nad rozlewaniem. Drobne kropelki gazu rozperlały się po złotawym płynie. Siedzieliśmy ani patrząc na siebie, ani mówiąc. Znowu weszło parę osób, siadło przy sąsiednim stoliku: powoli tonęliśmy w tłumie i to było dobrze. Jeszcze uwijała się przy nas „Madama”. Ale i ona oderwała się naraz:

— *Je vous laisse* — odplynęła z matczynym uśmiechem, jak zostawia się samą parę narzeczonych na gwałnym przyjęciu.

Podniosłem kieliszek i piłem cierpkawy szampan. Krysta podniosła swój także. Wypiła szybciej. Nalałem. Miałem wrażenie, że odsunie kieliszek, ale poddała się, po czym wychyliła swój szybko. Muzyka grała teraz dobrego starego walca z *Wesołej wdówki*, walca tak staromodnego i *fashionable* jak owa uśmiechnięta „Madama”. Pomyślałem, że grywano go nieraz w Skomorochach i że tony jego nieść się musiały z okien dworu na ogród, na pola i wieś.

Krysta jakby się poruszyła. Po czym zagadnęła, jakby jej o to najwięcej chodziło:

— Że też pan miał mój adres. Kto panu go dał?

Wymieniłem nazwisko Hanki.

— Skąd ona go miała?

— Nie wiem.

— Po co go panu dała?

W tej chwili bardzo różne potoki myśli zbiegły się naraz w jedno i powstało coś jak natłok wozów u zbiegu paru ulic. Ów natłok był wywołany tym właśnie pytaniem. Przecież przyszedłem tu, bo prosiła mnie o to Hanka: nie od siebie; a Hanka prosiła mnie dlaczego? Bo jej zdaniem Krysta posyła swe ciężko uzbierane pieniądze z Francji do domu, aby jej — wiejskiej dziewczynie — dokupywano morgów. Jej brat zaś te pieniądze trwoni, przepija, nie kupuje nic. A ona... Aha, więc po to. To wszystko tutaj miało się więc potem materializować w morgi, w te wąskie, długie pasy ziemi, wykrawane na skomoroskim garbie. A my nie umieliśmy odróżnić, ku zgrozie Hanki, który z tych spłachci jest Koźlików, a który Kielczarowej. Tak... To, gdzie jestem, jaki to jest rodzaj *café*, co znały zdziwienia Mlle Juliette i uwagi policjanta, i owe „*bonne chance*” przez każdego inaczej wypowiedziane, i ton „*Madamy*”, i wszystko — właściwie teraz dopiero uświadomiło mi się jasno. Przedtem, gdy Krysta znikła za tamtymi drzwiami, właściwie ogłuszyło mnie. Nie byłem nigdy przedtem w tego rodzaju lokalu, wyobrażałem go sobie mętnie, całkiem inaczej, dość prymitywnie. Nigdy w moich latach młodzieńczych nie kojarzył mi się ze smakiem zakazanego owocu, ale po prostu z kloaką. W zaskoczeniu moim było też obecnie coś z uczucia człowieka, który wpadł do brudnego dołu i nie rusza się, bo sądzi, że każdy ruch oblepia go tylko śliskością tego brudu. Ale teraz nade wszystkim zawisła myśl o tych morgach Krysty, tam... Co ja teraz powiem?

Ale Krysta nie rozumiała mojego milczenia. A raczej zrozumiała je, ale całkiem inaczej. Płyn musujący i cierpkawy, wylewany z flaszki o srebrno-złotej główce, jak w zeszlowiecznych rysunkach Daumiera, poczynął działać. Uśmiechnęła się i spojrzała na mnie:

— Pan pamięta tamten wieczór? Na kartoflisku, kiedym wracała ode młyna?

Uczepiłem się tego pytania.

— Pamiętam.

— Pan za mną polazł. Pan pytał, czemu płakałam. Ja kłamałam panu. Nadszedł pan Vogel. Nie zdążyłam panu powiedzieć... Podobałam się panu wtedy?

— Ciekawiła mnie pani.

Uśmiechnęła się.

— A teraz już pana nie ciekawię?

— Bardzo.

Uśmiechnęła się. Trzymała kieliszek, szeroki kieliszek, mocno w rękę, bałem się, pamiętam, że jej pryśnie. I rzekła z gorzką pogardą:

— Ale mniej?

Odpowiedziałem z najgłębszym, szczerym przekonaniem:

— Nie. Więcej. O wiele więcej.

I tu stała się rzecz najdziwniejsza, bo zapytała po francusku:

— *Et pourquoi ça?*

Mówiła całkowicie poprawnie, nawet bez nalotów gwarowych, prawie tak jak sama „Madama”, gdy przybie-rała swe wytworne tony. Odpowiedziałem jej odruchowo po francusku i mówiliśmy po francusku dalej:

— To przecież proste, Krysta. Jak pani wie, jestem raczej pisarzem. Lubię malarzy, dużo z nimi jestem, ale malarzem chyba już nigdy nie będę. Pisarza obchodzi to, co żyje. Żyje zaś to, co się zmienia. Co staje się inne, niż było wczoraj, i będzie jutro inne, niż jest dzisiaj. Życie

to nieustanne stawanie się czymś lub kimś innym. Rozumie pani? To, co się nie zmienia, nie jest życiem. Zmienia się przyroda i pora roku, i dzień, ale najpełniej, najrozmaiciej zmienia się człowiek. Człowiek jest wcieleniem, uosobieniem najpełniejszych zmian, jakie zachodzą na świecie. A przynajmniej tych zmian, które są dostrzegalne ludzkim okiem. Ale pewno panią nudzą te rozwlekłości?

— A cóż to, dlatego że jestem tutaj, to pan myśli, że nic już mnie nie obchodzi, tylko...

— Więc mówmy dalej. Jeśli pani mówi o kimś: „miał bogate życie”, to co pani przez to „bogactwo” rozumie? Ilość zmian. Rozmaitość zmian. Pierwszy raz... pamiętam panią, to była procesja. Na Boże Ciało, zdaje się. Pamiętam panią...

— Wiem, wiem.

— Była pani jedną z kilkudziesięciu pewno dziewczyn wiejskich. Takich Skomoroch czy Giewałdowych, czy Sromowiec Wyżnich, czy Wólek było w Polsce i jest kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy. Takich dziewczyn jak pani rodziły się czy rodzą miliony. Jedne jasne, drugie ciemniejsze, jedne wysokie, inne niskie. Kaśki jedne, Maryśki drugie. Takie same. Większość ich nawet nie wie, kiedy przeżyje swe życie. Ani się opatrzy. Ani zauważy inne. Pani zauważyła.

Krysta nadpiła wina. Miała jakiś pewniejszy siebie ruch.

— Ja nie wiem, jak to było, że pani to zauważyła. Może pani sama nie pamięta, jak to było. Może to było jakieś zdarzenie... jakaś książka... jakiś człowiek... — poddałem, gdy na słowo książka potrząsnęła głową. — Profesor Koster?

Pokręciła głową.

— To było jeszcze przed Kosterem. Tak, człowiek. Ale on nie był w moim życiu. Przynajmniej był inaczej. No, mniejsza.

— Wtedy kiedy poszedłem za panią, tamtego wieczoru,

i kiedyśmy mówili o tym, pani już była świadoma wszystkiego tego i pani miała już wolę zbudowania sobie innego życia. Widzi pani. Większość ludzi, olbrzymia większość ludzi przyjmuje swe życie, jakim jest, daje się mu prowadzić. Pani nie. Ten Paryż. To był Koster, ten Paryż?

Przytaknęła głową. Patrzyła w drobne pęcherzyki gazu osiadające na płytkim dnie kieliszka.

— Widzi pani. Teraz ja pani pokazuję panią samą. Więc w pani życiu był już wpływ dwóch mężczyzn. Ciekawe, że obu — pośredni. Nie była pani kochanką Kosterą...

Uśmiechnęła się.

— No nie. Skąd?

— Widzi pani. Teraz mówię jak wróżka, która mówi pani z kart. Tamtego pierwszego też pani nie była kochanką...

— Jakiego pierwszego?

— Nie pamięta pani. Tego, przez którego spotkanie, słowa czy co jeszcze — doznała pani głodu pewnych rzeczy, odrazy do innych, buntu, chcenia...

— Ach...

— Niech pani nie lekceważy tego człowieka! Może nie odegrał żadnej roli w tym, co pani czuła, ale w życiu pani odegrał olbrzymią. On panią pchnął...

— Może...

— Na pewno. Nie wiem, kto to był, pani nie chce powiedzieć...

— Nie ważne.

— Ważne. Powie mi pani kiedyś. W każdym razie był to ktoś — i z życia pani już nie odejdzie nigdy. Drugi też nie był pani mężczyzną. Tego nazwisko znam i zna go cała Polska, przynajmniej cała kulturalna Polska, a nawet poniekąd, ot, ze sławy, i część niekulturalnej. Po Michałowskim i Orłowskim był to jeden z największych naszych malarzy, a co ważniejsze, by to prawdziwy człowiek, peł-

ny, prosty, jasny, dziecinnie mądry i męsko dojrzały. Ludzie mówili jednym tchem, już z nawyku: wielki malarz, a ten wielki malarz o najtrudniejszych, najzawilszych naszych sprawach mówił prosto i mądrze, jakby je przejrzał na wylot. Gdyby ten człowiek pisał, obalałby rządy, tworzył prądy umysłowe, wstrząsał narodem jak drzewkiem. Wybrał malarstwo. Jego wpływ skurczył się tak do wąskiego zakresu, pogłębił za to, ale pani — dzięki przypadkowi — znalazła się w tym zasięgu. To miało na panią olbrzymi wpływ. Poniekąd niweczający tamten. Ten pierwszy. Ów pierwszy właściwie wychowywał panią prawie na rewolucjonistkę jakąś... Buntownika raczej!

— Tak.

— *Eh bien, mes enfants, pas assez bavardé?! Pas temps d'aller tout doucement au petit lit? Peut-être encore une petite comme ça.*

Domyśliłem się, że „*une petite comme ça*” oznacza nową butelkę. Szampan istotnie był dobry. Pobudzał myśli. Piłiśmy znowu.

— Ów pierwszy wywołał w pani bunt. Tak, nie był pani kochankiem. To jasne. Nie istniał w ogóle dla pani jako mężczyzna.

— Skąd pan wie?

— To także bardzo proste. Gdyby istniał jako mężczyzna, pani by się nie dała tak łatwo zepchnąć z jego drogi. To by panią wiązało. Ale tego nie było. Kto wie: może to było jedyne jeszcze zwycięstwo, jakie odniósł Kościół, ksiądz Pronobis — tak się nazywał wasz proboszcz, prawda? — cały ów świat procesji Bożego Ciała, sodalicji, koła młodzieży żeńskiej, czego tam jeszcze. Bo to, to wszystko, to było to pierwsze, inne życie pani. Pierwsze życie lepsze, jakiego pani szukała instynktownie młodzieńską dziewczyną, dzieckiem prawie jeszcze. Potem to przestało wystarczać — i pani patrzyła nawet na to jak na oszwabkę, namiastkę jakiegoś pełniejszego, konkretnego

życia. Zaczęła się pani buntować. Wtedy, owej nocy na łące, mówiła pani do mnie o tym słowami buntu...

Uśmiechnęła się.

— Doprawdy?

— Pani już to słabo pamięta. Tak, tak. Była pani nawet piękna w tym buncie i tylko była w nim jedna rysa, pęknięcie, które wskazywało, że bunt nie będzie długi...

— Jakie?

— Tego to znowuż ja pani nie powiem: każdy ma swoją tajemnicę. Póki się pani całkowicie nie odsłoni i ja zachowam, co wiem. Tak. I wtedy odbił panią Koster. Odczarował panią. Urzekł w swoją stronę. Jeśli pani znalazła się w Paryżu, to w tym jest Koster. On może nawet nie wie, że jest.

— Pewno, że nie wie. Czybym mu śmiała powiedzieć?

Była znowu, z tym kieliszkiem szampana w ręku, większą dziewczuchą ze Skomoroch.

— Widzi pani. Tak dziwnie szło pani życie. Ksiądz, sodalicja, Skomorochy, Boże Ciało. Potem anonim-rewo-lucjonista. Potem Koster, sztuka, życie, Paryż. I... i kupuje pani morgi w Skomorochach?

— Skąd pan wie?

— Byłem niedawno w Skomorochach. Mówiono mi...

— E, to dawniej kupowałam — mówiła Krysta. — Tera już nie. Nie głupiam.

Stało się naraz mniej duszno.

— Jak to? Teraz nie kupuje pani już?

— Dawno nie. Prawie dwa lata nie.

— Dlaczego?

Krysta uśmiechnęła się. Znowu mówiła po francusku.

— *Vois-tu, mon petit* — zaczęła jakimś familiarnie protekcyjnym tonem — rozumiesz i dopowiesz sobie to i owo, ale nie wiesz wszystkiego. Ja nie poszłam do Francji przez Kostera. Nie. Tak było, że wtedy szli do Francji. Zarobki były dobre. Poszłam i ja. Wtedy mi jeszcze świ-

tały w głowie te morgi. Pósiędę we Francji rok, dwa — myślę — kupię sobie po Sulicach albo z dworskiego. A i Bednarzewski wtedy parcelował. Będę żyła, ha. Robiłam na wsi. W Nord. Alem nie była jak inne, głupia, a patrzałam, rozumiałam. No i zrozumiałam, że pojechać do Francji i gnić na wsi, to tak jakbyś wcale do Francji nie jechał. Lub połowę drogi zrobił. Poszłam do miasta. Lille. Pokręciłam się dwa miesiące. Paryż już zrobił się sam. No, a wtedy wróciło wszystko z profesorem Kostere-m. Wszystko, wszystko. Zrozumiałam, że ja już nigdy do Skomoroch nie wrócę, bo mi żadnych Skomoroch już nie potrzeba. Już bym nie usiedziała i na dwudziestu morgach. I na żadnych morgach! Będę sobie moje życie robiła. Drożej jak inne albo nie drożej, *ça dépend*. Ale będę je miała, *vois-tu*.

Miała swój szampan w głowie. Gniotła palcami kieliszek. Ale mówiła bardzo, bardzo trzeźwo:

— Byłam trochę za... tego... jak mi się pan zjawił tak za plecami. W tym lustrze. *On est pris au négligé! quoi*. To tak jakbyś się przebierała i jeszcze nie była w sukni, ale w samej bieliźnie, i nie najlepszej, spocona po bieganiu po mieście, i naraz, ktoś. *Ah, ça* — i mężczyzna nie lubi, gdy się patrzeć na nieogolonego...

Napiła się jeszcze. Oczy jej błyszczwały.

— Na dziś mam dosyć tej dostojnej budy. Chodźmy gdzie. Byle prędko!

I poszliśmy.

Nazwisko Filipa H... nie należało nigdy do bardziej znanych w Polsce, inaczej niż w Anglii, inaczej zwłaszcza niż w Stanach, gdzie zainteresowanie francuskim malarstwem jest po prostu zaciekle. Tam nie wystarcza, jak naszym, trzy, cztery (albo i dwa) nazwiska już postawione na najwyższy piedestał, obkadzone przed poznaniem samym, niczym Proust przez naszych (nie czytających go

zresztą) literatów. Mogę zatem spokojnie ciągnąć opowiadanie do końca; a raczej wylawiać ów wątek, który coraz to ginie, jak strumień rozmakający w zielonych żuławach, by się znowu potem wyłonić. Tak i Krysta; spotykana zawsze niespodzianie, coraz to indziej wylaniająca się na moment.

O Filipie H... sam bym nie wiedział wiele, gdyby nie dwa spotkania u Terlikowskiego w Paryżu, starego „Terliko”, potomka emigrantów, żonatego z Francuzką i z sarmacka sfrancuziałego na amen. H... był u niego, pamiętam, na jednym z tych klasycznych przyjęć w studio u „Terliko”, gdzie polscy goście chlali, rzecz prosta — szampana, francuscy, rzecz prosta, polską (dostarczoną z ambasady) wódkę. Potem, pamiętam, była wystawa H... A potem była już wojna, inwazja Francji i wspaniała, na Zachodzie opowiadana jak klechda postawa Filipa H..., uwieńczona jego uwięzieniem. W Paryżu, gdzie tyłu się załamało, jego nazwisko wymieniano jednym tchem z Picasso. Potem, gdy zniszczył dwa własne płótna ofiarowane przez Vichy *en hommage* Goeringowi, potem, gdy stał się legendą, tamte wspomnienia od „Terliko” jakoś zatarły się, zanikły. Ucieszyłem się tedy, gdy w Waszyngtonie Fryderyka Kalinowska, zawsze wszystko wiedząca, oznajmiła:

— Francuzi umieją się pokazać. Zamiast posłać, jak my, plikę fotosów, oni pchają na Amerykę wystawę po wystawie, same dzieła sztuki. Myśmy skąpili naszych Canalettów; oni by Notre-Dame na Dakotach przywozili. Teraz wystawa H...! Czy mogli co lepszego wymyślić? Zwłaszcza po jego śmierci — takiej śmierci? Będą tłumy. Trzeba pójść z Miłozsem!

Ale Miłozs nie mógł, bo utył, i wybraliśmy się bez Miłozsa. Było, jak mówiła Wikta Wittlin, jak na normalnej wystawie nowojorskiej. Pełno tykowatych, olbrzymich Amerykanek wlokących za sobą osłupiających, gumozuj-

nych mężów; tłum gęsto poprzątykany czarnymi rodzynkami cylindrów; jakieś brody siwopontyfikalne, widać ściągnięte z paryskich kawiarni; bardzo drogie programy; grube Trygve Lie i jakaś hinduska księżna, i zadumane puce Murzyna; jacyś wychudli, w obrazy zapatrzeni Włosi; śmiertelnie znudzony Marian Kister; Janta z portugalskim pacholątkiem. New York. Znajoma z włoskiej ambasady przedarła się do Kalinowskiej i zaczęła terkotać:

— To wstrząsające, prawda? A ten obraz — parafraza rozstrzeliwań Goyi. O, to naprawdę malarstwo naszych czasów! Albo *Nalot*. Widziała pani *Nalot*? To tamta sala. W katalogu nr 41. Pani nie ma katalogu? Ja zawsze mam parasol i katalog. Na tym obrazie to nie ludzie — to jakaś rozciąga, lepka galareta ludzka, jak plazma, jak skrzek żabi, który się ciągnie, lepi. — Albo *Na drodze z Abbeville. Czerwiec 1940*. — To chyba jeszcze kapitalniejsze. Wyrazić tyle grozy jasnymi, stonowanymi barwami. Cud. I te nie dokończone więzienne szkice *L'univers concentrationnel*. Niech pan popatrzy na rękę, na rękę tego dziecka! Słusznie w „New Yorkerze” pisano, że ta wojna miała tylko dwóch malarzy: w Anglii Topolski, we Francji H... Naprawdę nowa sztuka. Jak on rozumiał Europę!

— No!...

— Co w tym dziwnego zresztą? Pan wie, jego matka była Rosjanka. *Una contessina di Pietrogrado!* Tak, tak. A urodził się i wychowywał do lat czternastu we Włoszech. W Toskanii — precyzowała z dumą. — A nazwisko właściwie jest flamandzkie. Czy alzackie. No, a ta jego żona jest Czeszka. Mówił mi o tym pierwszy sekretarz ich ambasady. O, ten obraz *Chłopi*. Te jakieś larwowe, wrosłe w ziemię istnienia, jakby potworne ślimaki, jakby odrośle gleby. Jak on rozumie wspaniale *questo tormento*. No to, to ma przez nią. Jak zrozumienie Włoch, skądinąd...

Aleśmy nie byli ciekawi tych komentarzy, tej Czeszki i tego „skądinąd zrozumienia Włoch”. I byliśmy źli, bo trajlowała dalej:

— Pan ma zaproszenie? *The Colonel and Mrs Gould?* W związku z wystawą — poruszała moją zmętniałą pamięć.

— Pułkownik Gould? Nie; a może. Wie pani, z wojska wynosi się raczej mało sympatii do wojskowych...

— Oczywiście! Najgłupszy, najbardziej tępy gatunek ludzki! Nadęty, zarozumiały — a z czego? Z podwładnych, cichych, skromnych ludzi, którzy za nich, często z ich winy, zginęli, z kolegów, lepszych od nich, co gdzieś użyźniają sobą cmentarze! Po każdej wojnie powinna ta banda chodzić skromna, skulona, pokorna, a nie wydymać brzuszska. *I hate them! I hate all of them!* Ale nie będzie mi pan mówił, że Gould jest na serio oficerem. To taki oficer *like you and me...* Doprawdy, pan jeszcze nie wie, kto jest Henry A. Gould Jr.? Z tych Gouldów antykwariuszy, znawców sztuki, kunsthaendlerów? Stary James A., który Ameryce ukazał impresjonizm francuski? Połowa obrazów w Mellon Gallery przeszła przez jego ręce! Pan musiał słyszeć o Henry A. Gouldzie seniorze, który w latach 1920... I o bracie tamtego — jeszcze żyje, mieszka na Cape Code, ma dom w Bostonie, żonaty z siostrzenicą Cézanne’a — Arnoldzie J. Gould? — recytowała na wrywki. — Tak — odbiegła naraz — oni trzem pokoleniom amerykańskim ukazałi współczesne malarstwo francuskie; bez nich nie byłoby tego, że większość Cézanne’ów, Corotów, Sanguinów znajduje się dziś w amerykańskich galeriach. No — dodała — zrobili na tym niezłe pieniądze. *Molto moneta. Moltissimo. Moltissimo di molta!* Oooo!...

I ręce jej tłustej figurki rozłożyły się szeroko, jakby rozciągając w powietrzu harmonię złożoną z dolarowych banknotów. Ale zaraz opadły.

— Proszę pana — syknęła poufnie — czy pan uwierzy?

Gdyby latem 1898 roku stary Henry A. Gould — dziadek — zamiast wsiąść na statek do Le Havre'u, odpłynął był do Genui, byłby zrobił to samo dla współczesnego malarstwa włoskiego, co zrobił dla francuskiego! Pan pomyśli, że jestem *una stupida* szowinistka, ale to święta prawda. Tak jest! Myśmy mieli świetne zaczątki, niegorsze od francuskich wtedy. Ale cóż! Nikt na nie nie skierował reflektorów opinii, jak to zrobił Gould z francuskimi. Nikt drzewka naszej nowej sztuki nie podlał sokami dolara! Do Włoch jeżdżono oglądać gondole, świętego Piotra, Leonarda, Michała Anioła, Pompeję. I nikt, nikt nie pomyślał, że na żyznej ziemi włoskiej kiełkuje, ruinami przywalona, młoda, nowoczesna sztuka. Komu co mówią dziś nazwiska...

I tu w szpitalno-jasnych salach nowojorskiej wystawy zadzwoniły kaskadą tuziny nazwisk włoskich. Nawet obkutej Kalinowskiej żadne z nich nic nie mówiło. Ale z tej lawiny wyrzucanych szczegółów parowały mi w mózgu mgławicowe zarysy kunstdynastii Gouldów.

— A ten Henry A. Gould Jr.? Pułkownik? — Chciałem wykorzystać gouldoznawstwo Włoszki.

— Bardzo, bardzo interesujący człowiek — odkręcał się kran z erudycją — oczywiście nie w naszym, europejskim pojęciu. Nawet nudny — zastrzegła się. — Interesujący jak na Amerykanina, oczywiście. Dobry businessman — zaznaczyła. — Organizator. Ten żadnego malarstwa Amerykanom już nie odkryje — ograniczała. — Zresztą Amerykanie już odkryli sztukę. Natomiast posiada olbrzymie zasługi. Jeśli Lancastery i inne Liberatory nie sproszkowały wszystkich europejskich katedr, muzeów, zamków (tylko połowę) — *just for the fun of it*, w tym naprawdę jest wiele z Henry A. Goulda Jr. Już w 1939 r., po objęździe Sumner Wellesa, założył Association of Defense and Preservation of European Art and Culture. „Adepeac”, może słyszeli państwo? *Sponsored by Eleanor Roose-*

velt. Pod protektoratem pani Roosevelt. W następstwie wysłano go do Europy w roli specjalnego *advisera* przy połączonych sztabach alianckich dla spraw ochrony sztuki. Wojował, *like a mad dog*, o każdą katedrę. Była ta głośna awantura z Pattonem, po której tamten wariat wysłał swoją słynną depeszę, że bardziej mu zależy na życiu jednego „chłopca z Ohio” niż na całości wszystkich witraży w Chartres...

Coś mi się zaczęło przejaśniać.

— No, ale oczywiście człowiek bez „szwungu”, bez *charme'u*, bez polotu. Ani się umył do wielkiego dziadka. Nawet do ojca. Czy stryja. Powinien pan poznać stryja... Czasem bywa w Waszyngtonie. To właśnie go gnębiło. Chciał jednak czymś zabłysnąć. Tym tłumaczą znajomi jego małżeństwo z Madame H...

— Żoną Filipa?

— Wdową po Filipie.

— Jakaś ciekawa pani? — zainteresowała się oczywiście Kalinowska.

Łapki Włoszki załopotaly powątpiewaniem.

— I tak, i nie. No, nie w europejskim pojęciu. Ładna, owszem, dziewczyna. Trochę może za tęga, nabiera ciała. Choć teraz na pewno się odchudza — wyrokowała. — Wysoka. *A slave girl*, mówiłam wam: Czeszka. Była modelką, towarzyszką, opiekunką H... w ostatnich latach. Właśnie w tym heroicznym okresie. Wyciągnęła go z więzienia, leczyła, przy niej skołał. Jak wiecie, padł na barykadach paryskiego powstania. To znaczy męczył się jeszcze ze dwa tygodnie. Harry Gould wjechał do Paryża jednym z pierwszych „jeepów” i zajął się nim. Dziennikarze, którzy zwalili się na Paryż, pisali o nim, o niej zwłaszcza. Zrobili z niej jakąś *Notre-Dame de la Résistance*. Zawsze muszą wszystko wydać... Ludzie wiarogodni opowiadali mi, że podobno żadnego ślubu z H... nie miała; co to można było w tamtych czasach wiedzieć. No, ale za-

wsze w testamencie jej zapisał swoich 27 ocalałych obrazów — te właśnie w drugiej sali. To więcej niż pięć kamienic. Zwłaszcza gdy do tego wziął się Gould. No i w parę miesięcy potem — czyż może być lepsza sensacja? Harry A. Gould Jr., antagonistą Pattona, obrońcą katedr, przedśmiertny przyjaciel H..., żeni się z wdową po nim, *Notre-Dame de la Résistance. La poule a fait son chemin*. Udało się tej dziwce.

— No, musi być interesująca — podniecała się Kalinowska.

— Czy ona jedna w Paryżu? Po prostu miała szczęście i zmysł przeboju. To wszystko. Przez dwadzieścia parę lat swego malarskiego życia H... był znany jedynie kameralnie; przez ostatnie półtora roku był sławny; teraz postawią mu pomniki. Jakaś kurka, która go za wcześnie puściła, gdy się starzał, dla jakiegoś jędrnego bubka, teraz gorzko płacze, a ta Czeszka ma szczęście. Cyt... to ona. Nawet dobrze się ubiera, prawda?

Ludzie rozstępowali się przed małą grupą, już wychodzącą. Błękitnooki, za duży, za zdrowy i za spokojny Janek wyglądał na dyrektora zakładu ubezpieczeń; pani przy nim — była wysoka, opanowana i czujna. Słuchała uważnie, co inni mówią. Oczy jej szły obojętnie po sali i obojętnie spotkały się z moimi. Wyszli przed nami.

— Ale pana wzięła ta wystawa? — zagadnęła naraz Kalinowska.

— Że milczę? Nie. Owszem. Tak dziwne rzeczy przypominają się. Właśnie przypomniała mi się procesja na Boże Ciało.

— O, we Włoszech to dopiero są piękne procesje — ożywiła się nasza towarzyszka.

Za czym, by się uchronić przed szczegółowym opisem włoskich procesji, przerwałem jej szybko:

— Wie pani co? Pani wiadomości o dynastii Gouldów są imponujące, ale była w nich jedna wielka pomyłka...

— Nie może być? Jaka?

— Ta, że obecna Mrs Gould jest z pochodzenia nie Czeszką, ale Polką...

— To żadna pomyłka — uspokoiła się Włoszka. — Czeszka czy Polka, cóż to za różnica... To pan ją zna? Dlaczego nie podszedł pan do niej?

Szliśmy asfaltowymi alejami Central Parku. Ściana drapaczy, jak baszt, rosła przed nami.

— Bo ja wiem czemu... — odparłem. — To było bardzo, bardzo dawno. I w całkiem innym świecie. Ten świat był zły dla niej, a nienajgorszy dla mnie. Później ona, świadomym czy podświadomym wysiłkiem, poprzecinała wszystkie nici, jakie łączyły ją z tamtym światem. Może bym jej przeszkadzał?

KSIĄDZ UŁAS

Poznałem go na początku roku akademickiego 1929 albo 1930, na pewno nie później, bo potem opuściłem już Kraków. Było to w piętrowym, niewysokim domu, który stał — a może i dotąd stoi — na samym środku targowego, źle brukowanego placu, noszącego po krakowsku uroczystą nazwę „imienia Jabłonowskich”. Niewysoki dom należał do magistratu i na parterze mieściły się jakieś wyższe instancje rzeźni miejskiej, lokalna komisja poborowa i jakiś trzeci urząd, także w tym rodzaju. Wszystkie one przeciągały swe zajęcia co najwyżej do trzeciej po południu, po czym zamykały biura na wszystkie możliwe spusty, sztaby żelazne i kłódki. Było to niezawodnie nawykiem jeszcze z owych archaicznych austriackich czasów, kiedy Kraków w tej stronie miasta kończył się na granicy Plant, a Wenecja, Wolska, Garncarska, nie mówiąc już o Błoniach i Salwatorze, stawały się z nastaniem mroku jakimiś Dzikimi Polami, na których harcowała bezkarnie dzika Krowodrza i niepokojące samą swą nazwą Półwie Zwierzynieckie. Tamte czasy, oczywiście, dawno minęły, „Dziki Pola” skolonizowano alejami Trzech Wieszców; miasto całą nową dzielnicą odpierało już Błonia od Rudawy. Nawet za sam Park Krakowski wyrzuciło, jak nowy Barbakan, grupy nowoczesnych will. Ale biurokracja wolnego stołecznego miasta umiała szanować tradycje, toteż lokale urzędowe w domu na placu Jabłonowskich zamykano dalej na wszystkie sztaby, kłódki i zastawki, jakie tylko były. Po czym, jeśli było niedługo po

pierwszym, to wszyscy, a jeśli dłużej, to tylko niektórzy pospieszali do szynków, i to znowu wedle stanu: jedni do Wencla, drudzy do baru „Żywiec”, inni na róg Straszewskiego, po prostu do Goldmana. I dom zostawał pusty.

Tak samo jednak jak parter domu na Jabłonowskich żył tylko pierwszą połową dnia, tak piętro żyło drugą. Piętro liczyło sobie parę dużych pokoi, nie tak jednak dużych i nie tak nowoczesnych, aby móc służyć za mieszkanie w mieście, gdzie czynsze były niskie, a nowych domów sporo. Magistrat miał zresztą złe doświadczenie jako kamienicznik, albowiem krakowianie byli zdania, że komu jak komu, ale magistratowi nie powinno się płacić komornego, wprost nie wypada. Zawsze trzeba było dopiero na drodze sądowej prostować te mylne poglądy. Toteż z mieszkaniem na piętrze nie chciano mieć kłopotów i po prostu oddano je za darmo — byle tylko za elektryczność płacili — Akademickiemu Kołu Kresowemu.

Akademickie Koło Kresowe zaś było całkiem osobnym rozdziałem krakowskiego życia. Należeli do niego ludzie urodzeni na ziemiach, których zachodnią granicę stanowił Bug i Zbrucz, wschodnia zaś ginęła gdzieś we mgle globu. To jedno można było ustalić, że obejmowały one nie tylko Irkuck i Tobolsk, ale nawet Charbin. Był czas, gdy chciano nawet przekonać delikatnie charbińczyków, iż skoro jest ich w Krakowie aż kilkunastu, mogliby zawiązać własne koło, mieć prezesa, skarbnika, zarząd, może nawet własną stołówkę z potrawami chińsko-polskimi? Ale charbinianie nie odznacжали się zbyt wielkimi ambicjami do samostanowienia i tłumaczyli nam uparcie, że między nimi, z Charbina, a tymi urodzonymi w Wilnie, Mińsku, Równem, Kijowie, Ałcie, Moskwie — nie ma właściwie różnicy, że różnica pojawia się dopiero tam, gdzie naraz znika drewniana cerkiew, kabłak „dugi” zgięty nad karkiem końskim i krupna kutia, ugniatana z makiem i miodem w poranek wigilijny. Oto właściwe słupy graniczne. Teoria ta wydawała

się nam wtedy pozbawiona naukowych podstaw. Na uniwersytecie bierze się jeszcze naukę bardzo na serio. Dziś nie wiem, czy charbinianie nie mieli trochę racji.

Liczebnie biorąc, Akademickie Koło Kresowe nie mogło iść w zawody z takim Kołem Śląskim, ba, nawet z Rzeszowskim czy Tarnowskim. Już także zakopiańczycy stanowili poważną konkurencję. Ale swym zasięgiem terytorialnym było wszystkich, albowiem włączało bez pardonu cały Związek Radziecki, część Chin, część Persji, całą Turcję, Afganistan, Bombaj, a nawet japońską część Sachalinu. Wszędzie tam lat temu dwa czy trzy dziesiątki stały kolebki tych ludzi, toteż ciągnął ich jakiś żywy sentyment do owych stron, z którymi najczęściej rozstali się na zawsze. A przynajmniej do wspomnień stamtąd i ludzi stamtąd. Sentyment ten nie miał w sobie żadnego politycznego zabarwienia. Akademickie Koło Kresowe nigdy i w niczym nie przyczyniło się do zmażenia stosunków polsko-perskich, polsko-chińskich, polsko-tureckich czy polsko-sowieckich. Panowała tu raczej wspaniała tolerancja sympatyj. Świadczyła już o tym tablica Koła, na której pojawiały się tuż przy sobie następujące ogłoszenia:

„Kto zabrał — zapewne przez pomyłkę — drugi tom Szołochowa *Tichij Don*, zechce... itd.”

„W piątek siódmego w sali Muzeum Rzemieślniczego odbędzie się staraniem »Proświty« akademii ku czci głównego atamana Semena Petlury...”

„Członkowie Koła proszeni są na odczyt prof. dra W. Lednickiego: *Nowa Rosja w literaturze sowieckiej.*”

„Sekretariat obwodowy Obozu Wielkiej Polski zawiadamia, że broszura dra Klaudiusza Hrabika: *Ukraińców stworzył Berlin* jest do nabycia dla członków i sympatyków.”

Na stole ping-pongowym, gdzie przedstawiciel Krymu łupił niemiłosiernie reprezentację Polesia i który, jak

wieść niosła, posłużył kiedyś jednemu z członków zarządu do ćwiczeń seksualnych z pewną sercową pacunelką spod Wodoktów, leżały zgodnie i przykładnie monarchistyczne „Słowo” i komunistyczny „Miesięcznik Literacki”, klerykalny „Głos Narodu” i Boyowskie „Wiadomości Literackie”, ukraińskie „Diło” i warszawski rosyjski „Miecz”. Towarzystwo biorąc, koło było tak samo mieszane. Syn magnata spod Białocerkwi był sekretarzem w zarządzie, w którym syn ekonoma jego papy zaszczytnie prezesował, córka carskiego dygnitarza urzędowała na tańcówkach w bufecie wespół z córką biednego warszawskiego kolejarza, którego los rzucił do Orenburga i tam skojarzył małżeństwem z jakąś miejscową Głafirą, Sonieczką czy Lubaszą. Ach, tak, tańcówki! Zapewne, bal górników na św. Barbarę był świetniejszy, bal snobistycznej korporacji „Corolla” (zawsze w gościnnej „Floriance”) — bardziej szykowny, ale proste tańcówki sobotnie na Jabłonowskich były jednak najlepsze. Nigdzie też tak nie tańczono mazura, kujawiaka i krakowiaka. Miano je zresztą wszystkie w niejkiej pogardzie; narodowym bowiem tańcem koła był ukraiński kozak. Tu jednak los ciężko pokarał kresową kolonię, gdyż okazało się, że kozaka najlepiej tańczy w Krakowie pewien rodowity... Ślązak z czeskiego Cieszyna. Był to wielki despekt, zwłaszcza dla synów Zaporóża, ale tak było. W dodatku ów Ślązak poświęcał znacznie więcej czasu choreografii ukraińskiej niż prawu rzymskiemu, toteż studiował każdy rok po dwa lata i przy każdej sposobności uświadamiał potomków Siczy, że aby tańczyć kozaka jak należy, trzeba być rodem z Zaolzia. Na szczęście miał wuja i wuj dał mu wreszcie jakąś posesję, wobec czego poniechał i studiów, i występów. Koło odechnęło.

*

Na parę lat przed tym wydarzeniem, pewnego wczesnego popołudnia zjawił się w Kole dość osobliwy gość.

Był ubrany w szeroką sutannę, inną niż katolickie, i pomimo młodego, całkiem młodego wieku puszczała mu się już broda. Wszedł dość zakłopotany, wymamrotał jakieś niewyraźne pozdrowienie, po czym upewnił się, już wyraźniej, czy jest to istotnie Akademickie Koło Kresowe? Polszczyzna jego była poprawna, może zanadto poprawna; lśniła gramatyką, niczym drzwi świeżo malowane, błyszczące nie obeschłą farbą. Lepiej być dalej od takich drzwi — i lepiej nie poddawać takiej polszczyzny zbyt szczegółowym badaniom.

Polszczyzna zresztą utknęła sama na tym pierwszym pytaniu i może tkwiłaby tu długo, gdyby znad partii szachów w kącie nie padło naraz znacznie swobodniejsze zapytanie:

— *Batiuszka!! A wy zwitki?!*

Olśniło nas. Tak, oczywiście, batiuszka. Jasne, że „batiuszka”! Jakiśmy mogli nie domyślić się od razu! Wstyd doprawdy! Ale też skąd naraz w Krakowie prawosławny, ruski pop? Tego jednego jeszcze nawet w Akademickim Kole Kresowym nie było. Katolicy owszem. Jeden z byłych prezesów Koła sam nałożył sutannę. Ale przedstawicieli cerkwi nie było ani u nas, ani w całym Krakowie.

Gdyby batiuszka lepiej znał finezje polskiej mowy, znał samego mówiącego i ton jego głosu, odczułby zapewne ową ironię, zatrącającą i wyższością, i prawie pogardą, jaka istniała nieraz na tamtych ziemiach — nie tylko u katolików zresztą — w odniesieniu do prawosławnego duchowieństwa. Ale batiuszka może nie rozumiał, może też uradował go sam dźwięk mowy swojskiej w tym bardzo obcym mieście. Przeto odpowiedział, siłąc się na polski, ale wpadając w ten swój rodzinny, co i jak, i czemu. Dowiedzieliśmy się po chwili, że jest synem popa z Derażnego, że jego ojciec proboszczował „za cara” w Połonnem, potem w Braiłowie, wreszcie w Nowomalinie...

— To tam, u was, w Braiłowie, Chrystusowi w kościele włosy rosły? — wtrącił ten od szachów.

Batiuszka się nie stropił:

— Prawosławnemu nie rosły. To w katolickim kościele braiłowskim ten Chrystus stał...

Rzecz jasna, że Derażne, Braiłów, Połonne, nawet sam Nowomalin niewiele mówią komukolwiek na szerokim polskim świecie. Ale ludzie wysiadujący popołudniami w owym domu na placu Jabłonowskich znali to wszystko albo sami, albo z dziesiątka opowiadań. Byli tacy, co jeszcze w dzieciństwie zajadali się znakomitymi lodami, jakie w Połonnem (za kordonem) sprzedawała Żydówka Chaja Czarnomorska! Cóż to były za lody! Ponoć z przepisów francuskich, które emigranci burbońscy, po 1789 roku w Dubnie osiadli, na Wołyń przynieśli. Inni pytali o Czecha, właściciela browaru w Derażnem, inni o Dowgiałłów z Nowomalina, o sąsiedni Mizocz, o Dermań, o to, czy żyje właścicielka Hotelu Bona w Krzemieńcu, i o co raz to inne, takie właśnie, bardzo istotne sprawy. Zrobił się wieczór, naszło dużo ludzi, ale nie było tego dnia ani ping-pongu, ani bilardu. Był tylko wieczór wołyński. We wspólnocie narodów Koła Wołynianie nie stanowili ani tak hucznej wspólnoty jak sąsiedzi z Naddnieprza, ani tak zwartej jak wilnianie, ani tak ruchliwej jak skośnoki Charbin. Byli ciężcy, powolni, sentymentalni pod pozorami szorstkości. Ale na ów dzień odsunęli wszystkich i wszyscy zgodnie omawiali lody u Czarnomorskiej, wadliwą restaurację monasteru w Dermaniu, dobre serce Paraski, ciotkę Dowgiałłów, belfrów z Równego i tańcówki w Ostrogu. Obojętne, czy znali, czy nie znali; bo czyż to nie to samo? Wszędzie przecież było w tym kraju tak jak z tą Paraską, z tą cerkwią, z tym Szomszteinem, Trochmem, stawem w Matwijowcach i szkołą w Korcu. Pnącze wspomnień rozeszły się owego wieczoru szeroko i wcisnęły w najciaśniejsze szczeliny pamięci.

I może by nigdy tak nie było, gdyby nie ten dziwny gość. On to wszystko sprawił. Jak i czym? Jego niezgrabne słowa polskie i swojskie ukraińskie, jego głęboki, męski głos, jego uśmiech szeroki, łagodny, smętnawy, ruchy po popsku niezdarne. Oto były narzędzia, czy też środki, którymi otwierał każdemu z nas sezam naszego dzieciństwa. Gdy siedział, widać było spod sutanny nie jakieś czarne, starannie wyczyszczone trzewiki, jak u naszych znajomych z seminarium duchownego w Alejach. Nie. Spod zbyt szerokiej sutanny wyglądały wtedy szerokie, silne buciory z chropawej skóry, prawdziwe buty. Tak, buty. Widziało się od razu batiuszkę, jak w takich butach, tyle że podkasawszy sutannę, brnie jesienią czy wiosną przez tłuste, przepastne błoto wołyńskiej wsi. Te buty właśnie, uśmiech, głos i akcent dodawały smaku opowieściom. Zdało się naraz, że buchają rodzime zapachy i cerkiewny ładun, chleb razowy dymiący jeszcze po rozkrojeniu nożem, ostra machorka i zmysłowy zapach stajni, letnim wieczorem.

To wszystko i wiele innych rzeczy wyczarował samym swym zjawieniem się zabłąkany w Krakowie pop wołyński.

Tak się stało, że obowiązek wprowadzania krajana w egzotyczny dlań Kraków spadł na mnie. Ojciec Ułas — takie miał imię i takeśmy go zwali — obszedł już wprawdzie jako tako Kraków. Ale zrobił to, zdaje się, z nieśmiałością wiejskiego prostaka i trzeba mu to było szybko z głowy wybić. Trzeba było, aby dostrzegł szczątki ruskich malowań ściennych w kaplicy kijowskiej księżniczki Sonki, ostatniej, najbardziej frywolnej i najbardziej płodnej małżonki Władysława Jagiełły. Trzeba mu było pokazać wspaniały Matejkowski ikonostas w cerkwi unickiej przy Plantach i groźnego *Wernyhorę* w Muzeum Narodowym nad Sukiennicami, z Kozakiem, Lachem, popem i chłopą-

kiem, zasluchanymi w groźne słowa stepowego proroka. Ale nie wiem, czy *Trójka* Chełmońskiego, rozpędzona w galopie przez błotne wyboje, nie wydała mu się bliższa i bardziej swojska. Potem widział na starych rycinach Wawel średniowieczny, jeszcze nie tknięty przez Włochów, gdzie zamiast barokowych hełmów rozpinają się na jego wieżach kragłe, jak cerkiewne, kopuły, gdzie jeszcze było w nim mniej z Florencji, a za to więcej z Kijowa. Potem widział przywileje królewskie pisane w mowie białoruskiej oraz, dla odmiany, *Lament cerkwi*, pisany przez ruskiego archimandrytę Melecjusza Smotryckiego w najczystszej skargowskiej polszczyźnie. To wszystko drzemało w „Jagiellonce”. Na Salwatorze, u profesora Bohdana Łepkija, odnalazł najpiękniejszy chyba zbiór starych ikon ukraińskich. Właśnie także w tym czasie groby królewskie na Wawelu przyjęły jeszcze jedną trumnę — poety, który całe życie bez mała spędził w Paryżu, ale nigdy nie zapomniał wołyńskiego Krzemieńca. I tak przez rok pierwszy i drugi — obce miasto stawało się stopniowo coraz mniej obce.

Ale że wszystko się kończy, przeto kiedyś, jakoś, po którychś wakacjach w Akademickim Kole Kresowym zabrakło młodego „świaszczennika” z Wołynia.

Poszły słuchy, że dostał parafię, gdzieś tam właśnie.

— Ożeni się, napłodzi z pół tuzina dzieci, rozpije się i roztyje — prorokowali znawcy prawosławnego duchowieństwa.

— Nie ożeni się, wyrośnie z niego taki prawosławny Szeptycki, prowodyr ludowy w sutannie — mówili drudzy.

W cztery lata później dogonił mnie w Warszawie najpierw list z pieczętką „Ostróg Woł.”, a potem sam ksiądz Ułas z oryginalną prośbą. Jak zawsze w takich wypadkach, najpierw uśmiechał się bezradnie, kluczył, nie dopowiadał

i trzeba go było zechęcać. Wreszcie wykrztusił. Oto, muszę, bardzo trzeba, bardzo, bardzo trzeba, abym ja, ale koniecznie, przyjechał do niego, do Omelna. Nie zaraz, nie teraz. W przyszłym roku. W przyszłym. Omelne — jeszcze jedna nazwa Wołyniem pachnąca. Niestety, musiałem ze wstydem przyznać, że nie mam wielkiego pojęcia, gdzie dokładnie to Omelne leży.

Ksiądz Ułas popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a także — po raz pierwszy w życiu — z karcącym wyrzutem.

— Omelne? Jak to tak być może? Ooo! To pan nie wie nawet, kto fundował cerkiew w Omelnem?

Pytanie było zbyt jasne, abym się nie domyślał. Już tylko na wszelki wypadek zapytałem batuszkę: — Pruszyńscy?

Ksiądz Ułas odetchnął. Ja podjąłem obronę.

— Proszę ojca, na Wołyniu jest jedenaście cerkwi, których fundatorami lub współfundatorami byli Pruszyńscy. Religijna, wiadomo, rodzina. O niebo zawczasu dbająca. Tak że trudno mi to wszystko spamiętać...

Ale egzamin nie był skończony:

— A wie pan, kiedy? — pytał uśmiechnięty swym szerokim uśmiechem ksiądz Ułas.

— Ksiądz chce mnie obciąć na rodzinoznawstwie?

— W roku pańskim tysiąc siedemset trzydziestym i piątym! — obwieścił egzaminator.

Zrozumiałem! Był bowiem właśnie rok 1934 i nawet dla urzędnika państwowego byłoby chyba jasnym, dlaczego proszą właśnie na przyszły rok. Życie w Polsce niepodległej nauczyło widać młodego wołyńskiego popa, iż rocznice należy wynajdywać i święcić. Pobyt w mieście narodowych obchodów i pogrzebów nie minął u niego bez śladu. Dwuchsetna rocznica! Jeżeli można było urządzić na Śląsku szumne obchody na cześć dziesięcioletniego urzędowania pana wojewody, to czemużby Omelne nie

miało urządzić choćby odpustu na dwóchsetlecie swej cerkwi? Z nieśmiałego księżyny wyrastał pojętny proboszcz. I jedząc podwieczorek zabraliśmy się do obmyślenia szczegółów. Ksiądz Ułas wiedział wszystko. Wiedział, że cerkiew fundował ten sam pradziad Wawrzyniec, który żyjąc 109 lat pobił na długie czasy rekord rodzinny długowieczności: stąd cerkiew jest pod wezwaniem niezbyt szeroko w kościele wschodnim znanego Ławrentija. Dzień tegoż świętego przypada 23 sierpnia. Obaj (z krakowską rutyną w tych sprawach) osądziliśmy, że jest to świetna pora dla obchodów. Lato, ciepło, żniwa się kończą, kartofle jeszcze nie zaczęły, droga nie popsuta, wieś ma trochę pieniędzy, w sadzie jabłka i renklody. Przodkowie nasi wiedzieli, kiedy fundować cerkwie.

I już wszystko było umówione, kiedy naraz tknęła mnie paskudna obawa. Że to wiadomo, jak to z księżmi... Słodkie to, niby nic, święte, a potem naraz... Więc zacząłem mówić, akurat tak samo pokrętnie jak przedtem ksiądz.

— Ale, wielbny ojciec rozumie chyba, że od czasu długowiecznego Wawrzyńca bardzo dużo się zmieniło w — że tak powiem — finansach mojej rodziny. Że mnie dziś będę klepiącemu, z rodziną, byłoby trudno... ksiądz rozumie?...

Nad swą szeroką, niezachodnią twarzą młody pop miał czarne załamane brwi, bardzo czarne i nieregularne, które czasem podnosiło zdziwienie. Tym razem podniosło je tak wysoko, jak jeszcze nie widziałem ich nigdy. I zaraz ściągnął je gniew. Twarz księdza stała się cała ciemna:

— To pan myślał? Ja? Jak każdy ksiądz?

Tym „każdy” wkołał się dość zabawnie.

— Ostatecznie jest ksiądz księdzem, czy nie? Ja sam na miejscu księdza poszedłbym raczej do mych kuzynów z Pustomyt. Ci jeszcze by mieli z czego.

— Parafia sama ma dać! — osądził ksiądz. I powie-

dział to z jakąś siłą decyzji, której nie znałem u niego przedtem.

Te cztery lata naszego niewidzenia się były dla niego czterema latami sprawowania rządu dusz. A rząd dusz robi swoje. Nawet w Omelnem.

Omelne ze swoją zbliżającą się powoli rocznicą weszło od tego popołudnia w świat moich rozważań, tak samo jak o kilka lat wcześniej zjawienie się tego księdza, w innym mieście, innego popołudnia, otworzyło na nowo okna myśli na ogród dziecinnych lat. Dawniej myślałem po prostu: Wołyń. Teraz myślałem: Omelne. Myśl zwięzając się stawała się konkretniejsza. W ten sposób w jakimś Chicago czy Milwaukee zestarziali emigranci nie myślą o Słowaczuźnie, ale o jakichś Mihajlovcach, nie o Litwie, lecz o jakiejś wsi nad ciemnowodą Niewiażą, nie o Warszawie nawet, ale o Polnej, Puławskiej lub Gęsiej.

I odtąd poznawanie Omelna uzupełniało się samo. Nie wiedzieć skąd dowiedziałem się, że zamiast wysiadać za Równem znacznie lepiej jest przesiąść w Równem do autobusu. Idą sprzed poczty i tylko w szabas nieczynne. W Omelnem była kooperatywa mleczarska „Masłosojuzu”; potem ją zamknięto. W lasach za Omelnem kwitną żółte, egzotyczne azalie; kwiat to ze stepów Turanu, zawleczony tu pewnie na kopytach koników tatarskich; o siedem kilometrów za Omelnem malowniczo przełamuje się Słucz; jest tam latem kąpielisko zdolbunowskich Żydów; miał stać KOP; otwarto agencję pocztową.

Tak się też samo stało, że wypadło mi coś w Równem i po raz pierwszy, niespodzianie, pewnego wieczoru zjawilem się jesienią najętymi końmi w Omelnem. Już zaczynały się roztopy. Kiedy zgodziłem bryczkę, siadł ze mną sierżant KOP-u, który najpierw mnie wylegitymował, a potem zabawiał rozmową. Był to sympatyczny blondas, poznaniak, zdaje się zadowolony z siebie i ze służby.

Był bardzo pewny siebie. Tryskało z niego energią. Po godzinie zrobiło się ciemno na bryczce i nie widziałem już jego twarzy. Słuchałem tylko dość sennie długich wywodów. Nie były zbyt konkretne... Tu się wiele robi, ale nie tyle, ile trzeba... Tu by można bardzo wiele zrobić. W dwadzieścia lat... Wszystko to tak trzeba wziąć. Zauważyłem z pewnym zdziwieniem, że zwykły sierżant wypowiada nader dosadne opinie o wojewodzie i wyraża się dziwnie lekceważąco o miejscowym staroście. Ale nigdy nie dopowiadał niczego do końca. Za to ciągle wracał do celu mojej podróży, zupełnie tak, jakby oczekiwał, że za trzecim razem dam mu inne wyjaśnienie niż za pierwszym.

— W Omelnem nie ma dworu...

— Ja do proboszcza.

— Popa-batiuszki?

— Tak.

Sierżant zamyślił się znowu w ciemności. Błoto rozpryskiwało się z kałuż. Powoli zza garbu czarnoziemu podnosił się czerwony księżyc. Krągła czapka KOP-isty rysowała się wyraźniej; i tylko twarz pytającego ocieniał długi, blachą okuty daszek.

— To pan go zna z Krakowa?

— Z Krakowa.

— A co on tam robił?

— Studiował.

— Studiował? Ja bym chciał wiedzieć, co on tam w tym Krakowie studiował... Nie samą świętą teologię...

Konie w tej chwili przeszły w klusa, a pod bryczką rozdzwonił się bruk. Nawet gdybym bardzo chciał słyszeć, nie dosłyszałbym już dalszych wywodów sierżanta. Po obu stronach drogi powyrastały chaty, długie, duże, bielone, w nich niewielkie okna lśniące czerwonym światłem naftowych lamp czy ogarków. Jakieś psy, jakieś cienie ludzkie, jakieś cienie koni. Potem jakieś ciemne drzewa nad nami — i jakiś masyw.

— To pan już jest na miejscu — powiedział sierżant. —
Ja mam jeszcze kawał.

Bryczka z sierżantem znikła właśnie w chwili, gdy ksiądz
Ułas wyszedł przed próg.

Miałem wyjechać z Omelna nazajutrz, ale wyjechałem dopiero w cztery dni później. Ksiądz Ułas odwiózł mnie aż do Równego. Sam pomagał wnieść do wagonu olbrzymi toboł, z którym na Wołyn nie przyjechałem, ale który za to wywoziłem do Warszawy. Co tam było, czy też raczej czego tam nie było! Były — podkład wszystkiego — gruszki „funtówki”; słodkie, rozplywające się w ustach olbrzymki. Tylko na Wołyniu są takie. Były renklody osobliwego kalibru; cztery czarne puklerze słończników, zerwane sprzed samej plebanii; była nawet kukurydza — bo czyż w Warszawie można mieć taką? Nad tym wszystkim ułokował się osobliwy staroświecki ser, który nabral smaku na skutek parotygodniowej kwarantanny, jaką odbył w ogrodzie pod grubą warstwą ziemi wołyńskiej. Serzmartwychwstaniec. Były i dary trwalsze: dwa wspaniałe, czerwono i czarno haftowane ręczniki, przypominające raczej jakiś obrzędowy aparat niż przedmiot służący do otarcia rąk; cztery talerze gliniane polewane zielono, w białe wzorce; kilkanaście pisanek jak miniatury, pozostałość wielkanocnej gorliwości wszystkich Parasek, Jakyłyn i Ewdokij Omelna. I co za koszula! Z szarego, ale cieniutkiego — (cały szyk!) — konopnego płótna, nadziana po prostu i opancerzona pasami grubego haftu. Aż sztywnego. Jak staroświecki ornat. Tak. Nie wracałem z próżnymi rękami do Warszawy i z góry już przewidywałem, że w domu ta wyprawa będzie oceniona należycie.

— Ha, gdyby tak wszystkie jednaścioro wołyńskich ceikwi, zawdzięczających swe powstanie bogobójności przodków, zechciało iść śladem Omelna, nie byłoby je-

szcze tak źle — rozważało się w wagonie Polskich Kolei Państwowych — zwłaszcza że Omelne biedne jest w istocie i niewiele mu tam zostało, a na przykład takie Sarny — bogate. Mogłyby tam kiedy jaką kobiałkę. Cóż, kiedy nie wszyscy proboszczowie są tacy jak ksiądz Ułas!...

Omelne istotnie było równie piękne jak biedne. Jedy-
nym śladem po potomkach Wawrzyńca była cerkiew i sta-
ra plebania; dwór dawno przeszedł był na Kaszowskich,
potem na Deskurów, potem go skonfiskowano. Miał go
jakiś Popow, a po nim znowuż Iwanow, czy odwrotnie,
i już same te pospolite nazwiska mówiły o upadku. Pod-
czas wojny światowej dwór zgorzał ze szczętem — i teraz
tylko duża, obrosła jaśminami wyrwa w ogrodzie znaczyła
ostatni ślad. Część gruntów poszła na parcelację; część
bardziej w dole, w stronę Kostopola — na osadę wojsko-
wą. Tak że wieś nie wzbogaciła się nimi. Czuć było, że
ma też o to utajony żal. A żal o ziemię to bardzo wielki
żał. Prawie taki jak o kobietę.

Już te ostatnie sto lat nie były zbyt łaskawe dla Omelna,
a ostatnie lat dwadzieścia także. Kolej, która ożywiła ty-
le podłych dziur, ominęła z daleka Omelne; wąskotoro-
wa linia, jedyna cenna pozostałość austro-niemieckiej
okupacji, także szła bokiem. Środkiem wsi biegł co
prawda szeroki gościniec, zwany tradycyjnie „traktem”.
Ale tylko u wjazdu do wsi był brukowany, rzadko kiedy
przejechał nim wóz chłopski, zarastała go z obu stron
trawa.

Jedynym śladem świetności były lipy idące tym szla-
kiem aż za wieś, na wschód, w step. Przy samej cerkwi
była jeszcze piękna, zwarta grupa, pospłatana konarami,
listowiem rozszumiała ponad kopułami. Ale zbiegając ku
drodze lipy stawały się rzadsze, mizerniejsze, były coraz
mniejsze i było ich coraz mniej. Kiedy o wczesnym wie-
czorze wychodziło się na drogę, sterczały na polu dalekim

i równym jak zastygły, ścielący się pod nogi kilim. Na końcu były lasy. Za lasami kończył się wtedy świat.

Pierwsze parę lat po studiach to lata, które wprowadzają człowieka w tor całego późniejszego życia. Studia mijają. Najważniejsze są lata potem. Wiele rzeczy odpada wtedy po drodze, ale za to te, co zostają, zostają na zawsze. Jakże wygląda kolega akademicki jako pop prawosławny na zapadłej, kresowej wsi? W pociągu, pod takt kół wagonowych, porządkowały się wrażenia.

Plebania omelska była jedną z wielu podobnych sobie plebanii. Tak samo obrastały ją malwy i słoneczniki, tak samo złociły się ikony w rogu izby, tak samo sterczał stos poduszek na wysokim drewnianym łożku. Tak samo tandeta prowincji mieszała się z autentyzmem wsi, pachniało woskiem świec i rosołem z kury, pełno było haftowanych obrusów i serwet. Na komodzie, na miejscu uroczystym, stały fotografie rodzinne. Stare i nowe. Ojciec pop i matka, grubopierśna, wybałuszona popadia — jakiś zadzierny stryjek w mundurze jakiegoś tam jelizawiejskawo polka — jakieś tłuste dziecko z tąż popadią — pewno mój Ułas — i jakiś czwórząd siedzących i stojących prawosławnych duchownych z archirejem w środku. Oto roczny „wypusk ichniego seminarium” — domyśliłem się. Tamto, zeszlowieczne pokolenie popiej dynastii. I naraz wśród tego wszystkiego — bardzo znajoma i zupełnie inna fotografia. Tak. Oczywiście! Zebranie koleżeńskie Akademickiego Koła Kresowego w Krakowie! Rok? 1929! Oczywiście. Wszyscy są. I Kazek Połtowicz, i Kot Połtowicz, i gruba „Dunia”, i Korszon! Ciumdziewicki i Zaleski Wojtek, i ksiądz Bukowiński, i Gieysztor, i Haszlakiewicz, i ja, i nasz pop. Stoi w drugim rzędzie z lewa. (Zrobiło mi się przykro, że stoi. Powinien, jak ksiądz Bukowiński, siedzieć w pierwszym rzędzie.)

Obok była jeszcze inna amatorska fotografia. Ta z wycieczki do Tyńca. Stoimy na „krakowskim” brzegu rzeki,

na skale nad Piekarami; Tyniec za nami. Ksiądz Ułas jest bez sutanny; w spodniach, marynarce. Kto ten piąty? Może Henelt? Tak się zapomina to wszystko...

Było jasne, że Kraków zawędrował do owego Omelna i zawędrował różnorako. Na ścianie w jadalnym były naraz dwa talerze krakowskie (swoją drogą szpetnawe, ale były). „Wawel, Wawel, poznaje pan?” — niepokoił się ksiądz. Istotnie na jednym był Wawel, taki od Plant. Na mereżkowanej serwecie leżał barwny album Krakowa. Bodaj teka Stasiaka. Najlepsza była z tego wszystkiego ciemna reprodukcja cudownego Chrystusa na Krzyżu ze znanego ołtarza wawelskiego. Tak, tego wszystkiego nie było chyba w żadnej prawosławnej plebanii, przynajmniej z tych, które znałem.

Ale najsilniej wdarł się tu Kraków książkami i pi-smami.

Oczywiście nie było tu „Ikaca”, nie zobaczyłem jakoś „Czasu”, nie spodziewałem się zobaczyć „Głosu Narodu”. Ale szły, tom przy tomie, zeszyty „Przeglądu Współczesnego”, były w wiśniowej oprawie trzy tomy kapitalnej Encyklopedii Polskiej Akademii Umiejętności — i pełno, pełno książek. Chyba na dwóch półkach zagnieździła się cała „Biblioteka Narodowa” ze swymi wydaniem klasyków, od Długosza i Galla po Mochnackiego, Goszczyńskiego, Bohdana Zaleskiego, Malczewskiego. (Do łóżka, przed spaniem, brałem, pamiętam, tom po tomie, właściwie po to tylko, aby przeczytać ich kapitalne niekiedy wstępy.) Tak, to prawda, że klapło to cenne wydawnictwo, bo nie znalazły się na nie pieniądze, ale jednak, jeśli dotarło go trochę do takiego bodaj Omelna, to już wiele. Ksiądz Ułas gładził ręką te książki, jak chłop konia czy krowę. Widać, że mu się nieraz przydały w tej wołyńskiej głuszy.

Tak, Kraków stawał silnie w Omelnem, ale nie wszystkie książki były tu krakowskie. Organem prenumerowa-

nym było „Diło”, a z nim chyba kilkanaście organów ukraińskich. Tygodniki, miesięczniki, pisma specjalne. Dalej były książki. Parafia w Omelnem miała je chyba wszystkie. Był Szewczenko w warszawskim wydaniu i piękny przekład *Pana Tadeusza* pióra Maksyma Rylskiego, i wiersze Pawła Tyczyny, i pisma zebrane Iwana Franki, i historyczna trylogia Łepkija, no i pierwszy tom świeżo nagrodzonego we Lwowie Samczukowskiego *Wołynia*. Przyparte do nich, jak dobudówka, mieściły się osobno wiersze poetów z chełmskiej „Kameny”, wśród nich przede wszystkim Czechowicza. Były one jak ostatnie przeszło utrzymujące łączność nad przepaścią, jaka się otwarła pomiędzy dwoma narodami.

Tak, tak. Pamiątki lat krakowskich były, co tu gadać, trochę jak te zrebry omelniańskiego dworu, spowite całe w bujną zieloność tej ziemi... Buchała nad nie, oplatała je mocno, właśnie jak tamta zieloność w ogrodzie. To, co w tym księdzu nieco przytłumił czy przycisnął Kraków, teraz buchnęło tym mocniej w pełni wołyńskiej wsi.

On sam czy się zmienił? O, na pewno tak. Przede wszystkim przytył w sobie, ogorzał, szcerwieniał na twarzy. I, jak już wspomniałem, nabrał autorytetu. Nie darmo klękano na jego głos co niedziela, baby przypadały mu do rąk, starzy chłopci mówili: „ojcze”. Takich parę lat zrobiło swoje. Wreszcie były pewne zagadki, do których brakło mi klucza. W naszych rozmowach z tych dni były jakieś niedomówienia lub zamilknięcia: ksiądz Ułas nie mówił wszystkiego. Za to w paru takich wypadkach naraz skręcał na Kraków: — Tak, Kraków... Kraków. Pan nawet nie wie, ile ja tu czasem, gdy ciężko bardzo, myślę o Krakowie. Ja bym inaczej może poszedł, gdyby nie wasz Kraków... A, Kraków...

Dlaczego nie zapytałem ani razu, co ma właściwie na myśli? Ani o to, dlaczego bywa mu ciężko. I dlaczego myśli wtedy właśnie o Krakowie? Nie wiem. Czasem nie

stawia się komuś właśnie najprostszycy pytań. Teraz, w pociągu, przypominając sobie tamto, przypomniałem jednocześnie i tamten nocny dojazd, z sierżantem KOP-u na bryczce. On także — prawda! — napomykał coś o tym Krakowie proboszcza z Omelna. Ale inaczej.

Właśnie podczas tych moich rozważań pociąg stanął. Była to większa stacja. Po peronach biegali ludzie; przez okno świeciły latarnie. Dwie baby, jakiś student, jakiś Żyd-kapociarz weszli i zajęli miejsce w przedziale. Wątek myśli się urwał. Wyjrzałem przez okno.

Była noc, a nad niskim, długim dworcem widniał jasno oświetlony napis: Lublin.

*

W ciągu tych ośmiu miesięcy, które dzieliły ową jesień od uroczystego dnia świętego Wawrzyńca, ksiądz Ułas dawał o sobie znać coraz częstszymi komunikatami. Jego biuro prasowe działało znakomicie, jego prywatny urząd konserwatorski również, ale nade wszystko wspaniale funkcjonowała jego parafialna izba skarbowa. Ta była podstawą wszystkiego, bo ona wyciskała ostatni grosz z parafian na podniesienie Omelna. Toteż w każdym liście była zawsze jakaś triumfująca wiadomość:

„...wybieliliśmy całą cerkiew z zewnątrz i *w seredyni*. (Czasem zdarzały się takie lapsusy.) Wcześniej nie można było, bo na wilgoci wapno źle bierze...”

„...jeździłem po ikonostas do Lwowa, ten, co go miałem pozłocić, pamięta pan. Lepiej niech pan nie pyta, co kosztowało, ale solidna robota. Wszystkich nas przetrwa.”

„...dach pobijamy nową blachą cynkową ze Śląska, właśnie jej przyszło 200 arkuszy, ale trzeba będzie więcej. Konserwator z województwa upiera się, żeby po wierzchu gontami pobić, i pewno tak będzie, choć ludziom święcąca blacha lepiej się podoba niż zwykły gont...”

Cała parafia omelniańska musiała dyszeć ciężko pod

tym gorliwcem. Niejedne chowane pilnie złociste rubelki z ostatnim carem powędrowały na ten ikonostas, dach, remont. Ale skargi Omelna nie docierały do mnie, a komunikaty parocha były mimo wszystko dowodem, że opór, jeśli był, ulegał przełamaniu, karny wysiłek parafian postępował naprzód, a „operacje rozwijały się zgodnie z planem”. Byłem pewien, że do mety dojdzie to w cuglach, kiedy naraz, na dwa tygodnie przed wszystkim, przyszedł krach. Telegraficznie i listownie zawiadamiał ksiądz Ułas, że władze zakazały obchodu.

Dla laika w sprawach kresowych historia była zupełnie nie do pojęcia. Tyle obchodów i jubileuszy szastano co roku na prawo i lewo; Polak studiował każdy nowy kalendarz właśnie pod tym kątem widzenia, czy nowy, nadchodzący rok nie przynosi czasem jakiejś trzechsetnej rocznicy urodzin pana Zagłoby, połogu królowej Bony czy śmierci świątobliwego Kadłubka; rok bez rocznic wydawał się z góry smętnym, nieciekawym rokiem; a władze Rzeczypospolitej popierały jeszcze to zapatrzenie swych obywateli w przeszłość. Dlaczego z Omelnem miało być inaczej, wydawało mi się niezrozumiałe. Ale zbyt wiele pracy i nadziei ten biedny ksiądz włożył w to swoje Omelne, aby mu teraz nie pomóc. Gdzie pop z Omelna nic zrobić nie może, tam dziennikarz z Warszawy coś wskóra. Dwa dni później byłem w Równem.

Ksiądz Ułas czekał raniutko na dworcu, a nim starostwo zaczęło urzędowanie, wyjaśnił mi sprawę przy kawie po wiedeńsku w hotelu „Ermitage”. Przez okno widać było, jak po drewnianym chodniku panny Zuzie, kanceliści, a wreszcie sami panowie referenci podążali kolejno ku starostwu. Ksiądz pokazywał jeden, drugi papierek. Istotnie. Ale przyczyny? Jeden, jedyny akcik mówił: „ze względów ogólnych i bezpieczeństwa”. Jakie względy ogólne mogły tu wchodzić w grę? Jakiemu bezpieczeństwu zagrażało święto?

— Czy ksiądz się nie domyśla czego?

Ksiądz Ułas domyślał się. Ale mętnie:

— To, panie, ciągle teraz tak. Coraz gorzej. Życie nie daje. Ale takich rzeczy to jeszcze nie było. Może rzeczywiście panu się co uda...

W starostwie udało mi się przez pół. Z początku nawet wcale nie. Referent miał piegi i nic nie wiedział. Potem odszedł pokonferować. Potem wrócił i powiedział, że cerkiew jest stara. Może się strop zawalić. Wyjaśniłem mu, że strop był właśnie odnowiony tej zimy, i to pod nadzorem władz konserwatorskich. Ale wtedy okazało się, że Omelne leży w pasie pogranicznym i tam rządzi wojsko. W pasie pogranicznym nie toleruje się żadnych większych zebrań. Jak to dobrze, że znałem już Omelne. Mogłem wyjaśnić, że leży właśnie o równy kilometr od tego pasa. Nie w jego zasięgu. Wtedy referent zapytał, dlaczego właściwie wdaję się w te sprawy, a kiedy udzielałem mu równie uprzejmej odpowiedzi, wszedł starosta. Wszyscy powstałi z miejsc. Starosta zapytał, o co chodzi, i zabrał mnie do gabinetu.

Starosta był to miły, gładki, kulturalny człowiek. Miał na biurku „Wiadomości Literackie” właśnie z moim artykułem wstępnym, pytał o Iwaszkiewicza. Wygłosił długie i dość piękne przemówienie o współpracy narodów Rzeczypospolitej. Napomynał o idei jagiellońskiej, o marszałku, o pochodzie na Kijów, o separatyzmie ukraińskim, o niezrozumieniu. Wobec tego, że „żona będzie chciała koniecznie pana poznać”, prosi na herbatę o szóstej. — Ale, panie starosto, co z Omelnem? — Sprawę Omelna rozważy. Dlaczego mi o to tak chodzi? Ach, tak? A czy ja co piszę o Równem? Nie? Skąd znam tego księdza? No, to pogadamy sobie.

Na herbatce była pani starościna, jej siostra, starosta, ja, ale przede wszystkim był pan pułkownik. Były świeżo upieczone ciastka i stare kawały o Wieniawie, no i wre-

szcie była sprawa Omelna. Pytali długo, co, dlaczego i jak, nie mówili nic sami. Wreszcie zabrał głos pułkownik. Przedstawiciel armii stwierdził, że przyczyną wszelkiego zła na kresach są właśnie ci polscy ziemianie, co tu kiedyś stawiali prawosławne cerkwie w miejsce katolickich kościołów, że lepiej by było o tym zapomnieć, że dziś wojsko odrabia tu tamte grzechy przeszłości. Potem oznajmił, że wojsko na pewne rzeczy nie może pozwolić oraz że dziennikarze niepotrzebnie jeżdżą po prowincji. Było to długie *exposé*, ale nie dawało odpowiedzi na pytanie: czy władza uważa obchód rocznicy założenia wiejskiej cerkwi za niezgodny z prawami Rzeczypospolitej? Tak czy nie, i dlaczego. Starosta był tak słodki jak jego ciastka, ale odesłał mnie do województwa. Tegoż wieczoru jechałem do Łucka. Może w Łucku powiedzą, że dopiero w Warszawie? Ale w Łucku był w województwie Kazek Połtowicz, stary kolega z Akademickiego Koła Kresowego. Miał, rzecz jasna, stosunki.

Kazek też przytył nieco na twarzy przez tych parę lat, zrobił się jakiś wyrozumiały i miarodajny, ale pozostał po dawnemu serdeczny. Był to doświadczony urzędnik. Nie zdziwił się ani temu, że wydano taki zakaz, ani temu, że interweniuje. Obiecał sam wszystko załatwić i uznał moje chodzenie za niepotrzebne. Jeszcze wszystko zepsuję. Zwiedzałem więc Łuck, łągi zielone nad Styrem, rozpadliny ogromnego zamku rzucone kształtem podkowy na te łągi. Wziąłem pokój w hotelu „Savoy” i obejrzałem wystawę ceramiki wołyńskiej. Wieczorem Kazek przyniósł odpowiedź. Omelne może urządzić obchód, ale wyłącznie w ramach parafii. Nie może przyjechać ani archirej z Równego, ani archimandryta z Poczajowa, co najwyżej sąsiedni prawosławni proboszcze. I, naturalnie, nikt z prasy. I nikt obcy.

— Z prasy będę ja — powiedziałem.

— Ty się nie liczysz.

Obchód był już na karku; dobre więc było i to. Umowa stała. Zgoda. Ale dlaczego, tak dla prywatnej ciekawości, te wszystkie historie? Dlaczego proboszcz z Omelna, jeśli mu się tak podoba, nie może sobie pozwolić na taki obchód, jaki chce, z biciem w dzwony, archirejem, archimandrytą i prasą? (Co by to była za „prasa”: „Diło”, „Wołyń” i „Seło” w najlepszym razie.) Dlaczego to wszystko?

Kazek Połtowicz był rozumnym, ludzkim człowiekiem, który na te wszystkie sprawy patrzył z pewnego dystansu. Dla niego było ważne nie tyle to, co być powinno, ile to, co być może, a ideałem nie tyle najlepsze dobro, co najmniejsze zło. Siedział w tej całej maszynie, która na Wołyniu była Państwem Polskim, znał zasady jej działania, możliwości jej pracy. Zaczął mi mówić o Wołyniu, wschodniej prowincji Rzeczypospolitej, co, dlaczego i jak. To, co mówił, były to rzeczy na pozór ogólne i zasadnicze. Przeciwstawienie coraz mniej tu wpływowej władzy cywilnej — województwa, i coraz bardziej wpływowej — Korpusu Ochrony Pogranicza. Coraz bardziej wyblakłych teorii o współpracy „narodów, jakie tu żyją” — i coraz silniej wchodzących w życie poglądów, że „w Państwie Polskim naród polski powinien być jedynym gospodarzem”. Począł mi mówić o tym, jak skurczyła się ilość szkół ukraińskich, jak znikły ukraińskie samodzielne kooperatywy. Tak, dużo się zmieniło na Wołyniu od pierwszych lat Rzeczypospolitej... — I, rozumiesz — mówił — pozostała im tu właściwie jedna rzecz — cerkiew. — Cerkiew.

Lampa naftowa na werandzie filowała mocno. Od Styru rechotały bataliony żab.

Kazek Połtowicz mówił dalej bezstronnym głosem referenta. Był to niewątpliwie doskonały urzędnik. Wykonałby każdy rozkaz, jaki by otrzymał, ale zachowałby własne zdanie o jego celowości. Pewno starałby się wykonać roz-

kaz błędny w taki sposób, aby wyrządzić jak najmniej szkód. Kazek Połtowicz mówił z kolei o tym, czym jest na Wołyniu cerkiew. W pierwszych latach po wojnie była niczym. Był to stary, tradycjonalistyczny szkielet, pełny popów nieuków i dusigroszów. Był niezwykle słabo związany z ludem, który się tu budził, a mocno z państwem, które stąd odeszło, i z czasem, który tu przeminął. Młode pokolenie wsi radykalizowało po sowiecku albo ukrainizowało jak Lwów, i dla niego szkoły, masłosojuzy i proświty miały wtedy sens znacznie żywszy niż niedzielne obiednie i chóry. Ale tamto minęło, pozostała cerkiew. W tej zaś cerkwi jest już teraz nowe pokolenie księży prawosławnych, wychowane w Polsce, wykształcone, inne. Nie wszyscy jak nasz Ułas, ale wielu. Ta nowa cerkiew staje się właśnie bastionem rodzimego oporu. Z nią właśnie mnożą się tarcia: Kazek Połtowicz przewidywał, że będą się mnożyć.

Przy tejże lampie naftowej wydobyl z kolei, w dyskrekcji największej, akta sprawy. Ksiądz Ułas Trochimczuk. Urodzony w 1910. On sam. Państwo Polskie nie na próżno miało urzędników. Papierek po papierku, akt po akcie, meldunek po meldunku, życie księdza parocha z Omelna leżało tu przed nami, posegregowane, wciągnięte do dziennika, opatrzone uwagami na bokach, pospinane w imponującą plikę. Wiedziano wszystko o księdzu Ułasie. Wiedziano, ile bierze za mszę i jakie pisma prenumeruje, kto go odwiedza i komu co powiedział. Mignęła jakaś niewyraźna, niedolepiona historia miłosna. Teraz podobno nic. Wstydzilem się, że czytam to wszystko. Wydało mi się naraz, że to ksiądz Ułas leży przed nami na tym stole, w świetle tej naftowej lampy, zupełnie nagi, nieprzyzwoicie obnażony. My patrzymy, a on nas nie widzi i okryć się nie może. Pamiętałem jego wstydlivość i było tym przykrzej. Ale Kazek nie podzielał tego zakłopotania. Przeciwnie. Wczytywał się, wglądał, medytował jak lekarz

dokonujący na zimno oględzin czyjegoś ciała czy pośmiertnej sekcji.

Przedo wszystkim rozumiał w tym rzeczy, których ja nie rozumiałem. Był jak kabalarka nachylona nad kartami. Widział to, czego nie widzą inni: odczytywał właściwy sens słów:

— No, nie jest tak źle: sam widzisz: „kontaktów z ruchami politycznymi najpewniej nie posiada”. To dobrze. To bardzo dobrze. Bardzo. Tak... Tylko że dalej, widzisz: „Bardzo ostrożny i uważny. Trzyma się ściśle wszystkiego. Niepodatny na prowokację.”

— To chyba dobrze?

Kazek skrzywił się:

— Eee... popatrz zresztą sam: „Niewątpliwie wybitna jednostka. Posiada wpływ nieprzeciętny. Także na młodszych.”

— Doskonale?

Kazek był coraz mniej zachwycony. Czytał dalej. A raczej pokazywał mi palcem ważniejsze, w jego pojęciu, ustępy tekstu. „Nie da się zastraszyć ani pozyskać konkretnymi korzyściami. Zdolny do dużego uporu.”

Na tym kończyła się lektura. Mój kabalarz, świadom tych zawiłych spraw, wyciągał z kolei swoje wnioski:

— Widzisz, jest, jak mówiłem. Będą starali się go wykończyć... Słuchaj. Przecież coś możesz w Warszawie? Czy nie mógłbyś go zabrać z Omelna? I w ogóle stąd? Z Wołynia?

Zabrać księdza Ułasa? Z Omelna? Trzeba było nie znać księdza Ułasa, nie czytać jego listów pisanych zimą, jego trosk o arkusze cynkówki, o pozłotę ikonostasu, nie pamiętać jego plebanii na wzgórzu, jego cerkwi dożywającej swych lat dwustu za niespełna tydzień. Kazek musiał naprawdę nie wiedzieć tego wszystkiego, aby móc tak mówić. Wiedziałem dobrze, że nawet gdybym mógł co zrobić, nigdy bym tego nie zaproponował.

Ale Kazek znał za to drugą połowę wołyńskiej prawdy, którą ja dopiero zaczynałem poznawać. Stuknął dłonią po papierach i powiedział:

— Jak chcesz. Ja zawsze zrobię, co tam będę mógł. Ale może być niedobrze. Bardzo niedobrze.

Tu naraz błysło mu coś, jakby sobie przypomniał. Zastanowił się chwilę, zawahał. Zaczął mówić i znowu się zawahał.

— Wiesz co — zagadnął ociągliwie — byłaby jeszcze jedna rzecz...

— Jaka?

— Wiesz... To by może pomogło. To by nawet na pewno pomogło. Mnie by to dało element, rozumiesz, argument do ręki... Już ja bym to potem wygrał, gdzie trzeba. No, to by całkiem zmieniło sytuację.

Pamiętam, odezwały się we mnie ostrzegawcze dzwonki:

— Dobrze, ale co, co takiego?

Wpatrywał się we mnie:

— Ty byś to musiał przeprowadzić z nim. On ciebie posłucha...

— Ale co?

— Widzisz — zaczął Kazek — to nie jest takie bardzo przyjemne. Ale ostatecznie może i szczegół. Tylko drobiazg. Rozumiesz, po mszy jest zawsze taka krótka modlitwa. Nic w niej nie ma. No, nasza zwyczajna modlitwa za Rzeczpospolitą. Więc i oni ją odmawiają w cerkwi. Ale po rusku. Czy tam ukraińsku. No i teraz jest tendencja i ja to uważam za głupstwo, nowe wymysły tych durniów z KOP-u. Ty wiesz, że oni tu teraz są wszystkim i otóż taki jakiś obmyślił, żeby tę modlitwę mówić odtąd w cerkwi po polsku... W niektórych parafiach to robią. Gdybyś ty jemu zdołał...

Zrozumiałem. Milczałem.

— On by może ciebie jednak posłuchał. A to by mi wiele ułatwiło. Upewniam cię. Spróbuj. No, co myślisz?

Miałem żółć w ustach i długo odpowiedzieć nie mogłem.

— No, co?

— Widzisz, mój drogi — zacząłem wreszcie nieporadnie — to jest tak, że dziękuję ci za to, że chcesz najlepiej. I pewno to byłby dobry pomysł. Ale, rozumiesz, ja właśnie, tak się akurat składa, tego mu radzić nie mogę...

Brwi Kazka podniosły się ze zdziwieniem:

— Dlaczego akurat ty nie możesz? Ty najlepiej! Masz jego zaufanie.

Wikłałem się w szlamie słów:

— To nie to jeszcze nawet, że on... Widzisz, jest jeszcze... jakby powiedzieć... jest jeszcze ta cerkiew... w tym Omelnem... Tę cerkiew... otóż tę cerkiew stawiał taki jeden mój, jakby to powiedzieć, praszczur i dziad. Dawno temu. Stawiał ją, rozumiesz, w akcie erekcyjnym widziałem, dla ludzi „wiry i mowy prawosławnej”. Sam jeszcze był tej mowy, a nie był już owej „wiry”, ale ją uszanował. Ja, rozumiesz, nie jestem ani ich mowy, ani ich wiary. Ale, rozumiesz, nie mogę...

Słowa grzęzły w milczeniu jak w szlamie, aż ugrzęzły zupełnie. Kazek nie nalegał.

— Rozumiem. No, może inaczej spróbuję. Bo wierz mi, ja bym naprawdę chciał pomóc.

W kilka dni później odbył się uroczysty jubileusz i muszę powiedzieć, że wtedy dopiero zrozumiałem księdza Ułasa. Nie, nie było to tylko małpowanie jubileuszy krakowskich, naśladownictwo owego świętowania wszelkich okazji, do którego mieliśmy wszyscy taki pociąg. To nie to, że celebrans był wzruszony, to nie to, że od kadzideł zrobiło się niemal granatowo, od oddechów parno jak w pralni, że ikonostas świecił najzłocistszym ze złót, a chóry — ach, cóż to były za chóry! Mogły były jechać do

Paryża i tam zrobić grubą forszę. Najważniejsze jednak, że to było naprawdę święto. Lokalne, ludowe, narodowe, religijne. Młody Wołyń Omelna, który długo boczył się na cerkiew, do niedawna pełną starych rosyjskich popów, ciemnych, ludowi obcych, zapatrzonych w odeszłą przeszłość, łasych tylko na grosz, ciułających zielone dolarowe papierki, teraz wtłaczał swe życie w ramy owej cerkwi, pod wodzą tego nowego księdza, ich księdza, człowieka ich czasu, ich narodu, ich ziemi i ich pragnień. Właśnie jeśli nie było już szkoły własnej, jeśli skończyła swój żywot kooperatywa, która zaczęła się tak pięknie, potrzebne było coś — i tym czymś stała się naraz cerkiew. Wszystko zespoliło się w tym jednym. Ksiądz silnym głosem intonujący głębokie: „*Hospodi, pomyluuuj*” — był tu naprawdę pasterzem. Kto chciał tutaj sprawować rząd dusz, musiał jego naprzód obalić.

Zostałem, kiedy odjechali wszyscy. Bo paru ziemian okolicznych przybyło tu także — dziadowie niejednego z nich niejedną tu cerkiew przecież wznieśli. I ze szlachty zaściankowej z okolicy przyjechało dość wielu, choć podobno zżymał się na to ich proboszcz, z Poznańskiego rodem. Ale kiedy zrobiło się pusto, przeszliśmy się jeszcze z księdzem Ułsem po polu szeroką drogą, która zawsze była pusta i za której krańcem o niewiele mil stąd kończył się wtedy świat. Ksiądz Ułas był zmęczony i wzruszony. Mówił więcej niż zwykle. Był także jakiś bardziej uroczysty, jakby jeszcze nie zwłókł z siebie tych rias i szat kościelnych i szedł tak cały w nich owym pylnym traktem wołyńskim.

Zaczął sam od trudności, jakie były, i powiedział, że dawniej wolał o tym nie mówić, bo sądził, że nie wiedziałem, a nie chciał robić przykrości. Teraz, kiedy już byłem w Łucku, kiedy wiem, to co innego. Mówił potem o rzeczy, która nosiła gładkie miano „rewindykacji”, tak jak inna, o kilkadziesiąt mil na południe stąd, nosiła parę

lat temu równie gładkie miano „pacyfikacji”. Mówił — łamanym, powściąganym głosem — jak to z tym naprawdę jest. Mówił, jak poznikały szkoły. Mówił, jak piękne były te kooperatywy i jak poznikały także. Mówił, jak poznikali i ludzie. Mówił, jak jest coraz trudniej. Jak jemu zwłaszcza jest ciężko.

— Bo, widzi pan, najgorsze jest to, że ja byłem u was w Krakowie. Wyście mnie wtedy przyjęli, ot, powiem tak, sercem. I tam było serce. W tej katedrze, gdzie te freski ruskie, było miejsce dla nas. W tym muzeum, gdzie ten Wernyhora, było miejsce dla nas. Tam wszędzie, w tamtej Polsce krakowskiej, co ją poznałem, dawniejszej i waszej, było miejsce dla nas. I ja wiem, że tak byłoby najlepiej, że tak mogłoby być. Ale coraz mniej widzę, aby tak było.

Pan może się dziwił, że ja... tamto święto cerkwi? Dwusetlecie? Oni, tamci, myśleli znowuż, że ja z tego *nacjonalnu agitacju*? A dla mnie to było przypomnienie, że i tu kiedyś mogło być inaczej. Wasi tu wtedy otwierali cerkwie. Nie zamykali. Ot co jest.

Wiedziałem niestety dobrze, o czym mówi i o kim, kiedy mówił o tym zamykaniu cerkwi. Już się zabrano i do tej roboty.

Szliśmy dalej drogą. Znowu, jak kiedyś, słońce gasło nad lasami. A ksiądz mówił:

— Ot i teraz, pisali do mnie, ludzi nasyłali. Nawet w intencji dobrej. Że ot, żebym ja w czymś ustąpił. Na przykład tę modlitwę po mszy po polsku mówił. Nie po naszymu. Ukraińsku. Ale jakże ja mogłem! Pan sam niech powie, jakżeż ja mogłem? Jakżeż ja mogę?

Miał zasmucone, nieporadne oczy. Nie, nie mógł.

— Nie, nie mógł ksiądz — odrzekłem.

Odetchnął, jakby szukał tego potwierdzenia.

— Ale też nie wiem, jak będzie i jak długo będzie. Narasta nienawiść ta od jednej i od drugiej strony.

Krzywdą krzywdę rodzi. A mnie ciężko, bom innych Polaków znał niż ci, co tu przyłazą lub po gazetach judzą. I wiem, że inni Polacy są, tak jak nie wszyscy Ukraińcy — nacjonałiści. I czasem sobie mówię, że może dotrwam, aż to tu wszystko inaczej będzie — i lepiej. I może naprawdę dotrwam?

*

W rok później, nie, w pełne dwa lata później, stało się to, czego należało oczekiwać. Książd Ułas został usunięty z Omelna. Poszło odpowiednie pismo odpowiednich instancji. Nie było rady. Został w ogóle usunięty z Wołynia, a także z kresów. Przyjechał do Warszawy. Nie. Nic przeciw niemu nie miano. Tylko ludzie z pogranicznych wsi do niedawna prawosławnych, teraz nawróconych na katolicyzm, biegali dalej chyłkiem do pobliskiego Omelna. Ba! Gdyby książd Ułas był uległym, kornym popem, nie wyzierającym za miedzę, wyduszającym grosiwo z parafian, gmerającym się w betach z popadnią, dano by mu spokój. Ale tak samym swym istnieniem płoszył i niepokoił.

Trzeba było raz jeszcze się odwołać do Kazka. Ten dał nieocenioną radę:

— Teraz tylko ktoś z Dwójki. Musisz tam chyba znać takiego. Ale mur! Major Pytek? Znasz majora Prawdzio-Pytka? Świetnie. O, gdybyś mógł jego...

Major Pytek kręcił się w kołach niewyraźnie-literackich Warszawy. Coś pisał sam, na czymś się podobno znał, posiadał jakieś tajemnicze koneksje i nie mniej tajemnicze zasługi. Telefon odebrała pani i prosiła na herbatę. Major Pytek słuchał znudzony, o coś zapytał, coś zapisał. Miał zbadać wszystko. Potem nasłałem mu księdza, który tymczasem zjawił się w Warszawie. Major miał dużo zrozumienia. Przekonywał księdza łagodnie i rozumnie, jak tylko mógł, żeby szedł przynajmniej — w bli-

żej nieokreślony sposób — na rękę. Napomknął wreszcie, że to chwilowo nie jego resort...

— Ach, jeśli pan major nie może...

— Co znaczy nie mogę? Mogę — oburzył się major.

Major Pytek istotnie jednego tylko nie mógł: nie móc. On musiał móc.

Niestety, i pani majorowa była nie po mojej stronie. Powiedziała:

— Proszę pana, jeśli władze tam już tamto przesądziły, to tam pewno coś jest. Tacy ludzie jak ten ksiądz to przecież Bronka Pierackiego... I Hołówkę. I ilu jeszcze.

Ale na szczęście pani majorowa „popelniła”, jak powiedziała, książkę. Tom opowiadań. POW. Z wdzięcznym uśmiechem prosiła o recenzję. „No, gdy pan napisze.” Wytrzymałem babę. Dopiero na schodach zrobiliśmy układ:

— Ale ksiądz Ułas wróci do Omelna?

— A recenzyjka będzie?

Byliśmy oboje słowni. „Recenzyjka” ukazała się w prasie, a ksiądz Ułas powrócił do Omelna. Przyznam się, że oddając recenzję do redakcji byłem trochę zażenowany. Ale że sezon był ogórkowy, zamieścili jakoś. Potem było przez kilka dni głupio, ale przeszło.

Ksiądz Ułas był u majorostwa Prawdzio-Pytek i zrobił miłe wrażenie. W Omelnem parafianie przyjęli jego powrót niczym zmartwychwstanie, a potężni wrogowie z sąsiedztwa tak, jakby ich wróg wstał z grobu. Wśród małych piesków rozeszła się legenda o potężnych wpływach Warszawy. Oznaczało to spokój na rok, może dwa. Póki co. Tylko przezorny Kazek doradzał:

— Lepiej go jednak zabierzcie.

*

Księdza Ułasa nie miałem już więcej zobaczyć, ale panią majorową Pytek zobaczyłem w Londynie. Jej mąż

miał krótki paryski okres lekkiego zmierzchu, ale teraz odzyskał z powrotem swe zasługi, koneksje i kontakty. Po małej przerwie wszystko wracało przecież do dawnego stanu. Był już nawet podpułkownikiem i czekał na dalszy awans. O majorowej słyszałem, że była w Polsce po wrześniu. Tak, istotnie, była. Nawet w październiku. Dopiero w listopadzie, przez Kowno. To było straszne. Wszystko przez tych znajomych z autem, którzy puścili ją kantem w Równem.

— Ach — ożywiła się — a wie pan, kto mi się za to przysłużył? Ksiądz Trochimczuk!

— Ksiądz Ułas? Z Omelna?

— Ależ tak. Byłam w Omelnem. W samym Omelnem! U tego, co to go nasi z parafii wyrzucić mieli. Oho, żeby pan tylko wiedział! Niech pan zajdzie do nas. Na Kensington. Wszystko opowiem!

Istotnie opowiedziała wszystko. Mieli wygodny *flat*, z prawdziwym kominkiem. Piliśmy whisky:

— Więc muszę panu opowiedzieć. Na czym to ja skończyłam? Kiedy Marysiowie już zwiali z tym autem? Pan rozumie. O bolszewikach już mówią, że nadchodzą, w Równem czerwone flagi na drutach... Żydostwo... Czerń. Sam pan to widzi. A ja sama jedna z walizami. Wysłałam na ulicę. A tu naraz ktoś. Nawet nie poznałam. Ale on mnie poznał. Ten pański ksiądz. Był własnymi końmi. Zabrał mnie, jak stałam, do Omelna.

— Byliśmy na noc, ale już radio sowieckie grzmiało i wiadomo było, co. Wieś huczała od rozmów. Policji nie było. O świcie jużśmy wiedzieli wszystko i wszystko było jasne: *Polsza propała*. Ja siedziałam w mojej izbie cicho, ale słyszałam wszystko naokoło. Jeden ksiądz Ułas był spokojny, bardzo spokojny. Aż od lasu nadjechali tamci. Najpierw motocykle, potem czołgi. Panie, jakie czołgi! Ogromy. Skąd oni mieli takie czołgi? A potem wojsko. Czy pan pamięta tamten trakt, taki zarosły trawą? Stary

trakt szeroki? To teraz był on za ciasny, za wąski na to wszystko. Waliło to dniem i nocą, i następnym dniem. Szły wojska sowieckie, z tymi ich długimi sztykami. Pułk za pułkiem, za pułkiem pułk. Ksiądz Ułas stanął w tej swojej sutannie na progu i patrzył. Oni na niego, on na nich. Pokazywali go sobie niektórzy, pewno dawno nie widzieli. Przyszedł patrol także. Potem dwóch oficerów. Nawet całkiem poprawni. Pytali ludzi o księdza i powiedzieli mu przy mnie: „*Nam skazali, czto ty był charosz*”. I dziwili się, że cerkiew była otwarta. Im mówiono, panie, że u nas zamykano cerkwie... I że prześladowano popów... Pan wie, że to nieprawda...

— ...
— Tak, tak. Nigdy nie zapomnę tego ranka. Niedziela 17 września. Wojsko waliło i waliło, wieś cała się zbiegła. Na drzewie nad drogą zawiesili głośniki i te głośniki nadawały Moskwę, a może Kijów. Same przemówienia, pieśni, marsze. Jeden szczególnie huczał, pamiętam — przecież byłam w Petersburgu na pensji: „*Maskwa maja, strana maja, nikiem nie pobiedimaja*.” Istotnie. A i w uszach huczało od tych czołgów i od tych pieśni. Napije się pan jeszcze whisky? Co to ja mówiłam? Aha, tak. No i właśnie, że tylko ten ksiądz nic. Jakby nigdy nic. Na dwunastą kazał bić w dzwony jak zawsze. Leniwie złąziło się pod górę chłopstwo. Gdzie im tam w głowie cerkiew! Wojsko waliło drogą ciągle. Popod tą samą cerkwią.

Powiem panu prawdę, bałam się zostać na plebanii. Jednego się tylko czepiałam rozpaczliwie, to tego księdza. Jego spokój był zupełnie inny niż u tych wszystkich ludzi wokoło. Dla tamtych naraz coś się stawało, wstrząs jakiś, szło coś przez świat, jak te czołgi przedtem drogą. Podniecenie, krzyki. On nic. Jakby wiedział, co było, a także, co będzie. O, to nie był zwykły sobie pop, proszę pana. Nie chciałam być bez niego ani chwili. Więc poszłam na tę mszę. Niby popia kuzynka. Ale kto by się patrzył na

mnie! Dzwony biły, ten głośnik dolatywał z daleka, czasem na drodze zadudniło coś, jakieś działa pewnie, a w cerkwi, pod tymi sklepieniami starymi — jak zawsze chóry, kadzidła, ikony, a ksiądz Ułas spokojnie odprawiał mszę. Jak gdyby nigdy nic. A może nie. Może bardziej ważny niż przedtem.

I wie pan, że wtedy w tej cerkwi było mi naraz najlepiej. Tylko tu był jeszcze spokój i ten dawny świat. Klęczeli starzy chłopci, baby, młodycie i chłopcy, były dzieci i zaduch. Ksiądz Ułas śpiewał obiednię. Aż przyszedł koniec. Pan wie — ta chwila, kiedy ksiądz schodzi na sam dół, przed ołtarz, przed carskie wrota, i śpiewa jeszcze ostatnią modlitwę. Pan wie, jaką modlitwę? Za Rzeczpospolitą...

— I co?

— Wszyscy wiedzieli w cerkwi, że to teraz chwila na tę modlitwę. Niedawno kazano ją mówić po polsku, nie po rusku, i ksiądz Ułas się temu opierał. Pan pamięta? Ale teraz już nikt przecież nie kazał. Ani nie mógł nawet kazać. Teraz było już nawet całkiem odwrotnie. I ksiądz Ułas nie odszedł od ołtarza, nie zdjął szat, ale stanął jak zawsze. Chwilę milczał. Cała cerkiew tak samo zamilkła, nawet nikt nie zakaszłał i naraz było tak cicho, tak cicho, jakby wszystko na świecie zamilkło. Tylko to dudnienie przeciągających wojsk szło ze dworu, ale i ono cichło. I wtedy dopiero, kiedy zrobiło się bardzo cicho, ksiądz Ułas zaintonował: *Mołytwa za Riczupospołytu*.

Pan wie, jak to jest w teatrze, kiedy ktoś ze sceny coś ogłasza? Więc to było właśnie tak. Naraz wszyscy sobie uświadomili. Rzeczpospolita! Była tu jeszcze wczoraj. Jeszcze dwa dni temu. Teraz jej nie ma. Pan wie, lud ruski jest zabobonny. Więc to było tak, jakby ten ksiądz wywoływał teraz widmo, kazał jakimś dziadom w grobach leżącym powstać i zjawienia się ich oczekiwać. Zupełnie tak.

Aż z jednego kąta odezwały się jakieś głosy czy syki. Poszedł pomruk po cerkwi. I wtedy ksiądz powtórzył, tylko głośniejsze i spokojniejsze: *Mółytwą za Riczupospolytu.*

Znowu poczekał chwilę. Pamiętam, będą pamiętała do końca każdą sekundę tej chwili. Naraz niektórzy ludzie, ale tylko niektórzy jeszcze, najbardziej to starzy tacy, do słuchania księdza nawykli, poczęli, jakby tym nawykiem samym, obsuwać się na kolana. Ale cała reszta stała dalej, niechętną, co tam niechętną — wrogą ciżbą. Pewno jedni czekali tu Sowietów, inni może za Niemcami się oglądali. Temu, co tu było jeszcze wczoraj, byli wszyscy jednako wrodzy. I w głuszy tej nienawistności ksiądz od ołtarza począł naraz mówić, tak ogromnie spokojnie.

„Bracia moi i siostry! Koły budete teper so mnoju mółyty sia, wy ne budete mółyty sia za to, szczo buło tut wczera i buło zło, i szczo nykoły ne wernyt sia bilsze. Wy ne budete mółyty sia za cich, szczo nam mowu i wiru, i ziemlu widbiraty chotiły. Ni za cich, kotoryje teper utykły z boja — ”

Głos jego powoli się podniósł:

„Wy budete mółyty sia za to, szczo je i buło; i bude sławne, a teraz krwawi się u bram waszej ziemi rodzinnej w walce nirównej. Za polskij narod! On teper s nieszczastnych nieszczastnyj, ale i z bohatiriw bohatyr. Koły wy zdies mółytyś i radujeteś, jewo syny bijutsia o ziemlu i wolu swoju. Bijut sia sami odny z mohuczym najizdom wraha. Bijut sia u Helu a Westerplatte, u Kutna, u Warszawy sławnoj. Ale, bratja i siostry moi, oni tam nie tyłki o swoju ziemlu i swoju wolju bijutsia — ”

Zaczerpnął jakby oddechu, po czym głosem wypłynął wyżej:

Oni bijut sia teper i za waszu ziemlju, i za waszu wolju. Tak to jest, bratja moi. U Kutna, u Westerplatte i Warszawy oni bijut sia teper sami, no o swoju i waszu

swobodu. Tak uże było kołyś i tak je teper. Bo wrah, kotoryj naszol polskije zemli, on i ukraińskich ziemiel cho-
czit, on i na naszi chutori ide, jomu i naszoho chliba cho-
czet sia. Myne rok, myne druhij rik, a on do nas k'naszym
selam pryjde. Todi wy zrozumijete i wsi zrozumijut, szto
cja borotba, ktoruju polskij narod wel, buła początkom
i noszoy borotby, a ti, kotoryje tam teper na poljach Pol-
szy hinut, i za naszu hinut swobodu — ”

Znowu jakby się zadyszał, pewnie nawet zadyszał się,
bo za pierś się schwytał. Ale zaraz z tą ręką na piersi po-
czął dalej mówić i była taka cisza w cerkwi, jakby nie
mówił, ale — czy ja wiem? chyba — wieszczył:

„Lily sia, proti w sobi, ich krew i nasza krow. Lacka
i kozacka. Ale pryjde deń, koły po hruczach Polszy wrah,
kotoryj Polszu zmoh, na Ukrainu pojde. Pryjde deń, koły
my w bij za naszu swobodu pijdem, jak oni teper za swoju
pijszły, i w toj deń my ne tilki za naszu swobodu budem
wojowaty, no i za waszu, Lachy. I pryjde tretij deń, koły
ni na polskoj, ni na ukraińskoj, ni na drugoj słowianskoj
zemli i slida wrażoho ne bude. I todi nowyj deń stane dla
nich i dla nas. I o toj deń my teper, bratja, pomolim sia,
a cim, kotoryje w boju tam hynut — wicznaja pamiat’.”

I chór głosów przeszedł naraz dreszczem:

„Wicznaja pamiat’.”

I z tymi słowami rytuału ciżba naraz poczęła obsuwać
się i klękać, klękać ciężko, niezdarnie i głucho, tak właś-
nie, jakby naraz na podłogę cerkwi wiejskiej poczęły wa-
lić się grube dębowe pnie. Sama cerkiew jakby poczęła się
podnosić i wydłużać w górę, bo oto ludzie zgięli się klę-
cząc, w tej modlitwie, aż przez to stało się widniej i prze-
stronniej, jakoś aż strasznie pusto, i tylko żółty blask gru-
bых woškowych świec chybotął niespokojnie po tej pustce.
W nią właśnie, w tę pustkę, poczęły teraz wpadać jedne
po drugich słowa długiej, obrzędowej modlitwy, zwyczaj-
nej, coniedzielnej, ale które w owej chwili osobliwej na-

bierały całkiem innego znaczenia. Gdzieś tam nad Wisłą lał się teraz z nieba niszczący ogień samolotów; gdzieś daleko nad Sekwaną ludzie pracowali spokojnie w winnicach; w dalekiej Anglii inni ludzie po raz pierwszy nie pojechali na *week-end*; a tutaj drogą przez wieś waliły wojska i wojska. W tym świecie całym, nad przepaścią historii nachylonym, szła teraz ku nielitosnemu niebu owa jedna, najdziwniejsza modlitwa, wznoszona ponad krzywdy i niesnaski, zupełnie jak taki dym wlokący się pod niebo z nędznej chaty niskiej pod sam błękit i spokój wieczysty. Ksiądz skończył, diaczek gładkolicy zaczął gasić świecę, a ludzie jeszcze stali jak nad zwłokami jakimiś. A potem rozchodzili się jeden po drugim, nie od razu i nie spieszący, przycichli. Jakby ich ogarniały jakieś złe przecucia czy co.

— ...

— A wie pan, ksiądz Ułas kazał mi potem to panu właśnie powiedzieć.

— Powiedzieć, co?

— To właśnie. Kiedy wyjeżdżałam. Do Wilna, a stamtąd do Kowna. Odwiózł mnie, ubrał i powiedział, że pewno pana zobaczę. Żebym wtedy panu powiedziała.

— Co powiedziała?

— No, właściwie nic. To wszystko.

POMIĘDZY WILKI



Leżał długi, rozprostowany, na wznak, z prawą ręką, jeszcze czerwoną od spalenin, pod głową. Nie spał. Na dworze księżyc wyszedł był już cały, księżyc ostatnich, późnych dni pełni, wielki srebrny księżyc niespodzianie pojawiający się w oknie, księżyc nieruchomych przestrzeni i śnieżno-mroźnych zim. Był tak wysoko, że z jego światła była w pokoju tylko biała plama, jak pokost, na górnej części kaloryferu i niewielkim skrawku podłogi, podłogi z podłużnych, jesionowych desek, jak zwykle na wsi w Kanadzie. Ale od tego pokostu szedł odbłask i w tym odbłasku widziało się cały pokój jak w szarej mgłę. I białe ściany, i zdjęcia narciarskie na nich, i ciemny belkowany pułap, i kominek w oprawie z niekształtnych granitowych brył. Granit był szary i ta szarość nawet po ciemku odbijała od białości ścian. Drzwi od łazienki były uchylone — Denis zapomniała je zamknąć — i na zielonych kafkach migąły fosforyzujące odbłaski księżycowej poświaty. W pokoju pachniało świeżym drzewem i perfumami Denis, i mroźnym powietrzem z dworu. Gdyby było jeszcze trochę ciemniej i gdyby nie świadomość istnienia, o krok od łóżka, tej łazienki właśnie, byłoby prawie jak wtedy.

Wycie odezwało się ponownie, tak samo dalekie, gardłowe, przytłumione. Długie wilcze wycie. Nawet nie odwrócił głowy — oczyma wyszukiwał dalej krągłe sęczone w belkowanym pułapie — czuł tylko, jak głos przenika go ponownie, jak wtedy, po końcu palców u nóg, po włosy nad czołem. Głos umilkł na chwilę nasłuchująco, po czym

odezwał się znowu i znowu, i znowu. W pewnej chwili w ten pierwszy głos wwył się inny, może dalszy, może z innej strony. Potem jeszcze inny, na pewno z innej, nawet z przeciwnej strony domu. Najwyraźniej głosy poczynają się zwoływać po nocy tajnym szyfrem swych dźwiękowych sygnałów.

Znacznie później miał się zastanawiać, w której chwili zbudziła się Denis. Zbudziła się bez ruchu na pewno, bez żadnego ruchu. W tej poświacie napelniającej pokój dostrzegłby każdy ruch fałdów miękkiej różowej kołdry, raczej cienkiego koca; w tej ciszy i nasłuchiowaniu dosłyszałby każdy ruch. Nawet nie dostrzegł, jak otworzyła oczy — choć musiała je otworzyć — gdy naraz usłyszał przyciszone:

— *Listening to your wolves?*

Zmieszał się po sztubacku, niezadowolony.

— To twoje wilki, kanadyjskie, Den.

— Wilki są jak kobiety, prawdziwe kobiety; nie mają narodowości. Mogą żyć tu i w Stanach, i w Polsce, i w Rosji, i w Anglii...

— Nie ma wilków w Anglii poza ogrodem zoologicznym...

— Brakowało ci wilków w Anglii?

Uśmiechał się patrząc przed siebie w sufit. Głosy wilków dochodziły dalej przytłumione, ale jakby liczniejsze.

— Jest ich więcej niż tamtej nocy — zauważyła znowu.

— Więcej.

— Ale się nie zbliżają.

— Nie. Jeszcze nie.

— Jeszcze? Czy czasem podchodzą całkiem blisko?

Nie odwracał głowy. Jakby także z oddali, powiedział:

— Całkiem. Prawie całkiem...

I potem naraz, jak to z nim było zawsze, poczuła nagły przerzut całego ciała, dotąd znieruchomiałego, ku niej, poczuła ciepłą wielką łapę zagarniającą ją całą, ciepłość

gwałtowną ust, zimnych przed chwilą. Poczuła, jak staje się bezradna i bezwolna. Uświadomiła sobie raz jeden jeszcze w swej skrytej, kobiecej radości, jaki był duży i silny. Wydawał się tak odległym przed chwilą, gdy tak leżał tuż przy niej, zapatrzonej daleko, zasłuchany w te głosy z lasu, mogło się zdawać, że odchodzi. Och, jakże się bała, jakże się po kobiecemu bała tego jego odchodzenia w myślach! Sądziła dawniej, z początku, że wtedy myśli o innych kobietach, o których nie mówił nigdy, ale wiedziała, że pamięta. Zdawało się jej potem czas jakiś, że myśli o tej dalekiej Polsce, i tak się cieszyła wtedy, w Crandleby, gdy dowiedziała się nareszcie, że nie. Był nawet moment taki, kiedy myślała, iż to, że katolik... Oczywiście, choć sama pochodziła z metodystów, nie interesowała się tymi sprawami, ale katolicycy byli dla niej zawsze czymś tajemniczym, zawiłym i właściwie niepokojącym. Im dłużej żyła z nim, tym bardziej jej niepokój tracił konkretne zarysy. Wiedziała, że chwile, kiedy od niej odchodzi, nie są niebezpieczeństwem grożącym od innych kobiet, dalekiej Polski czy obcej religii. Było to coś innego, do czego jeszcze nie mogła dotrzeć, ale co chyba nie musiało być niebezpieczne, skoro nie miało konkretnych zarysów. Wiedziała wreszcie — i to uspokajało ją może najbardziej — że te milczenia, zamyślenia i odejścia kończą się zawsze jak oto teraz. Miała go tak i jej ręce splotły się kurczowo nad jego karkiem, silnymi męskimi barkami, ugiętymi teraz nad nią jak sklepienie mocne; był jej i czuła, jak wszystko, co kiedykolwiek było, rozpływało się gdzieś i nikło, jak nie było nigdy żadnych mężczyzn jej i żadnych kobiet jego, jak nie było żadnej Polski i żadnej wojny, bez której by tu nie był, i żadnych Mosquitos, bez których nie byłby tu także, i żadnych nocnych lotów, i żadnych jego kolegów, i wczorajszej kłótni, i jego cudacznego słowiańskiego nazwiska, i jego dziwnej, śmiesznej wymowy. I w miarę jak tamto wszystko zatracało się i nikło, jej ręce,

splecione nad nim, zwalniały powoli swój uścisk, stawały się bezsilne i osłabłe, osłabłe wielkim zmęczeniem kobiet. Nie wiedząc kiedy spływała z jego objęć w mocny mrok snu. Leżała jak powalona burzą, gdy od niej odszedł. Spała zbyt twardo, zbyt animalnie, zwierzęco, by móc, choćby przez sen, myśleć. Zapewne myślałaby, że raz jeden jeszcze oderwała go sobą od tamtych zamyśleń. Łudziłaby się bardzo.

Księżyc zniżył się tymczasem i w pokoju było jaśniej. Mężczyzna leżał jak przedtem, nie śpiąc. Uśpiona nie wiedziała, że wyciągając po nią ręce szukał nie jej i uciechy, jak tylekroć. Szukał tylko jej snu — i swego spokoju związanego z tym jej snem. Szukał jeszcze własnego snu. Jej sen znalazł. Leżała teraz we śnie tak silnym jak po narkozie. Wiedział, że zejdzie nazajutrz do śniadania z podkrążonymi oczyma, już głodna, jeszcze zmęczona, i że do popołudnia nie przypnie nart. Ogarnął ją wzrokiem. Była w tym pięknym wieku kobiety, gdy ciało najpełniej dojrzało do wielkiej radości, ale także zbliżała się i do tego, gdy wielka radość poczyna już męczyć. Przypomnił sobie naraz inną, podobną kobietę. To było tyle lat wcześniej.

Wycie wilków ozwało się znowu, napełniając sobą mroźne powietrze Kanady. Tak jak wtedy. Popatrzył raz jeszcze na Denis. Znowu przyszła mu na myśl Teresa, lata, o, lata wcześniejsze, odcięte od tych teraz całym tysiącem wydarzeń, oceanem, wojną, Hiroshimą — i tym, czym grozi przyszłość. Wycie wilków powtórzyło się znowu. Tym razem było jakby bliższe, choć jeszcze dalekie.

Wstał.

Bezcelowo poszedł do łazienki, przymknął drzwi. Zapalił światło — zaraz nalało się go pełno. Błyszczała biała porcelanowa wanna, nikłowe okucia, ampule lamp. Przypominało szpital. Nalał wody i wypił. Spojrzał w lustro. Stał chwilę patrząc sobie w oczy, patrząc we własną twarz. Oceniał wszystkie jej zmarszczki, nalaność policz-

ków, głębokie zatoki kątów nad skroniami, znaczną siwiznę wokół samych skroni. I on wszedł już był nieznacznie w ten inny wiek.

Po chwili leżał z powrotem na wznak, jak przedtem, z oczyma znowu utkwionymi w ciemne belki pułapu. Wiedział, że tym razem Denis się nie zbudzi. On spać nie mógł. Przypomniawszy sobie, jak w Sidi ben Abbes mówił mu Arab hiszpański: „Kobieta, po której zasypiasz jak kamień, to jest dobra kobieta; kobietę, po której zasnąć nie możesz, odpraw; cóż za pożytek z kobiety, po której usnąć nie możesz?” I Arab śmiał się, i on też, i śmiali się obaj. Jakże było na imię Arabowi? Zaraz, zaraz, nie, nie może sobie przypomnieć. Widocznie Denis nie jest dobrą kobietą dla niego. Jak było na imię Arabowi z Sidi ben Abbes?

Nie, nie mógł sobie przypomnieć imienia Araba z Sidi ben Abbes. To było dawno temu. W 1940 roku. W Maroku. Po upadku Francji. Kiedy przekradał się do Anglii. Dawno temu, 1940. O, i jak jeszcze dawno! Ale tamto, z Teresą, było jeszcze dawniej. I pamięta. Pamięta wszystko. Może dlatego, że był las i góry, i dolina, i pustka, pustka i noce białe od śniegu, i śnieg, i tak samo marzec, i śnieg tak samo topniał około południa, i tak samo był mróz i księżyc, i świat cały jakby nie istniał, daleko.

Wycie wilków odezwało się ponownie. Były trzy wyraźne, osobne głosy. Nawet nie musiał przymykać oczu, aby sobie przypomnieć tamto. Widział to teraz tak wyraźnie jak sęki, sękowiny i słoje w ciemnym drzewie belek pułapu — niskiego pułapu kanadyjskiego domu rzuconego na odludzie leśne.

II

Po latach pamiętał Teresę nie jak kobietę, ale jak zwycięstwo, zdobycz, osiągnięcie, awans, sprawdzian, jak kiedyś pamiętano łup, jak Indianie wspominali skalp. Pamięt-

tał wszystko, jak to było wtedy, i przeżywał teraz to wszystko. Pamiętał ją, poznaną na balu wychowanków Szkoły, otoczoną, rozchwytywaną, celebrującą. Była żoną generała, wysokiego patrona Szkoły, generał miał niebawem zostać ministrem, ambasadorem. Jakże był piękny i dostojny ze swymi siwymi włosami, pańską postawą i młodą twarzą. Czy wtedy zastanawiał się kto, że miał młodą żonę? Teresa miała już troje dzieci mając dwadzieścia i trzy lata. Pochodziła z rodziny, która gdzieś w Sandomierskiem miała najpiękniejszy dwór modrzewiowy w Polsce, prawie autentyczny tytuł, arystokratyczne koligacje i dużo zamożnych ciotek, była wychowana w belgijskim Sacré-Coeur, wcześniej wydana za mąż, jeszcze wcześniej wprowadzona w wielki świat. Mając dwadzieścia dwa lata nie jeździła jeszcze na nartach, ale była już wiceprzewodniczącą zrzeszenia „Rodzina Wojskowa”, prezeską „Yacht Klubu Pań Rzeczypospolitej Polskiej”, otwierała polonezem każdoroczny bal warszawskiej „Laterni” z każdorocznym polskim premierem, nabijała niesamowitą ilość gwoździ w imponującą ilość pułkowych sztandarów i kwestowała w Wielki Piątek w Katedrze warszawskiej ze starą hrabiną Uruską. Czyniła to wszystko z takim przejęciem, jakby wszystkie inne radości życia miała już dawno i nieodwołalnie za sobą, a czyniła to tak naturalnie, tak szczerze, że zmyliła tym rodzinę, męża, znajome. Zmyliłaby może i jego, gdyby nie dwie okoliczności. Po pierwsze, że nie był z jej „sfery”; nie znał się po prostu, nie wyznawał na wartościach i wartościowaniu wielkiego świata, nie wyznawał się na tych przepastnych różnicach, jakie dzieliły kwestę w kruchcie jakiegoś Św. Antoniego albo Zbawiciela od kwesty w Katedrze, ani nawet na pozycji hrabiny Uruskiej. Te rzeczy nie mówiły mu nic. Po drugie, poznając Teresę nie wiedział, że jest generałową. Widział tylko młodą blondynkę o wysoko zaczesanych włosach, bujnych, nie obciętych, której wy-

tracił przypadkiem talerzyk z ręki przy bufecie podczas dorocznej gali. Zaczerwienił się, stał się potwornie niezgrabny, pomyślał, że ma źle skrojony mundur, że dwóch oficerów od ułanów, asystujących blondynce, niszczy go osłupiałym wzrokiem. Teresie zaś wydał się naraz niedźwiedzio uroczy w tym zakłopotaniu. Właśnie muzyka zagrała. „Czy pan tańczy walca?” — zapytała zaraz i wzięła go za rękę, z obawy, że zmiesza się jeszcze bardziej. Od walca czuł się pewniejszy. Zatańczył drugiego, trzeciego. „Nie, to będzie dosyć, tak nie można” — powiedziała przy trzecim. „Ja tu nie mam nikogo.” „Skąd pan jest?” „Zza Rymanowa. Z gór.” Zaczerwienił się; myślał o domu. „O, zza Rymanowa? Zna pan Perekot?” „Perekot? To o sześć kilometrów od nas, od Husynnego.” „Husynne? Tam mój mąż ma polowanie na jelenie.” „Pani mąż? Mąż? — powtarzał. — Pani ma męża?” „I dzieci” — zaśmiała się puszczając go, ogłupiałego; właśnie muzyka przestawała grać. Jednocześnie ze zniknięciem Teresy poczuł na łokciu silny uchwyt czyjejś ręki. Za nim stał major, zastępca dowódcy Szkoły. „Czy pan wiedział, z kim pan tańczy?” „Melduję posłusznie, że nie.” Był tak stropiony jeszcze tamtym odkryciem, że major zelżał. „To jedno pana jeszcze ratuje — powiedział — ale prosząc do tańca podchorąży powinien wiedzieć, kogo prosi. I nie tańczy się trzy razy pod rząd. Pani, z którą pan na to sobie pozwolił, to pani generałowa T. Żona generała T. — powtórzył raz jeszcze. — Proszę mi się zameldować jutro. O trzy na dwunastą.”

Nazajutrz jednak (jeszcze przed oznaczoną godziną) major dowiedział się, że pójdzie przedterminowo do Wyższej Szkoły Wojennej, i to wprawiło go w lepszy nastrój. Gdy podchorąży zameldował się przepisowo, potraktował go po ojcowsku, udzielił podstawowych zasad zachowania się na balach reprezentacyjnych Szkoły w stosunku do wszystkich obecnych, w szczególności zaś generałowych.

Major sam pochodził z Końskowoli, był synem listonosza, nauczył się jednak w Warszawie orientować w świecie salonów, żywił dla tego świata liturgiczny kult i starał się wpoić go innym. Gdyby nie major, podchorąży z pewnością nigdy by już nie oglądał Teresy. Ale major doszedł do wniosku, że honor munduru podchorążackiego wymaga, żeby podchorąży listownie, w ciągu dwudziestu czterech godzin, kornie przeprosił małżonkę generała za to, że trzykrotnie w ciągu jednego wieczoru pozwolił sobie trzymać ją w swych podchorążackich ramionach na oczach tłocznej sali balowej. Sam podyktował mu list — równie czarująco niezdarny jak balowa przygoda podchorążego. Dzięki temu listowi właśnie podchorąży miał mieć zaszczyt goszczenia generałowej w swych ramionach nie raz i nie trzy razy, w ciągu niejednej nocy — choć, co prawda, nigdy już więcej na sali balowej.

Tych następstw listu nie przewidywał jednakowoż ani major, ani podchorąży. Ten drugi nie tylko zdumiał się, ale i przeraził, gdy w dwa dni potem otrzymał niewielki liścik, pisany na papierze, jakiego nie widział jeszcze. Żona generała wysmiewała jego skrupuły i aby go ostatecznie uspokoić, zapraszała na herbatę. Wiedząc, że jest dziki, wyznaczyła dzień, kiedy nie miała mieć u siebie żadnej hrabiny, pułkownika ani generała-męża — wszystko, aby młodego człowieka ponownie nie spłoszyć. Młody człowiek był zresztą ponownie speszony. Tym razem mieszkaniem. Nigdy takiego nie widział. Poza filmem może. By go ostatecznie uspokoić, zatańczyła z nim. Nastawiła płytę z tym samym walcem, który grano wtedy, na balu. Zaczęła z nim tańczyć, jak matka, jeszcze młoda, tańczy z dorosłym synem. Przy końcu zdała sobie sprawę, że odnosi się do niego tak, jak jej młodziutkie kuzynki odnosiły się do swych (i jej) kuzynów. Ona sama podobnych przeżyć nie miała; zbyt wcześnie, zbyt przeraźliwie wcześniej stała się żoną, matką, generałową. Gdy nadszedł ge-

nerał, siedzieli, rozmawiali. Opowiadał o swej wczesnej młodości. Zauważyła, że wobec generała nie tylko nie był nieśmiały, ale nieomal hardy. „Ten młody człowiek wilkiem mi patrzy” — zauważył wieczorem mąż. Spała źle. W nocy, nad ranem, śnił jej się młody chłopak i śnił się nie tylko tak, jak nikt się jej dotąd nie śnił, ale tak, jak nawet nie myślała, że się mężczyzna kobiecie śnić może. Poszła nazajutrz do spowiedzi i bardzo się zdziwiła, że jej sen nie był grzechem. Bardzo się też zakłopotała, gdy spowiednik polecił jej nie widywać już więcej „przyczyny tych snów”. Właśnie była się umówiła — jeszcze na owej herbacie — najzupełniej niewinnie, na czwartek. Że wprowadzi go do rajtshuli „Rodziny Wojskowej”. Co było robić? Była zbyt dobrze wychowana, żeby zawieść. Obiecywała sobie, że tylko go wprowadzi, zapisze i pożegna. Ale odprowadził ją przez park Łazienkowski, była jesień, wcześniej zapadł mrok, zgubili się w jakiejś alei. Wydawał jej się czymś przybity i smutny i było jej z tym źle, i próbowała go pocieszyć. Jej jasne włosy dobrze odbijały od czarnej amazonki, pod butami skrzypiał żuźłowaty, chrzęszczący żwir alei, perfumy „Cuir de Russie” (nazwy tej nie znał wówczas) podniecały swoim zapachem. Z lektury szkolnej pamiętał jedyną bodaj rzecz: *Popioły* — a w nich scenę, kiedy Rafał Olbromski całuje księżniczkę Gintułt. Wiedział, że taka scena musi skończyć się, jak w powieści, cięciem szpicruty przez pysk, widział w ręku Teresy cienką szpicrutę, a jednak w pewnej chwili zaczął ją całować bezładnie, szczeniaczko, dziko. Mógł ją właściwie nastraszyć. Całował źle. Ku największemu swemu zdumieniu nie poczuł jednak na twarzy ostrego cięcia szpicrutą, choć czekał na nie śmiertelnie, nieskończenie długo, jak na coś zgoła nieodzownego, połączonego istic przyczynowo, logicznie, a nawet potrzebnie z faktem pocałunku. Zdumienie jego nie miało granic, gdy zamiast cięć szpicrutą poczuł na swych policzkach, oczach, ustach

ciepłe pocałunki Teresy. Tego nie przewidział Żeromski. Tego, jako żywo, nie było w *Popiołach*. W oczach młodego głuptaka z podchorążówki lotnictwa, ukrytego w mroku i gąszczu alei owego warszawskiego parku, poczęły naraz otwierać się nowe, nieprzeczuwane możliwości. Zaczął całować ponownie, prawie tak niezdarnie jak przedtem. Dla Teresy jednak te pocałunki niezgrabne były niemniej naprawdę jakby pierwszymi w życiu. Dwudziestotrzyletnia, z trojgiem dzieci, z przystojnym mężem, wspaniałą pozycją towarzyską kobieta wtedy dopiero, w niskich alejach tego parku, w ramionach prostackiego podchorążego zza Rymanowa, odkryła, że nieco za wcześnie sięgnęła do prezesur, wbijania gwoździ i zasiadania na kweście wielkopiątkowej obok starej hrabiny Uruskiej.

Spóźniła się na kolację z ambasadorem francuskim o całe pół godziny.

III

Wilk zawył tak blisko, tak blisko, o pół mili chyba, o ćwierć, zawył i zaraz zamilkł. Zawył nie jak przedtem — przeciągle i głucho, ale inaczej. Denis i teraz nie drgnęła. Nie, miał spokój. (Po raz pierwszy tak właśnie pomyślał o Denis. Nawet, że tak pomyślał, odczuł wyrzut. Czy nie była naprawdę wspaniałą kobietą? „*A fine woman, a wonderful girl, a grand girl*” — myśląc o Denis, łatwo myślał po angielsku. Niemniej pomyślał, że miał spokój.) Księżyc zniżył się był jeszcze bardziej, plama oliwna jego poświaty u stóp okna poszerzyła się i odblask w pokoju był jaśniejszy. Widać było lepiej kontur długich, smukłych nóg Denis pod cienką kołdrą i jej ciężkie, ciemne włosy na poduszce. Ale gdy tak leżał na wznak, widział raczej tylko podługowaty kształt nóg. Przymknął oczy. Nie po to jednak, by zasnąć. Świadomie tym razem chciał odtworzyć sobie tamtę zimowe tygodnie z Teresą.

Z lotu ptaka, z przeraźliwej oddali dziesięciu lat — takich lat! — mijał teraz wspomnieniem owe rozliczne, nieznośne i drobiazgowo przeszkody, jakie w Polsce stały na drodze takiej miłości jak ich dwojga. Rygory legitymowania się w hotelach — zupełnie nie znane Anglosasom; przymus unikania wszystkich miejsc, gdzie Teresę mógł ktoś łatwo poznać i wysledzić; straszliwy prymityw wszelkich innych, mniej — czy wcale nie — wytwornych i niezeuropeizowanych. Pamięta, jak je przeklinał kiedyś. Błogosławił je teraz. Dzięki nim właśnie, dzięki owym przeszkodom mizernym, znaleźli dla tej swej miłości, ciągnącej się trzy lata bez mała, niespodziewaną, odmienną oprawę. Czy znalazłby bez tego kajakowy spław Kanałem Ogińskiego w cieniu hetmańskich dębów, skroś trzciniami rozsuniętego Polesia? Pamiętał jeszcze, jak płynąc minęli się z składakiem, w którym Teresa poznała ku swemu przerażeniu jednego z wiceministrów spraw wojskowych; mieszkał w tej samej kamienicy na Szucha, w której mieszkała Teresa. Poznała go natychmiast po głosie. Poznała jego towarzyszkę, artystkę z „Qui pro Quo”. Ale łódzie minęły się z pluskiem, wesołymi pozdrowieniami i niczym więcej. Jakżeby się wiceminister mógł domyślić generałowej T. w roześmianej wiosłarce? Miała twarz spaloną od słońca, ciemne okulary na oczach. Nawet włosy, które tak łatwo mogły zdradzić, krył jakiś zielony zawój. Pamięta spotkanie nad jeziorem Narocz z grupą młodych oficerów. Któryś z nich był kiedyś w Warszawie i opowiadał z podziwem zarówno o politycznej mądrości generała T., jak o wysokiej klasie jego małżonki. Naśmiali się potem. Gdyby wiedział! Pamiętał krótkie motocyklowe wypadki z Warszawy, noclegi załapane późno, przypadkowo, dorywczo. Tak, piękne były łąki nad Bugiem i Puszcza Kampinoska, i sine jeziora w Łącku. Ale najpiękniejsze były chyba te dwa zimowe, marcowe wypadki, zaszyca się w góry. Zamknął oczy. Odtwarzał Husynne.

Dom był właściwie podobny — podobny w założeniu samym — do tego tutaj. Tak samo położony był na odludziu i na odstaju, sam jeden, w pobok drogi, na skłonie wielkiego garbu, skąd zaraz szedł zjazd w dolinę, na lasy, lasy, lasy. Śnieg był wokoło taki sam jak tu w Kanadzie, bogaty, obfity, pełny, nie marny śnieg jakiegoś Edynburga, Bretanii czy Derbyshire'u. Tak samo nie przepływał tamtędy żaden turystyczny szlak i stałą modlitwą ich dwojga z Teresą było, by nigdy żaden modny pociąg „w nieznanie”, żadne „narty-dansing-bridż” nie odebrały im ich Husynna. Ale nie groziło to wcale. Z głównej stacji trzeba było jeszcze jechać do Woronczyc kolejką dojazdową tartaków państwowych, stamtąd dreżyną, potem furmanką. Husynne było zaszyte w górach i lasach. Zimą zaszyte było jeszcze w śniegach. Dom tylko cudem nie był zwykłą chatą. Wystawił go sobie reemigrant z Ameryki, który umarł na rok przed zjawieniem się w tych stronach Teresy z kochankiem. Dom przeszedł na jego brata, emerytowanego c. k. kolejarza, żonatego z Czeszką. Zajmowali oni dół domu, gdzie prowadzili — czy raczej usiłowali prowadzić — „wyszynk napojów różnych”. Duży pokój na piętrze oddawali rzadkim tu gościom. Był to piękny, czysty pokój, jasno bielony, z wyfroterowaną niesamowicie posadzką, z kaflowym góralskim piecem, rozpartym na środku izby. Podczas nocy ogień w nim zamierał i gdzieś przed szóstą dopiero słychać było po schodach powolne kroki Czeszki, potem skrzypiały drzwi, potem wchodziła cicho i uważnie, kolejno, wprawnie, wsuwała w głąb pieca wyschłe sosnowe polana. Po chwili ogień zaczynał huczeć w kominie jak potężny, w ruch puszczony motor, od barwnych kafli i rozgrzanych żelaznych drzwiczek poczynało się rozchodzić błogie, ożywcze ciepło, a po ścianach różowawymi cieniami tańczyły jasne odblaski ognia. Kiedy

Czeszka zjawiała się ponownie, niosąc na drewnianej tacy dwa „narciarskie” śniadania, w pokoju był już dzień i ciepło, i słońce i rozpoczynało się przynaglanie Teresy do wyjścia, aby „nie tracić dnia”.

Tak widział to wszystko. Pamiętał ciemnoczerwone kwiaty na wyprawnym morawskim imbryku, filiżankach i talerzykach Czeszki; pamiętał smak jajecznicy i zapach kawy, i aromat świeżo wypieczonego domowego chleba; i pamiętał to tak samo jak ów poranny ceremoniał rozpala-
nia w piecu, wściekłe huczenie ognia i ciepłe odbłaski na ścianach. Pamiętał, jak wychodzili na śnieg skrzypiący i jak Teresa, ugięta, przypinała narty, i jak patrzył wtedy na nią, i jak szli na drogę, i jak mijały ich podwozy z sągami drzewa jadące do tartaku w Budach lub puste — w górę do lasu. Pamiętał kozuchy chłopskie, duże, dostatnie, futrem na wewnątrz, czapy góralskie, poganianie koni i same konie, niskie, krępe, parujące na mrozie w słońcu jasnych marcowych dni. Potem odbijali w las albo porębą, albo na stary tartak, albo na rykowisko lub na Uchylną — i można by było długie spory wieść, kędy będzie lepiej i piękniej. Ale nie wiedli żadnych sporów. Ani tego, ani następnego marca. Było jasne, samo przez się zrozumiałe i nieodmienne, że prowadzi o n, i być prowadzoną przez n i e g o było dla Teresy niemal że jeszcze jednym rodzajem rozkoszy. Było to zresztą naturalne. Niezgrabny, niepewny siebie, obcy w mieście, w salonie, w wielkim świecie, tu dopiero odzyskiwał wszystko naraz i wszystko w najpełniejszej postaci. Góry, lasy, pustka i śnieg były naprawdę jego światem, jak jego żywiołem było powietrze, jak mogłoby nim także być morze czy — step. Jeśli chodziło o ową głośną za Husynnem, to wchodził tu w grę jeszcze jeden czynnik. Oto były to właściwie jego strony rodzinne. Rodzinne strony jego gorzkiego dzieciństwa. Pewnej ich nocy górskiej, właśnie kiedy księżyc zaglądał jak dziś przez zaśniewane okna, opowiedział

je w skrótach Teresie. Jego ojciec był tu leśniczym w Husynnem Niżnim, w lasach Badeniowskich, a gdy umarł, matka przeniosła się z dziećmi do Bud, posługując w miejscowej siedmioklasówce, głównie zaś biorąc do prania bieliznę. Zmarła zresztą w pięć lat po mężu, i dziś, w sześć lat po jej śmierci, mało kto w okolicy zachował o niej czy o jej mężu najblidsze nawet wspomnienie. Tylu leśniczych czy gajowych przewinęło się przez okoliczne lasy! Tyle skromnych, do ziemi przygiętych, dziećmi objuczonych kobiet znały wszelakie Budy, Bolechowy czy Husynne! Nikt by dzisiaj nie poznał w roslym, postawnym narciarzu chłopaka o zabiedzonych twarzyczce i haniebnie łatanych portasach. Opowiadał Teresie swoje gorzkie szkolne czasy, gdy raz, jako prymus, nie mógł wyjść na środek wielkiej sali szkolnej, by odebrać uroczyste z rąk dyrektora świadectwa „z postępem celującym”, albowiem nie pozwalał mu na to żadną miarą zgoła nie celujący stan jego obuwia. To wszystko, dziesiątki podobnych szczegółów wyrzucał przed Teresą owej nocy spowiedniej, wygrzebał z siebie, wycisnął, właśnie wycisnął, jak ropę z dokuczliwie wzdętego wrzodu. Brała w siebie to jego opowiadanie, wyrzucane kawałami i strzępami, jak brała, owej nocy i tylu innych nocy, jego samego właśnie. Stała się naraz z powrotem starsza odeń i doświadczeńsza, i mądrzejsza życiowo o całe lat dziesięć czy dwadzieścia, była, jak niegdyś dawno, nieomal że matczyzna. Poza tym owo dzieciństwo i młode lata kochanka były dla niej naprawdę opowieścią z innego świata. Kiedyś czytała opisy takiego dzieciństwa u Gorkiego, zdaje się; wiedziała, że nie wszystkie dzieciństwa, a nawet tylko znikoma mniejszość dzieciństw jest wyposażona w dziecinne pokoje, guwernantki, bony i staroświeckie książki dla dzieci pióra czarnej comtesse de Ségur. Wiedziała z tzw. literatury o „suterrenach”, „poddaszach” i tym podobnym. Wiedziała, że nazwisko jej kochanka nie należy do nazwisk w jakikol-

wiek sposób notowanych na towarzyskiej giełdzie i że jego pochodzenie zalicza się do kategorii potocznie określanych zażenowanym przymiotnikiem: „skromne”. Nie zastanowiła się jednak nad tym nigdy bliżej. Nie obchodziło jej to. Teraz jak migawka przemknęła jej przed oczyma scena z owego nocnego opowiadania kochanka, jak pamiętał ojca podającego na polowaniu strzelbę staremu szambelanowi Badeniemu. Pamiętała go jeszcze, owego Badeniego. Widziała — znany z innych polowań, w których brała udział — ruch podawania strzelby. Mówiła teraz sobie: j e g o ojciec. Z innego wykrawka owej nocnej opowieści utrwalił się jej obraz matki, j e g o matki, nachylonej nad wielką balią, w której przez lata prała wykwintną bieliznę „całych” Bud, różowe koszule pani wicedyrektorowej tartaku, krochmalone kołnierzyki naczelnika straży granicznej, a nawet pierwsze chyba w całym powiecie pasiaste dziwaczności komendanta „Strzelca” noszące egzotyczną wonces nazwę „pyżamy”. Odtwarzała sobie świetnie grube, żyłaste, wiecznie czerwone ręce owej matki, wiekuisty zapach mydlin i chlorku, widziała swego kochanka jako chłopca odrabiającego swe szkolne zadania w najbliższym sąsiedztwie balii. Oceniała epiczność opowiadania o długoletnim śnie o potędze owej matki; o ukoronowanych wreszcie tryumfem marzeniach o posiadaniu własnego magła. Na świat, oglądany dotąd wyłącznie z góry, spjrzała po raz pierwszy od dołu. Ponieważ nie miała w sobie nic snobizmu, natomiast sporo przekory, więc tejże nocy, nad ranem już, raz jeszcze w objęciach kochanka, wybuchnęła naraz niespodziewanie niewstrzymanym, zwycięskim śmiechem. W tym śmiechu, którego przyczyny nie zdradziła nigdy, poddała się objęciom tym chętniej, tym skorzej. On za to brał ją może, nie wyznając tego także, tym chętniej i skorzej, że własne opowiadanie uświadomiło mu olbrzymiość owych ludzkich dystansów, jakie oboje musieli przebyć. Nazajutrz był —

pamięta — cudny dzień i poszli na narty w kierunku Wierchowiny, okieć sypała się ze świerków, patrzył na nią idącą przodem i czuł jakąś radość — do dumy podobną, z posiadania jej, takiej pani, z tego, że za sobą ciągnie ją tu, tu właśnie, gdzie wszystko mu przypomina jego dzieciństwo trudne, gorzkie, niskie i pokorne. Życie jednak przyniosło odwet. Przyjemnie było pochwalić się górom i lasom, i drogom, i polom znajomym z lat poniewierki.

Nie pamiętał nigdy, w całym swym życiu, dni równie pełnych szczęścia jak te właśnie, wykrojone z przedegzaminacyjnych urlopów Szkoły i z zajęć towarzyskich Teresy. Pamiętał dziś jeszcze w Kanadzie, owej nocy, wszystkie szczegóły i drobiazgi, czepek Teresy, zgubiony na stacji w S. i „służbowo” odesłany do ministerstwa. Pamiętał Teresę wieczorami, jak przed lustrem upinała sobie długo, nieznośnie długo swe długie, szeleszczące włosy, jak uśmiechała się w tym lustrze do przechwytywanego *au hasard* spojrzenia jego rozpalonych, czekających oczu. Pamiętał, jak próbowali czytywać razem, jak ona najpierw brała jakieś książki w podróż. Wydawało się jej najwidoczniej, że tego rodzaju przeżycia obligują do intensywniejszego zapoznawania się z literaturą: tak samo jemu, ongiś, wydawało się, że pocałunek musi się kończyć tak właśnie jak niefortunny pocałunek Rafała Olbromskiego i Elżbiety Gintuł. Ba! Pamiętał, jak — to gorzej — próbowała pisać. Zaraz... Jakże to szło? Nie. Nie pamiętał dobrze. Nie mógł sobie przypomnieć wcale. Jakże to szło? Tego jednego nie pamiętał. Zapewne, wiersz był najmniej dobrą rzeczą z wielu doskonałych rzeczy Teresy. Jakże to jednak było? Coś tak chyba:

Pomnij, drogi, tam dalej bielą się Karpaty
I szumi bór jak niegdyś, przed tamtymi laty

Spłyniemy w rozsrebrzony śniegami poranek
I któż zgadnie tam w dole, żeś ty mój kochanek...

Tak, to było coś jak to. Coś w tym właśnie stylu. Pewno, że słabe i głupie, ale całe przesycone słońcem, śniegiem, ożywczym mrozem, sosnowym aromatem górskich przedwiośni. Był jednak jeszcze — pamięta — i jego wiersz. Byli przed tym odjazdem na pokazie filmu *Burza nad Azją*, a ona projektowała na lato skryty wypad do Norwegii. Były z Kopenhagi takie tanie wycieczki na fiordy i mało jeździło tam Polaków. O paszport było nietrudno. Z tych filmowych wspomnień i wakacyjnych planów, z niechęci do życia, jakim żyli, zrodził się, pamięta go jeszcze, taki mniej więcej wiersz:

Marzy się nam po nocach daleki step mongolski,
Step kosookich narodów, Buriaków step i ord,
Duszne i ciężkie się stało powietrze ojczystej Polski,
Chłodem nęci i cieniem obcy, norweski fiord...

Tak, to jakoś tak szło i było chyba na poziomie tamtych, jej wierszy. Dlaczego je wspomina i dlaczego je wspomina teraz? Powtórzył półszepem słowa. W noc kanadyjską zapadły słowa polskie obco. Denis nie drgnęła. Ale słowa, które dla każdego innego były tylko kiepskim rymowaniem, dla niego otworzyły dalsze schowki wspomnień... Tak. To było tak. Zachwycali się *Burzą nad Azją* i mieli jechać do Norwegii. Życie, które teraz tak wspomina, wówczas wydawało się duszne. Jakże dalej szedł ów wiersz? Ach, tak, było jeszcze tak:

O miła, tak mało nam dano, tak bardzo wiele nas dzieli,
Niech nas odgrodzi od świata swym murem pogórski bór,
Niech nas wołanie wilków na jednej znów zbudzi pościeli.
Wysłuchanych w dalekie krwi granie, budzące krwi naszej wtór...

Daleko znowu, dwugłosem tym razem, ozwało się, jakby wyczarowane jego wierszem, wołanie wilków. Wysłuchał się w długi, przeciągły głos, w niski, płynny ton, smutny

i groźny, tęskny i niepokojący. Pamiętał trwogę, straszliwą, zwierzęcą trwogę, jaką głos taki jeżył włosy najodważniejszym psom po wsiach, opowieści bajane dzieciom wieczorem, cały wilczy mit.

Teraz już wiedział.

v

Musiało być jeszcze daleko do rana, ale czuł, że spać już nie będzie. Nasłuchiwał teraz świadomie głosów zza dworu, ale zamilkły na długą nocną chwilę. Było zupełnie biało i zupełnie cicho. Pamiętał pierwszą noc w Husynnem z Teresą, gdy zbudziło ją wycie, a raczej wściekłe, trwogi pełne odszczekiwanie się psów. Tak samo był księżyc w oknie i szron. Teresa przez chwilę nie wierzyła. Dla niej wilk był postacią z bajki, równie nierealną jak karzełki i baby Jagi. Dla niego, który wyrósł w tych górach i lasach, cóż było naturalniejszego niż to, że w lutym wilki zaczynają swój gon, że od stycznia, grudnia czasem, zwołują się tak, zwiadują. Pamiętał przestrasz Teresy, szczerą naprawdę, i swój śmiech, leśny i męski, syna gajowego, śmiech człowieka, który urodził się i chodzić się uczył w gęstym górskim lesie. Tulila się do niego naprawdę z jakiegoś strachu, niespodzianego, mocniejszego od niej — i nawet następnych nocy, gdy wołanie wilcze poczynąło się odzywać, przysuwała się jeszcze, by czuć spokojną moc jego ramion. Naraz cofała się do tych zamierzchłych czasów, gdy męczyzna był jeszcze i obrońcą. Po godzinach wczesnej wieczornej miłości, po pierwszym śnie przychodziły tak z owym wyciem godziny lęku, tulenia się i rozmów. Gdzieś w końcu księżyc znikał i pokój zalewały ciemności, zwoływania się wilków milkły, oddalały się — może po prostu głuszył je sen strudzony — i zasypiali ponownie aż do chwili, kiedy szyby nalewały się pierwszym przedbrzaskiem, a po schodach rozlegały się powolne kro-

ki Czeszki. Za chwilę ogień huczał zdyszczanym pędem w kominie, jasne błyski rozpoczynały swe pełganie po ścianach i ciepło, dobre, domowe ciepło rozlewało się jak mleko z pochylonego garnka. Zasypiali wtedy raz jeden jeszcze, najmocniejszym, ufnym snem.

Przypomniał sobie swoje wilcze opowieści nazajutrz, kiedy było słońce i skrzył się śnieg, i był dzień jasny, i tylko czasem na śniegu uczył ją odróżniać trop wilczy. Iluż tych opowieści nie znał: w świecie gajowych, leśniczych, drwali przechowywały się całe sagi i rapsody o szarym mieszkańcu gór. Nie był w nich zwierzęciem. Stawał się baśniową postacią. Bywał czasem surowym wykonawcą wyższych wyroków, jak ów wielki wilk ze Słobody Run-gurskiej, który „jeszcze za starego cesarza” zagryzł na śmierć komornika. Mógł, przeżegnany w porę znakiem krzyża, odprowadzić dziecko do domu, zamiast zagryźć je, w lasach zaś kostowskich pokutowała legenda, do rzymskiej podobna, o dziecku „pańskim” wychowanym przez wilczycę, która straciła swe młode. Ludzie las znający umieli z wycia wilków snuć horoskopy polityczne, zwłaszcza przepowiadali z łatwością, czy będzie owego roku wojna. Równie dużo mógł powiedzieć trop wilczy, jeśli kto umiał zeń czytać. Nie hrabia Badeni i nie Dyrekcja Lasów Państwowych, i nie wiedeński baron Groedel byli prawdziwymi panami lasu. Prawdziwym panem był wilk. Właściwie nawet pobieranie krwawej daniny było do pewnego stopnia jego prawem. Znano i sprawy sekretne. Wiedziano, jak podstawić suki wilczym samcom, tak by ich nie zagryzły wilki-samice i by na wiosnę były szczenne jurnym wilczym pomiotem. Wiedziano, jak wilczy preparat był znakomitym środkiem zaradczym na niemoc męską, znano też inny wilczy środek, dający lub odbierający kobietom płodność. Wokoło wilka urósł w ciągu stuleci nie tylko mit, ale i obyczaj, kult, mający nie tylko swych wyznawców, ale i swe praktyki, rytuał, zabobony, Bóg

wie w jakie zamierzchłe czasy sięgający swymi początki. Przed obcymi, „szmaciarzami” z dolin, kryto go zazdrośnie. Sam rytuał zresztą nie dozwalał mówić zbyt wiele o wilku. Teresa mogłaby być tu sto razy, z dziesiątkiem innych ludzi — nigdy nie dowiedziałyby się ani ćwierci tej tajemnej wiedzy, którą jej odkrył od dziecka świadom tych leśnych spraw kochanek.

Głosy wilcze przestały się odzywać, a może ich już nie słyszał. Odpływał myślami w inny jakiś świat. Odpływał od tego, co było jego życiem przez tych lat sześć, od wojny, walki, zawitych, powikłanych i niejasnych spraw. Czuł to, co czuł pierwszego tu dnia, zaraz po przybyciu. Tak, Denis miała rację. „Musisz odpocząć, kochany — mówiła. — Nie musisz wcale teraz, zaraz. Kto ci to powiedział? Co z tego, że tak mówią? Sam decydujesz za siebie. Jesteś zmęczony, drogi. Jesteś zniszczony. Potrzebujesz spokoju. Lubisz morze? Nie? Góry? Nie lubisz skalistych gór? Lasy?” „O tak, lasy.” „Śnieg?” „O tak, śnieg.” „I pusto?” „Tak, tak, bez ludzi. Ale czy są w Ameryce miejsca bez ludzi?” Jakże śmiała się Denis: „Zobaczysz — mówiła — zobaczysz.” Czuł teraz wdzięczność, ludzką wdzięczność za to, że znalazła wtedy, czego mu było trzeba. Popatrzył na jej ciało skulone pod kołdrą tuż przy nim, w zasięgu ramię. Tak jest. Przyniosła mu ulgę.

Przynosząc ulgę owym leśnym wypadem, lasami tymi i górami, śniegiem, pustką, odnowieniem wspomnień o Teresie, nie dała mu już jednak nic więcej. Rozumiał to równie dobrze. Rozumiał nawet więcej, niż rozumiał dotąd. Nic mu już nie przyniesie ulgi. Wiedział, że nie trzeba wyjść z wojny bez nóg czy rąk, czy oczu, z przetrąconymi kręgami lub częściowym paraliżem kończyn, aby być inwalidą wojennym. Co za głupstwo! Inwalidą wojennym staje się człowiek, któremu wojna zniszczyła inny ośrodek, stokroć ważniejszy: nerwy. Wolę. Jak znakomicie wyniszcza te ośrodki parę bombowych nocy nad Niem-

cami! Jakże je pamiętał, te inne znowu noce. Wieczorne, o zachodzie słońca pogotowia na lotniskach; iluż tych lotnisk angielskich nie znał! Huk zapuszczanych motorów; gadanie radia... „L jak Ludwika, L jak Ludwika, L jak Ludwika. Przygotować się do startu. Podchodzić do startu. L jak Ludwika, czy słyszycie? Przechodzę na odbiór.” Kolejne przetaczanie się maszyn przez lotnisko, odbijanie, znikanie w mroku. Milczenie pierwszych długich kwadransów, potem ciemne La Manche, za chwilę brzeg europejski rozpalający się od wybuchu światła, światła jasne, kolorowe, zielone, czerwone, dojmująco niebieskie. Nie lubił tych niebieskich. Jakieś kule wzlatujące pod niebo różańcowym ciurkiem i pierwsze, niepewne rozbłyski reflektorów, i naraz znowu światła zalewająceabinę, ciemność, znów światło, ciemność. Zmacali ich. Pamiętał jasny blask Renu w najciemniejszej nocy i ostry zarys kolońskiej katedry — świetny punkt orientacyjny, i rozsiadłe po drodze mrowiska ludzkie: Dortmund, Essen, Düsseldorf, Bonn. Pamiętał moment przed opuszczeniem bomb i jak podrzucało w górę maszyną, gdy oderwały się w dół, i podmuch, jaki uderzał od dołu w chwili, gdy poszły w cel. Pamiętał inny podmuch od pocisków rozrywających się gdzieś koło nich, kolorowe światła jak łąka kwietna w dole pod nimi — artyleria przeciwlotnicza. I gorsze może od tych krótkich chwil długie godziny lotu, w zimę, noc, tam i z powrotem. Mróz tych nocy na trzy tysiące stóp, kiedy mimo ciepłego obuwia odmrażało się palce u nóg. Pamiętał szczególnie trzeci lot na Mediolan. Lecieli już z powrotem ponad Alpy, zrzuciwszy ładunek, byli na jakieś cztery tysiące stóp, kiedy naraz przyszło oblodzenie u nasady-śmigieł i maszyna poszła w dół, wprost na ośnieżone zęby wierchów. Na 500 stóp nad skałami, może na mniej, lód naraz — cud — odtajał, śmigła poszły i maszyna przesliznęła się na dziesiątek metrów chyba nad szczytami i gardłem przepaści. Ryś zdążył wyrównać. Nie wie, jak

wrócili, ale pamięta ich z Hansley. Świt zaglądał w okna i w twarze szare, wyżęte z życia, postarzałe o dziesięciolecia. Owej chwili alpejskiej najmłodszym obłodziła się na zawsze młodość. A jak się to potem, porzornie, wyrównywało! Posiwałe włosy wokół młodej skroni dodawały na pozór uroku, umiar ruchów wytwarzał dystynkcję, małomówność budziła zainteresowanie. Ach, jakże to wszystko ludziło i jaka szkoda, że po takiej chwili można jeszcze wyrównać maszynę! Człowiek już się nigdy nie wyrówna. Tylko że ci, co tam nie byli, nie wiedzą. Nie zrozumieliby nawet, gdyby im i powiedzieć. Po co?

To było chyba w tydzień po tym locie lub dwa, kiedy niemal jednocześnie nastąpiły dwa wydarzenia. Po pierwsze, objął dywizjon. Po drugie, zaczął się bać. Nie: bać; tracić panowanie nad strachem. Długi bardzo czas nie przypuszczał, by możliwe było bądź pierwsze, bądź drugie. Byli przed nim trzej inni przypuszczalni kandydaci. Przeżył niejeden niepokój w życiu, ale myślał, że im więcej ich przeżył, tym lepiej będzie nad następnymi panował. Obie rachuby były zasadniczo mylne. Było to do przewidzenia. Jeden z trzech przypuszczalnych kandydatów skończył swą kolejkę lotów, drugi przeszedł do sąsiedniego dywizjonu na dowódcę, trzeci był w załodze „Wandy”, która nie wróciła znad Lubeki. Te rzeczy następowały po sobie szybko wiosną 1943. Druga rachuba była niemniej zawodna. Widział przecież starych, świetnych lotników, asów z lata i jesieni 1940, jak się kończyli na oczach, jak stawali się marnym cieniem samych siebie, przedmiotem źle ukrywanej pogardy nowego narybku dywizjonów. A wiedział, że przedtem nie byli tacy. Dlaczego ani razu nie przyszło mu na myśl, że to, co przytrafiło się tylu innym, może przytrafić się jemu? Czy nie wryło mu się w pamięć powiedzenie Dicka, że nawet jeśli się skończy swe loty, jest się skończonym *just the same*. Zapewne. Ale

tylu rzeczy, które się innym przytrafiają, nie wyobrażamy sobie w kontekście z nami.

Gdyby mu kto dawniej powiedział, że zostanie dowódcą dywizjonu, tego właśnie dywizjonu, myślałby, że będzie to najpiękniejszy dzień w jego życiu. Dywizjon należał do trzech najsłynniejszych dywizjonów polskiego lotnictwa na Zachodzie. Słyszał daleko poza szczupłym kręgiem polskim. Gościł u siebie dwakroć króla, parokroć różnych ministrów, ambasadorów, sirów, lordów, dostojne osoby alianckie, wysoko postawionych nierobów, dystygowanych gapiów. Był na oczach wszystkich. Jego dowódca także. Dwóch poprzedników tego dowódcy nie wróciło z lotów bojowych i tradycja nie miałyby nic przeciwko temu, by nowy kolejny dowódca dorównał tamtym przykładom. Ale tak się właśnie stało, że nowy kolejny dowódca tego zgoła nie chciał. Nie chciał żywiolowo, zwierzęco. Nie chciał. Był wyzuty do cna z wszelkiej żądy bohaterstwa, był ludzkim wrakiem, strzępem lotnika tylko, już kiedy spotkał go ów zaszczyt. Był jak maszyna, której paliwo kończy się w przyspieszonym tempie i której pilot wie o tym, gra na zwłokę, poddaje się wiatrom, szuka dobrych kierunków, wszystko po to, aby utrzymać się w powietrzu jeszcze chwilę, jeszcze jedną, jeszcze. Jak mógł, sztukami, trickami, chronił dywizjon przed lotami. Chronił, jeśli mógł, i siebie, gdy były loty. Kołował. Miał szczęście. Okres był właśnie taki, kiedy lotów było stosunkowo mało i nie były zbyt trudne. Ale wiedział doskonale, o, aż nadto dobrze, że to nie może trwać zawsze. Szły zapowiedzi z Air Ministry, że sezon wzmoże się znowu. Gra była na zwłokę. Nie miała żadnych widoków. Mógł go ocalić tylko nieprzewidziany w mechanizmie lotniczej organizacji przypadek. Ale mechanizm organizacji lotnictwa brytyjskiego był znakomity i nie dawał pola przypadkom.

Tak jak gracz w karty, nie mając sam atutów, zaczyna

atuty ściągać, wbrew wszelkim regułom licząc tylko na efekt psychologiczny, że partnerzy wezmą go za silniejszego, niż jest, tak on przestrzegał tylko jednego konwensansu jeszcze. Nie puszczał farby. Postępował tak, że nikt w dywizjonie nie dostrzegał jeszcze, iż dowódca skończył się, jak przed nim kończyli się inni, że jest cieniem samego siebie, wytrzebionym z lotniczej jurności. Ponieważ pamiętał, jak sam spostrzegał ongi u innych oznaki pierwsze rozkładu, szminkował je u siebie wytrwale. Wiedział, że dusza wychodzi z człowieka, gdy pije; przestał pić. Bóg wie, ile to go kosztowało w tym stanie właśnie. Wiedział, że pierwsze znamiona rozkładu występują, gdy lotnik zbyt wiele opowiada o swych lotach i o sobie w tych opowieściach; przestał o tym mówić. Bóg jeden wie, ile poczyna kosztować człowieka takie wduszanie, utajanie w sobie. Były tysiączne objawy, jakimi z lotnika paruje na wojnie strach: starał się każdy z nich wyśledzić u siebie, zamaskować. W początkach samych wydawało się to niemal łatwą rzeczą, wymagało jedynie uwagi. Ale tak było z początku tylko. Z wczesnego początku. Bardzo prędko wysiłek zużyty na ten cel poczynał rósć w postępie geometrycznym, 2 : 4 : 8. Było jasne, dlaczego. Po pierwsze, bakcyle lęku rozwijały się coraz potężniej z każdym nowym dniem w dywizjonie, gdy każdy telefon i każdy przyjazd z dowództwa zgrupowania mógł przynieść rozkaz operacyjny na noc najbliższą: Bremã, Münster, Mannheim, Bonn. Po drugie, uczucia, którym nie pozwolił się uzwętrznąć, cofały się, być może, w głąb, ale nie przestawały istnieć. Były jak woda wzbierająca w zbiorniku właśnie dlatego, że nie znajduje odpływu. Jak woda we wciąż zasilanym zbiorniku, musiały się wreszcie kiedyś przelać. Wiedział o tym. Wiedział, że musi to nastąpić. Wtedy skończy się tak, jak przed nim kończyli się inni, którzy wyszli cało z lotów na Niemcy, nigdy nie spalili się w maszynie, nie runęli smugą dymu w zielone wzgórza

Kentu lub w chłodną stal La Manche. To, co robił, było przeciwne rachubom wszelkim, jak lot samolotu zagubionego nad morzem, o godzinę lotu od lądu i z zapasem paliwa na kwadrans. Jednak grał.

Wybuch, który nastąpił, przyszedł w formie najbardziej nieoczekiwanej dla niego samego, z całą gamą niemniej niespodziewanych następstw. Oto dywizjonowi oznajmiono, że jednego z najbliższych dni przybędzie do dywizjonu pewien dostojny aliancki gość, który wręczy osobiście czterem pilotom, między innymi i dowódcy, brytyjskie odznaczenie lotnicze. W ostatniej chwili okazało się, że dostojny gość sam przybyć nie może. W uroczystości dekoracji zastąpił go posłany z Londynu jakiś *Vice-Air-Marshal*. Odznaczenia brytyjskie nie były nowością, wszystko odbyło się jak zwykle, zapowiedziano jednak, że dostojny gość aliancki nie zawiedzie w pełni, przybędzie w czwartek na lunch do messy dywizjonowej. Był wtorek. Niestety, tak się stało, że w środę były debaty parlamentarne w Londynie, dyskusja zahaczyła o sprawę polską i przy tej okazji z ust wielkiego alianckiego męża stanu padły pod adresem jego polskich sprzymierzeńców słowa, których żaden historyk brytyjski nie uzna nigdy za godne brytyjskiego honoru. Bąkną jedynie, że był to polityk przewidujący i że już wtedy, kiedy wojna trwała jeszcze, myślał o przyszłych niemieckich sprzymierzeńcach, którzy na wiekistej *balance of power* będą niebawem potrzebni i wobec których ci Polacy, owszem — zacni i biedni, owszem — nader cenni (latem 1940), mogą być tylko niepotrzebnym ciężarem. Cóż robić? Życie nie jest romansem, a polityka nie jest balladą o rycerzach króla Artura. — Dyskusja w Izbie Gmin była po południu. Wieczorem jej echa przyniosło radio. Nazajutrz rano dzienniki. W dywizjonie rozeszła się wieść o niej właśnie wtedy, kiedy świeżą zielenią ubierano stoły na przyjazd dostojnego gościa.

Gość był naprawdę nader dostojny, a przyjechał w nie mniej dostojnym otoczeniu. Wydawał się, jak zwykle, myślami nieobecny. Zdaje się, że tylko jego otoczenie zauważyło, iż w tym jednym dywizjonie RAF-u znikły portrety Króla i Królowej, natomiast godło Rzeczypospolitej jest spowite ciemnym kirem. Gość był zresztą naprawdę myślami dość nieobecny, bo dopiero przy stole począł gratulować dowódcy dywizjonu jego wysokiego świeżego odznaczenia i naraz... zaniemówił. Patrzył długo na pierś dowódcy dywizjonu, który, obojętny, z niewyczerpaną cierpliwością oczekiwał końca tych oględzin. Ale nawet najdłuższe wypatrywania nie odkryły na polskiej lotniczej piersi szukanego przedmiotu. Dostojny gość się zmieszał i pośpieszył się upewnić. Czyż nie zaszła jakaś pomyłka? Czyżby był mylnie powiadomiony, że pod jego nieobecność *Vice-Air-Marshall* dokonał przecież, we wtorek, dekoracji? Dalej niezmacony — nigdy go nie pamiętano tak niezmaconego — dowódca dywizjonu zapewnił, że nic podobnego. Broń Boże. *Vice-Air-Marshall* istotnie przybył, jak miał przybyć, i dekoracja istotnie odbyła się we wtorek. Wszystko jest w porządku. „Tak, ale nie widzę jej u pana” — niepokoił się dostojny gość. „Istotnie — usłyszał odpowiedź, równie obojętną jak wszystko, co dotąd słyszał. — Ale w środę, wczoraj, *the Prime Minister had his speech about Poland, and...* doprawdy, bardzo mi przykro, ale po tym przemówieniu wydało mi się trudnym nosić ów order.”

Wszystko było powiedziane dalej takim tonem, jakby udzielano sobie wzajemnie informacji o swym własnym zdrowiu, wymieniano uwagi o stanie pogody czy upewniano się co do piękna Szkocji. W miarę jak rozmowa przybierała na ostrości, słowa stawały się nawet prostsze, padały ciszej, coraz ciszej. Żaden skurcz twarzy, żaden ton głosu czy blask oczu nie mówiły o jakimś zdenerwowaniu. Dostojny gość się zmieszał, począł wodzić oczyma

po niemniej zmieszanych zebranych. Anglicy i Polacy byli zmieszani na równi.

Dostojnemu, wielce dostojnemu gościowi towarzyszył jako pierwsza osoba świty generał, znakomicie zakonserwowany, wytworny pryk z czerwonymi policzkami i pięknym, siwym wąsem. Generał służył Imperium Brytyjskiemu przez lat trzydzieści i cztery w różnych kolonialnych i półkolonialnych jej obszarach, patrzył na nie-Anglików jako na *natives*, swoje obcowanie z literaturą zakończył zaś na długo przed śmiercią Rudyarda Kiplinga. Generał pojmował powoli, toteż i teraz rozumienie tego, co było powiedziane, zajęło mu dobre cztery minuty czasu. Gdy ów proces jednak zakończył się, rozpoczął się w nim nowy proces: wzrastania oburzenia. Oburzenie nie wzrastało, nie narodziło się nawet wcale w osobniku nazywanym tu przez nas dostojnym gościem. Nie. Ten nie należał już do generacji, która, jak generał, była przeświadczona, że Imperium Brytyjskie jest, po Bogu, największym czynnikiem dobra na świecie. Nie był wcale pewien nawet i tego, czy kres jego własnych dni zakończy się przed zakończeniem kresu dni Imperium Brytyjskiego. Najmniej już zaś był przekonany o tym, że polityka brytyjska jest w stałej zgodności z brytyjskim honorem. Nie był tego bynajmniej pewien, zwłaszcza zaś nie był tego pewien w wypadku Polski. Słowa dowódcy dywizjonu wywołały w nim uczucie zakłopotania i wstydu. Jak wiadomo, mają one mało wspólnego z tak zwanym oburzeniem.

Stary generał czerwieniał za to z każdą półminutą. Przypominał już raka wrzuconego do ukropu. Czerwieniał jeszcze z oburzenia, że tak powiemy, dodatkowego, oburzenia na powolność własnego myślenia. Wyrzucał ją sobie gorzko. Był tu przecież po to, aby dostojnego gościa uchronić od wszelkiego rodzaju gaf, aby zapobiec, nie dopuścić, przeciąć je w zarodku. Ładnie zapobiegł! Nie umiał nawet znaleźć żadnej formuły, którą by skarcił zuchwałego

Polaka. Nie zdał się na nic. Na cóż tu był? Generała porwała wściekłość na samego siebie. Już nawet nie marzył o tym, żeby wybrnąć z sytuacji, gdy naraz niespodziewanie ujrzał coś, co wydało mu się w tej chwili wyraźną łaską Opatrzności zesłaną na rzecz Imperium. Oto młody porucznik polski siedzący *vis à vis* miał na swej piersi rycerskiej rząd dyskretnych odznaczeń, a między nimi — o szczęście! — nowiutkie barwy angielskiego krzyża. Były to te same, których nie mógł dojrzeć na piersiach dowódcy dostojny gość.

W ciszy, jaka jeszcze trwała po tamtej wymianie zdań, padły naraz wolno cedzone słowa generała:

— Czy mogę panu pogratulować, młodzieńcze, tego pięknego odznaczenia brytyjskiego, które widzę na pańskiej piersi? Widzę, że nosi je pan ze słuszną dumą żołnierską, nie zmaconą żadnymi pożałowania godnymi politycznymi wstrętami?

Tym razem poczerwieniał najmłodszy na sali oficer. Patrzyli na niego po społu Polacy i Anglicy, patrzył błękitnie i nieśmiało dostojny gość. Co gorsza, patrzył badawczo, milcząco, jakby spode łba jego własny dowódca. Młodemu porucznikowi wydało się, może niesłusznie, że spojrzenie dowódcy powoli, powoli napływa błyskiem zimnej, wyniosłej pogardy. Młody porucznik był niemal tak nieśmiały jak naczelny gość, ale poczuł, że coś odpowiedzieć musi i musi odpowiedzieć w sposób, który by wytłumaczył i obcym, i swoim, dlaczego mimo wczorajszej mowy alianckiego premiera nosi dalej na piersi ten aliancki order, którego nie nosi dowódca dywizjonu. I czerwieniąc się rzekł:

— *I apologize, sir.* Byłem oficerem służbowym i do prawdy nie słyszałem radia i nie miałem w ręku żadnego dziennika. *That's the reason...*

— *The reason of what?* — zapytał generał i speszył się zaraz. Odpowiedzi Polaka nie zrozumiał od razu i do-

piero przy ostatnich słowach nasunęło mu się przypuszczenie, że może tam być jednak coś nieprzyjemnego, mimo tego, że zaczynało się wszystko sakramentalnym „przepraszam”.

Nie wiedzieć, co by odpowiedział porucznik. Być może zmieszalby się raz jeszcze. Ale tymczasem dostoyny gość rozejrzał się po obecnych, własnym talerzu, dowódcy, chrząknął jakimś „*I think*”, uczynił jakiś ruch ciałem, który momentalnie, zaraźliwie jakby, podniósł wszystkich. Wszyscy, z wyjątkiem może generała, wychodzili z ulgą. W niecały kwadrans później wielkie limuzyny o znakach RAF-u odjeżdżały już spod drzwi messy. Dowódca dywizjonu odprowadził gości aż do nich. Sam otwierał drzwi samochodu. Czuł jakieś zmęczenie, znużenie, jedno z tych znużeń, jakie opanowywały go coraz częściej. Gdy wszedł do messy z powrotem, usłyszał komendę: „Bacność!” Wydał ją najstarszy oficer dywizjonu.

— Panie majorze — zaczął uroczyście. — Panie majorze!... — i naraz urwał: — Aleś mu wygarnął! Niech cię uściskam! No, naprawdę było! Raz nareszcie mieli!

— Zbaraniał zupełnie!

— A tamtego to nagła krew zalewała!

— Czemuś nic nie powiedział?

— Byliby i inni...

— No, napijmy się, panowie. Drinki przecież zostały. Porządne whisky, koniak francuski, panowie. Nie żadne irlandzkie! Wszystko dla gości!

— Dobrze, że z sobą nie zabrali!

— Tak, tak, w żadnym innym dywizjonie nikt by się nie poważył.

— Jak myślicie, czy z tego co będzie?

Istotnie było, i to nawet na drugi dzień. Rozkazem telegraficznym, bez podania jakichkolwiek przyczyn, dowódca dywizjonu został pozbawiony stanowiska i przeniesiony do centrali. Było wielkie pożegnalne picie

i portret odchodzącego dowódcy zawieszono uroczyście na honorowym miejscu, po trzech poprzednich dowódcach, z których dwóch zginęło śmiercią lotnika. Żegnany jak bohater, odjechał do Londynu. Tam sytuacja była niewyraźna. Historia obiegrała już dywizjony, była znana, bohater jej stał się popularny i popularność ta nie była wygodna dbałym o łaski alianta władzom polskiego lotnictwa. Znalezione wyjście. Właśnie w attachacie wojskowym w Waszyngtonie wakowało stanowisko drugiego zastępcy attaché lotniczego — sam attaché oraz jego pierwszy zastępca mieli z lotnictwem tyle wspólnego, co parawan z czołgiem. Wysłanie za ocean było świetnym, wszystkich zadowalającym wyjściem. Nie minął tydzień, gdy dzienniki polskie w Londynie podawały już wiadomość, że nowy zastępca attaché lotniczego w Waszyngtonie udał się już w drogę na swą placówkę.

W tym samym numerze, tylko na dalszej stronie i mniejszymi literami, wydrukowano i inną wiadomość. Oto „wśród licznych nowych strat, jakich doznało nasze lotnictwo w związku z podjęciem ofensywy lotniczej przez sprzymierzonych, szczególnie bolesna jest strata por. Bohdana Żurka, którego maszyna nie wróciła z lotu nad Niemcy. Por. Bohdan Żurek był trzykrotnie odznaczony krzyżem walecznych i przedstawiony do odznaczenia Virtuti Militari. Ostatnio, niespełna dwa tygodnie temu, nasz znakomity lotnik uzyskał był wysokie odznaczenie brytyjskie.”

Był to właśnie ów młody porucznik, który tak się gęsto tłumaczył, że nosi alianckie odznaczenie li tylko dlatego, iż nie miał czasu na słuchanie radia lub czytanie prasy.

Są ludzie, którzy po prostu nie mają szczęścia. Są inni, których przypadek, czysty przypadek, taki nawet jak utrata nerwów w pewnym momencie, może wybawić z wojennej rzezi i osadzić miękko i pewnie daleko od niej.

Czy miękko i pewnie? Tak by się właśnie zdawało. Jako drugi zastępca attaché wojskowego w dalekim, spokojnym Waszyngtonie miał teraz równo sześć razy tyle forsy, co wtedy, gdy jako dowódca bombowego dywizjonu spędzał zwykle co trzecią, a nieraz i co drugą noc nad Niemcami. Miał apartament wyścielony dywanami o nieprzeczuwanej miękkości, ogrzewany do upału zimą, ochładzany do lodowni latem. Jego ślad spalenizny na ręce — jeszcze z 1940 r. — jego ordery, postawa, mundur, siwiejące skronie, legenda szeptana już wokoło — otwierały mu domy i serca, czyniły o ileż odmiennym i atrakcyjniejszym od czerechy brzuchatych, biurkowych bohaterów czy bubkowatych oficerków, którzy w skromnej liczbie szesnastu stanowili w owym czasie lądowo-morsko-lotniczy attachat waszyngtoński państwa na wygnaniu. Jeśli to była synekura, to z tych szesnastu synekur ta była niewątpliwie najbardziej uzasadniona i uzyskana bez żadnych starań. Los, przypadek czy siła wyższa wydobyły go w ostatniej niemal chwili z czegoś, co nazywało się dywizjonem bombowym, a było, wbrew pozorom zewnętrznym, jedną z odmian plutonu egzekucyjnego; niczym innym. Gdyby zeń nie był wyszedł, spotkałaby go, z bardzo wielkim odsetkiem prawdopodobieństwa — z pewnością rozłożoną na czas — śmierć. Tylko los. Przypadek jeden na tysiąc. Wybawił go nie tylko od śmierci. Wybawił go od owego nerwowego, moralnego wykończenia się, równoznacznego ze śmiercią, może obrzydliwszego. Wybryk, na jaki sobie pozwolił, przypisali wszyscy wysokim uczuciom patriotycznym. Ani na chwilę nikt nie przypuścił nawet, że był on li tylko objawem nerwowego rozprzężenia.

Był to bardzo piękny i bardzo dziwny okres w jego życiu, ten, który wtedy przyszedł. Czuł się jak dziecko w sanatorium, które kaprysi, świadome wagi swej operacji,

i któremu otoczenie dogadza. Był rok 1944, rok Inwazji. Komunikacja z Anglią stała się lepsza — mniej niemieckich łodzi podwodnych, mniej Fokke-Wulfów — i każda poczta przywoziła teraz świeży plik polskich gazet, a w nich świeżą porcję nekrologów. Same znajome nazwiska. W ciągu tych kilku lat emigracja, a zwłaszcza jej prawdziwie wojskowa część, zżyła się i zbliżyła. I to niezależnie od różnic: piechota, czołgi, lotnictwo, marynarka. Teraz wszystkie razem były w ogniu. Nie podawano już nawet poszczególnych nekrologów, podawano je zbiorowo, pułkami, dywizjami. Każda poczta przynosiła nowe i nowe.

Pewno, że przynosiły to i inne gazety innych narodów, innych armii. Ale tamto było co innego. Tamto były olbrzymie, liczne armie — i tamte nekrologi stanowiły tylko drobny odsetek. Tu ku stromej krawędzi śmierci przesuwawała się miarowo, z odwracaniem kartek kalendarza, cała wojną wytworzona emigracyjna wspólnota ludzka. Ukonstytuowana — ona także — przez wojenny przypadek, odtworzyła swym członkom, jak rozbitkom na wyspie bezludnej, nowe przyjaźnie i nowe wraždy, nowe związki, nowe życia. Lata innego życia, jak nożem odcięte przez wybuch wojny od wszystkiego, co było przedtem. Zupełnie nowe. Wszystko, co było przedtem, zacieśniało się z biegiem lat i, co więcej, z naporem wydarzeń. Teraz, z ogólnym uruchomieniem akcji wojennej na lądzie, morzu i powietrzu, na jednym, drugim i trzecim froncie, owo życie wojenne o niesłychanej przypadkowości i niemniejszej intensywności rozłupywało się kolejno w mialki piarg.

O daleki Waszyngton, miasto urzędów i ambasad, wszystko to odbijało się niezmiernie przytłumionym echem. Co mogła znaczyć śmierć F/L Stanisława Waszkiewicza w porównaniu z wzięciem Ankony albo śmierć sierżanta Derulskiego czy nawet W/C Jankowskiego — z upadkiem Guadalcanal czy desantem generała Pattona? Oczywiście

nic. Toteż nie znaczyły nic. W wieloosobowym attachacie wojskowym Rzeczypospolitej znaczyły mniej niż gdzie indziej. Nazwiska te nie mówiły tu nikomu nic więcej, niż mówiłyby attaché wojskowemu Islandii albo Hondurasu. Były może łatwiejsze do wymówienia. Ludzie attachatu — poza jednym czy drugim wyjątkiem — stanowili, ogółem biorąc, kastę ściśle odgradzającą się od armii walczącej. Posiadali cudowną strategię stałego wnoszenia z powrotem biur, które zburzono im gdzie indziej. Ich droga wojenna wiodła *via* Warszawa — Zaleszczyki — Bukareszt — Paryż — Londyn — aż za bezpieczny odmęt oceanu. Za dowód wysokiej wartości swych mózgow uważali zgodnie to, że nie wdepnęli pomyłkowo w żaden Narwik, Monte Cassino czy Tobruk. Nie. Nigdy. W nic. Owszem. Ludzie tacy jak nowoprzybyły drugi zastępca lotniczego attaché mogli być, w pewien sposób, pożyteczni. Dla szerokiego społeczeństwa, nie obeznanego z wysokimi prawami armii, mogło być nawet i pożyteczne — do pewnego, oczywiście, stopnia — przetkanie personelu attachatu takimi właśnie „panami z frontu”. Jednym, drugim. O, właśnie. Gdy zobaczono jeszcze, że nowoprzysłany drugi zastępca mało się przejmuje intrygami biurowymi, uznano go za nieszkodliwie pożyteczną jednostkę.

Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero znacznie później, mniej więcej zimą 1944 na 1945. *Die kleine, aber feine Gesellschaft* attachatu poczęła stawać się na dobre nerwowa. Wbrew dawnym zapowiedziom o niechybnym rozbiciu Rosji — sprawy na froncie wschodnim wyglądały wręcz, ale to wręcz odwrotnie. Rząd w Londynie, utracony Sikorskiego, powoli stawał się cieniem, natomiast daleki ongi cień Związku Patriotów Polskich materializował się coraz wyraziściej. Bardzo poważni — czy za takich uchodzący — ludzie mówili teraz, że „byli zawsze”, pytali tryumfalnie: „A nie mówiłem, nie przestrzegałem, widzicie?” Poniektórzy szli i dalej. Wokół „nieprzejedna-

nych” tworzyła się powoli pustka. Zaczęło się wyszukiwanie „niepewnych”. Drugi zastępca attaché lotniczego został w mig uznany za takiego właśnie. Co przyczyniło się do tego? Właściwie nic. Bzdura. Sprawy niewarte uwagi. Raz, jeszcze w czasie trwania stosunków pomiędzy polskim Londynem a Moskwą, otrzymawszy zaproszenie na przyjęcie z okazji przybycia do Waszyngtonu płk. Tulmincewa, głośnego sowieckiego asa, skorzystał z niego. Dlaczego? Po prostu był ciekaw sowieckich lotników. Podczas przyjęcia pił i rozmawiał z nimi wiele. Dlaczego? Znowu, bo był ich ciekaw. Ale bratanie się lotnika z napisem *Poland* na ramieniu z sowieckimi lotnikami nie uszło uwagi plotkarskiej prasy, a uwagi te znalazły się z kolei w raporcie sytuacyjnym cotygodniowo wysyланym lotniczo do Londynu.

Ta sprawa jeszcze bardziej niż stały nastrój przybyśsza pogłębiła przepaść między nim a jego otoczeniem. Co mogło go łączyć z nimi? Mundur, który nosili? U niego był to mundur bojowy; u nich — kostium balowy. On nie napisał w życiu żadnego donosu; oni nie słyszeli w życiu — a przynajmniej nie w tej wojnie — świstu kul wokół uszu. Oni nie spędzili ani jednej godziny w locie nad Niemcami. Ani minuty. Oni nie mieli do ukrywania porwanych w strzępy nerwów. Toteż stosunki jego z nimi zaczynały się i kończyły z godzinami biurowymi.

Gdy Łódź po zatonięciu okrętu płynie z rozbitkami ku nowemu rozbiciu, rozbitek, który skrzętnie chowa swe racje wody, żywności, swój koc czy pas ratunkowy, rozbitek, który planuje i dzieli się swymi planami, nie wywołuje niechęci. Skądżeby? Ale uwagę, nieufność, niechęć skupia na sobie człowiek, który tego wszystkiego w takiej godzinie nie robi. Który żyje tak, jakby już jutro nie miało dojść do dalszego rozbicia. Ten jest podejrzany. On zapewne też ma plan, ale go nie ujawnia, też poczynił swoje przygotowania, ale się z nimi kryje. W attachacie

wszyscy wiedzieli dobrze, co zrobi „wtedy” generał i podpułkownik, i pułkownik, i trzeci pułkownik, i majorzy (inni), i kapitanowie, i porucznicy. Nawet porucznicy. Znano, w przybliżeniu co najmniej, owe niekoniecznie skromne fundusiki wykrojone w ten czy inny sposób z postawu sukna, jakim nawet w tej chwili była dla tych ludzi Rzeczpospolita. Wiedziano z góry, gdzie który się „zaczał” i o co drugi się „zahaczy”. Z jednym tylko nazwiskiem łączyła się niewiadoma. Jeden tylko z niczym się nie wygadał. Nagabywany, nie rozumiał. Może udawał, ale może naprawdę nie rozumiał. Kiedyś sam generał zagadnął go o to. Przedkładał, z ojcowska nieomal, że ostatecznie „na wszystko trzeba być przygotowanym”, że „z tą polityką nic nie wiadomo”, że trzeba tak się „urządzić”, żeby potem „nikomu nie być ciężarem”. Zastępca attaché lotniczego utkwiał jednak wzrok po swojemu w przestrzeń, daleko za lasy nad szeroko rozlanym Potomakiem, i generał musiał aż upomnieć się: „Czy pan mnie słucha?” Odpowiedź padła, że tak, i generał zrozumiał. Lotnik naprawdę nie poczynił nijakich przygotowań. Nie robił ich nigdy. Żył zawsze z dnia na dzień. Dlaczego miał robić je teraz? Generał, który już jako carski praporszczyk nauczył się zawsze być na coś przygotowanym, wzruszył ramionami. Ale wiedział, że są i tacy. Co prawda rzadko bardzo w wojskowych attachatach.

VII

Pojawienie się, a nawet samo istnienie Denis przeszło dziwnie nie zarejestrowane w księdze obserwacji attachatu. Stało się to może dlatego, że — dziwnym zbiegiem okoliczności — była jedną z pierwszych Amerykanek, jakie w ogóle poznał po przybyciu, i wtedy nie pociągnęło to za sobą żadnych wyraźnych skutków. Denis była właśnie po śmierci męża, znakomitości rolniczej i hodowlanej,

który zginął w katastrofie lotniczej, udając się w misji do Urugwaju. Męża nie kochała, ale była do niego przywiązana, mieli dwoje dzieci, chłopców, z którymi za życia ojca nie bardzo sobie dawała radę, którzy przerażali ją zawsze. W okresie kiedy poznał ją drugi zastępca attaché lotniczego, Denis pila. Przechodziła kryzys picia, jaki niekiedy przechodzą młode wdowy. Spomad kieliszka na jakiejś *cocktail party* patrzyła kiedyś w oczy Polaka i pomyślała naraz, że może, gdyby on był, nie musiałyby pić. Myśl ta przeraziła ją tak, że wypila od razu trzy nowe cocktaile. Przeszło. Nazajutrz, o jedenastej, jeszcze z bólem głowy, kazała się połączyć z attachatem lotniczym. Sama nie wiedziała dlaczego. Ale numer attachatu był wciąż zajęty, tymczasem zadzwoniono do niej z Filadelfii, wieczorem musiała wyjechać. Spotkała go ponownie niemal w pół roku potem. Była przyjemnie zaskoczona, że ją pamiętał. Następnego dnia była sobota i pojechali na lunch za miasto. Wrócili późno wieczorem — do jego mieszkania. Był koniec marca czy początek kwietnia, właśnie ten czas, kiedy w Waszyngtonie nastaje bujna, krótka wiosna, którą od razu przytłumia wczesne, żarne, wysuszające lato, ale która właśnie dlatego jest tym piękniejsza, tym łapczywiej wciąga się ją w płuca. Pachniała z jarów Rock Creek Park, z owych lasów nad Potomakiem, z alej wiodących do Silver Spring i Bethesdy. — Owej nocy i jej włosy pachniały tymi woniami, jak ciało pragnieniem.

Owych pierwszych nocy zresztą on był tym, który spał pełnym, męskim snem, ona zaś nie spała. Patrzyła z cichym rozrzewnieniem na ten jego łapczywy jak u dziecka sen, jak sen ów wypłaska mu z rysów ów skurcz smutku, za dnia nie znikający nawet w uśmiechu, a teraz ścierany starannie, jak pot czy puder z twarzy, nie wiedzieć tylko czym: snem samym czy przeżyta miłością? Owych pierwszych niedospanych nocy zrodziło się w niej macierzyńsko

zabarwione uczucie do tego silnego, dorosłego mężczyzny o posiwiałych skroniach i czymś w twarzy młodzieńczym, prawie sztubackim. Jej własni synowie wyładowujący w bostońskim *college* u nadmiary swej energii w baseballu i crikiecie, wydali się jej nieskończenie bardziej dorośli. Wszystko, czego nabył za swych angielskich wojennych lat, owa powściągliwość, spokój, smutek pewien, opanowanie — były dla niej takim samym urokiem, jakim niegdyś dla Teresy był jego prymitywizm, niezgrabność, żywiołowość. Denis nie darzyła podobnym uczuciem żadnego z paru mężczyzn, którzy przeszli przez jej życie. Wszyscy oni byli pewni siebie, mocni, zdrowi, tędzy, weseli i opiekuńczy. Teraz, patrząc na tego obcego, uśpiołego mężczyznę, Denis zaczęła przeżywać coś, co było jakimś nowym rodzajem uczucia.

Poziom zdolności psychoanalitycznych i talentów wywiadowczych Denis okazał się daleko wyższym od poziomu tych uzdolnień u starych wyg śledczych attachatu. Denis bardzo wcześnie i zupełnie niepostrzeżenie zbliżyła się do tajemnicy Polaka. Ze strzępów opowiadań, urywanych w połowie czy wręcz w ćwierci, z nagłych zamilknięć i zachmurzeń odtworzyła sobie jeśli nie wszystko, to bardzo wiele. Kiedyś zajmowała się nieco psychoanalizą, pobieżnie i krótko, ale na tyle przecież, by wiedzieć, że ludzie pozornie zdrowi wcale nimi nie są, że przeszłość, nawet dziecięca (czy też właśnie dziecięca), pozostawia ślady, urazy — i w nich należy szukać rozwiązania zagadki. Bardzo szybko dostrzegła, że ów wspaniały lotnik jest teraz tylko człowiekiem chorym. Jego niemyślenie o przyszłości mogło być jeszcze jednym więcej przejawem owej choroby. Pobyt na puchach waszyngtońskich nie był żadną kuracją. Odwlekał tylko katastrofę, wybuch. Nie wrócił siły życia, nie zatarł niczego. Denis pojęła, że potrzebna jest kuracja. Szukała jej uciążliwie przez całe miesiące. Traf chciał, że w okresie likwi-

dacji londyńskiej ambasady jej drugi zastępca attaché lotniczego nabawił się naraz złośliwej infekcji i zapadł na jedną z tych niezbyt dobrze znanych febrycznych gorączek, na jakie zapadają tam nieraz ludzie ze Starego Świata. Majaczył. Denis była przy nim. Zdobyła skądś pielęgniarkę, która będąc polskiego pochodzenia rozumiała owe szeleszczące, do żadnych niepodobne słowa, jakie chory wyrzucał w gorączce. Gdy po każdym takim kryzysie gorączka spadała i chory przychodził do siebie, znajdował przy sobie książki o tym, co nękało go we śnie. Widział w nich śniegi, góry, ludzi na nartach, widział las i zwierzęta leśne, widział łowy. Zdumiał się, gdy Denis poczęła wymawiać trudne, dziwaczne nazwy jakichś wiosek czy gór, rozrzuconych daleko w nie znanym jej kraju. Zwolna poczynął zdrowieć i opowiadał jej już teraz na jawie, sam od siebie, a ona słuchała tych opowiadań nie tylko dlatego, że były one częścią jego życia, ale dlatego, że po nich było mu widocznie lepiej. Lepiej nie tylko ze względu na obecną, mniej ważną chorobę. Lepiej ze względu na tę ważniejszą, która drażyła go o ileż głębiej.

Raz mówiła o tym wszystkim pewnemu znajomemu doktorowi, rodem z Wiednia, zagnanemu jeszcze „Anschlussen” do Stanów Zjednoczonych. Powiedziała wszystko, co wiedziała. Była zdumiona, że nic z tego nie wydało się doktorowi nowiną. Wysłuchał ją uważnie, powiedział, że chętnie zobaczy pacjenta, ale że już dzisiaj może podać niezawodny środek leczniczy. Nawet zupełnie prosty. Będzie nim powrót do kraju. Przystanie żyć niezdrowym, beztlenowym powietrzem wspomnień wojennych, wejdzie w życie swego własnego społeczeństwa. „Ze wszystkiego, co słyszę dobrego i złego o obecnej Polsce — mówił doktor — jedno wynika niezbicie, że życie tam jest niezmiernie silne, żywiołowe, gwałtowne, mocne, mocniejsze nawet niż śmierć, jaką mu zadać chciano. Wejście w to życie będzie dla niego ożywcym wstrząsem. Ono go uzdrowi.”

„Ależ, doktorze, a ja? Pan chyba nie myśli, że ja pojedę do Polski?” Doktor istotnie nie myślał. Myślał — wyznał to — o nim samym. Nie o niej. Jako typowy naukowiec nie miał owego towarzyskiego wężu, który tak ułatwia odgadywanie, kto z kim. Istotnie, nie myślał. Gotów jest odwiedzić pacjenta. „Niech pani do mnie zadzwoni.” Denis obiecała z tym pełnym przeświadczeniem, że obiecując kłamie. Była w tej chwili pewna dwóch rzeczy. Że sama na pewno nigdy nie pojedzie do Polski i że ten doktor jest na pewno jedynym doktorem, którego już nigdy nie sprowadzi do kochanka.

Mózg Denis zajęty był odtąd usilnie owym nowym, niespodziewanym niebezpieczeństwem. Jeszcze jadąc swym Buickiem od doktora uświadomiła sobie naraz wybuchłą w niej niespodzianie żywiołową, głuchą, kobiecą nienawiść do tej przeklętej Polski. Do tej pory Denis nie zastanawiała się wiele nad Polską. Było to coś mglistego, nieskończenie, nieskończenie dalszego od Ohio czy Idaho, czy Dakoty, dalszego od wysp na Oceanie Spokojnym, o których istnieniu ostatnio powiadomiła ją dopiero wojna z Japonią — naprawdę coś egzotycznego i nierealnego. Wiedziała, że Polakiem był Paderewski i że Polakiem był brudas ogrodnik u jej ojca, wychowujący zgraję wrzaskliwych, umorusanych i ogromnie jasnych dzieci. Polacy to było to dziwne plemię Eurazji, produkujące bądź sławy muzyczne na estradę Carnegie Hallu, bądź podludzi do szorowania podłóg, prowadzenia wind hotelarskich i pracy w kopalniach Pensylwanii. Podczas wojny stało się naraz prawie modne być Polakiem, zwłaszcza zaś polskim lotnikiem. Wszystko to było mniej czy bardziej interesujące lub nudne, ciekawe czy nieciekawe, sympatyczne czy nieprzyjemne, ale miało dotąd tę zgoła niedocenianą zaletę, że wydawało się czymś najzupełniej nierealnym. Denis nigdy nie powstała w głowie myśl, by istnienie Polski mogło zaciążyć w jakikolwiek sposób na jej losie. Naraz okazało

się, że podobna możliwość istnieje. Polska była teraz czymś, jak kobieta, druga kobieta, gotowa odebrać jej mężczyznę. Wobec takiego wroga Denis uzbroiła się naraz w całą wrogość, jaką w danych wypadkach okazuje kobieta, a zwłaszcza kobieta amerykańska.

Wracając do zdrowia po swej febrycznej gorączce, były drugi zastępca attaché lotniczego nie poznawał Denis. Zmieniła przede wszystkim swe poglądy na Polskę. Przedtem interesowała się nią mało, teraz wiele. Przedtem podzielała powszechne dosyć w Ameryce zdanie, że rząd londyński jest niepoważny, że Polska winna porozumieć się z Rosją, że znaczne połacie ziem Polski na wschodzie nie były zamieszkałe w większości przez Polaków. Teraz zrewidowała to wszystko. Polska nie powinna oddać ani piędzi ziemi Rosji, powinna odmawiać z nią współpracy, stawiać opór, trwać przy londyńskim rządzie, no a przede wszystkim obowiązkiem Polaków na obczyźnie było nie wracać do kraju, „póki Polska nie jest naprawdę wolna”. Na ten ostatni punkt programu Denis napierała najmniej. Uważając, że wynika on już z poprzednich, napierała na te poprzednie właśnie. Ale w gruncie rzeczy to właśnie ten punkt był dla niej istotny, ten punkt był życiowy, kobiecy. Pozornie nienawidząc nie znanego jej właściwie reżymu w Polsce, Denis w gruncie rzeczy potrzebowała go. Bez niego przecież — tak jej się zdawało — powrót tych wszystkich Polaków rozproszonych po świecie przez wojnę nastąpiłby automatycznie. Dopiero rozdźwięk Londyn — Lublin znosił ów automatyzm. Dopiero on, ten rozdźwięk, sprawił, że mogło stać się czymś naturalnym, a nawet przez jakieś autorytety jako „wskazanie patriotyczne” zalecanym — niewracanie do „takiej Polski”. I Denis była w rezultacie nie mniej gorącą zwolenniczką „Lublina” jak „Londynu”. Wbrew pozorom, a zważywszy jedyne, bezpośredni cel, jaki jej przyświecał, było to proste i logiczne. Gdyby nie to, że w owej Polsce władzę objęli ci z Lublina,

nigdy by nie powstał wśród garści emigranckiej problem niewracania. Gdyby nie to, że na emigracji był czynnik polityczny zwany potocznie Londynem, nigdy by hasło niewracania nie padło. Denis myślała chwilami, że ona jedna jedyna wnosila w te spory polityczne kompas kobiecego serca. Myliła się. O tym samym czasie, może wcześniej, może później, tak samo lub podobnie myślały różne Sheile, Mariony, June'y, Jeany, które chciały zachować dla siebie to, co im wojna dała: ich polskiego mężczyznę. Uchroniwszy go od zaszczytu oddania życia na większą chwałę Brytyjskiego Imperium, nie pragnęły wcale oddawać go jakiegś Polsce. Denis, nie wiedząc o tym, była tylko jedną z nich.

Odróżniała się od nich i przewyższała je dwiema za to wartościami. Po pierwsze, była kobietą wyjątkowo inteligentną, co więcej, umiejacą wyjątkowo dobrze wprząc silnik swego mózgu w służbę swych planów, naładować go odpowiednim paliwem energii. Mózg, wola i energia — wszystko to pracowało w niej w najściślejszym, mechanicznym związku. Była amerykańskim okazem koordynacji. Po wtóre, miała czas potrzebny na przygotowanie. Wówczas kiedy jeszcze nachodziły na niego falami owe gorączki lub gdy słaby, po zastrzykach, przebywał okres fizycznej rekonwalescencji, miała czas na dokładne, spokojne przygotowanie. Zanalizowała wszystkie czynniki, jakie mogły się składać na uczucie występujące u niego, a określane zazwyczaj szumnie jako miłość ojczyzny. Doszła niebawem do wniosku, że nie była to bynajmniej miłość narodu. Nie. Był on najzupełniej pozbawiony cienia narodowego szowinizmu. W towarzystwie polskim smakował może mniej niż w jakimkolwiek innym. W ogóle był raczej odludkiem. Nie wspominał szczególnie dobrze ani swego polskiego dzieciństwa, ani swej polskiej młodości, w każdym razie — ani środowiska, ani ludzi. W stosunku do tego, co określano mianem „Londynu”, posiadał

raczej gorzki sarkazm. To, co określano jako „Lublin”, było dlań nieznaną, niezrozumiałą. Tyle tysięcy mil i tyle wojennych lat! Ze śmiercią matki wzięły rodzinne także ostatecznie się rozsypały. Wspominał raz, że chciałby być jeszcze kiedyś na pewnym polskim cmentarzu, gdzie leżą jego najbliżsi. Na chwilę serce jej się ścisnęło. Okazało się jednak, że ów cmentarz polski wcale nie leży w Polsce, lecz w Anglii, w Lincolnshire, koło niejakiego Newark. Denis odetchnęła z ulgą. Wyobrażała sobie naiwnie, że polski cmentarz najpewniej leży w Polsce. Z wiadomości o Polsce nie poznała tej jednej jeszcze, że żaden naród — krom żydowskiego chyba — nie ma tylu cmentarzy poza granicami swego zasiedlenia, jak właśnie Polacy.

Skoro miłość ojczyzny nie była miłością narodu, musiała być miłością ziemi. I była nią w istocie. Nie była jednak miłością Warszawy czy Krakowa, czy Poznania, czy tego ich Pomorza, czy innych jakichś miast, czy innych jakichś wsi. Gdy leżąc na werandzie sanatorium w Alleghanach opowiadał o jakichś wycieczkach, mówił z niemniejszym uczuciem o winnicach wokoło Baccarat, wrzosowiskach za Aberdeenem czy o kanale o polskiej nazwie, którego spokojną wodą, skroś lasów, sunął kiedyś jego kajak. Radowała się tą międzynarodowością jego poczucia przyrody. Sejsmograf jego uczuć drgał żywiej tylko w jednym momencie, wtedy mianowicie, gdy płyta wspomnień grała refreny leśne.

Febryczna gorączka była rzeczą mniej trudną do wyleczenia niż ów stan psychiczny. Była ona i szczęściem. Nadeszła właśnie w okresie, kiedy trzeba by było, będąc zdrowym, powziąć jakieś decyzje, postanowienia, ważne na lata, jeśli nie na życie. Tak — nie musiał. Znalazł się poza obrębem politycznego wiru, a gdy wrócił do siebie, wir już się był wygładził. Gmach ambasady był już zamknięty, jego klucze, poprzez władze amerykańskie, przejął właśnie wysłannik z Warszawy. Ale nie urzędował sam jeszcze.

W gmachu naprzeciw, gdzie mieścił się attachat, były teraz agendy jakiegoś towarzystwa ubezpieczeń. Personel rozbiegł się po świecie. Byłyby duże trudności z odnalezieniem ich obecnych adresów. Ale rekonwalescent nie myślał nawet o szukaniu ich. Rozstał się z nimi jak z przygodnymi podróżnymi tego samego tramwaju. Nawet z pewnym uczuciem ulgi.

Lęk Denis poszedł teraz w zupełnie odmiennym kierunku. Przestawszy się bać Londynu, bała się teraz w dwójnasób tego, co dawno było już dla wszystkich Warszawą, a dla niej pozostało Lublinem. Czy do tych nowych, którzy kiedyś, za parę miesięcy, tu zjadą, nie zabije mu żywej serce? Czy oni nie pociągną go za sobą? Rekonwalescent czytał już — i przy jego łóżku znajdowały się stale najbardziej wrogie nowej Polsce wypowiedzi. Ku swemu zdumieniu Denis zauważyła, że robią zgoła nie zamierzone wrażenie. Nie robiły dodatniego, to pewna. Ale chory przyjmował tę lekturę dość spokojnie, nawet sceptycznie. Sprawy swego kraju traktował z jakowegoś oderwania i dystansu, z jakiejś stratosfery, na którą złożyły się jakby lata wojny i te tysiące mil. Denis nie mogła się zorientować, czy wyzdrowiawszy nie zamelduje się zaraz u jakiegoś nowego polskiego wojskowego attaché. Szczęściem, był dalej chory, a nowy attaché nie zjawiał się jeszcze w Waszyngtonie. Denis poczęła błogosławić Warszawę za tę pożyteczną zwłokę. Nowoutworzony rząd w Polsce miał dla niej tę przynajmniej niewątpliwą zaletę, że nie był zbyt skory w obsadzaniu placówek.

Był to okres wakacji i jej dwaj chłopcy wrócili z *college*'u do domu. Dom na stoku Alleghanów był teraz pełen wrzasku, śmiecia, żutej gумы. Dwa trzynasto-, czternastoletnie szatany wypełniały go sobą przez blisko dwadzieścia godzin na dobę. Żyli wspomnieniami *college*'u, z którego wyjechali (i który był dla nich, najwidoczniej, dobudówką stadionu, pływalni i boiska), oraz planami na nadmorski

obóz letni, gdzie mieli za dwa tygodnie spotkać większość świeżoopuszczonych kolegów. Liczyli z utęsknieniem dnie dzielące ich od tej odległej daty. Denis liczyła je także. Gdy wreszcie Buick z wrzaskliwymi szatanami odjechał sprzed domu, Denis zrozumiała, że pomiędzy tymi za zdrowymi, za silnymi, za krzykliwymi, zanadto innymi synami a nią, ich matką, nie ma już naprawdę i nie będzie już nigdy nic innego poza bardzo szczątkowym konwenansem. „Ongi dopiero kobiety odbierały matkom synów — myślała — dziś dziesiątek czynników robi to lepiej i wczesniej.” Nie odczuwała zresztą żadnego żalu, bynajmniej. Jej uczucia ześrodkowały się całkowicie na kimś, kto w tym domu naprawdę potrzebował kobiecej opieki.

Ale owego dnia odjazdu synów Denis pojęła raz jeden jeszcze, jak istotną sprawą jej życia będzie utrzymanie tego mężczyzny.

VIII

Jesienią powrócił do tak pełnej kondycji fizycznej, w jakiej nie był chyba nigdy; psychiczna była gorsza niż przedtem. Zapowiedział, że zamierza coś zrobić. Wyjeżdżał w tym celu dwukrotnie do Nowego Jorku. Nigdy nie precyzował, co rozumie przez słowa „coś zrobić”, i Denis mogłaby sądzić zarówno, że oznacza to powrót do Polski, wyjazd do tego generała Andersa, o którym teraz z kolei pisały gazety, jak wzięcie jakiegoś „jobu” przy którejś z linii lotniczych. Mogło być wszystko to i jeszcze wiele innych rzeczy. Pojechał jeszcze dalsze trzy razy — z tym samym wynikiem. Stał się po chorobie bardziej skryty i jedno, co Denis wiedziała na pewno, było to, że każdy z tych wypadów oddala go od Polski i polskich spraw. Dawniej bała się tych wyjazdów — obecnie życzyła ich sobie. Zaprażyła mu towarzyszyć, aby wiedzieć, aby widzieć. Ale nawet gdy była z nim w New Yorku, nawet gdy widziała

ludzi, z którymi tam mówił, niewiele z tego rozumiała. Przede wszystkim mówili po angielsku źle albo zgoła wcale. Polska ich rozmów była jakąś wielce skomplikowaną nauką, w której laik nie mógł się ani rusz wyznać. Dała za wygraną. Co ją to zresztą wszystko właściwie obchodziło? Grunt to było co innego. Grunt to był on. Byle jego nie ściągnęli z powrotem do siebie — o to chodziło. Byle go zostawili jej — o to tylko. Na razie to robili. Wyjazdy nowojorskie, zetknięcia z emigranckim gettem polskim działały znakomicie. Zamiast wciągać, getto go odpychało. Nie miał w sobie żadnych, ale to żadnych zadatków na emigranta. Najmniejszych. To niebezpieczeństwo na pewno nie istniało.

Natomiast problem wkorzenia w inne środowisko, zaopatrzenia go, jak przeflancowane drzewo, w nowe soki żywotne — to nie ruszyło jeszcze z miejsca. W listopadzie było z tym tak źle, że Denis pospieszyła do swego wiedeńskiego doktora. Przez telefon nie powiedziała o celu swej wizyty. Przyjęta, starała się nie przypomnieć tamtej ich rozmowy. Ale doktor pamiętał ją, niestety, doskonale.

— Cóż pani chce, to jest bardzo klasyczne emigranckie schorzenie. Już w starożytności. Gdy się bierze pewne opisy z Neposa. Nawet u Neposa. Jasne. Człowiek akcji naraz wytracony i z własnego środowiska, i z akcji. Ni szczeje. Jest jedna — ja widzę jedną radę na to. Mówiłem pani. Powrót. Powrót. To będzie potrzebny wstrząs. W medycynie wstrząsy...

— Doktorze, ja wcale nie chcę, żeby on wracał. On nie może wracać!

— Pani myśli, że politycznie nie może?

— Ależ nie, skąd. Głupstwo. Ja nie chcę. Ja nie mogę. Czy pan mnie nie rozumie, wreszcie?

— Tak, tak — mówił teraz jakby odkrywwszy naraz niezbadany, komplikujący szczegół. — Tak... tak. No, moja droga, co medycyna na to może? Jeśli chory nie poddaje

się operacji, to wtedy chory... Trudno... Medycyna, proszę pani...

— Doktorze, ja nie chcę, żeby on wracał. On musi być tu. O wracaniu nie ma mowy. Musi pan znaleźć i wiem, że pan znajdzie — pan znajdzie — inny środek. Zastępczy... — odpowiedziała jej rozpacz. — Zastępczy — powtórzyła. — Zastępczy. O, właśnie...

— Zastępczy — powtarzał teraz za nią — zastępczy. Nie znam zastępczego. Nie ma zastępczego. Nie ma. Nie... Może... *Let me see...* Może? Ma pani czas wolny? Powiedzmy, w przyszły czwartek? Tak wieczorem? Ma pani wolny dinner? Będzie pani miała. To dobrze. Pojedziemy sobie. O szóstej trzydzięci? O szóstej trzydzięci.

Pamięta, jak odjeżdżała, pełna pogardy dla niedomyślności naukowców. Musiała mu wszystko powiedzieć. Nie mógł niby sam zrozumieć, czym jest dla niej ten człowiek. Mężczyźni są bardzo dziwni. Jedni wietrzą coś, czego nigdzie nie było, drudzy nie widzą rzeczy oczywistych. Cóż to za niedomyślność!

Ale w następny czwartek miała odjeżdżać, późno wieczór po owym *dinnerze*, w zgoła innym nastroju. Miejsce lekceważenia zajął kult. Ten wiecieńczyk, ten stary człowiek, był naprawdę demonem mądrości. Wiedział naprawdę wszystko. Znał jej kochanka — którego nie widział nigdy — lepiej, niż ona go znała. Poprześwietlał go, czerpiąc z jej opowiadań, jakimiś niewidzialnymi promieniami inteligencji. Nie ostały się przed nim żadne złamania, pęknięcia, schorzenia, żadne zrosty i ciała obce. Nie tylko znał. Odtworzył przed nią i wtajemniczył ją w cały plan kuracji — skoro ona miała ją przeprowadzić — plan logiczny, obmyślony w szczegółach, ugruntowany w psychicznych właściwościach tego człowieka. To, co nazwał dość zawile — substytucją mitu, co ona sama poddała mu jednym małym słówkiem: „zastępczy”, było naprawdę operacją, choć nie wymagało noża chirur-

gicznego i operacyjnego stołu. Substytucja mitu. Substytucja ojczyzny. Tak. W pewnej chwili, już nocą, gdy wracali autem z podmiejskiej restauracji, Denis doznała naraz olśnienia wiedzy. Do tej pory wiedza wydawała jej się czymś gorzej lub lepiej spełniającym swe pomocnicze wobec człowieka zadania. Wiedza sprawiała, że motor wprawiano w ruch za pomocą jednego naciśnięcia, że z kaloryferu rozchodziło się ciepło, że głos biegł drutami, a samolot skracał przestrzeń. Wiedza była czymś potrzebnym, ale i podrzędnym, służebnym, i Denis była nawet zdania, że dość późno zaczęła oddawać ludzkości te rozliczne usługi. Naukowcy sami wydawali jej się dość nudni i zdecydowanie śmieszni. Ale tego wieczoru, słuchając tego człowieka, jego jasnego, spokojnego wykładu, jak wyjaśniał i tłumaczył, jak całym światłem swej wiedzy naświetlił jeden oderwany indywidualny problem, Denis naraz poczuła, jak coś ją chwyta za gardło, jak coś zatyka jej usta i zapiera dech w piersiach. Tym czymś był podziw. Denis nigdy jeszcze nie czuła dla wiedzy podziwu i nigdy jeszcze w stosunku do niego nie poczuła takiego podziwu jak w stosunku do tego starego człowieka.

— *Doctor, you simply are...* — i zatrzymała się. Jakżeby głupio brzmiało jakieś „*wonderful*”! A doktor kiwał głową.

Nazajutrz rozdzwoniła się po wszystkich źródłach informacji o lasach, górach i pustkowiach Kanady.

W dwa tygodnie potem jechali na Północ.

IX

Siedzieli przy śniadaniu, w pełni słońca, marcowego kanadyjskiego słońca, był późny ranek, w pokoju pachniały z patelni barwne paski przysmażonego bekonu i podsmażające się grzanki, i herbata, mocna, czerwona herbata anglosaskiego breakfastu. Jadł ze swoim zdrowym, wil-

czym apetytem, równo, spokojnie. Denis zapisywała sobie w pamięci ten spokój, jak zapisywała każdy ruch. Każdego dnia spośród tych wielu dni musiała dodawać nowe kadzidło hołdu do tych wszystkich, które już wypaliła przed niewidzialnym popiersiem wiedeńskiego doktora. Było to trzecie miejsce ich kanadyjskiego pobytu, coraz dalsze — i coraz lepsze. Denis widziała, jak zapowiedzi wiedeńskiego doktora sprawdzają się zwolna. Chory odzyskiwał swe psychiczne zdrowie. Zaczynał z powrotem chcieć. Zaczynało go otoczenie cieszyć lub gniewać. Zaczynało go zajmować. Obchodzili go ludzie tutejsi. Lubił rozmowy z gospodarzem, jeszcze w sile wieku wysokim Szkotem zza Toronta, i z jego żoną, drobną Francuzeczką z Quebecu, którzy zaszyli się tu, w puszczy, i nie żalowali wcale miast nad wielkimi jeziorami. Chodził w stronę wyrębów leśnych, tam, gdzie metalicznie huczały dniem i nocą piły tartaków, gadał swą śmieszoną angielszczyzną z ludźmi na drodze. Miał wtedy, jak i oni, roześmianą twarz. Wieczorami zachodzili oboje do *pubu* i pili „*a long drink*”, i słuchali dalekich komunikatów z Toronta albo nawet Nowego Jorku. Wracali do siebie wieczorem, czekał na nich dinner, którego nie jedli lub jedli mało, ku niezadowoleniu quebeckiej Francuzki, ale byli zanadto pijani i zmęczeni powietrzem i słońcem dnia. Czesła długo przy lustrze swe ciemne włosy i widziała w tym lustrze za swymi plecyma jarzące się, jak dalekie świece, jego oczy, gdy leżał ciemny w którejś ze swych ciemnoniebieskich piżam na białym tle pościeli. Czesła wtedy włosy wolniej i wolniej, uśmiechając się doń w lustrze, póki nie odwrócił głowy, zły. Wtedy kończyła szybko to układanie włosów, które miało nie przetrwać i pół godziny. Gdzieś wtedy, jak sygnał dany z daleka, dochodzić poczynęło nieodmiennie owo dalekie wilcze wycie. I noc była dla nich przetykana cała owym długim, gardłowym akordem.

— Jest gość do pana, *sir* — przerwał śniadanie Szkot — rosyjski traper. Pan pamięta?

— *Of course. Show him in.*

— Rosyjski traper? — spytała Denis.

— Mówił nam przecież wczoraj. Szuka tu futer. Po lesie chodzi.

— Myślałam, że traperzy, jak cowboye, są tylko w filmie.

— Ale gdzież! Nie wszystkie futra pięknych pań hoduja się na farmach.

Gość, wprowadzony jako rosyjski traper, siedział za chwilę przy stole. Podziękował za śniadanie, przyjął z rąk Denis herbatę. Mówił po angielsku miękkiem słowiańskim akcentem, bardzo wyraźnie. Denis zauważyła wysokie, łysiejące czoło — musiał mieć lat z pięćdziesiąt — nieco zadarty, śmiesznie mały nos, wydatne kości policzkowe i skośne oczy. Gdyby nie te kości i nie skośność oczu, miałby głowę niemal anglosaską, podłużną. Gdy brał z jej rąk herbatę, Denis zauważyła jeszcze wyciągnięte po filiżankę długie, piękne palce.

Wymienili kilka zdawkowych zdań na temat Kanady, wojny, Anglosasów. Denis zdążyła się dowiedzieć, że rosyjski traper jest w Kanadzie od lat siedemnastu, że urodził się na Syberii i że Kanada przypomina mu w niejednym Syberię, zwłaszcza na północy i gdy spadną śniegi, i że sto lat temu Kanada musiała przypominać zupełnie ówczesną Syberię i za jakieś sto lat, a może i mniej, znowu upodobnią się najzupełniej. Zdołała się także dowiedzieć, że był kiedyś wojskowym, oficerem. Och, nie był zaangażowany politycznie. Był po prostu żyty ze swym pułkiem. W owym pułku zdobywał w 1914 roku Karpaty; bił się na błotach poleskich; jakże mógł co innego robić, niż zrobił pułk? Traper opowiadał łatwo, z rosyjską łatwością. Opowiadał dobrze, nie gadatliwie, rzucając urywane zdania, czasem słowa tylko, ale każde z tych słów lub zdań

było jak rys ołówka, tworzyło szkic. Po chwili jednak przestała rozumieć cokolwiek, bo rozmowa — a raczej opowiadanie trapera — przeszła na rosyjski. W jasnym od słońca i od żółtych sosnowych desek *lounge*'u pachniała teraz czerwona angielska herbata, zatłuszczone smarami obuwie i dźwięczała, szeleściła, śpiewała daleka mowa słowiańska. Denis uderzyła jej melodyjność. Nie potrafiła w tej mowie oddzielić poszczególnych słów, wszystko dla niej, nie rozumiejącej, tworzyło jedną pieśń, to opadającą falami, to naraz podnoszącą się basem, przeciągłą, gardłową, jak wołanie po nocy. Popatrzyła się na człowieka. Był niewysoki, suchy, kościsty, miał nastroszone gęste, jasne brwi, nieładne w swej jasności, i w swej kurtce płowej, z futrzaną czapą wydał się jej naraz podobnym do wilka.

Zostawiła ich na chwilę, by pójść na górę, do siebie. Gdy wróciła, w *lounge*'u nie było żadnego z nich. W miejscu gdzie siedział Rosjanin, była na podłodze plama z topniejącego śniegu — musiał być nie oczyścić obuwia — i ślad mokry i brudny, jak od niezgrabnych, zwierzęcych łap. Znowu przeszło jej przez myśl porównanie z jakimś mieszkańcem lasu. Usiadła na swym dawnym miejscu. W pokoju panowała teraz cisza, ale pozostał w powietrzu, zawieszony w tej ciszy, dym z wypalonych męskich papierosów i jakby jakiś zapach dziwny, niepokojący, pomieszany. Jakby jednocześnie skóry i potu, lasu, ziemi, złego tytoniu i jakichś nieokreślonych, jeszcze innych zapachów.

Z pokojów gospodarzy wybiegł naraz szkocki terier. Zatrzymał się. Podniósł nos i warknął ostrzegawczo. Warknął po raz drugi, wyzywająco tym razem, wyraźnie w kierunku fotela, przed którym widniała plama roztopionego śniegu.

— Ciszej, *scottie*, spokój, nie ma go, widzisz — uspokajała wyszedłszy za psem Francuzka.

I objaśniła Denis:

— Psy go nie lubią. Węszą za nim wilka. Ludzie mówili, że to nieprawda, a jednak coś w tym jest.

Denis nie zapytała ani co, ani w czym. Nie miała zbyt-niej ochoty na narty, była rada, że ma chwilę spokoju. Ale chwila przedłużyła się do lunchu, a także długo poza lunch. Było ciemno od dobrej godziny i siedzieli przy kominku w *lounge*'u, i pierwszy raz od przyjazdu zabrała się solidnie do lektury, gdy posłyszała kroki w sieni, otrząsanie śniegu, ostukiwanie nart.

Po chwili usłyszała od drzwi:

— *O, darling, I'm so sorry.* Ale widzisz, George zaprowadził mnie...

Denis nie bardzo dosłyszała, dokąd zaprowadził go George. Uderzyło ją co innego. Mówił o tamtym — Denis nie wątpiła, kto jest George'em — po imieniu. Rzadko tak mówił o kimś. Nigdy — przebiegła kartotekę wspomnień — nie mówił o nikim po imieniu tak szybko. Jeden dzień w lasach. Myślała o tym, gdy tymczasem kochanek gospodarzom, z półsnu ocknionym u kominka, opowiadał o jakiejś długiej drodze odbytej tego dnia z Rosjaninem. Opowiadał z ożywieniem, podnieceniem nawet, rozwdził się nad jakimiś szczegółami drogi, które znowuż uszły uwagi Denis, choć zajęły Szkota. Podtrzymał jego pochwały.

— O, to nadzwyczajny człowiek — mówił o George'u.

— Nadzwyczajny. On zna naprawdę las. Takich dzisiaj nie ma. To naprawdę leśny człowiek.

— Dziwny trochę — zaryzykowała Francuzka.

— *Well*, każdy sobie, prawda? Pełno jest ludzi dziwnych na świecie. No, cóż tam z dinnerem?

Nie siedzieli długo wieczorem, poszli wcześniej na górę. Denis czesała włosy, gdy on rozbierał się w łazience. Słyszała plusk wody, szelest zrzucanego ubrania, ciche stąpienia po podłodze. Położył się, jak zwykle, pierwszy. Ale w lustrze pochwyciła raz jeden tylko jego przelotne, za-

gubione spojrzenie, po czym nie przyłapała go więcej. Po krótkiej chwili miękki szelest rozczesywanych włosów począł się łączyć w ciszy z głębokim, spokojnym oddechem. Gdy Denis podeszła, by wśliznąć się pod kołdrę, spał. Miał na twarzy spokojny, mocny sen. Miał twarz w tym śnie tak spokojną, jakiej Denis u niego nie знаła. Patrzyła na niego w tym półmroku z radością i otuchą w sercu. Nie miała mu za złe, że dzień ten spędził bez niej. Zasypiając błogosławiła tego George'a.

Kiedy nazajutrz rano obudziła się, było wcześniej, ale w pokoju była sama. Chwilę nasłuchiwała odgłosów z łazienki. Była pusta. Nie było ani odzieży, ani butów przy łóżku.

— *He is gone already* — powiedziała na dole Francuzka. — *You know, this George came here again.*

Dzień był znowu piękny i ciepły. Zbliżał się kwiecień. Wyszła nieco przed lunchem, wyszła po lunchu. Nie chciała iść daleko. Mógł wrócić lada chwila. Przecież nie zostawił ani kartki, ani słowa.

Wrócił jednak dopiero wieczorem, jeszcze później niż poprzedniego dnia. Powiedział, że mieli „*a wonderful time*”. Nic więcej. Ona nie pytała. Wiedziała, że mu jest dobrze. Zasnął snem jeszcze bardziej spracowanym i spokojnym niż wtenczas. I Denis na widok tego snu, który był jak zabieg przywracający życie, było ponownie radośnie i dobrze. To jedno wystarczało jej w zupełności.

x

Niebawem jednak przestało wystarczać. To prawda, że jego stan zdrowia poprawił się istotnie; ale w miarę tego właśnie czy takiego właśnie poprawiania się ich stosunek, stosunek jego do niej, niewątpliwie blakł. Przede wszystkim nie było go po całych dniach. Gdy wracał, wracał obcy. Nie mówił nic lub mało, i to o swym nowym, rosyj-

skim przyjacielu. Z tego, co mówił, niewiele mogła się dowiedzieć. Wiedziała, że był, jako młody pewno chłopak, emigrantem z Rosji po 1918, oficerem z „tamtej” wojny, że w Kanadzie siedział od kilkunastu lat. Miał jedną z tych leśnych, typowo kanadyjskich posiadłości w obsłudze lasów, które zapewniają swobodne krążenie po obszarze równym co do wielkości przeciętnym europejskim państwom. Mógł zniknąć, pojawiać się niespodzianie, zapadać w lasy, pojawiać znowu najniespodzianie w świecie. Teraz zresztą nie zniknął. Był tu wciąż w pobliżu. Prawie jak te wilki nachodzące nocą. Był sam jak wilk. Ze strony swych gospodarzy Denis wyczuła w stosunku do niego jakąś utajoną niechęć. Nie, nie byli ludźmi, których mogła pytać o tego człowieka. Pozostała więc sama. Główną pociechą był coraz lepszy stan zdrowia człowieka, dla którego tu była, a który stawał się tymczasem coraz dalszy.

Na rozmowę o tym zbierało się długo, aż był wreszcie dzień, cały dzień, który spędzili razem. Miała pamiętać tę rozmowę. Były ostatnie dni marca i wielkie słońce wiosny, i odwilż prawie, i po raz pierwszy leżeli na werandzie otuleni w koce. Zaczęła pytać o tamtego. Nazwała go, jak zwali go gospodarze, *the white Russian*.

— Nie jest wcale biały — sprostował Polak.

Co ją to obchodziło? Ale chciała podtrzymać rozmowę o tym nowym człowieku w ich życiu. Powiedziała więc:

— Czyż rosyjscy emigranci nie byli biali?

Pomyślał chwilę, jakby o czym innym, i rzekł:

— Byli...

— Więc?

Potrząsnął głową. — To nie takie proste...

— Co nie takie proste? W Rosji była rewolucja i ci, co byli jej przeciwni, poszli w świat. On był przeciwny, poszedł. Jasne, nie?

— Nie.

Rozmowa byłaby się urwała, gdyby nie wszczął jej

on. Począł mówić o tamtym. Że Denis nie zrozumie. Trzeba być z wojska, aby to zrozumieć. Jerzy był synem rosyjskiego oficera. Wychował się pomiędzy koszarami pułku a rozległymi lasami Uralu, które szumiały wokół. Potem pułk przerzucono na granicę pruską, ale koszary i las były dalej. Syn oficera wyrósł z pułkiem. Gdy wstąpił doń jako młody kadet, zrosł się z nim jeszcze bardziej. Wojna spotęgowała to jeszcze. W 1916, forsując ponownie Karpaty, był ranny. Poszedł do szpitala. W szpitalu, po raz pierwszy, czytał. Leżał przy nim ranny artylerzysta. Artylerzysta był oficerem rezerwy, inżynierem z zawodu. Czytał ciekawe, dziwne książki i mówił całymi dniami szpitalnych nudów ciekawe, dziwne rzeczy. To, co oficer przeżył na froncie, i to, co zasłyszał, a potem przeczytał w szpitalu, podważało w nim wszystko, co było dotychczas. Dwie fale starły się w nim. Za oknami szpitala dojrzała rewolucja wcześniej niż w oficerskiej duszy. Przywiązanie do pułku zwyciężyło. Dogonił go gdzieś nad Donem czy Amurem, czy u Perekopu. Przeżył z nim ostatek walk Rosji „białej”, w którą każdego dnia tych walk coraz mniej wierzył. — Czy rozumiesz to, Denis? Być może, gdyby w tym szpitalu był o miesiąc, dwa dłużej, gdyby był ranny wcześniej lub gdyby rewolucja przyszła później, ten człowiek prowadziłby może szturm marynarski na Pałac Zimowy. Może byłby jednym z wodzów Czerwonej Armii? Może? Rozumiesz? Ferment nie dojrzał w nim na czas. Dojrzewał w nim wtedy, gdy siła przywiązań, atawizmów, jakiegoś fetyszyzmu kastowego już była wepchnęła go na inny tor. Dojrzewało to w nim, gdy był już po przeciwnej stronie, gdy walczył z tym, co zwyciężało w nim samym. Dlaczego nie zawrócił? Ach, gdyby zwyciężyła jego strona — ta biała! Może by jeszcze zawrócił i był — bo ja wiem — jakim rewolucjonistą. Ale w tym rzecz, że zwyciężyli tamci. Tamci, których zwalczał do ostatniej chwili ich walki. Przejść do obozu zwycięzcy, gdy

się nie przeszło doń wcześniej? *Fi donc*. Może gdyby był wtedy lepszym dialektykiem, byłby przeszedł. Ostatecznie o jego przejściu zdecydowało to, co się działo w nim, nie to, co zwyciężało w świecie poza nim. Ale potem, rozumiesz, emigracja była mu obca. Należał do niej czysto mechanicznie, do tamtych drugich należeć nie mógł. Trzecim wyjściem były lasy Kanady. Lasy tak bardzo podobne do tamtych dawnych lasów.

— I jest zadowolony z swego życia?

— Tak. *Quite*.

— Pytałeś go?

— Oczywiście. Ciekawiło mnie to, rozumiesz?

Denis rozumiała. Coś nowego zarysowało się przed nią.

— Musiał mieć dwadzieścia parę lat — mówiła. — Nie więcej. I nie próbował odbudować sobie życia? Nic?

Wzruszył ramionami. Po co?

Znowu wpadł prawie w monolog. Denis nie przerywała. Znała go raczej małomównym, czyhała więc tym bardziej na chwile takie jak ta. Słońce obniżało się za sosny i było czerwone i wiewiórki biegały szare po pniach ociekłych zachodem, który w dolinie zapadał wcześniej, i Denis słyszała tylko jego głęboki ton głosu. Mówił, że powinna zrozumieć. Po każdej wojnie. Czy pamięta takiego żeglarza? Francuz bodaj. Nazywał się Gerbault. Alain Gerbault. Denis w jakimś najdalszym zakamarku mózgu tłukło się to nazwisko. Alain Gerbault był na wojnie. Przeszedł wojnę. Wyszedł z niej. Wyszedł z całymi rękoma, nogami, głową, wyszedł z ładunkiem energii i odwagi dość wielkim, aby puszczać się w łodzi żaglowej przez dwa oceany, ale nie dość wielkim, aby żyć wśród ludzi, wracać do tego, co było, lub coś nowego zaczynać. Każda wojna wyciska w ten sposób pewnych ludzi i rzuca ich na bok. Nie mogą już dalej żyć, tworzyć, działać, pisać. Mogą tylko istnieć. W innej epoce może klasztor, kontemplacyjny klasztor, byłby dla nich schronieniem. Ale na to trzeba wiary. Nie

mając jej, co mogą czynić współcześni rozbitkowie, którym zabrakło przystani? Pozostaje ocean, odludzie, las. *What do you think about it?*

— *I think it's just awful* — odrzekła z miejsca. — Myślę, że to jest okropne, okropne...

— Dlaczego okropne?

— Dlatego że życie... że jest życie. Że życie nie może być, ot tak, urwane, zakończone przed końcem, nie przeżyte. Że człowiek nie jest po to, aby siedł w lasy czy odludzie. Musi żyć, dla siebie, dla innych, pracować, mieć wiarę...

Rozumiała, jak to wszystko brzmi głupio. Ale mówiła bezładnie, szybko, w nadziei, że znajdzie coś lepszego. Nie znajdowała. W promieniach słońca, które przeświecało coraz czerwieńsze, jego uśmiech krwawił ironią.

— Ale, Denis, Denis, kto ma wiarę? Ten, co nie myśli chyba. Taki, tak.

— Ale wiarę trzeba mieć, trzeba — powtarzała z anglosaskim uporem. — Trzeba mieć wiarę...

— Wiarę w co?

— W to, że jeszcze, że jeszcze coś będzie. Coś przyjdzie. Stanie się. Że przyjdą jakieś lepsze dni, czasy, ludzie. Lepsze, rozumiesz? Że teraz to tylko przejściowe. Rozumiesz?

Miał oczy przymrużone w słońcu, kiedy zaczął mówić.

— Nie, Denis. Czasy, które były, nie były złe. Nie były wcale okropne. Nie było źle wtedy, w 1939 roku, kiedy świat zawalił się nam na głowę, ani w rok potem i w następnym, i jeszcze następnym, kiedy nocami szliśmy na Niemcy i kiedy każdej nocy jakieś maszyny, z bliskimi, najbliższymi w nich ludźmi, nie wracały do swoich baz. Świat nie był zły dla George'a w owych przełęczach karpackich 1914 roku, kiedy niemiecka artyleria zwałała stuletnie sosny na kroczące pułki. Świat nie był zły dla Alaina Gerbault w czasie Chemin des Dames. Niestety ludzi, jak George, jak Gerbault, jak... inni, było: być w tym —

i przeżyć. Życ dłużej, niż żyło tamto. Po tym nie ma miejsca na świecie...

— Miejsca na świecie? Dla ciebie będzie miejsce wszędzie. Jeśli chcesz, tutaj, jeśli chcesz, w Londynie, jeśli chcesz... tam w Polsce. Ile ich tam jest, tych waszych Polak, każda ludzi przyjmie. Jeśli chcesz. Ale po co?

— *It's not so.*

— Nie jest tak?

— Nie, Den. Całym moim życiem tych siedmiu lat jestem związany najbliżej, najściślej z tymi na Zachodzie. Zwłaszcza z tymi, których już dziś nie ma. To był wielki czas, tych lat siedem, wielki i mocny, i wiem, że takiego czasu niektórzy ludzie nigdy nie mają w życiu, a nikt nie ma go drugi raz. *Don't laugh*, Den. Od nich nie odejdę. Ale żyć na emigracji z nimi nie będę także, bo to już nie jest i nie będzie to, co było, i to jest całkiem coś innego, i to nie jest nic. Nic. Powrócić do kraju? Ludzie najbliżsi są tu lub ich już nie ma. Warszawa? Mało mi mówiła Warszawa. Byłem taki dziki leśny chłopiec, *darling*. Najlepiej mi było tam. Byłem bardzo młody wtedy, *darling*, dopiero zacząłem poznawać kobiety... Całego mnie wziął ów nowy tryb życia, wojenny, dziwny, inny, którego nie było przedtem i nie będzie potem, nigdy już, Den. Taki z polska angielski. Byłem zanadto szczęśliwy i nadto mi było dobrze w waszych domach i na waszej wsi, przy ogniu waszych kominków, w ciepłe waszych dziewczyn. Znam całą bezwzględność, egoizm, fałsz i zdradę waszych polityków, Den, ale nie zasłania mi to tamtego. Nie, Den. Jestem tak między jednymi a drugimi, Den. Na emigracji tęskniłbym za krajem takim, jaki pamiętam. W Polsce tęskniłbym za tym, co zostało za mną: ludźmi bliskimi i latami przeszłymi. Nie miałby ze mnie pożytku nikt. Mieli pożytku dość. A teraz jestem strasznie zmęczony, Den, i nie mógłbym zrobić niczego ani dla jednych, ani dla drugich. *Sorry*, Den.

— Nie myślisz, że jesteś gdzieś potrzebny? Nie myślisz, że to jest dezercja?

— Dezercja? Myślę, że źle używasz tego słowa, Den. Dezercja jest, gdy jest wojna. Gdy nie ma wojny, nie ma dezercji. Po prostu wychodzisz sobie i idziesz, gdzie ci się podoba. Teraz nie ma dezercji. Nie bardzo wiem zresztą, czy przedtem byłoby to dezercją. Poszliśmy do Anglii walczyć o Polskę, ale czyśmy na pewno walczyli o Polskę? Nie wiem. Dziś nie wiem. Czyżby to była dezercja, wtedy? Ale dzisiaj w każdym razie nią nie jest. I potem, Denis, naprawdę, *I am tired, I am so terribly tired...*

— Wiem — powiedziała. — Chodźmy.

Wiedziała.

(„To jednak jest dezercja — pomyślała — tak, to jednak jest dezercja.” Ukradkiem, z ukosa spojrzała na niego. Zrobiło jej się go żal; po czym jakby wstyd. Wreszcie powiało jakąś obcością. Ale i teraz nie powiedziała nic więcej. Po co?)

Powtórzyła tylko:

— Chodźmy.

XI

Był bardzo spokojny tego dnia i następnego jeszcze, i jeszcze następnego i Denis cieszyła się każdą godziną owych paru jeszcze dni i nocy. Właśnie marzec przeszedł był już w kwiecień i wyskoczyły spod śniegu pierwiosnki, długie białe kwiaty, ale w dolinie było nadal pełno śniegu, jak i przedtem, nim nadeszła wiosna. I był dla niej tak czuły i jakby pokorny przy tym, jak nigdy.

W nocy obudził ją daleki, daleki krzyk wilczy i zdawało się jej później, że widziała go, jak wstaje, jak potem całkiem ubrany powstał jeszcze, jak cicho otworzył drzwi. Ale może jej się to wszystko zdawało dużo później i może było całkiem inaczej. To pewna, iż uświadomiła sobie na-

raz, że stało się, że go już n i e m a. Wiedziała, wiedziała, że tak będzie. Wiedziała, że to się stanie. Czuła moc tego tak wielką, że nie stawiała już nawet oporu. Ale gdy to się już stało, porwała się, instynktem samym, dopadła drzwi. Wypadła przed dom. O tej porze noc była jasna, choć jeszcze nie bladła świtaniem, i śnieg wysrebrzał ugiętą w dół dolinę. I widziała go jeszcze, jak zjeżdżał na nartach, plecami odwrócony od niej, przechylony w zjeździe, i widziała, jak z drugiego stoku odczepił się nagle inny ludzki punkt, który był George'em, i jak obaj spotkali się, nie przystanawszy prawie, a potem pojechali dalej, nie obejmawszy się za siebie, w ciemny bór Kanady. I chciała jeszcze wołać, ale z daleka, z przeciwnej strony ozwało się wołanie długie, przeciągłe, żalosne i groźne, od którego psy zjeżyły się i poczęły czekać i które było jak ów zew z czyjegoś karpackiego dzieciństwa. I zrozumiała, że to był koniec.

W GIEWAŁDOWEJ

Stała teraz przed nim, oparłszy się tylko szerokimi plecami o orzechowy bufet, i wyrzucała z siebie, wykrzykiwała do siedzącego za stołem wyzwiska. Więc co? Że Zośka się puszczała? Więc puszczała się, puszczała, puszczała! A dlaczego nie miała się puszczać? Żeby jej krew uderzyła do głowy? Żeby jej z tego neruchu zaś i zaśmierdło? A co? A może nie? A co on myślał? Że jak żonę kochającą, młodą, trzech miesięcy nie było po ślubie, zostawił na pięć lat, nie, sześć lat bitych, równusieńkich, to taką nieuszczkniętą sobie z szuflady wyjmie? W szufladzie oni się tutaj nie chowali: to nie wasz Londyn! Funtów nie dawali na pierwszego! Czym kto miał i czym mógł, tym i zarabiał, no niby nie? A za tamtej, pierwszej wojny, za Wilusia kajzera, to nie puszczały się żony mężów na froncie, choć ta niby i ten mąż, spod Verdunu nawet samego, i pisał, i przyjechać mógł? Raz na trzy miesiące — pięć dni, nie licząc drogi. Że nie z jednym? A jak się nie nadarzyło? Różnica jaka? Więc tak, więc wie, co on powie. Na wsi też mówili. Najwięcej te, co Zośce jej chłopów zardościły, bo same nie miały takich. No mów, mów...

Ale Tomasz nie mówił nic. Siedział dalej przed niedopitym kubkiem zbożowej kawy i nożem rozsmarowywał sobie smalec na kromce chleba. Rozsmarowywał go, wgniatał, rozsmarowywał k'sobie i od siebie, oczy opuścił gdzieś w ten stół, jesionowy, o deskach rozchodzących się od siebie szparami. I przyszło mu naraz na myśl, że chciałby wcisnąć się tak w szparę taką i zniknąć tak samo niespo-

dzianie, jak wczorajszej nocy wyskoczył tu z przejezdnej sowieckiej ciężarówki i został tak, sam na szosie, w srebrnej poświacie wrześniowej nocy, w chłodzie górskim sunącym z ciemnych stoków Podhala, w dymnym gwarze gasnących zwolna chat Giewałdowej. Tomasz chciał po prostu w tej chwili nie być. W ustach czuł już posmak żółci, który zawsze towarzyszył jego najprzykrzejszym przejściom. W ramionach i udach jakąś ospałość. Teściowa, matka żony, matka owej Zośki, jego Zosi, odstąpiła teraz od barykady bufetu. Krążyła po izbie, przynosząc jakieś talerze, wycierając niby jakieś kurze, przystając co chwila i obrzucając go za każdym razem nowymi pociskami z arsenału swej spóźnionej argumentacji. Trzeba jej było zrobić dziecko! Tak, dziecko! Z dzieckiem byłoby co innego! Dlaczego jej nie zrobił dziecka?

Wyrzuciwszy ten ładunek pocisków wyszła na werandę, po czym wróciła z nowym. Dlaczego nie pisał? Że paczki posyłał? Paczki — dobrze, uznała, ale trzeba było pisać! Że bał się o Zośkę? Co się było bać, jak był tu ten, no, Kratochwil. Jaki Kratochwil? No, ten jej drugi. Że folksdojcz? Najlepsi ludzie pisali się na folksdojcz. A jak żyć trzeba było, żyć? Jeszcze taki mógł innym pomóc: bywało! A czy teraz to niby im gorzej? Gołonog, przyjaciel tego Kratochwila, ale pies największy, ten z Nowego Targu, teraz na Śląsku w województwie. Do Suchcikowej szwagierka pisała. Nie każdy był frajerem i ganiał z Sikorskim...

Tu przypomniawszy sobie coś:

— Dolarów choć coś niecosieś przywiózł?

Tomasz odłożył kromkę:

— Dolarów nie. W Anglii przecież nie ma dolarów. Mam tam trochę funtów...

— Ile trochę?

— Sto siedemdziesiąt. Może siedemdziesiąt dwa. Mniej niż dwieście.

Kochańska rozterkowała się ponownie.

— W Anglii nie ma dolarów! Dla takich jak ty nie ma! Każdy jeden, co przyjedzie z Londynu, przywozi ich na setki, tysiące, grube tysiące — rozrzuciła obie dłonie szeroko, jakby trzymając w nich rozciągniętą a niewidoczną harmonię — grube tysiące! — Z wyżyn niebosiężnej pogardy wyjaśniała zięciowi, że angielskich pieniędzy nikt tu nie chce, że w Anglii sami Anglicy ich nie chcą i dolar u nich na czarnej giełdzie jest... Teściowa wzięła teraz za kolejny temat finansową niezaradność czy też, jak wolała to przedstawić, lekkomyślność, bezmyślność, męską nieodpowiedzialność Tomasza. Inni mogli! Inni pomyśleli! Inni już sobie dali radę! Tylko on z próżnymi rękoma wrócił do domu — co to jest tych dwieście funtów? Kto mu je zmieni? I taki potem chce, żeby jej Zośka. — No, mówże coś, powiedz, jak masz co do powiedzenia, mów...

Gdy mówiła, Tomaszowi przychodziło przez myśl niejedno. Mógł powiedzieć, że to Zośka wbrew niemu (o, jakże wbrew niemu!) nie chciała dziecka — „nie teraz, nie zaraz”, mówiła — i że nie wszystkim w Anglii tak sypały się funty, jak to sobie ludzie wyobrażali w Giewałdowej. Patrzył teraz w okno. Z miejsca, gdzie siedział, nie widać było Giewałdowej, rozłożonej bardziej w dole, pod nimi, w dolinie, którą wiała się — mały dopływ potężnego Dunajca — nie znana obcym Łężna. Łężna, gdzie za rakami brodził z pochodnią po nocy milami! Łężna! W ramie okiennej, jesionowozłotej, jak z miodu, zawisło tylko błękitne powietrze nasycone mgłami jesiennego ranka. Od dołu wpajały się w tę błękitność białawe, rozcieńczające się smugi i Tomasz odgadywał, jakby nigdy nie ruszał się z tego miejsca, że te rozcieńczone smugi wyrastają o tej i o wieczornej porze z białych kominów nisko wpartych w dachy na dole i wiją się spokojnie i całopalnie jak strudzony oddech.

Słońce musiało już być dosyć wysoko, ale i jego nie

było widać. Rozpylało się tylko w owej niebieskości nawisłej w tej ramie okiennej barwy miodu. Grzebiąc w normandzkim rowie najbliższego przyjaciela Tomasz wspominał kiedyś ostry zapach rumianku, Polskę przypominający, i teraz nagle uświadomił sobie, że takie powietrze nasiąkłe słońcem widział kiedyś na południu Francji, kiedy stali w Prowansji, a także u jednego francuskiego malarza, który w tej Prowansji malował i którego obrazy widział w Royal Academy w Londynie na wystawie francuskiego malarstwa, dokąd zawlokła go Sheila. I pomimo wszystko, co słyszał, ten widok w oknie, z lasami skoczowickimi wyrastającymi na horyzoncie, spływał na niego spokojnie i oleście. Chłodził i koił. Dlatego właśnie Tomasz odwrócił spokojne oczy ku matce żony i powiedział:

— Nie.

— Co nie? Co znowu nie?

— Nic nie mam do powiedzenia, mam. Stało się, co się stało. Mama ma rację. Zośka nie miała dziecka, ja poszedłem, nie było mnie. Tyle lat. Musiała.

Okno rozwarne na świat nad Giewałdową, rozciągniętą w dole, przypomniało mu coś, bo wskazał głową na okno, za okno i zapytał:

— Wiedzą?

Odgadła, o kogo chodzi, i teraz z kolei cała jej złość rozpętała się na nieobecną Zośkę. Że jakby kiedy co z Zośką nie wiedziano! Ona głupia taka, najgłupszy po niej wszystko zaraz pozna; jak kura, gdy zniesie jaje. Czy to inne nie brały sobie chłopców? Choćby sama pani Ślenziarska z Uchacza: która by nie brała? Sześć lat! Ale jedna to umie tak zrobić, że łóżko nie skrzypnie, a druga, że cały powiat pytluje. Co ona miała z tą Zośką! Przecież przez to właśnie musiała wyjechać zaraz, jak ruscy przyszli. No, teraz niby wrócić może, posadę na Śląsku przecie ma, „szaber” przysyła niezgorszy, zrobić jej nikt nie robi nic; nie żeby „bezpieka”, nie. Ale ludzie, ludzie.

Palcami będą pokazywać, na ulicy chłopaki za nią wołać, z kościoła wypychać. Chamy takie! Galicyjskie chamstwo...

— No, mamó, mamó, tylko niech mi mama...

Osadziło ją od razu: pierwszy jego sprzeciw. Znowu oparła się o bufet jak o ostoję najpewniejszą. Bała się go i nie rozumiała. Spokojnie zniósł wszystko, co na niego gadała, a to, co chciała powiedzieć na tych z Giewałdowej, z dołu, nie. Ale taki był zawsze i Kochański; jak przez mgłę, poprzez odległość tych siedmiu lat przypomniawszy sobie, że zięć był dla niej zawsze niespodzianką. Inny niż wszyscy. Uświadomiła sobie i to, że niepokoiło ją zawsze, iż był taki czarny, smagły na twarzy, z tym swoim czarnym włosem. U nich, w Bydgoszczy, gdzieby zaś tam! Białe i białe albo, jak Zośka, złociste. Przypomniawszy sobie ślub Zośki, w kościele świętomarcińskim jeszcze, jak Osmulka, składnicy aptekarskiej wdowa, nachyliła się przez stół biesiadny podczas toastów i zapytała ją z nagłą, szeptem słyszalnym na milę:

— Pani Luiza! Pani Kochańska! Ale czego on taki czarny? Czy żeby zaś nie z Żydów! Pani przecie wie: galicyjoki...

I słyszała jeszcze swoją własną odpowiedź:

— Pani Osmulka! A co też pani gada! Zośka by szła za Żyda? To pani nie wie, że do galicyjoków Madziarom było blisko i oni wszyscy czarni jak Cyganie. Nawet hrabiowie u nich czarne.

Biedna Osmulka! Wykończyli ją w Bydgoszczy jeszcze tego samego września! Kochańskiej przypomniawszy się nagle rodzinna Bydgoszcz. Tyle doświadczona Bydgoszcz! Schroniła się tu, to prawda, do wsi rodzinnej Tomasza — gdzie miały się podziąć, wysiedlone? — ale nigdy się z tym tu nie zżyła. Dostawała zadyszki, gdy trzeba było drapać się pod górę: nigdy nie lubiła galicyjoków: w jej statecznym drobnomieszczactwie to wszystko były chamy, chamy, chamy. Kiedy Niemcy tu byli, „szprechowała” zaś *viel-*

leicht po niemiecku i odczuwała z tego faktu podświadomą dumę. *Ich bin doch eine Deutsch geborene...* Pamiętała i ludzi w Giewałdowej, u których budziło to pewien podziw, i większość, u której nawet niechęć była podświadomą formą zazdrości. Był czas, że pani Kochańska z Bydgoszczy była w podhalańskiej Giewałdowej pośrednikiem, opiekunem, interwentem, buforem między szeroko rozsiadłą wsią, a nową, przemożną władzą. Że oni w Poznańskim wiedzą, jak z Niemcami. Że Niemiec nie taki straszny. Że trzeba umieć. Że w Giewałdowej nie umieją. Że ona pokaże. Ale Giewałdowa pomoc brać brała, lecz wdzięczna za nią nie była. Dziewczyny z Giewałdowej nie zapomniały nigdy tego, że poznańska „grula” z Bydgoszczy zabrała Tomasza, najpierwszego chłopaka w okolicy, inteligenta i pana, o którym pisano w gazetach, którego promował Pan Prezydent, który był wysoki, smukły i czarny. Giewałdowa zapisała sobie dobrze owe gadania Kochańskiej, że jej córka mogła wyjść za kogo chciała, nie za takiego nie ze wszystkim statecznego, co teraz pognął za tym tam Sikorskim. W Giewałdowej rosła do Kochańskiej i jej córki nienawiść góralska, twarda, przyczajona, maskowana zrećnie pozorami góralskiej gładkości. Przyczaiła się nie darmo. Doczekała się swego z pierwszym puszczeniem się pięknej Zośki, tym z owym lejtnantem ze Styrii, co to ich Józek od Hawlenów podpatrzył na usieku. Odczekała to, doczekała się Kratochwila i folksdojczowej zabawy w Nowym Targu i wtedy przywaliła swoje. Chamy pokazywały teraz bydgoskiej burżujce całą swoją pogardę. Sypały jej w oczy i za oczami tymi samymi — i brutalniejszymi — słowami, jakimi teraz w odwecie nierozumnym waliła w Tomasza. Giewałdowa brała sowity odwet. Aż wreszcie po paru latach pomiędzy nowym, na pensjonat niemal budowanym, drewnianym domem na porębie, wysoko na stoku, a wsią, rozsiadłą w dole nisko, po obu stronach kamienistej Łężnej, zapanowała milcząca

nieprzyjaźń. Obitej moralnie Kochańskiej dano nareszcie spokój.

W chwili zaniemówienia Kochańskiej Tomasz wyszedł przed dom, ten sam właśnie tak pięknie budowany w 1937 r., jeszcze za ojca, z piętrem i pokojami-kłitkami na piętrze, żeby można było i narciarzy z Krakowa przyjeżdżających gdzieś pomieścić. W sezonie bywało do trzydziestu pięciu złotych na dobę z tych dwu pokoi, a trzydzieści pięć złotych przed wojną to był przecie pieniądz. Agrest sadzony na stoku rozrósł się przez te lata, uli jakoś nie było dawnych. Z drugiej strony domu, od jego i Zośki pokoju, dzikie wino, sadzone przez ojca jeszcze, puściło się pięknie i szczerwieniałymi pnączami zachodziło aż w okna. Mimowiednie zdumiał się Tomasz: pamiętał tę ścianę nieprzyzwoicie nagą, świeżą jeszcze złocistymi deskami sosnowymi. A teraz... No przecież, sześć lat. No prawda. Przed oknami od Giewałdowej puściły się malwy i słoneczniki, i chwast jakiś. Tomasz mimowiednie począł wyrwać chwast, ale przestał: po co?

Musiało się zbliżać południe. Czuł na plecach ciepłą światłość słońca i poznawał słońce giewałdowskie po tym, że nie było ani mniej, ani więcej ciepłe, jak bywały ciepłymi różne bardzo słońca różnych bardzo owych sześciu lat, a tylko właśnie tak grzało, jak wtedy, gdy był młodym chłopcem i ojcu w sianokosie pomagał. Słońce nad Giewałdową pozostało to samo. Ludzie marli i odchodzili, i inni po nich przyszli, i stało się to z Zośką i wszystko inne, a to słońce nad zapomnianą wsią Podhala pozostało takie samo. Aż dziw. Odczuł chwilową ulgę. Niżej przed nim ścieliła się Giewałdowa. Miał ją pod sobą, jak z lotu ptaka, o trzysta jakieś metrów. Nawet nie. Tylko że na wskos. Liczył stare chaty, o czapach z gontów, i nowe, z białawą blachą, i wybrzuśł kościoła w pęku lip, spod których przezierały białe nagrobki i czerwieniała dachówka barokowej dzwonnicy. Zobaczył nieładny, dobrze so-

bie znany prostokąt szkoły, widział, jak droga pylna z Nowego Targu gubi się we wsi, ginie pod domami czy drzewami i jak mostkiem przerzuca się nad połyskliwy w słońcu nurt Łężnej. Był spokoj. Tomaszowi w tym dniu wrześnieowym poszerzały się zwolna oczy. Nie wierzył. To była Giewałdowa. To była Giewałdowa. Musiał to sobie mówić. To była droga i to był kościół wśród lip, i to były lipy, i to były groby widne pod lipami, i gdzieś wśród nich grób ojca i matczyn, i grób starego księdza Wślizgły, kanonika, i mała mogiłka Józka, który wpadł pod przerebłę w roku dwudziestym szóstym — tak, wtedy kiedy potem był zamach majowy, w tym samym. I most był ten sam, i domy, i strzechy, i blaszane dachy. Blaszanych dachów było jak gdyby więcej. Tej chaty na skraju nie było także. Jest pewien, że nie było. I czy po tamtej stronie rzeki nie rosły topole? Rosły. Nie ma. Trzeba będzie zapytać. Ale to j e s t Giewałdowa, Giewałdowa. Wchłaniał oddechem jej świetliste powietrze i macał ten rozległy krajobraz oczyma, tak jak ślepiec maca twarz osoby pamiętnej mu z rysów. Tak, to było to. Giewałdowa. W nocy, gdy przyjechał, gdy ciężarówka sowiecka zwała go tak na środek gościńca i ścisnął jakieś ciężkie rosyjskie ręce, i słyszał ich słowa: „*Nu, bud' doma zdorow, wot i my by chotieli tak doma*” — był oszołomiony. Poznawał wieś z trudem, tak na słowo honoru, i łoskot oddalającej się ciężarówki zostawił go oszołomionym. Ale teraz to była Giewałdowa, nie zjawa nocna, nie mara, Giewałdowa naprawdę. Patrzył na nią, tam w dole, szklącymi się oczyma, lykał wzrokiem jej dymy wolno podnoszące się ku niskiemu niebu. Zdał sobie sprawę, że teściowa raz po raz z okna zerkąta ku niemu, wyszła nawet na werandę, bodaj zagałała. Ale to było dalekie, nierealne, może działo się w Anglii, to znaczy nigdzie, albo dalej. Tu była Giewałdowa i on. I naraz zrozumiał jeszcze jedno. Oto że nikt tutaj, w tym całym kraju, od Giewałdowej tysiąckrotnie roz-

leglejszym, nie zrozumie i nie odczuje tego, co on tu czuje właśnie. Dla nich istnienie tego wszystkiego było oczywistością. Dla niego to wszystko nie istniało przez bitych sześć lat. W ogóle nie było. Teraz jest. Oni nie wiedzą, co to znaczy, co to może znaczyć, że tego nie było. On w i e. Myślą przerzucił się naraz do światów, które stąd, z Giewałdowej, wydawały się tak nierealne, jak Giewałdowa była nierealna z nich. Był naraz w Cupar i w Scarborough, i w Meppen. Był na „krzyżówce” i w Lingen, i w Oberlangen. Był w Perth i w Plélan Le Grand, i w Aberfeldy, i w Kirkaldy. Odnajdywał niezliczone, zagubione po świecie całym stacje męki wygnańczej. Tam zostali ci, co by go zrozumieli teraz, dla których tak samo świat od nadmiaru Paryżów, Normandyj, Italij, fiordów narwickich i innych paskudztw zwęzał się naraz do jakichś Wólek i grajdołków Mickiewiczowskiego pacierza o „Litwie, ojczyźnie mojej”. Oni, od których odszedł, oni by wiedzieli. I poczuł się naraz im, od których odszedł, niewymownie bliski — a od tych, których tu już widział, niewymownie daleki.

Przypomniał sobie pierwsze dni po przybyciu, Warszawę, drogę z Warszawy, Kraków. Rozmowa następowała po rozmowie i każda się zacięła. Pamięta, pytał go jeden major, dlaczego właściwie wrócił i jakie ma zamiary, i kogo znał na emigracji? Pamięta słowa: „No, w y ś c i e wojnę przegrali.” Pamiętał znajomego: „No, ale pan miał szczęście, nie każdemu tak było, wy londyńczycy w ogóle jesteście szczęśliwcy, ale to, że pan przyjechał, to pan frajer; nie mógł się pan w Kanadzie jakiejś urządzić?” Pamiętał w ciężarówce za Radomiem: „Że wy z emigracji zawsze pytacie o ten Wrocław i Szczecin, chyba nie wiecie, że to tylko na sześć miesięcy, potem Niemcy wrócą, pół Niemiec będzie republiką sowiecką, a druga połowa monarchią z Wittelsbachami jako anglo-amerykańskie kondominium, Churchill mówił przez radio.” „To

nie mógł się pan tam jakoś urządzić, musiał pan wracać?” „Ho! ho! ale forsyście brać musieli na tych londyńskich posadach?” „Co mi pan tu będzie mówił o szukaniu porozumienia, ja ruskich znam, a pan nie; to bydło, panie, bydło, tylko czekajmy, aż tej bomby atomowej więcej narobią zakłady Forda, zobaczy pan do wiosny.” „Ja to tylko takich z emigracji do kraju bym wpuścił, co to byli i pod Narwikiem, i pod Tobrukiem, i pod Monte Cassino: był pan tam?” Tomasz nie był — o czymże to świadczy? — ani pod jednym, ani pod drugim, ani pod trzecim. Był, prawda, pod Montbart w czerwcu 1940, gdy niedozbrojona brygada pancerna osłaniała francuski krach. Wylądował potem na brzegu normandzkim w 1944 r., brał udział w przełamaniu pod Falaise. „Był pan choć ranny?” „Dziewięć miesięcy leżałem w szpitalu” — tłumaczył spokojnie Tomasz. „W szpitalu? O! Myśmy tu, panie, szpitali nie mieli!” (Rozmówca, który tak miażdżył Tomasza, zresztą nie leżałby w szpitalu, gdyby szpitale i były. Był na tyle rozsądny, żeby sobie znaleźć dwie „treuhänderki”, i niezgorzej się dorobił na mieniu żydowskim.) Ale o tym wszystkim Tomasz jeszcze przecie nie wiedział. Skądże?

Siedział dalej nieruchomo przed domem, niżej nieco od domu, na tym stoku olbrzymim, który od lasów arcyksiążęcych spływał ku dolinie Łężny. Przemierzał myślami te pierwsze dni powrotu. Rozmowy, które się nie kleiły, uściśki dłoni, które się rozmijały, słowa, które nie rozumiały się wzajem. Ludzie ci byli zwolennikami nowego porządku lub jego zaciekłymi wrogami: ale to było dla niego jedno i to samo. Nie rozumiał ani tych, ani tamtych. Przypomniawsobie słowa pułkownika Hutnika. Był to dwójkarz, wielki dwójkarz, pułkownik Hutnik, ale człowiek niemal inteligentny i osobiście dosyć przyzwoity. Wezwał Tomasza przed jego odjazdem. „Ma pan prawo robić, co pan chce, panie kapitanie, ale grubo się pan zawiedzie. Grubo. Nikt was tam w kraju nie chce! W armii będą się jak ognia

bali tych z Zachodu; w społeczeństwie nie będą rozumieli, po coście wracali. Będą wszędzie patrzeć na was jak na konkurentów. Tam już najlepsze posady pozajmowane, i to przez ludzi nieskończenie mniej umięjących od was. Panie kapitanie, upewniam pana, że nawet na placówki dyplomatyczne będą posyłani ludzie, którzy o Francji czy Anglii, czy Ameryce mają mniej pojęcia niż pański strzelec przedni z czołgu!” Tomasz powiedział, że mu o posady nie chodzi. „Ha, przekona się pan sam — mówił pułkownik Hutnik. — Ze swym wyszkoleniem, wiedzą, będzie pan tam wyrzutem dla tych, co lepsze zajmą miejsca.” Tomasz nie miał możliwości sprawdzenia, czy całość wywodów pułkownika odpowiadała prawdzie. Ale pierwsza część odpowiadała jej już na pewno.

Pamiętał ową jazdę ciężarówką do Krakowa, rozmowy po drodze o dolarach, o Żydach, o „szabrze”, o łapówkach, śliskie, lepkie błoto tych rozmów, czasem zaczerwienione krwią, zawsze cuchnące moralnym kałem. Pamiętał jakieś spryciarskie śmiechy porozumiewawcze, jakieś wzniosłe pogardy, jakieś zuchowate cwaniactwo. Mówił sobie, że nie mogło być inaczej po tym, co było, że musiało być właśnie tak, a nawet znacznie gorzej, że dobrze, iż jest tylko tak, jak jest, ale... Ale było mu trudno. Prowincjonalni znawcy zagadnień światowych tłumaczyli mu, że Ameryka, że Anglia, że bomba atomowa, że na wiosnę, a on, który tam był i patrzył, wiedział, jak ponurą bzdurą, jak szkodliwym kłamstwem jest to wszystko, co sączyło się z mózgownic tych ciemnych prowincjonalnych Bismarcków. Ale wytłumaczyć im nie umiał: uśmiechali się tylko z kpiącą wyższością. Nad jakimś rozbitym mostem wtajemniczano go, że mosty są rozbite, bo NKWD nie pozwala mostów naprawiać — to pan nie wie? A orać nie warto, bo od stycznia będą wszędzie kołchozy! No, a od kwietnia — niech się pan domyśli? Pan rozumie: Truman.

Droga na Kielce była rozmokła, spadły bowiem pierwsze jesienne deszcze, i mialkie błoto chlapało wysoko, obryzgując jadących ciężarówką. Cały w tym błocie podwójnego rodzaju wjeżdżał Tomasz w ulice Krakowa. Nie, nie mógł politycznie ani życiowo, ani w żaden inny sposób odnaleźć wspólnego języka. Wysłuchiwał godzinnych opowiadań, jak to kto co przeżył w obozie tym czy innym; i pamiętał, jak tamci, jemu bliscy, nauczyli się nie mówić o swoich przejściach, jak żartowali kiedyś w pułku, że o Narwikach i Tobrukach będą najwięcej mówili w Polsce ci, co naprawdę przeżyli je w głębi londyńskich schronów. Rodacy wydali mu się naraz krzykliwi, gestykulujący, hałaśliwi. Przypomniał sobie zgrozę powściągliwych Anglików, gdy latem 1940 roku, po upadku Francji, lądowała w brytyjskich portach polska ferajna. „Na nas patrzyli tak, jak ja patrzę na nich” — orzekł.

Przypomniał sobie dom rodziców Sheili, taki właśnie cichy, w niejakim Bridgenorth, nad niejaką rzeką Severn, w dalekim, stąd nierealnym Shropshire. Bridgenorth nie umywało się do Giewaldowej. Gdzie tam Severn do Łęcznej! Chociaż... Ale dla niego było tak właśnie, że ani się nie umywały. Tak. Ale oto teraz uświadamiał sobie, że rozmowy z ludźmi z Bridgenorth i skądinąd układały mu się lepiej. Byli jacyś powściągliwsi i mniej wścibscy, i mniej pewni, i cichsi jacyś; William, który pod Dunkierką stracił nogę aż powyżej kolana, mówił tylko: „*O, it was just a mistake.*” Wstydział się, że porównywał, ale tak było. Pamiętał swoją rozmowę z Sheilą, gdy szli do Ludlow, jak stanęła i jak się zapytała, czy myśli, że ta w Polsce jest mu wierna? I jak powiedział, że wie, iż cokolwiek by było, myśli o niej jako o swojej, o jego, i że dlatego jest mu trudno z Sheilą. Pamiętał, jak się zachnęła — *oh, then it's o key, all right* — i że nie to miała na myśli. Ale wiedział w t e d y, że właśnie to miała na myśli, a teraz wie, że mu nie wierzyła. Mój Boże! Ileż dziewczyn angielskich

pamięta, których chłopcy byli daleko na wojnie, a one tymczasem brały sobie polskich chłopaków. To było takie powszechne; takie proste; takie — zdawało się wreszcie — mój Boże! — naturalne. Naturalne dlatego, że widziało się to tak często. Dlaczegożby polskie dziewczyny miały być lepsze, to jest — inne? Musiały być takie same i to należało do praw i skutków wojny. Po prostu. Nie inaczej.

Przed nim w dole leżała szeroko Giewałdowa. Patrząc na nią raz jeszcze, Tomasz uświadamiał sobie jedno. A raczej jedno jeszcze wygrzebał z pamięci: leżą na pryzkach w węgierskim obozie — Lengyelfalloda — i Stankiewicz roi, jak to będzie, kiedy ich brygada będzie wjeżdżała na czołgach do Warszawy. Od Okęcia, Alejami Jerozolimskimi. Rozumiecie? Najdalej w lipcu, lipcu 1940. To dopiero będzie! Przez środek Warszawy. Warszawy. I wtedy on, Tomasz, uświadomił sobie nagle, że wcale o Warszawie i defiladzie w Warszawie nie marzy. Ale oto w ów mokry wieczór listopadowy, w węgierskim obozie internowanych w Lengyelfalloda, w roku 1939, Tomasz wyśnił sobie swój własny sen o końcu wojny. Naiwny sen. Oto wkraczają do Polski, jak z niej wyszli, od południa. Od Karpat. Na tę Lengyelfalloda i na Giewałdową. Jego szwadron jest właśnie na szpicy, jego pluton pierwszy. Tomasz otworzył klapę wieży i берет czarny zsunął z czoła, słuchawkami do głowy przydusił. Czołgi wwalają się w wieś, gdzie każda ściana znana, każdy opłotek swój i głos każdy... Karczma starej Toporowej... Kościół... zakręt... most. To było dla niego Okęcie, Narutowicza, Dworzec, Aleje!

Leżąc w szpitalu po Falaise, czytając dokładniej gazety angielskie, Tomasz doszedł dawno do przekonania, że taki sen się nie ziści. Nie będzie ani parady w Warszawie, ani przemarszu Giewałdową. Trudno. Może i lepiej, osądził Tomasz, niż byśmy mieli na naszych uczciwych, głupich

żołnierskich barkach przynieść do kraju z powrotem te wszystkie stare wszy, z których się Sikorski otrząść nie zdołał? Może i lepiej... Trudno. Ale stworzył sobie namiastkę tamtego snu. On wróci! Sam, w mundurze swoim, przyjedzie do Giewaldowej, góralskiej ojczyzny najbliższej. Pamięta, jak go przyjmowali, gdy z egzaminami uniwersyteckimi wracał; i gdy w podchorążówce dostał szablę od Prezydenta; co to pisał aż Jalu Kurek w „IKC”. I teraz nie mają się co go wstydzić. Niech kto powie, że górale szli na folksdojczów! I w szarych pokojach szpitala w Ormskirk, w nudach długich, wypracował sobie ten sen. Przyjedzie autobusem od Nowego Targu. Wyjedzie z Krakowa rano, aby dojechać po południu. Ale nie wysiądzie z autobusu w samej Giewaldowej, przed plebanią, tylko na pół kilometra przede wsią, o, przy figurze Jana Kantego właśnie. Będzie szedł sobie powoli, jako, że kuleje, i jakby nigdy nic. Poznają od razu. Mundur. Takiego nie widzieli. Będzie szedł, będą wypadać przed domy, ręce załamywać, zapraszać, a on nic, że owszem, że jutro, że dziś strudzony, i jak tam krowy, i jaka dziewczyna za męża poszła, i z Ameryki do kogo pisali? I wie, że będą szli za nim i będzie ich coraz więcej, i będzie się miało ku zachodowi, i skręci pod górę dróżką, a tam Zośka. A ona już wyjdzie, bo chłopaki pogonią przodem powiedzieć, a on tylko: „No co, Zośka? a mleka tam masz, żebym się ja napił? Dawnom nie pił naszego mleka. W Anglii ono nie takie...”

W dole dzwon kościelny ugrzęzły w lipowych koronach począł naraz dzwonić. Tomasz pamiętał dzwon. Pamiętał, jak z chłopakami rozhuśtywał go w rezurekcję, aże w Skoczowicach było słyhać. Wiedział, czemu dzwoni. Odgadnął. Przypomniało mu się, jak dzieckiem szedł za dziadem, Tomaszem także, który orał, i jak spędzał ptactwo lecące za pługiem, i jak dzwon bić poczynał o południu

i dziad stawał, zwracał się w stronę kościoła i mówił pa-
cierz, a on, mały, powtarzał za nim. I teraz bezwiednie
mówić począł:

Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi
I poczęła z Duchu Świętego...

Oto ja służebnica Pana mojego,
Niech mi się stanie wedle słowa Twego...

Ale nie powtarzał tego jako modlitwę ani się nie mo-
dlił. Był to jeszcze jeden nit, który go zespałał z tym
wszystkim właśnie wtedy, gdy inne odpadały.

Błogosławił los, który kazał mu przyjechać nie autobu-
sem — jakie tam autobusy, och ty, londyńczyku! — ale
sowiecką ciężarówką, i nie w dzień, ale późnym wieczo-
rem. Nie triumfu uniknął, lecz sromu. Po prostu sromu.
Wiedziała cała wieś. To, co mu matka Zośki rzucała teraz
w twarz, rzucałyby mu uśmiechy, niedomówienia czy
wprost brudne, zuchwałe słowa. Taki byłby twój wjazd
do Giewaldowej, londyńczyku! O, jakże dobrze, iż osłoni-
ła go litościwa i ciemna noc! Jednakowoż miłosierna jest
Opatrzność. „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi...”

Jedli obiad w milczeniu, jak dwie strony wypoczywa-
jące po walce. Była zacierka i kura, i placek ze śliwkami,
był nawet cukier, i przy tym placku teściowa powiedziała,
że cukier od Zośki. Nigdzie nie ma cukru. Zośka przy-
słała. Zawsze pamięta. Ale Tomasz nie podjął rozmowy
na temat zapobiegliwości Zośki.

Przez okno, jak podczas porannej rozmowy, kiedy naraz
cały ten wrzód wyciekł, lśniła dalej rozległa przestrzeń,
z garbami górskimi i lasem na horyzoncie dalekim. Bliżej,
na pierwszym planie obrazu, sterczały głowy słoneczni-
ka i różowe dzwony paru malw. Powietrze było mniej
mgliste. O tej porze stanowiło raczej pustą przestrzeń niż
jakąś zwiewną mlecznożłotą substancję. Niemniej pozostawał

stawało dalej owo poranne wrażenie, że tuż za tym oknem świat się urywa, leci w przepaść, że przepaść jest za tym oknem. Ale teraz przepaść stawała się czymś groźnym. Było nim istnienie tam w dole — Giewałdowej, owej utęsknionej ongi Giewałdowej. Giewałdowej, która wiedziała. Po raz dziesiąty i setny Tomasz dziękował mocom niebieskim czy ziemskim, które sprawiły, że jego przyjazd tutaj osłoniła noc. Powoli jednak inne uczucie przenikało poprzez to uczucie wdzięczności. Tomasz zdał sobie sprawę, iż przyjdzie mu wreszcie zejść do Giewałdowej. Trzeba będzie zejść tą dróżką na gościniec, pójść na plebanię do starych Satarów, do Bylinowej, do Wawrzątków, do Solików, do Rachwałów jednych i drugich. Pamiętał Kostroniową, starą plotkarkę i jędzę — nie śmiał pytać matki, czy żyje, domyśliłaby się, o co mu chodzi, pewno żyje zresztą, takich jędz prędko czart nie bierze. Pamiętał Hankę Świebodziankę, z którą chadzał na porębę na maliny i na dansingi do Stalca w Szamrowej i która się miała ku niemu i na niewidziane jeszcze znienawidziła Zośkę. Przypomniawszy sobie Wawrzątków — to byli zawistnicy, Wawrzątki. Przed tamtą wojną, cesarską, za ojca, byli najbogatsi we wsi, potem to wszystko na nice się rozeszło. Jak on, Tomasz, i jego brat, Adam, robili postępy w szkołach, matka Wawrzątków mówiła: „Moje syny są panowie gospodarze, im tego nie potrzeba.” Zazdrościła Adamowi jego inżynierstwa, Tomaszowi jego słynnej prezydenckiej szabli. Wydymała wzgardliwie usta. „I co w tym takiego? Wsunęli w Warszawie do ręki komu trzeba było, to i dostał. A mój na jego szablę podatki płaci.” Mógł sobie wystawić, z jakim radosnym chichotem opowiada teraz po wsi. „Moje synowe, prawda, gospodarskie tylko córki, nie z miasta wywłoki, ale na siano z każdym przyjezdnym nie leżą.” Giewałdowa zaludniła się naraz masą twarzy znanych, których reakcje odgadywał. Za oknem czał się cierniami najeżony świat.

Po obiedzie matka zaproponowała, aby położył się nieco. Po tamtej nocy dobrze mu to zrobi. Tomasz przyjął chętnie tę radę. Wybawiała ona od kłopotliwych wizyt w Giewałdowej, pozwalając odwlec jeszcze o parę godzin, może do wieczora, może nawet do jutra — przykrą chwilę zetknięcia. Zwalniała go zarazem od rozmów z matką żony. Poszedł do siebie. Był to pokój dwułożkowy na parterze, od południowego zachodu i od lasu. Z lasu zachodziła wilgotna świeżość, zapach zgniłego drzewa i świerczyny; nie czuło się, jak od frontu, niewidocznej a nieustannej obecności Giewałdowej. Było natomiast pełno rzeczy przypominających Zośkę i ich krótkie przedwojenne pożycie. Łóżka były zasłane kilimami, weselnym darem, w kącie stała Zosina wyprawna komoda, miejski intruz w tym drewnianym domu. Była półka z jego książkami. Aby zabić myśli, sięgnął po prostu po któryś z tomów Sienkiewicza. Po paru stronicach natrafił naraz na wiersz czy pieśń raczej, śpiewaną na czyimś odjeźdźnym. Pieśń staroświecka mówiła:

Znajdziesz po wojnie, nieboże,
znajdziesz po wojnie
pustkę z powrotem w komorze,
ran w skórze hojnie...

Skrzywił się i opadł w zły, zmęczony sen.

Obudziło go wycucie, zwierzęce, góralskie i żołnierskie, że nie jest sam.

Ocknął się z odrętwienia i skoczył z łóżka. W tym samym momencie od framugi okna poodrywały się w pośpiechu czyjeś ręce, zatupały jakieś śpieszne kroki. Gdy dobiegł do okna, tylko dzikie wino, bujnie tu teraz obrastające, chwiała się wkoło ściany i w krzakach leśnego poszycia mignęło jakichś paru wyrostków. Chciał huknąć na nich, ale już znikli.

Zrozumiał.

On nie poszedł do Giewałdowej, ale Giewałdowa przyszła do niego. Chcieli mu zajrzeć w oczy, widzieć go teraz w tym stanie. Podpatrzeć. O, właśnie!

Narzucił na siebie cywilną kurtkę i wyszedł przed dom. Musiała już być blisko siódma, bo cała wieś i dolina Łężnej przeciągnięta była sinym, ostrym cieniem. Tylko dzwonnica i głowy lip osypywały się jeszcze rudawym złotem, i gościniec za mostem, gdzie biało wybiegał pod górę. Łężna w dole była stalowosina, nie błękitna, miała prawie czerń oksydowanej stali. Wieś w tym cieniu była jakaś złowroga. Tomasz począł iść ku niej stokiem, w dół, zdecydowanym krokiem. W połowie drogi zawrócił. Szedł wolno teraz, spokojnie, jak człowiek, który naraz powziął decyzję. Póki jej nie był powziął, szamotał się i męczył. Teraz już jest spokojny. Wie.

Odczuwał w tym wreszcie nawet niespodziewaną ulgę i grzął w tym planowaniu jak człowiek zmęczony i zgrzany w chłodnej, miękkiej wodzie. Obmyślał to, leżąc owej nocy, w szczegółach, dokładnie. Ta dokładność właśnie rodziła ulgę. Przypominała mu dwa, niedługie zresztą, okresy, kiedy był adiutantem dowódcy pułku. Był to pułk czołgów. Pierwszym rejonem operacji były ugięte falizny Falaise normandzkiej — jesień; drugim — kanałami pocięte laski holenderskiego Brabantu pod Bredą. Wczesna wiosna. Pierwszym jego dowódcą był stary, z Polski jeszcze żołnierz, który został tam pod tym francuskim Falaise i śpi snem wiecznym na białym polskim cmentarzu w Langannerie. Drugim był młody, rączy, porywczy tamtego następcą. (Gdzieś z pułkiem, o tej porze, czeka angielskiego zmiłowania na „krzyżówce” pod Meppen.) Ale przygotowanie bojowe było zawsze to samo. Tak samo wyliczano zawsze ilość benzyny i smarów, jaką spiją silniki czołgów, tak samo wyliczano kilometraż i nasilenie

ognia, i ilość, i gatunek pocisków. Wojna czołgowa była rzeczą dokładną i planową. Uczyła metodycznego myślenia. Jak to uczono na wykładach w Aberfeldy? *Step by step*. Tak. Krok za krokiem. Leżąc na wznak owego wieczoru i nocy Tomasz układał swój plan operacyjny tak samo. Krok za krokiem. *Step by step*. Przypomnił sobie, jak sam, jako wykładowca dla nowych, przydzielonych do pułku żołnierzy, rozkładał na części sławetną „bizę” — karabin maszynowy czołgu, kładł część po części, tłuste od smaru, na przygodnym stole, po czym, o krok cofnięty, żądał od tamtych, by złożyli je z powrotem. Na czas. Tak. Z tym było trochę podobnie. Tak samo — z różnych porozkładanych czynników — układał sobie teraz całość swego planu.

W planowaniu tego, co się w wojsku nazywa *ordre de bataille*, w układaniu tego, co przepisowo należy do szkoleniowych ćwiczeń, względy moralne, rzecz prosta, nie istnieją. Jakież adiutant pułku, kalkulując ilość amunicji na jutrzejsze zadanie lub wypisując czy wytelefonowując odpowiednie zapotrzebowanie, kłopotce się myślą, że pewna część tego wszystkiego skróci o pewną ilość lat trwanie czyichś tam istnień? Żaden. Oblicza się to jak ilość paliwa, taśmy do maszyny czy krzeseł potrzebnych na doroczne posiedzenie rady szkolnej powiatu. Czy ucząc sztuki składania i rozkładania karabinu maszynowego typu BES jakikolwiek instruktor zastanawia się nad tzw. związkiem przyczynowym, który, mówiąc wciąż stylem pp. instruktorów, może w przyszłości zaistnieć pomiędzy funkcjonowaniem, czyli współdziałaniem poszczególnych części tejże „bizy”, a czymś indywidualnym życiem? Byłby to niezawodnie bardzo roztargniony instruktor. Co jedno ma do drugiego? Tak właśnie było z Tomaszem. Plan swój układał teraz i składał z części niejako technicznie. Był to, jak obliczenia przed zadaniem czy składanie karabinu maszynowego, problem czysto techniczny. Wszelkie inne wzglę-

dy, że tak powiemy, nie istniały tu wcale. Problemem było, jak wydostać się z Polski do tzw. brytyjskiej strefy okupacji Niemiec. Problemem było, jak z niej z kolei wydostać się do samej Wielkiej Brytanii. To drugie było już mniejszym zresztą problemem. Po tym szły dalsze już, mniej aktualne problemy. Będzie jakaś demobilizacja. Bridgenorth. Sheila.

Owej nocy, przy świetle lampy naftowej, odczytywał sobie jeszcze list jej ojca. „*Dear Thomas* — pisał ów ojciec — jedziesz więc do Polski. Byliśmy pewni, znając Cię, że tak zrobisz. Myślę, że nie pogniewasz się jednak, jeśli poproszę Cię, abyś pamiętał, że masz w Bridgenorth bliskich i oddanych Ci ludzi, w razie zaś, gdybyś wskutek niemożliwych do przewidzenia okoliczności nie mógł w Polsce mieć domu, masz go tu zawsze, jakieś go miał tej zimy ostatniej!” Spośród innych papierów dobył teraz Tomasz ten list i czytał go w gorącą noc giewaldowską, w nocnym brzęczeniu komarów. Charakter pisma ojca Sheili był twardej, wyraźny. Pisał, co miał na myśli. Pisał może mniej, niż miał na myśli. Tomasz pamiętał starego, jak odprowadził go do furtki po dróżce wśród ogródka, żwirem wysypanej. Dalej uliczka szła w dół, ku przystankowi autobusowemu do Wolverhampton, ku kamiennemu mostowi na Severn i staremu domowi, w którym, wedle napisu, miał się urodzić trzysta lat temu z niczego nie znany Tomaszowi, ale widać swego czasu sławny biskup Perthy. I głęboko wryta Severn zapachniała naraz Tomaszowi po społu z ciemnymi włosami Sheili.

Nie żeby się naprawdę kochał w tamtej, nie. Sheila oznaczała spokój. Oznaczała spokój od tego pierwszego dnia, kiedy zjawiała się w sali szpitalnej Appeley Park, o cztery mile od Bridgenorth, pańskiej rezydencji zamienionej na jeden z trzech tysięcy szpitali Wielkiej Brytanii. Sheila oznaczała spokój. Sama była spokojem. Dom Sheili w Bridgenorth oznaczał także spokój i wieczory

wiosenne nad Severn, w dolinie bukami poroślej, oznaczały spokój i wszystko wkoło było spokojem. Po co się stamtąd wyrwał? Nie musiał. Była tu Zośka. Czy Tomasz kochał Zośkę? Kiedyś — zapewne. Ale potem, kiedy pokładły się między nimi długie lata rozłąki. Zośka to było to coś własnego, co gdzieś jest, jakoś trwa, do czego się wróci. Baza, od której samolot odpłynął w walkę i noc, ale która gdzieś jest i do której się wróci o świcie. Punkt stały w tym najbardziej niestałym ze światów. Było rzeczą tak prostą i naturalną, że się po Sheilę wyciąga ręce i przychodzi — i że się do Zośki wraca. I było takie pewne, że Zośka jest, nawet gdyby nie było Polski. Tymczasem Polska jest inna — i Zośki nie ma.

Był teraz nachylony nad tym swoim powrotem jak nad mapą. Jak z mapy zeń czytać umiał. Pamiętał indagacje tego majora, pamiętał inne dziwne rozmowy. Czy był potrzebny tu komu? Nie był. Był własnym duchem, zjawą po sześciu latach niebytu. Miejsce, które mógł mieć, zajęli mu inni. Zośka była tych innych i wszystko, i dom ten nawet był bardziej teściowej niż jego. Był dla tych wszystkich człowiekiem, który odszedł, gdy zwała się burza, i wraca, kiedy deszcz w kałużach osycha. Rozeszły się jego drogi i drogi tego kraju, i drogi tych ludzi. *A stranger*. Tak, obcy. W Bridgenorth by obcym nie był. Z tamtymi przeżył właśnie owych lat sześć, tych samych, którymi od tych odstał. Długich sześć lat, trudnych sześć lat. *Oh, Tom, how are you today? Isn't the deather fine? Back again?* Tak byłoby w Bridgenorth. Tak będzie.

Obmyślił wszystko szczegółowo i metodycznie. Nie, nie pojedzie na północ, na Berlin, lepiej mu jechać sowiecką strefą, lepiej jechać na Czechy i do Amerykanów. Znał w Koburgu oficera łącznikowego. I w Bad Nauheim. I w Etreb. To nie jest żaden problem. Nie będzie problemu również z przedostaniem się do Anglii. Od czego urlopowe karty? I tak był w szpitalnej ewidencji ośrodka

w Montrose; nawet śladu nie będzie w aktach. Pobory posyłali na „Barclay's Bank”. — Sheila. — Zasnął.

Musiało być późno już, gdy się obudził. I znowu obudził się z tą niemiłą świadomością, że nie jest sam. Nie poruszył głowy, ale otworzył oczy i nimi tylko rozejrzał się po pokoju. Dostrzegł. W oknie, w obramieniu dzikiego wina, beczelnie wdzierającego się do wnętrza, czerniały dwie głowy wiejskich chłopców. Dwie pary rozwartych ciekawością oczu. Znowu! Zerwał się. Głowy jak zdmuchnięte znikły. Tylko chwiało się dzikie wino w oknie.

„Gdyby nie noga — myślał Tomasz — gdyby nie ta noga, dałbym im. Jeszcze tylko ich trzeba.” I zwłókł się na śniadanie.

Kochańska zrozumiała sama, po książkach Tomaszowych wybieranych z półki, po milczeniu, po pakowaniu. Po tym dniu była jakaś cicha. Pytała tylko, czy chce, aby mu wynaleźć furmankę i na kiedy. W Śmigławej już są sowieckie albo i nasze, wojskowe auto się trafi, 12 kilometrów. Odparł, że wieczór albo rano, na rano, ale zawczasu. Zrozumiała. Co się ludzie mają gapić? Pomyślał o tych chłopcach.

Weszła do niego, gdy się pakował, koło południa.

— Kuraki ci się piekom na drogę — oznajmiła.

— Kuraki? Dziękuję mamie.

— To już jedziesz na dobre, co?

— A co mam tu zostawać?

Kochańska kiwnęła głową, jakby uznawała ów brak racji. W progu zawróciła raz jeszcze:

— A Zośki już nie zobaczysz?

— A po co?

Kochańska zaniemówiła znowu, jakby raz jeszcze przyjmując ten brak racji. Ale spytała jeszcze:

— Mam jej co napisać? Powiedzieć?

Nachylony był właśnie nad walizką. Znad niej podniósł głowę:

— Niech żyje sobie. Jak może, jak i z kim chce. Niech jej tam będzie dobrze.

Kochańska nie rzekła już nic. Na obiad były istotnie kurczaki z mizerią i młode ziemniaki. Za oknem, nad Giewałdową, w dole, zawisł błękitny jesienny dzień. Był wszędzie wielki spokój i już nie było więcej mowy o Zośce.

Poszedł po obiedzie pakować resztę swych rzeczy, wypchał nimi bez trudu plecak i fibrową walizkę. Przebierał powoli książki, ojcowskie jeszcze i własne, kupowane na spłaty rozliczne u Trzaski i Everta, Wegnera, Gebethnera i Wolffa. Książki przetrwały lepiej niż kobieta. Miał całą swą nauczycielską biblioteczkę, zbieraną z trudem, klasyków „Biblioteki Narodowej”, wydawnictwa Związku Nauczycielstwa Polskiego. (Tomasz należał kiedyś do jego aktywnych prowincjonalnych działaczy.) Z książek, których nikt nie otwierał przez te lata, wypadały karty, jakieś wezwania do zapłaty nie uiszczonych składek, jakieś zaproszenie na zebranie organizacyjne „Ozonu”, zawiadomienie o czymś tam ślubie. Tomasz kucnął w rogu pokoju przy tych książkach, czytał. Był tu w półcieniu, choć prawie pod oknem. Zagłębił się właśnie w jakimś tomiku Mochnackiego, z jego, Tomasza, dopiskami na marginesie, kiedy naraz poczuł czyjąś obecność w pokoju. Pierwszym jego odruchem było znieruchomienie. Tomasz znieruchomiał czujnie, jak pies gończy tropiący zwierzynę. Jakieś szelesty ledwie dosłyszalne sprawiły, że ta obca obecność stała się wyrazistsza. Pewniejsza. Wtedy dopiero z wolna podniósł głowę. Popatrzawszy zrozumiał.

Przez okno, to drugie, od niego dalsze, wścibiały się w pokój trzy — nie — cztery głowy chłopiące.

Okno było od południa, więc na te głowy i na ich włosy jasne lała się tak zwana przez literatów słoneczna patoka i naprawdę było to coś, co się lało i skapywało im na czoła strugami jasnego włosa. Pod tym włosem jasnym, jak ze

Stryjeńskiej, cztery pyszczki wysuwały się w pokój ostrożnie jak różki ślimacze. Było to wszystko robione wspólnie i jednocześnie i Tomasz pomyślał, że jeśli odezwie się teraz czy chrząknie, to cztery głowy jak jedna znikną z okna. I gdyby nie widział ich tak z boku, to by wykonał taki właśnie ruch. Widziane tak właśnie, w jego położeniu, na tle cienia jodłowych ścian pokoju, twarze tych czworga dzieci — tak, to były dzieci jeszcze — sprawiały dziwne wrażenie. Tomasz przez te lata widział różne dzieci. Francuskie, angielskie. Z nauczycielskiego nawyku lubił wszelakie brzdące. Widząc tę czwórkę, tak z profilu, uświadomił sobie, że takie włosy i nosy zadarte, i jasno wyślepione oczy mają tylko dzieci nie widziane przez niego od lat sześciu. Jeśli działały na niego w sposób dziwny kartki i zapiski odnajdywane w zapomnianych książkach, to cóż dopiero żywi ludzie, gnomkowie zabawni, wspinający się oto po obramieniu okna, z dzikim winem po społu? Stęzał w swym kącie jeszcze bardziej i patrzył. Przez chwilę myślał nawet, że oczy chłopców, nawykłszy zwolna do półmroku, dojrzą go łatwo. Ale oczy chłopców były zwrócone bardzo wyraźnie w jeden punkt na ścianie, tuż nad łóżkiem Tomasza. Widziały tylko ten jeden.

Tym jednym punktem był rozwieszony Tomaszowy mundur.

W tym momencie Tomaszem targnęła jeszcze jedna z jego śmiesznych, wewnętrznych iluzji. Tak, był to piękny mundur Tomasza. Nie był to zresztą jego normalny battle-dress, mundur bitewny i polowy, mundur spod Falaise, Jort i Chambois. Był to jego paradny, „wyjściowy” mundur; nawet mało używany. Przerabiał go krawiec w Edynburgu, p. Pallman, który „zaraz po wojnie” chciał wrócić do Polski i który szył angielskie mundury „po polsku”, to jest z pogardliwym gwałceniem wszelkich przepisów oszczędnościowych. Pan Pallman wiedział, gdzie mundur miał być wcięty, a gdzie nie, jak mają być wpuszczone

haczyki do pasa, jak mają być przyszyte odznaczenia. a jak proporczyki. Kręcąc się swą małą, tłustą postacią wokół swych postawnych klientów, pan Pallman z rozrzewnieniem wspominał dzień, kiedy szył mundur na pewnego pana generała Maczka, i zapewniał, że ten przez niego szyty mundur pana generała Maczka będzie kiedyś „powieszony w muzjeji”. Tomasz nie myślał o tym, aby jego mundur galowy także zawisł w „muzjeji”. Ale był to, sekretnie. jego mundur do Polski, do Zośki. Teraz czterech chłopaków z Giewałdowej patrzyło z okna na ten mundur.

— Józek?

— Tss... A co?

— Ten pierwszy to jaki?

— Abo nie wiesz? Wirtuci!

— Ten czarny z niebieskim?

— A no!

W pokoju zrobiło się cicho, jeszcze ciszej, niż było przedtem. Tomasz zaczęło coś naraz ścisnąć głupio pod gardłem. Ale po chwili trzeci głos zagadał:

— A ten drugi? Biały z czerwonym.

— Amarantowym, nie czerwonym. nie widzisz? Takie coś to się nazywa amarant. Krzyż Walecznych.

— A te skuwki jakieś na nim?

— Okucia, nie skuwki. Podwójny Krzyż Walecznych. I potrójny.

— Jej... A tamten?

W oknie zapanowała niepewność. Przerwał ją po chwili ten sam głos, ale mniej stanowczy:

— To chyba jakiś amerykański... Albo angielski...

Głos poprzedni podchwycił z pokorną radością:

— To ty nie wiesz?

— A co, ja mam może wszystko wiedzieć, mógłbyś i ty co wiedzieć sam, no nie?

— Nie kłóćta się! Posłyszają.

Znowu zapadło milczenie. W obramieniu winogrodowych liści cztery głowy dziecięce wpatrywały się w mundur na ścianie. Było gorąco, cicho na dworze, jak w czas popołudniowej spiekoty, i w tę cichość zapadał szept uwieszonych u okna dzieci:

- Józek!
- Stul pysk, szczeniaku!
- Sam szczeniaku!
- Tylko spróbuj...
- No, no...
- Będziecie wy ciszej... Nigdy więcej z wami nie pójdę...
- Oho...
- Nigdy!
- A zobaczysz, że pójdziesz. Bez ciebie pójdziemy...
- Beze mnie? Kto tu dowodzi? Skreślę was z listy, Pięta! Stale jesteście niekarni. Zliżć mi z tego okna!

Groźba zrobiła swoje. Świegot ludzkich wróbla ustał w tym oknie i było teraz o jedną głowę mniej. W słońcu przez okno napływającym i ściemnianym drewnianymi deskami ścian trzy głowy patrzyły dalej jak urzeczone w wiszący na ścianie nieznany mundur. Tomaszowi przypomniało się, jak on sam, w wieku tych brzdąców, stawał tak przed oszklonymi gablotkami jakichś muzeów, gdzie wisiały martwo mundury jakby żywcem wyjęte z powieści Walerego Przyborowskiego. I własny mundur wydał mu się naraz daleki jakiś i cudzy, jak tamte oddzielone niegdyś szkłem gablotek i czasem historii.

Korzystając z milczenia i zapatrzenia, czwarta głowa — owego zagrożonego tajemniczym „skreśleniem z listy” Piętaka („Ach, więc to jest Pięta, ciekawym, którego Piętaka syn?”) — pojawiła się nieśmiało w oknie. Ona to zapytała pojednawczo:

- Komendancie?
- Czegój tam znowu? — nie odwracając się zagadał

„komendant”. („Ach, więc to ten komendant; cóż to za «komendant»?”)

— Czemu to jedna epoleta czarna, a druga nie?

— Jaka ci epoleta? Nie mówi się epoleta. Po polsku to naramiennik. Porucznik Piechta was nie uczył?

Piętak przyjmował to pokornie.

— No więc ten naramiennik, jeden taki, a drugi jakiś inakszy. Carny cały...

— Może nie dowidzisz — bronił się niepewnie „komendant”. — Pewnie taki samy...

— Nie, nie, inakszy — oponował domniemany Piętak.

— Inakszy — potwierdzał pomrukiem chór.

Ale tymczasem dywersja wywołana odmiennością barw naramiennika została wykorzystana strategicznie. Rękoma oparłszy się o parapet bliskiego mu okna, Tomasz przeczucił się naraz całym ciałem na drugą stronę. Stało się to tak szybko, że nawet winograd, gęsto obrastający okno, chwiać się począł dopiero wtedy, gdy Tomasz był już za oknem i spokojnie podchodził do wczepionych w drugie okno chłopaków:

— Coście wy tu, gówniarze? Co wam to tu, he?

Łapy i grzbiety odpadły od okna. Ci, co stali za nim, dotąd niewidoczni, cofnęli się o dwa kroki i znieruchomieli. Nie było co i uciekać, tak stało się to szybko. Chłopaki i oficer zmierzyl się. Tamtych było siedmiu. Mogli mieć po dziewięć, dziesięć i dwanaście lat — a może tylko wyglądali na takich. Szarymi oczyma polskich dzieci patrzyli w oczy Tomasza — oczyma zadziwionymi, ciekawymi. Oficer, jakby nie widząc, pytał:

— No? Coście wy tu za jedni? Co tu łazicie, gówniarze?

Powtarzał to słowo z rozmysłu, jakby mur jakiś stwarzał tak między nimi a sobą. Czy może między sobą samym a czymś, co w nim chwilę temu rósł poczęło. Powtórzono

słowo wydało się ów mur upragniony podwyższać. Ale na raz jeden z chłopców, zapewne ów „komendant”, wyprostował się i odparł:

— My nie gówniarze, panie poruczniku. My Armia Krajowa.

— Co? — zdumiał się Tomasz. — Armia Krajowa?

Ale w tej chwili „komendant”, przywarłszy mizernymi łapami do szwów spodni, meldował dobitnie:

— Panie poruczniku, sierżant Kotlik Jan melduje posłusznie zbiórkę oddziału ochotniczego AK powiatu nowotarskiego, okręgu Giewaldowa-wieś, zwołanego na mój rozkaz na przyjazd pana porucznika. Stan i obecność 7. Baczość!

— Spoczniej — odruchowo zakomenderował Tomasz.

„Całość” wykonała komendę. Oficer teraz dopiero odczuł głupiość sytuacji. Oto z zaskoczenia, z zadziwienia „przyjął” odruchowo ten meldunek. Z nawyku, siedmioletniego nawyku, wydał sam komendę. Owo nieszczęsne „spoczniej”. Wpadł tak w tryby — jak to nazwać? — maszyny wojskowej czy fikcji? Jak bardzo wpadł, jak wdepnął psychicznie — zrozumie to tylko ten, kto przez lata całe nasiąkał liturgią wojskowej komendy. I tak stali na wprost siebie, bezradni jednak, oficer i oddział.

Tomasz, dalej bezwiednie, przeszedł się tędy i owędy. Znowuż zdał sobie sprawę, iż to czyniąc zachowuje się jak oficer przed frontem oddziału — odruchowo tak samo. Grzeźnie zatem dalej. Trzeba to było jakoś przerwać.

— Kto — zapytał — kto was uformował w oddział? — mówił.

— Porucznik Piechta Walenty — wyrecytował, jakby tylko czekając na to, Kotlik.

— Gdzie jest?

— Wzięli go do Oświęcimia — wystrzelił Kotlik. Tak jakby mówił: „został generałem”.

Tomasz przeszedł się znowu przed frontem „kompanii”.

- I co wy tu robicie?
- Czekamy na rozkazy pana porucznika — odrecytował Kotlik.
- Czyje?
- Pana porucznika!
- Moje? Dlaczego — moje?
- Pana porucznika! My, panie poruczniku, o panu poruczniku wiemy wszystko. Cała Giewałdowa wie!...
- Co?! — wrzasnął Tomasz.
- Cała Giewałdowa wie! Pan porucznik miał złotą szablę od Pana Prezydenta...
- Ach! — westchnął Tomasz. Rozumiał.
- Kotlik walił dalej:
- Pan porucznik jest z czarnej brygady, z dywizji pancernej.
- My wszystko wiemy o dywizji pancernej. Mąbar. Kan...
- Caen — machinalnie poprawił Tomasz.
- Przepraszam pana porucznika. Na drugi raz będę wiedział. Falez. Abewil. Breda. My wiemy wszystko, panie poruczniku. Myśmy mieli radio. Po jednym folksdojczu. I myśmy, jak gruchło, że pan porucznik przyjechał, i jak drugi dzień wieś cała czeka, przyszli się zameldować. Oddział AK. Całość na moją komendę ba...
- Spoczniej — przerwał Tomasz.
- Chodził znowu, tam i sam, przed frontem. Tamci czekali. Nie widział, ale czuł ich wzrok.
- A do szkoły czemu nie chodzicie?
- Nie ma — zapiszczały głosy.
- Jak to nie ma? Spalili?
- Szkoła jest. Nauczyciela nie ma — objaśniał poprawiając Kotlik. — Nie przysłali. Mieli przysłać... Nie ma nauczycieli, panie poruczniku. Co tam teraz szkoła?
- Co tam teraz szkoła? — poderwał Tomasz. Już wiedział.

I odstąpiwszy na trzy kroki, wydał naraz wojskowy, zwyczajny mu rozkaz:

— Całość na moją komendę — baaaczność!...

Dwuszereg zwarł się.

Prawie nogi zelżały w postawie. Coś wchodziło w naturalne tryby. Powtórzył:

— Bacznność!

I gdy wykonali, raz jeszcze:

— Spocznij!

Oddział leżał mu teraz w ręku. Nawykł. I teraz dopiero Tomasz zaczął mówić:

— Jako wasz dowódca, w myśl rozkazów wydanych a rozwiązujących Armię Krajową, dokonuję rozwiązania ochotniczego oddziału AK Giewaldowa, powiat nowotarski. Z dniem dzisiejszym. Jutro zaczyna się szkoła. Punkt ósma. Szkoła. Zrozumiano?

(Znowu był, jak chcieli, żołnierski.)

Małym Kotlikiem targało w środku.

— Przecie nie ma! Nauczyciela nie ma! — wypisnął i poczuł, że traci grunt. Sam z kolei nie mówił wojskowo; mówił, wbrew sobie, jak dziecko w szkole.

Tomasz odpowiadał — jak nauczyciel w szkole:

— Nauczyciel jest — objaśniał, jakby mówiąc o czymś, o czym było na ostatniej lekcji, ale klasa nie zapamiętała. — Przyjechał. Zostanie. Nauczyciel — to ja...

— Pan porucznik — nauczyciel? — niedowierzająco opierał się Piętaś.

— No chyba. Nie słyszeliście? Uczyłem w tej szkole waszej. I w starej, której nie pamiętacie.

— Aha... ojcowie mówili.

— Masz ojca?

Zapytany Piętaś wyprostował się:

— Już nie, panie poruczniku. Jak go wzięli w czterdziestym, to jeszcze nie wrócił z Oświęcimia.

„Piętaś mówił to jakby z dumą, tak, z dumą” — po-

myślał Tomasz. Tacy oni już. Więc to tak jest. Tak właśnie. AK. Ci sami. Patrzył w jasne, szare po wróblemu oczy gromadki. Takich nie było nad Severn. Takie oczy pamięta w dywizjonie na lotnisku w Northoldt i takie oczy miał Kazek, który został pod Kappelschewere. I tacy oni będą, gdy dorosną. I to już tak jest. Jedną trawę skoszą, drugą porasta. Dęby połamie burza, a spod pni zwalonych dębczaki rosną. Dębczaki.

— Kto z was tu nie ma ojca? — Zagadnął i zamilkł. Dobrze zapytał. Tylko dwoje rąk nie podniosło się do góry.

— Kiedy i gdzie? — pytał jak w rubryce.

Odpowiedzi padały zbiorowo. Litanijnie.

— Jeszcze we wrześniu...

— Jak pacyfikowali Sącz...

— Oświęcim...

— Oświęcim...!

— Buchenwald...

— Na Zachodzie...

— Podobno we Francji...

— W lesie...

Aż zamilkli.

— Słuchajcie, chłopcy — mówił teraz Tomasz głosem powolnym, tłumaczącym, nie jak na odprawie, lecz jak na pogadance. — To jest tak. Ja znałem waszych ojców. Twojego, Piętak. Twojego, Kotlik. Najswarliwszy był w klasie. Starszy ode mnie o dwa lata chyba. Poszedłem jak oni, gdy szli wszyscy. Wróciłem, kiedy trzeba było wrócić. Trzeba było wrócić — powtórzył. — Tak samo trzeba było teraz wrócić, jak wtedy trzeba było iść. Gdyby ojciec którego z was tak jak ja wrócił, powiedziałby to samo, co ja mówię. Odtąd nie ma AK. Teraz jest szkoła. Rano pójdziecie do szkoły. Pójdziecie, chłopaki?

— Rrrozzkaz! — syknął Kotlik.

— Nie ma rozkazu, „kapralu” Kotlik. Pójdziecie, bo trzeba pójść. Było tamto, a teraz jest inne. Trzeba — ja

przyszedłem, bo trzeba, i zostaję tu, bo trzeba, i tak już jest, i inaczej nie. No, chłopcy! — poderwał. — A raki łapiecie? Raki?

Gromada się ożywiła:

— Aha!

(Są jak żołnierze, jak wojsko — komentował sobie ożwienie — trzeba zawsze coś dla nich po rozkazie, aby przyszło odprężenie. Jakiś dowcip, coś, co odprowadzi uwagę, ot co. — I jednocześnie przypomniał sobie czasy na tej wojny początku, gdy mawiał sobie: żołnierze są jak dzieci, z nimi trzeba tymi metodami, co z dziećmi w klasie.)

— A gdzie?

Zdania były teraz rozdzielone:

— Przed mostem...

— Ale! Gada, jakby nigdy nie łapał! Za usiekiem.

— Ani przed mostem, ani za usiekiem. Za wygonem.

— Kto mówi, że za wygonem?

— A ja — powiedział Pięтак. Był niepewny. Patrzył w oczy oficera, który mu oto odbierał jego władzę. Tomasz pomyślał, że dobrze się stało, iż Pięтак wymienił wygon. I powiedział:

— Pięтак wie, co mówi. Za moich czasów łowiło się je za wygonem. Idziemy za wygon.

Zzuwał obuwie ciężkie, zagraniczne, siedząc na trawie niskiej, kudłatej jak wełna górskich owiec. Chłopcy byli za nim. Patrzyli uważnie i milcząco i Tomasz wiedział, że ich oczy zatrzymały się na sonej wkleśliźnie postrzału, którą smagnęła go wojna. Któryś trącił Piętaką, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale zamilkł, a kiedy Tomasz rzekł: — No co, wy nie schodzicie, sam mam za was łowić? — poturlali się jak kaczęta do wody.

W tym właśnie miejscu Łężna swym zakolem podmywała szeroko grunt i była głębsza, ciemna i chłodna. Porucznik zanurzył się zwolna w ten jej ciemny i chłodny nurt.

Ostrożnie, ręką odwykłą, szukał podwodnie nor i zakamarków, z których kiedyś, chłopak jak tamci, wyciągał szamocące się niezdarnie skorupiaki. Nim jednak ręką trafił, oblał go nurt rzeki swojej, najbardziej swojej, zimny, zmywający wszystko, uzdrawiający, wracający siły, spokój i moc. Nurt był wartki bardzo, jakby się spieszył, aby obmyć to wszystko, co było i co narosło, i aby wygładzić to wszystko wodami zapomnienia. I Tomaszowi, nauczycielowi szkoły powszechnej i oficerowi broni pancernej, przyszedł naraz na myśl Odys do swej skalistej wracający Itaki i ów strumień z wierzeń Hellady, który toczył wody letejskie.



SPIS RZECZY

Karabela z Meschedu	5
Sprawa Smagacza	49
Paliki	73
Opowieści szkockie	93
Krysta	139
Ksiądz Ułas	181
Pomiędzy wilki	219
W Giewaldowej	281

104

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



21738